Cena Zł 150.—

NAUKA I SZTUKA

KWARTALNIK

ROK III LIPIEC — WRZESIEŃ 1947 TOM V

Zawiera:

JELENIA GÓRA — WROCŁAW

Pozostałe komplety „Nauki i Sztuki" za lata 1945—46 (12 numerów) w cenie zł. 300, oraz za jeden rok 1946 (9 numerów) w cenie zł. 250, można zamawiać w księgarni „Czytelnika", Wrocław, Krupnicza 13. Pojedyncze zeszyty z wyjątkiem Nr 2/3 z r. 1945 i Nr 1 (4) z r. 1946 są do nabycia bądź przez Administrację pisma za wpłatą, na konto Wrocław VIII—348, bądź przez księgarnię „Czytelnika" we Wrocławiu.

Wydano z zasiłku Ministerstwa Kultury i Sztuki

Wydawca: Śląski Zespół Wydawniczy

Redaktor: Stefan M. Kuczyński

Doradcze kolegium redakcyjne: Stanisław Hubert, Mieczysław Kreutz, Julian Krzyżanowski, Kazimierz Szarski, Seweryn Wysłouch

Redakcja i Administracja: Jelenia Góra, Norwida 9

NAUKA I SZTUKA

KWARTALNIK

TOM V

LIPIEC – SIERPIEŃ – WRZESIEŃ

JELENIA GÓRA — WROCŁAW
1947

OD REDAKCJI

Po parumiesięcznej przerwie podejmujemy ponownie wydawnictwo „Nauki i Sztuki" w nowym układzie czasowym, jako kwartalnika, i w nowym składzie redakcyjnym. Wydawnictwo nasze ma służyć publikacjom naukowym wszelkich działów, nie ograniczając się tylko do zagadnień humanistycznych, również wiedzy o sztuce i publikacjom popularno-naukowym o charakterze poważniejszym. Jedynie pierwszy tom kwartalnika, oznaczony miesiącami lipiec—wrzesień (jako kontynuacja dawniejszego miesięcznika), będzie miał charakter mieszany, a to ze względu na konieczność wykorzystania materiałów przyjętych do druku jeszcze przez redakcję poprzednią.

Jednocześnie komunikujemy naszym Prenumeratorom, iż wszystkie przedpłaty na dawną „Naukę i Sztukę", o ile pozostały na koncie, zostały automatycznie zaliczone na prenumeratę kwartalnika. Mamy także miły obowiązek podziękować w tym miejscu wszystkim naszym Czytelnikom i Sympatykom, którzy w rozmaity sposób okazali nam wiele życzliwości i zachęcili do kontynuacji wydawnictwa.

REDAKCJA.

NAUKA i SZTUKA
KWARTALNIK
ROK III . LIPIEC—WRZESIEŃ 1947 TOM V

Juliusz Kleiner

DWIE SIENKIEWICZOWSKIE SCENY ŚMIERCI HEROICZNEJ

Spośród naczelnych bohaterów powieściowych Trylogii dwu tylko Sienkiewicz omroczył i opromienił żałobą i aureolą śmierci heroicznej: pana Longinusa Podbipiętę i pana Michała Wołodyjowskiego. Rzecz znamienna, że tragizmem skonu wywyższył te właśnie postaci rycerzy, które do losów swoich i osobistości mniej przykuwały uwagę od Skrzetuskiego, Kmicica i Zagłoby i mniej też od nich miały bogactwa w fizjonomiach duchowych. Przejawiło się w tym prawo artystycznej rekompensaty: Skrzetuski takim jest ideałem typu Bayardów i Cydów, iż nie potrzeba zgonu, by go na piedestał wynieść, Kmicic tak podbija rozmachem energii kipiącej, iż dla zdobycia *maximum* pamięci i sympatii zbyteczny jest kres, co by miłość ku niemu spotęgował u czytelnika; Zagłobie nieśmiertelność przypadnie w pełni bez współudziału śmierci. Długi i chudy Litwin, Don Kichot na kobyle inflanckiej — i mały, wąsikami ruszający pan Michał, gracz nad gracze, gdy o szable idzie, nie mają równej tamtym siły wewnętrznej, by przyciągnąć na zawsze pamięć miłującą. Więc czego im, pomimo doskonałości wizerunku, nie dały dzieje życia, tego użycza z nawiązką moment dostojny i uświęcający śmierci. On dopiero czyni ich wielkimi. W tym uzyskaniu równowagi zainteresowań dla wszystkich pięciu ukazał się Sienkiewiczowski zmysł harmonii, Sienkiewiczowski klasycyzm.

Jedno jeszcze łączy obu ginących w Trylogii rycerzy i wpływa na artystyczny walor ich zgonu. Obydwu towarzyszy od pierwszej chwili zjawienia się uśmieszek autora i czytelnika. Nie są oni suwerennymi władcami komizmu, wywołującymi śmiech dlatego, że chcą go wywołać, jak niezrównany w skarbach humoru swego Zagłoba; oni są bezwiednie, bez intencji — trochę, a czasem nawet mocno śmieszni. Wiążą się

z tym chwytające za serce zalety, ale mimo wszystko działa w nich normalna siła komizmu, który zasadniczo obniża wartość osoby, jakkolwiek jej przydaje ceny artystycznej, i który tylko przy takim władztwie nad krainą śmiechu, jakim imponuje Zagłoba, może zamiast pomniejszania powiększać osobistość śmiech budzącą. Otóż to właśnie obniżenie pewne przezwycięża śmierć heroiczna, w blaski ubierając i dziwaczną figurę Longinusa,[1]) i drobną personę rycerzyka Wołodyjowskiego. W zrozumieniu zaś wagi, jaką mieć może zespolenie tragizmu z postaciami czy rysami komicznymi, objawia się romantyzm Sienkiewicza i zarazem jego nowoczesność, podnosząca na wyżyny tragizmu jednostki pozornie pozbawione dostojeństwa, którego żądała od bohaterów tragedia klasyczna. A w myśl romantycznego postulatu mieszania elementów sprzecznych — nawet zrosły z wesołością Zagłoba pożegnany zostaje smutnym tonem wzruszenia — gdy przy trumnie Wołodyjowskiego koło leżącej krzyżem Basi jawi się po raz ostatni — trzęsący się, słaby, zniedołężniały, złamany. I wtedy przez chwilę ogarnia czytelnika poczucie, że naprawdę w grób schodzi bujny, pokrzepienie niosący świat rycerski Trylogii.

Ze stanowiska uplastycznienia stylu Sienkiewicza inne nadto znaczenie mają obydwa zgony tragiczne w różności swej ekspresji.

Przez spełnienie ślubu dziwacznego, ale zgodnego z duchem poezji heroicznej, wielbiącej siłaczy, Longinus Podbipięta przeniesiony zostaje w pewnej mierze na teren baśni o rycerzach-wielkoludach — i oto jego, co serce gołębie a bohaterskie nosił w powłoce ciała i słowa ustylizowanej karykaturalnie, bierze w posiadanie wielka romantyka. W niesamowitą noc ciemną, wśród widmowo groźnego obozu wrogów idzie na spełnienie ofiary. Gdy ma już poza sobą przejście najtrudniejsze, najniebezpieczniejsze — jakieś przejście z baśni o ry-

[1]) Istnieje anegdota, jakoby Sienkiewicz uznawszy, że jeden z czterech bohaterów powieści „Ogniem i mieczem" winien zginąć, nie był zdecydowany, którego na śmierć przeznaczyć i rozstrzygnięcie zostawił losowi; los padł na Podbipiętę. Anegdota to mocno nieprawdopodobna. Przecież ani Skrzetuski, historyczny obrońca Zbaraża, ani historyczny obrońca Kamieńca Wołodyjowski nie może zginąć pod Zbarażem; do wyboru byłby Zagłoba i Longinus, z tych zaś pierwszy chyba nie mógł być kandydatem. Sądzić należy, że od razu artystyczny zmysł autora wyznaczył tego, który nie nadawał się już na dalsze wyzyskanie powieściowe, a zyskać mógł wyolbrzymienie przez śmierć.

cerzach pokonujących grozę wszelką — kieruje się ku dębom, co poetycznie „szumią z lekka, rzekłbyś — mruczą pacierz: Boże wielki, Boże dobrotliwy, uchrońże tego rycerza, bo to sługa Twój i wierny syn tej ziemi, na której my wzrosły Tobie na chwałę." Ale nie ocali go pacierz dębów. Jeden z nich, potężniejszy od innych, dąb-olbrzym daje oparcie opadniętemu przez Tatarstwo. „On stał w cieniu — olbrzymi, oparty o drzewo," z mieczem olbrzymim, bajecznym. „Dąb zrośnięty z dwu potężnych drzew, osłaniał środkową wklęsłością rycerza". Takie jest tło wielkoluda w nocnej, łuczywami tatarskimi oświeconej walce.

Toczy się bój baśniowy olbrzyma z chmarą napastników, bój zwycięski, póki jest ścieraniem się wrogów z wojownikiem o nadludzkiej sile. Po tej walce — wielkolud zmienia się na tle dębu w św. Sebastiana rażonego strzałami[2]) — w ową postać męczeńską umiłowaną przez malarstwo religijne Włochów. Wtedy „poznał pan Podbipięta, że zbliża się godzina śmierci, i rozpoczął litanię do Najświętszej Panny." Ellenai z „Anhellego",litanię mówiąca w chwili konania i umierająca ze słowami „Różo złota", użycza cudownego motywu przewodniego scenie śmierci rycerskiej i męczeńskiej.

> Pierwsza strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: Matko Odkupiciela! — i obtarła mu skroń. Druga strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: Panno wsławiona! — i utkwiła mu w ramieniu. Słowa litanii zmieszały się ze świstem strzał.
>
> I gdy pan Longinus powiedział: Gwiazdo zaranna! — już strzały tkwiły mu w ramionach, w boku, w nogach . . . Krew ze skroni zalewała mu oczy i widział już jak przez mgłę łąkę, Tatarów, nie słyszał już świstu strzał. Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada mu na piersi, nakoniec ukląkł.
>
> Potem, na wpół już z jękiem, powiedział pan Longinus: Królowo Anielska! — i to były jego ostatnie słowa na ziemi.
>
> Aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją jako perłę jasną u nóg „Królowej Anielskiej".

Scena tragiczna przetransportowana jest na liryczną symfonię, której wydźwięk harmonijny dają Aniołowie zstępujący, niby owe duchy jasne, niebiańskie, co zaziemskimi blaskami

[2]) Upodobnienie jest świadomie wprowadzone, czego dowodzi mowa żałobna ks. Muchowieckiego: „Przyszedł . . . jako gołąb po długim locie utrudzon; przyszedł nagi jako Łazarz, przyszedł jako święty Sebastian strzałami pogańskimi podarty." Nawet uwydatnienie nagości łączy się z obrazami św. Sebastiana, które były wprowadzeniem pięknego nagiego ciała w sferę malarstwa religijnego.

i tonami finał dały w „Dziadów” części trzeciej Widzeniu Ewy i Widzeniu Ks. Piotra:

Wyjmijmy z ciała duszę jak dziecinę
Senną z kolebki złotej, i zmysłów sukienkę
Lekko zwleczmy; ubierzmy w światło, jak jutrzenkę,
I lećmy! Jasną duszę nieśmy w niebo trzecie,
Ojcu naszemu złożyć na kolanach dziecię!

Realista zaznaczył w tej scenie z dokładnością szczegółową, jak postępuje proces konania, jak krew zalewa oczy i przez mgłę każe patrzeć na łąkę, jak pan Longinus nie słyszy już strzał, jak słowa ostatnie litanii mówi „na wpół już z jękiem.” Realizm jest wszakże w tej apoteozie heroizmu i świętości czymś wtórnym, drugoplanowym, chociaż on właśnie nadaje piętno prawdy bezwzględnej, konkretnej. Uwagę przykuwa po kompozycji malarza i plastyka i motoryka, który we wklęsłość dębu posągowo wrzeźbił walczącego wielkoluda — muzyka współbrzmienia strzał świszczących i odmawianej litanii. Litania swój paralelizm przenosi na melodię zdań o stopniowym modlitewnym zbliżaniu się ku śmierci. Muzycznością tą i malarskością przemawia romantyk, przepojony poezją romantyzmu polskiego i eposów baśniowych rycerskich,[3]) zasilony tradycjami przedrafaelowego malarstwa. Z umiarem klasycznym, bez jakiegokolwiek zbytecznego zdobnictwa, złożył w hołdzie ginącemu ofiarnie rycerzowi polskiemu wszelkie skarby poezji religijnie udostojnionej.

Śmierć Wołodyjowskiego, znacznie tragiczniejsza, bo dobrowolna, samobójcza a bezowocna, z konfliktu tragicznego wynikająca i w straszliwym bólu duszy dokonana — przema-

[3]) Podnietę pewną dać mogła także niby-historyczna fantastyka heroicznego światą w trylogii Aleksandra Dumasa (*Les trois Mousquetaires — Vingt ans après — Le Vicomte de Bragelonne*). Jak istnieje odległe (zauważone już dawno) pokrewieństwo między „trzema muszkieterami” czy raczej czterema: d'Artagnanem, Athosem, Porthosem i Aramisem a Sienkiewiczowskimi bohaterami — przyjaciółmi — tak też analogia pewna, nie dochodząca jednak do istotnych reminiscencji, łączy zgon Podbipięty ze śmiercią Porthosa olbrzymiego. Końcowi życia wielkoluda poświęcił Dumas w tomie ostatnim „Wicehrabiego de Bragelonne” rozdziały zatytułowane „Pieśń Homerowa” i „Śmierć Tytana” (*Un chant d'Homère, La mort d'un Titan* — rozdz. XLI i XLII). Porthos, który z winy niepospolitego, intryganta Aramisa służył nieświadomie bratu Ludwika XIV przeciw królowi, ukrył się wraz z Aramisem w grocie podziemnej. Gdy wkraczają żołnierze królewscy, on po walce homeryckiej ciska beczułkę prochu z lontem zapalonym, by zawaliła się grota, skoro ją opuszczą obaj przyjaciele. Ale nogi odmawiają posłuszeństwa staremu „tytanowi” — i walą

wia samą tylko surową, bolesną prawdą faktu, bez dekoracji, bez poetyckiego ustylizowania i złagodzenia.

> Ketling skoczył w kierunku lochów.
>
> Wołodyjowski zaś zdjął hełm z głowy; chwilę spoglądał jeszcze na tę ruinę, na to pole chwały swojej, na gruzy, trupy, odłamy murów, na wał i na działa, następnie podniósłszy oczy w górę, począł się modlić . . .
>
> Ostatnie jego słowa były:
>
> — Daj jej, Panie, moc, by zaś cierpliwie to zniosła, daj jej spokój! . . .
>
> Ach! . . . Ketling pośpieszył się, nie czekając nawet na wyjście regimentów: bo w tej chwili zakołysały się bastiony, huk straszliwy targnął powietrzem: blanki, wieże, ściany, konie, działa, żywi i umarli, masy ziemi — wszystko to, porwane w górę płomieniem, pomieszane, zbite jakby w jeden straszliwy ładunek, wyleciało w powietrze.
>
> *
>
> Tak zginął Wołodyjowski, Hektor kamieniecki, pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej.

Tamtą scenę kształtował epik i liryk, malarz i muzyk, tę historyk, sprawozdawca rzeczowy; tam wystąpił romantyk, tutaj wpatrzony w fakty realista. Nie ma obrazowania; jest tylko plastyka ukazania groźnej prawdy; jedyne porównanie — „zbite jakby w jeden straszliwy ładunek" — jest właściwie określeniem obiektywnym. Uczuciowy współudział zaznacza tylko jedno „Ach" — może zresztą zbyteczne. To, co dodaje od siebie historyk, ma styl inskrypcji grobowej. a miano apoteozujące „Hektor kamieniecki" w równej mierze prawdzie odpowiada jak literackiej kulturze wieku XVII..

Szczególnie zaś znamienne jest zespolenie obu ginących rycerzy z pewnym słowem — testamentem.

„Hektorowi kamienieckiemu" Sienkiewicz kazał się jeszcze przed momentem katastrofy pożegnać ze swą dziecięcą i chłopięcą a bohaterską Andromachą. Nadzwyczajnie umiał ton

się nań bloki skalne, jeszcze podtrzymywane przez ginącego siłacza: „Olbrzym spał snem śmiertelnym w grobowcu, który mu Bóg zbudował na jego miarę." *(Le géant dormait dans le sépulcre que Dieu lui avait fait à sa taille).* A po tej scenie rozdz. XLIII przynosi „Epitafium Porthosa *(L'Epitaphe de Porthos): . . . Le plus fort des quatres et cependant le premier mort . . . Le plus simple du coeur.* — Najsilniejszy z czwórki a jednak pierwszy z niej ginący . . . Najprostszy sercem." Można te słowa zastosować i do pana Longina. Jak Podbipięta ma Porthos rysy komiczne, chociaż innego rodzaju. Żarłocznego, próżnego, niezbyt mądrego kolosa śmierć udostojnia i wywyższa ponad innych. — Stosunkiem Sienkiewicza do Dumasa zajął się Stefan Papeé (Dwie Trylogie, Rok Polski 1918).

prostoty, od wszelkiego sentymentalizmu daleki, nadać tej rozmowie — i z nadzwyczajnym artystycznym i psychologicznym jasnowidzeniem umiał znaleźć powiedzenie właściwe, przedśmiertne, żołnierskie, dla „małego rycerza". „Jak na mnie termin przyjdzie (a to przecież żołnierska rzecz), zaraz sobie powinnaś powiedzieć: Nic to!" I dwa te słowa czyni autor muzycznym motywem przewodnim, który ma nieodłączny być od śmierci Wołodyjowskiego. W chwili, gdy już wszystko rozstrzygnięte tragicznie, mały rycerz posyła żonie słowo pożegnalne:

> Ów sprawiwszy wojsko, przywołał pana Muszalskiego i rzekł mu:
> — Stary przyjacielu, oddajże mi jedną przysługę: idź zaraz do żony i powiedz jej ode mnie . . .
> Tu głos uwiązł na chwilę w gardle małemu rycerzowi.
> — I powiedz jej ode mnie: Nic to! — dodał prędko.

A Basia przy katafalku powtarza bezświadomymi usty: Nic to!

Longinus Podbipięta zaś został w pamięci, jak strzałami pokłuty, na kolana się osunąwszy w przedzgonnym bezwładzie, powiedział: Królowo Anielska.

Pięknu religijnemu słów opromienionych najwyższą poezją chrystianizmu przeciwstawia się beztreściowość pozorna, brak jakiegokolwiek waloru emocjonalnego, nieudolność lakoniczną owego „Nic to." Właśnie ta niewspółmierność słowa szarego z ogromem treści stanowi przytłaczającą i szarpiącą siłę ekspresji, siłę na jaką się zdobywa w szarym pozornie rysunku faktów realista. Sentymentalizm i romantyzm, podejmując zresztą tradycje klasyczne, wielkiemu uczuciu dawał wielkość patetycznego słowa; realizm zataja, tłumi uczucie pod pokrywą obiektywnego, zwykłego wysłowienia — i dzięki temu wstrząsa prawdą głębin. Jednym z klasycznych i szczytowych przejawów takiej metody jest Sienkiewiczowskie „Nic to." W zestawieniu z melodią słów modlitewnych Podbipięty, w których punkt kulminacyjny osiąga romantyczna symfonia śmierci heroicznej — słowa pana Michała świadectwo dają, iż tkwił w Twórcy Trylogii równie wielki realista jak romantyk.

Zharmonizowanie romantyki i realizmu przez pisarza będącego głównie wielkim epikiem-plastykiem, ale zdolnego także do piękna liryki muzycznej — zespolenie, którego tryumfem był styl „Pana Tadeusza", na terenie powieści najpełniej wystąpiło u Sienkiewicza.

Artur Śliwiński

MOCHNACKI CZY WYSOCKI?

W artykule: „Piotr Wysocki allonimem"[1]) p. Ksawery Świerkowski usiłuje odpowiedzieć na pytanie, które niejednokrotnie już było przedmiotem rozważań historyków, zajmujących się dziejami insurekcji listopadowej. W kilkanaście dni po wybuchu powstania ukazał się w „Kurierze Polskim" artykuł, omawiający sprzysiężenie Wysockiego i działalność podchorążych w nocy 29 listopada. Jako autor tej pracy figurował Wysocki. Podane do wiadomości publicznej szczegóły podjętej przez spiskowców akcji poruszyły opinię publiczną, a wzbudziły niepokój w pewnych sferach, gdyż autor kompromitował przed rządem carskim wiele osobistości, które bynajmniej nie miały zamiaru angażować się w ryzykowne przedsięwzięcie. W roku 1867 tęż samą relację wydano w Paryżu jako „Pamiętnik" Piotra Wysockiego. Ale autorstwo głównego autora nocy listopadowej nieraz było kwestjonowane. Już Barzykowski w swej „Historji Powstania Listopadowego" twierdził, że ten ważny bo niejako urzędowy dokument, zdający sprawę z działalności twórców insurekcji, pisał nie Wysocki, lecz Maurycy Mochnacki. Opinię Barzykowskiego podzielił w ostatnich czasach prof. Tokarz w swej książce o „Sprzysiężeniu Wysockiego i Nocy Listopadowej".

Pan Świerkowski, opowiadając się za tezą Tokarza, nie popiera jej nowymi dokumentami, lecz poprzestaje na komentowaniu materiałów już znanych. Ale przytacza z nich to tylko, co, jego zdaniem, stwierdza autorstwo Mochnackiego, natomiast pomija to, co świadczy, że autorem głośnej pracy był Wysocki.

Trzonem argumentacji pana Świerkowskiego są zeznania Wysockiego przed delegacją Sądu Najwyższego Kryminalnego, cytowane przez Tokarza i Harbuta. Są to niewątpliwe świadectwa ważkie. Kto wie jednak, czy p. Świerkowski nie doszedłby do innego poglądu, gdyby się oparł nie tylko na po-

[1]) Patrz: „Nauka i Sztuka". Marzec 1946. Nr 3 (6).

cząstkowych, ale na wszystkich już opublikowanych zeznaniach Wysockiego.

Już pobieżna analiza języka i stylu jakim pisana jest omawiana relacja, pozwala wątpić, by jej autorem był Maurycy Mochnacki. Już sam tytuł nasuwa tę wątpliwość. Tytuł ten brzmi: „Wiadomość o tajemnym Towarzystwie, zawiązanym w celu zmienienia rządu i ustalenia swobód konstytucyjnych w Królestwie Polskim oraz działanie wojenne Szkoły Podchorążych piechoty w nocy z dnia 29 na 30 listopada 1830 roku. Artykuł Piotra Wysockiego, dowodzącego szkołą podchorążych w rozpoczęciu powstania".[2])

„Wiadomość oraz działanie"... „w nocy z dnia"... „dowodzący szkołą w rozpoczęciu powstania"....

Czyż tak pisał Mochnacki?

A przecież takich zgrzytów stylistycznych jest pełno w owej „Wiadomości". Oczywiście na upartego możnaby obstawać, przy twierdzeniu, że Mochnacki wysilił się na tego rodzaju niezdarności, aby nie poznano lwa po pazurach. Ale skoro już mowa o wydaniu paryskim „Wiadomości", zatytułowanej: „Pamiętnik", to niepodobna przejść do porządku dziennego nad tym, co w przedmowie do „Pamiętnika" pisze Leonard Rettel, dobrze świadomy wszystkiego, co działo się w kołach spiskowych przed powstaniem, i co w pierwszych dniach po wybuchu powstania przedsiębrali spiskowcy. A dla Rettla nie ulega wątpliwości, że „Wiadomość" wyszła z pod pióra Wysockiego. Otóż niema żadnych podstaw do przypuszczenia, by Rettel fałszował prawdę po upływie lat 36, gdy cała sprawa straciła aktualność, gdy przeszła do historii i nikomu nie groziła już jakimikolwiek konsekwencjami.

Świadectwa Rettla pan Świerkowski nie obala i to jest luka w jego wywodach. Pozostaje zeznanie Wysockiego. Otóż zeznań tych p. Świerkowski nie analizuje. Uważa je za wiarygodne i szczere. Ale na szczerości politycznych więźniów polskich, przemawiających przed sądami carskimi, nie podobna budować prawdy historycznej. Z całą stanowczością powiedzieć można, że żaden z nich nie poczuwał się do obowiązku przed tego rodzaju trybunałem, a jeśli mówił prawdę, mówił ją bądź wtedy, gdy ze względu na nieotwartą oczywistość dowodów, uznał, że nie ma sensu im zaprzeczać, bądź wtedy, gdy

[2]) Nie mając pod ręką pracy Wysockiego, powtarzam jej tytuł w brzmieniu podanym przez p. Świerkowskiego.

go niesłusznie oskarżano, bądź też wtedy, gdy dla wyższych pobudek, po bohatersku przyznawał się do zarzucanych mu „zbrodni". Pomijam zeznania tych, co się załamali lub też dla nędznych widoków osobistych kompromitowali swoich towarzyszy.

Jak zachowywał się Wysocki podczas badania?

Zachowywał się tak, jak wszyscy oskarżeni, usiłujący odeprzeć czynione im zarzuty. Początkowo zaprzeczał oskarżeniu i starał się udowodnić, że kto inny ową „Wiadomość" napisał. Skorzystał z tego, że ręka „sprawiedliwości" carskiej nie mogła dosięgnąć przebywającego we Francji Mochnackiego i jemu autorstwo swego artykułu przypisał. Powszechnie było wiadomo, że Mochnacki interesował się tym artykułem, że wydrukował go w „Kurierze Polskim", że prócz względów natury publicznej, mógł mieć i względy osobiste, przemawiające za szybkim opublikowaniem zawartych w artykule wiadomości. To też Wysocki przypuszczał zapewne, że słowa jego trafią do przekonania sędziów.

Dnia 21 listopada 1832 roku z tych zapewne powodów zeznał przed Delegacją sądu, że artykuł pisał Mochnacki a on, Wysocki, dowiedział się o tej publikacji już po fakcie dokonanym, to jest po ogłoszeniu artykułu drukiem. Pan Świerkowski bierze to oświadczenie za dobrą monetę. Uważa „taksamo za szczerą wypowiedź" o dwa dni później, gdy Wysocki raz jeszcze zaparł się autorstwa i przypisał je Mochnackiemu.

Dalsze zeznania Wysockiego p. Świerkowski pomija milczeniem. A szkoda, gdyż mają one większą wagę, dla ustalenia prawdy, niż zeznania już cytowane. Faktem jest, że przywódca spisku zmienił później taktykę, prawdopodobnie pod wpływem znajdujących się w rękach sądu dowodów, którym nie podobna było zaprzeczyć. Oto dnia 14 lutego 1833 roku oświadczył w tejże delegacji sądu, że pismo ułożył sam, a udział Mochnackiego w artykule ograniczał się do dania nazwisk wielu osób.

Ale w rękach sądu znajdował się być może, rękopis artykułu, znaleziony podczas rewizji, a może też sąd wmówił w oskarżonego, że rękopis się znalazł. Dość, że delegacja zaczęła igrać z więźniem, wskazywać na sprzeczność w jego zeznaniach i domagać się nowych wyjaśnień. Pod wpływem tych, czy może innych już dziś nie dających się stwierdzić okoliczności, dnia 19 kwietnia 1833 roku Wysocki oznajmia niespodzianie Delegacji, że manuskrypt nie był pisany jego ręką,

lecz ręką Kamila Mochnackiego, któremu artykuł dyktował w mieszkaniu Maurycego.

Jak widać z tego zeznania, sprawa rękopisu odegrała pewną rolę podczas badania i skłoniła Wysockiego do zmiany frontu. Z tego można wysnuć wniosek, że manuskrypt nie był pisany przez Mochnackiego, bo gdyby tak było, Wysocki nię miałby powodu do przeczenia samemu sobie.

Ale badania toczyły się dalej, a sprawa autorstwa nie przestawała interesować członków Delegacji. Wysocki znów przeczy sobie. Przyparty do muru, dnia 24 sierpnia 1833 roku, już bez żadnych ogródek oświadcza inkwizytorom:

— „Napisałem sam projekt i takowy Maurycemu Mochnackiemu oddałem".[3])

Do tych słów dodał jeszcze, że Mochnacki dokonał przeróbek i wykorzystał dostarczone mu notatki.

W zeznaniu tym na uwagę zasługuje wyraz: projekt. Wyraz ten świadczyłby, że Wysocki nie uważał swej pracy za nadającą się do druku lecz traktował ją, jako materiał, który Mochnacki miał dopiero opracować i uzupełnić wręczonymi mu notatkami. Ale zeznanie to sprzeczne jest z zeznaniem wcześniejszym, według którego Mochnacki dodał do „Wiadomości" tylko nazwiska wielu osób. Jeśli zaś, co jest prawdopodobne, dokonał przeróbek, czego dzisiaj na podstawie dotychczas znanych materiałów i dokumentów ustalić niepodobna, nie wystarcza to jeszcze, by Mochnackiego nazwać autorem „Wiadomości".

Jak widać z pominiętych przez p. Świerkowskiego zeznań, Wysocki tylko w pierwszej fazie badania zapierał się autorstwa, później zaczął się do autorstwa przyznawać, aż wreszcie widząc że wikła się coraz bardziej w sprzecznościach, zaprzestał niezręcznych wybiegów i w końcu oświadczył po męsku: „Napisałem sam".

Powstaje pytanie: które z zeznań Wysockiego zasługuje na wiarę, a które budzi wątpliwości. Nie trudno na to pytanie odpowiedzieć. Gdy oskarżony zaprzecza oskarżeniu, można kwestjonować jego prawdomówność, gdy pomimo zaprzeczeń przyznaje się później do zarzucanego mu czynu, wiele przemawia za tym, że mówi prawdę. Oczywiście bywały wypadki, że

[3]) Por.: Artur Śliwiński: „Joachim Lelewel". Wyd. II. Warszawa 1932. Str. 176.

oskarżony chcąc skłonić współwinnych brał na siebie całą odpowiedzialność i przypisywał sobie „winy" niepopełnione. Ale Wysocki nie pozował przed sądem na bohatera. Wykręcał się jak mógł i umiał, a nie miał kogo z powodu autorstwa „Wiadomości" osłaniać. W stosunku do Mochnackiego, jeśli zważyć charakter sądu, nie zachował godności, jakiej możnaby po nim oczekiwać, zarzucał bowiem swemu współtowarzyszowi w pracy konspiracyjnej nieładne pobudki natury osobistej. A tego nie usprawiedliwia nawet okoliczność, że o takich pobudkach mógł być przedświadczony. Nie było powodu do tego rodzaju wynurzeń przed carskimi sługami, tym bardziej iż uwagi o Mochnackim nie mogły mieć wpływu na stanowisko sądu.

W związku z zeznaniami Wysockiego, pozostaje jeszcze do rozwiązania kwestja, czy należy ufać aktom sądowym, czy protokóły są ścisłe i w jakim stopniu można na nich polegać? Były bowiem wypadki, że nawet protokół podpisany własnoręcznie przez wymęczonego indagacjami, a nieraz wpół przytomnego więźnia, nie był zgodny z tym co rzeczywiście zeznawał. W sprawach politycznych prokuratorzy i sędziowie carscy nigdy nie odznaczali się skrupulatnością. Dzisiaj o ścisłym zredagowaniu zeznań Wysockiego, w aktach sądowych nic pewnego nie da się powiedzieć. Można snuć tylko hypotezy. Ale z tego właśnie powodu z akt sądowych należy korzystać z wielką ostrożnością.

Dlatego trzeba szukać innych jeszcze dowodów. Takie dowody istnieją, a do nich należy wspomnianę już świadectwo Leonarda Rettla, takim świadectwem jest styl i język elaboratu, wreszcie okoliczności, w jakich „Wiadomość" została napisana i ogłoszona drukiem. Słusznie więc p. Świerkowski nie poprzestaje na samych zeznaniach. Ale te właśnie okoliczności, które na poparcie swej tezy przytacza, nie mają siły przekonywującej. Przebieg awanturniczej kłótni, jaka rzekomo rozegrała się w drukarni „Kuriera" między Wysockim a Mochnackim, nie wydaje się wiarygodnym tej wersji, za jaką idzie p. Świerkowski. Wysocki miał protestować i to w sposób gwałtowny, przeciwko umieszczeniu jego nazwiska jako autora. A w owej chwili nazwisko jego figurowało na korekcie złożonego już artykułu. Mochnacki namiętnie obstawał przy swoim. Doszło do głośnych krzyków, aż „Wysocki rozgniewany i wyczerpany, wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami".

Takie zakończenie kłótni wobec licznych świadków nasuwa poważne zastrzeżenia.

Trzeba pamiętać, że Wysocki już w owych dniach wyrastał na bohatera, że opinja publiczna coraz przychylniej ustosunkowywała się do niego i że Mochnacki w tym samym czasie przez opinię był obrzucony błotem i poniewierany. Ponadto Wysocki był wojskowym i nie należał do mazgajów. Mochnackiemu teroryzować się nie dał. Przywódcy podchorążych nie brakło energii, gdy był przekonany o słuszności swego stanowiska. W nocy 29 listopada złożył tej energii wymowne dowody, a odczuł ją na sobie i Mochnacki, gdyż na kilka dni przed ową sceną w drukarni chciał porwać za sobą podchorążych i skłonić ich do rozstrzelania Lubeckiego. Wysocki przeciwstawił się z całą stanowczością Mochnackiemu i udaremnił projektowany przez niego zamach. To też nic nie przemawia za tym, by zgnębiony bliski rozpaczy, a bardzo w tych dniach chwiejny literat narzucił wobec wielu świadków swą wolę Wysockiemu i postawił na swoim. Jeden szczegół owej „dramatycznej" sceny w drukarni, przytoczony przez p. Świerkowskiego, warto podkreślić. Oto po wyjściu Wysockiego „Mochnacki zasiadł do korekty, pracował bardzo długo, poczynił wiele zmian i przeróbek". Gdyby sam pisał artykuły, rzeczą jest wątpliwą, by bardzo długo nad korektą pracował. Świetny stylista miał ogromną łatwość pisania i bez skreśleń oraz poprawek oddawał zazwyczaj do druku swe prace. Prawdopodobniejszym jest, że poprawki i zmiany, jeżeli je poczynił, dokonane były przed oddaniem „Wiadomości" do składania i za wiedzą jej autora. Mochnackiemu zależało na tym, aby kto inny tę relację napisał, a jego większy udział w opracowaniu „Wiadomości" nie dałby się ukryć. Jeżeli sam zasiadł do korekty, ograniczył się zapewne do zadań korektora.

Zeznania kierownika drukarni nie są świadectwem miarodajnym. Świadkowie Polacy chcieli najczęściej ratować oskarżonych. Nic dziwnego tedy, że i ten świadek potwierdził to, co początkowo mówił Wysocki.

Sprawa wyjazdu Mochnackiego z Warszawy pozostaje chyba w związku bardzo z tezą, której obrony podjął się p. Świerkowski. Ale nazywając wieść o tym wyjeździe „oszczerczą plotką", sz. autor jest w błędzie. Nic oszczerczego w wieści tej nie ma i nie plotka ją stworzyła. Skoro Mochnacki, ze względu na grożące mu niebezpieczeństwo, nie mógł być czynnym w Warszawie, nic dziwnego, że przyszedł po ciężkich przejściach do siebie i odzyskawszy równowagę ducha, poza Warszawą szukał ujścia dla swej energii. I dlatego wyjechał.

O tym wyjeździe pisze Lelewel w liście swym z dn. 28 czerwca 1859 r. do Janowskiego.[4]) Nawiasem mówiąc, Lelewel przeczy, jakoby z jego inicjatywy Mochnacki opuścił stolicę. Jest jeszcze inny dowód, świadczący, że wyjazd ów nie był plotką, lecz faktem niezaprzeczonym. Oto prezydent Lublina Kossakowski w piśmie z dn. 31 grudnia 1830 roku,[5]) wysłanym do niewiadomego z nazwiska generała, tak pisze o pobycie Mochnackiego w Lublinie:

„Zjawili się u nas ludzie, którzy widocznie dążą do zaburzenia spokojnego miasta. Między tymi odznacza się szczególnie niejaki Maurycy Mochnacki, niedawno z Warszawy przybyły, już to przez niedorzeczne mowy, uwłaszczające nie tyle składowi wszystkich władz, ale nawet najpierwszym i najgodniejszym obywatelom przez skryte fakcje, do których także wiele mniej spokojnych i tylko osobisty interes na celu mających osób wyciągnęli, nakoniec przez jawne krzyki zagrażają, nie mówię spokojności, ale życiu naszemu".

Kiedy Mochnacki wyjechał z Warszawy? Prawdopodobnie po 14 grudnia (tego dnia był jeszcze w Warszawie), ale ścisłej daty na podstawie znanych już materiałów ustalić nie można. Słowo „niedawno" w liście Kossakowskiego komentować można bardzo rozciągle. Ale na to, żeby stworzyć „skryte fakcje" i „ściągnąć" do nich wiele osób, potrzeba było przynajmniej kilka dni czasu, zwłaszcza, że Lublin był obcym dla Mochnackiego terenem. Pan Świerkowski, utrzymując, że Mochnacki przez cały grudzień nie opuszczał stolicy, nieoględnie czyni zarzut jego biografom, że, pisząc o tym wyjeździe, bezkrytycznie zaufali opowiadaniu matki „jak gdyby istniała kiedy matka, która potrafi w opowiadaniu swym o synu być ścisłą".

Okazuje się, że istniała taka matka i była nią właśnie matka Mochnackiego. Co prawda, w tym wypadku, w innych bowiem nie zwsze była ścisła, tak samo zresztą, jak pisząc o działalności Mochnackiego, nie zawsze ściśli byli inni członkowie jego rodziny, jego przyjaciele i przeciwnicy, jego monografiści i komentatorowie. Historycy nieustannie mają z nieścisłościami

[4]) Rks. w Bibliotece Jagiellońskiej. Porównaj: Artur Śliwiński „Joachim Lelewel", Warszawa 1932 r. Wydanie drugie. Str. 219.

[5]) List ten znajdował się w Archiwum Akt Dawnych. Poz. „Joachim Lelowel". Wyd. II. Str. 219.

do czynienia i sami nie są od nich wolni. Te właśnie nieścisłości utrudniają stwierdzenie, kto był autorem bardzo ważnego dla początków powstania listopadowego dokumentu. Ale na podstawie istniejących danych, z wszelkim prawdopodobieństwem powiedzieć można, że wbrew twierdzeniu prof. Tokarza i p. Świerkowskiego, Mochnacki uzupełnił „Wiadomość" nazwiskami wielu osób, że może dokonał w niej przeróbek, ale że jej autorem był Piotr Wysocki.

Tadeusz Ulewicz

JAN KOCHANOWSKI MÓWI O NIEMCACH

(do psychologii Renesansu w Polsce)

Prawie w sto lat od pokoju toruńskiego kładącego kres wojnie trzynastoletniej (19.X.1466) a przywracającego Polsce m. in. Pomorze nadwiślańskie (t. zw. Prusy królewskie) i tworzącego lenno pruskie, Jan Kochanowski, młody podówczas sekretarzujący na dworze królewskim poeta, wydawał jeden ze swych pierwszych większych utworów p. tyt. „Satyr Albo Dziki Mąż". Utwór ten, w przedmowie do króla Zygmunta Augusta nazwany „kwapioną pracą", powstał pod znakiem aktualności. Napisany pomiędzy ostatnim tygodniem listopada a połową grudnia 1563 r. (Kaz. Morawski) był pismem, które ubrane w poważną poetycką formę miało doraźne zadanie publicystyczne: pozyskiwanie zwolenników dla myśli i programu leczenia Rzplitej, w duchu zmian wychodzących od króla i młodego wówczas podkanclerzego, Piotra Myszkowskiego. Mową podkanclerzego wygłoszona na otwarciu sejmu w Warszawie w dniu 22 listopada 1563 r. stoi w uderzająco bliskim związku ideowym z utworem. Tutaj też tkwi jego geneza i metryka.

Wśród natłoku myśli, uwag i pouczeń z jakimi „Satyr" zwraca się do społeczeństwa — a były to sprawy zasadnicze: odwyknięcie szlachty od służby wojskowej i jego skutki (najazdy tatarskie), zbytek, nowinkarstwo religijne, zagrożenie państwa przez potężnych sąsiadów, mania oratorska na sejmach itd. — znajduje poeta czas i sposobność kilkakrotnego zwrócenia uwagi na zagadnienia „zachodnie". Najpierw porusza je na marginesie wywodów o złych skutkach zbogacenia się i skupczenia szlachty. Tok wywodów jest następujący: wiadomo jak piękną i zagospodarowaną, bogatą ziemią są Prusy i miasta nadmorskie (przypominają się późniejsze zachwyty Klonowica nad Gdańskiem!), jakie tam świetne drogi i mosty, a jednak za pamięci ojców (ww. 75—76):

„K czemu przyszło? Polacy pruską ziemię wzięli,
A oni się bogacze chudym nie odjęli."

Od tamtych czasów jednak sporo już lat upłynęło. Poszły w niepamięć piękne cnoty rycerskie ojców. Szlachta — żali się poeta — zarzuciła ćwiczenie rycerskie i skupczała, co odbiło się na państwie w postaci wzmożonych najazdów tatarskich, utraty Połocka na rzecz Moskwy (Iwan Groźny 1563), niepowodzeń w Inflantach, ba, nawet zuchwałego napadu niemieckiego, brunszwickiego księcia Eryka (ww. 89—90):

„Na koniec, by nie Wisła, to u was Brunszwicy,
A tego przypłacili przedsię Pomorczycy."

Obok tych wszystkich zdawałoby się znanych i nie zawierających nic nowego szczegółów, występuje w „Satyrze" pewien rys charakterystyczny zarówno dla autora jak i — pośrednio — dla całej jego epoki. Jest nim powściągliwa wprawdzie niemniej jednak wyraźna n i e u f n o ś ć poety w trwały i pewny pokój od strony niemieckiej. Nie jest to zjawisko nieoczekiwane. Znamy je i rozumiemy dobrze jako dziedzictwo po gorzkim doświadczeniu wieków ubiegłych, możemy je też śledzić w piśmiennictwie czasów obu Zygmuntów czy Batorego (choćby sprawę buntu gdańszczan przypomnieć). Niepewność i wyczulona nieufność pozornie tylko i doraźnie przytłumiona hałaśliwą luterańską agitacją reformacyjną, drzemały jednak — mimo wszystko — w ciszy od strony granicy pruskiej i zachodniej („Satyr", ww. 101 nn.):

„Tego tam nie wiem, jaką przyjaźń z Niemcy macie,
Albo jako daleko sobie dziś ufacie.
To tylko znam, że na was pilne oko mają
I co rok to się pod was bliżej podsadzają.

. . . .

Rad ujźrzę, gdy was poprą, kędy się skryjecie,
Bo, ile po was baczę, bić się nie będziecie,
Nie mając ani konia, ani dobrej zbroje,
Pogotowiu ćwiczenia, bez czego złe boje."

Ciszy tej więc od Zachodu i Północy, od Niemców (dotyczyć to mogło zarówno Brandenburgii jak Prus czy nawet cesarstwa!) nie wierzono wówczas w Polsce zbyt pewnie i bezwzględnie. Że ustalona wreszcie w czasach Zygmuntowskich przetrwała ona w zasadzie około dwa stulecia — to jest rzecz inna. Wówczas w każdym razie niezbyt ufał tej granicy i Myszkowski (mowa jego nacechowana jest wybitnym

niedowierzaniem sąsiadowi zachodniemu),[1]) nie ufali jej też współcześni, gdyż pamięć śmiertelnych, kilkuwiekowych zmagań z krzyżactwem, z których zresztą wyrosła unia z Litwą, zbyt była świeża i zbyt potężna. Weszła ona w krew i duszę narodu, a odświeżały ją pogrunwaldzkie, raz po raz odnawiające się spory z Krzyżakami i ich ustawiczne próby (jeszcze po r. 1466) usamodzielnienia się i szkodzenia państwu na drodze łączenia się z wrogami Polski. Że i sekularyzacja Prus (1525) z hołdem pruskim nie ze wszystkim to zakończyła i przecięła, o tym wiadomo aż nadto dobrze.

Wracajmy jednak do samego Kochanowskiego. „Nikt nie jest tak tępy — popiera poeta swe obawy słowami „Wróżek" (gdzieś między r. 1569—1572)—żeby nie baczył między jakiemi sąsiady siedziemy". Że dotyczyło to sąsiadów zarówno od południa i wschodu jak też od zachodu i północy, wystarczy sobie przypomnieć wiersze wcześniejszej „Zgody", gdzie skarży się poeta, że skutkiem zarzucenia „rycerskiego rzemięsła" „wszystkie granice puste (w. 79), czy słowa późniejszej, krytycznej a głębokiej rozprawy „O Czechu i Lechu", gdzie autor — bynajmniej nie entuzjasta Czechów za ich prokrzyżackie stanowisko w najcięższym okresie historii polskiej — żałuje, że nie zajęli oni w dobie swych wędrówek także sąsiadujących z nimi terenów niemieckich („żeby się też z nimi i ci Cekkowie [= domniemani przodkowie Czechów] ruszyli i w Niemcech zasiedli"). Stanowisko takie świadczy dobitnie o wysokiej świadomości szczepowej i narodowej Kochanowskiego, a zarazem o dojrzałości jego sądu, umiejącego odróżnić wspólne dobro i wspólną sprawę od najgłębiej nawet zadrażnionych interesów jednostkowych. Poczucie — może nawet podświadome — potrzeby solidarności słowiańskiej na odcinku niemieckim wystąpiło tu też niemniej jasno niż powtarzane wówczas tak głośno hasła potrzeby takiejże solidarności wobec półksiężyca!

[1]) Myszkowski wśród innych aluzji co do niepewności od zachodu i reminiscencji niedawnych wojen krzyżackich, wykazujących uderzające pokrewieństwo ze „Satyrem" wyraził się m. in.: „A jeśli z której strony możem sobie pokój obiecować, nigdziej tak pewny nie jest, żeby mu się dufać godziło. Nie tajne są W. Mościam wieści, które z Szląska i z Niemiec przychodzą. Gdzie acz J. K. M. wiele powinowatych ma, wszakże trzeba się obawać, aby za onem dawnem około Prus zajątrzeniem, pod tym płaszczem powinowactwa, nie chciano na nas jakiego kaptura włożyć" (A. T. Działyński, Źrzódłopisma do dziejów Unii . . . Część druga. Oddział pierwszy. Poznań 1861, na str. 196).

W ogóle — zaznaczyć to należy — autor „Satyra" bynajmniej nie miał wygórowanego pojęcia o Niemcach. Nic w tym dziwnego, jeśli pamiętać o jego długich studiach włoskich, które przecież urobiły osobowość artysty oraz o bujności kultury Odrodzenia, którą miał sposobność podziwiać we Włoszech i Francji. Nawet o reformacji, tak niegdyś sympatycznej dla młodzieńca nawiązującego kontakty z protestanckim dworem i uniwersytetem w Królewcu, wyraża się poeta zdecydowanie niechętnie, widząc w niej — oprócz innych stron ujemnych — narzędzie do rozbijania tej jedności, której tak nam było wówczas potrzeba i tej zgody, do której on sam tylokrotnie nawoływał. Nawiasem mówiąc, takie stawianie sprawy świadczy o tym, że Kochanowski — jak to już stwierdził M. Bobrzyński — ducha reformacji w ogóle nie rozumiał, tutaj jednak wystarczy ograniczyć się do stwierdzenia, że poeta nauczył się kłaść znak równości pomiędzy luteranizmem a herezją (por. m. in. fraszkę II. 50) zaznaczając, że „tak filozof luterana zowie" i odsyłając nowinkarzy do Trydentu z zastrzeżeniem własnej prawowierności („Satyr" 165 nn., 185 nn.):

„Bracie, nie chcę się z tobą w rzecz wdawać o wierze,
Bo ja sam na się wyznam, żem prostak w tej mierze.
Lecz jeśli ty inaczej o sobie rozumiesz,
Jedź do Trydentu, a tam okażesz co umiesz.
. . . .
Nie uczyłem się w Lipsku ani w Pradze wiary
I nie wiem jako każą w Jenewie u fary."

Znacznie ostrzej z idącą od strony Niemiec reformacją rozprawiał się poeta we wcześniejszej od „Satyra" „Zgodzie" (ww. 85 nn.), gdzie podkreślał potęgę Kościoła przezwyciężającego w ciągu wieków rozliczne herezje („Na tej twardej opoce rozbił się Arius, II Marcyon, Samosaten, Manech, Nestorius . . .") i w Trydencie obradującego nad przywróceniem jedności, dokąd — utartym szlakiem — odsyłał wszystkich pragnących zgody a „naukę gruntowniejszą mających". Że Polakom zalecał poeta cierpliwość aż do czasu decyzji Soboru (w. 97—8) — wynikało to już naturalnie z jego światopoglądu i temperamentu.

Raziło też wychowanego na włoskim guście poetę obżarstwo, które stwierdzał u Niemców, a które, niestety, było i naszą tylokrotnie przez źródła współczesne podkreślaną przywarą („takież ożralcy jako i my" Wyd. Pomn. II. 297, „pertodescari" zam. „pergraecari" na oznaczenie pijatyki w łacińskiej

fraszce W. P. III. 213). Nic więc dziwnego, że wypowiadał się przeciw wysyłaniu młodzieży na studia zagraniczne do Niemiec i Włoch („Satyr" w. 263 nn.), podkreślając konieczność wyzyskania starej Akademii w kraju

„. . . . . gdzie przedtem jeżdżali
Cudzoziemcy, którzy się nauką parali",

a lepszego tylko uposażenia jej uczonych oraz łożenia „takiego kosztu na dzieci", jaki trzeba ponieść na zagraniczne studia młodzieży. Czegóż zresztą w Niemczech — poza nowinkarstwem — uczyła się wówczas na ogół bogata młodzież idąca na studia zagraniczne? Wystarczy tu — mając w pamięci fraszki Kochanowskiego (II. 7., II. 49), Pudłowskiego czy późniejsze nieco poezje Szymonowicza i in. — przypomnieć sobie wiersze poświecone Grecie, Gretce i powołać się na niepodejrzane pod tym względem świadectwo Niemca, Kurta Lücka, że tym niemieckim imieniem oznaczano w polskiej literaturze XVI wieku dziewczęta wątpliwego prowadzenia się,[2]) serdeczne przyjaciółki . . . dobrze naładowanej przez ojca — Sarmatę kiesy!

Na tle tego co dotychczas powiedziano, przyjrzyjmy się teraz dziejom stosunków polsko-niemieckich w krytycznym oświetleniu pism i wypowiedzi Kochanowskiego. Pierwszym tego rodzaju wydarzeniem w dziejach, które zaprzątnęło myśl i uwagę poety, była niewątpliwie — niezależnie od faktycznej, historycznej strony tej całej sprawy — legenda o Wandzie i o nieudałym konkwistadorstwie teutońskiego — amanta-rozbójnika. Ciekawe, że sprawa ta zainteresowała Kochanowskiego zaraz u początków jego kariery poetyckiej w Polsce. Legendzie tej bowiem poświęcił on piękną elegię łacińską I. 15, która według ogólnej zgody historyków twórczości poety (Tarnowski, Głocke, Hoesick . . .), przypada w każdym razie zaraz na pierwsze lata po jego powrocie z zagranicy. Można więc ją uważać za widoczny t e r m i n u s a q u o zwrócenia się jej autora w stronę dziejów czy legend ojczystych, autora, któremu po przejściu ogniowego chrztu padewskiej poezji miłosnej i pierwszych — jakże wspaniałych — próbach w języku ojczystym („Czego chcesz od nas, Panie") zaczynała marzyć się poważna rola piewcy, wieszcza swojego narodu (na te i na naj-

[2]) Kurt Lück, Der Mythos vom Deutschen in der polnischen Volksüberlieferung und Literatur. Poznań 1938, na str. 423. Ostdeutsche Forschungen, Band VII.

bliższe lata przypadnie szczególnie dużo epickich prób i utworów poety). Elegia ta, „klasyczna" poetycką formą wyrobioną w ciągu kilku lat twórczości łacińskiej, odznacza się wysoką wartością artystyczną, żywym dramatycznym sposobem przedstawienia i zasłużyła sobie ze strony życzliwych badaczy (R. Löwenfeld) na wyróżnienie jako „die schönste von sämtlichen lateinischen Dichtungen Kochanowski's".

Tematyką związana silnie z legendarnym podłożem polskim, budzi ona i dzisiaj jeszcze żywy oddźwięk pomimo całego humanistycnego aparatu mitólogii starożytnej (dziś wprowadzonoby na to miejsce słowiańską). Nie był wprawdzie Kochanowski pierwszym, który wątek Wandy podniósł do godności poetyckiego ujęcia — przed nim uczynił to już Jan z Wiślicy w pierwszej części poematu „Bellum Prutenum" (1516) oraz Klemens Janicki w skromnym łacińskim wierszyku w „Vitae Regnum Polonorum"[1]) — on jednak dopiero przepoił go istotną prawdziwą poezją i potraktował nie po kronikarsku. Sama legenda bowiem zadomowiła się w kronikarstwie i dziejopisarstwie polskim jeszcze od czasów Kadłubka, wieki dorzuciły tu niejedno, a u Długosza spotykamy się już z pięknym opowiadaniem uwydatniającym tyle poetyckich momentów, że całość aż się prosiła o obszerniejsze ujęcie artystyczne. Z Długoszem też — podstawowym dla wszystkich historyków epoki XVI wieku (Kromer, Bielski i in.) — wiązano niegdyś Wandę Kochanowskiego (R. Löwenfeld). Raczej jednak niesłusznie. Zbyt dużo jest bowiem u Długosza charakterystycznych i ważnych dla poety momentów, które Kochanowski pominął. Równie też trudno wiązać elegię z Kromerem. Stosunkowo najbliższy naszemu autorowi jest . . . Bielski, mimo wszystko jednak wydaje się, że — pamiętając o tym, iż czas pisania wiersza przypada na „przedhistoryczny", w stosunku do rozprawy „O Czechu i Lechu", jeszcze okres twórczości poety — elegia jest wynikiem nie tyle szerokich studiów i ścisłego trzymania się tekstów źródłowych, ile po prostu poetyckim, wolnym ujęciem pięknej legendy o bohaterskiej władczyni poświęcającej się za swój kraj. Co do Niemców w elegii i ich roli, to poeta, podkreślić to trzeba z uznaniem, potraktował ich z całą

[1]) Hanna Mortkowiczówna, Podanie o Wandzie. Dzieje wątku literackiego. Warszawa 1927 (Studja z zakresu historji literatury polskiej. Nr 7).

przedmiotowością narratora, pomimo wybitnie podmiotowego, *con amore* ujęcia postaci Wandy. Zarówno sama władna jak i jej dowódca, Rytygier (Rithogarus, imię powtórzone za Długoszem), odgrywający przecież rolę zwykłego *Raubritter*a, zamiast pogardy i szyderstwa spotykają się u poety z podkreśleniem swej waleczności, odwagi, nawet rycerskiej śmierci w boju, Rytygier zaś, sławny zwycięstwami szlachetny rycerz znad Renu („iactabat Rheni nobilas esse genus"), dręczony miłością zamienioną w szał i nienawiść („amore in furias verso") upada przy własnych orłach („aquilas ictus concidit ante suas"), jako ofiara obrażonej dumy i namiętności. Spokojne to, wytworne, klasyczne ujęcie tematu, na jakie jednak nie potrafi się Kochanowski zdobyć w wypadku mniej zamierzchłych dziejów wojennych narodu. Co innego bowiem życie, a co innego literatura. W jakżeż inny sposób — pomimo klasycznego umiaru — pisze ten sam poeta o . . . Krzyżakach! Gdzie jego spokojny obiektywizm, gdzie chłodna literackość rymowanego opowiadania? Miejsce opisu zalet nieprzyjaciela, dla których autor żywił szczere uznanie, zajęła pamięć o jego przewrotności i podstępach, przedmiotowość — zastąpiła ironia lub wręcz oburzenie. Widocznie temat zeszedł z wyżyn legendy na poziom życia, gdzie wre walka i gdzie zaborczość sąsiada płaci się krwią.

Tak czy owak, poetyckim przedstawieniem dziejów Wandy, która *w boju* zwyciężyła germańskiego Rytygiera i jego rycerzy (nie zaś jak u Długosza, gdzie uroda Wandy wytrąca broń z ręki rycerstwa, a wódz wyprawy popełnia samobójstwo), zwracał się poeta w stronę legend i dziejów ojczystych oraz tego, co się z tym sprzęgło u samych początków naszej historii: wojen i antagonizmu wobec Niemców, z którego wyrosła i w ogniu którego utrwaliła się polska świadomość narodowa.

Pierwsze dwa wieki historycznych dziejów Polski nie pociągały bliżej, a w każdym razie nie pozostawiły większych dowodów zainteresowania się nimi poety, jeśli idzie o wojny Bolesławów z Niemcami. Być może dla tego, że poecie-lirykowi po prostu brakło takiej sposobności do wypowiedzenia się na ten temat, jaką dał mu trzeci hołd pruski na pamiętnym, związanym z datą unii lubelskiej, sejmie w odniesieniu do wiekowych zmagań z Krzyżakami. Wolno tak się domyślać przynajmniej na podstawie bardzo charakterystycznego wiersza „Omen", wyrażającego najgłębsze marzenia poety a doty-

czącego jego roli jako przyszłego wieszcza narodowego, gdzie obok wyprawy warneńskiej króla Władysława (wiadomo, że Kochanowski miał w związku z nią zamiary epickie) wymieniono zwycięstwo Bolesława Krzywoustego nad ces. Henrykiem V — Psie Pole — oraz zakończenie wojny trzynastoletniej:

„Gdzie pojźrzę, wszędy widzę polskiej siły znaki,
Tu do Czarnego Morza jeszcze świeże szlaki,
Tu droga znakomita przez śnieżne Bałchany,
Tu Psie Pola, a sam brzeg pruski zwojowany."

Cała wymowa tego, oderwanego — niestety — wspomnienia niknie dopiero wobec wierszy „Proporca" i wobec ilości uwagi i miejsca poświęconego tam sprawie zmagań i dziejów polsko-krzyżackich.

„Proporzec" to jeden z poetycko słabszych, okolicznościowych utworów poety. Mimo to jest on w naszym wypadku najważniejszy z całego jego dorobku, gdyż w żadnym z innych wierszy stosunek Kochanowskiego do Niemców nie został naświetlony z tylu różnych punktów widzenia, a zarazem rozpatrzony tak szeroko i tak głęboko ujęty.

Utwór jest osnuty — jak wiadomo — na tle hołdu lennego złożonego Zygmuntowi Augustowi dnia 9 lipca 1569 r. przez księcia Albrechta II Fryderyka, syna Albrechta I, ostatniego eksmistrza krzyżackiego. Kompozycyjnie przedstawia się „Proporzec" — poważny utwór na cześć państwa i króla — następująco: król Zygmunt August siedzi na tronie w pełni majestatu i potęgi i odbiera hołd lenny Olbrychta (Albrechta), księcia pruskiego. Ten, stanąwszy przed królem, pada na kolana i składa mu przysięgę wierności i poddaństwa. Wówczas podano księciu wspaniały proporzec, chorągiew, na której z jednej strony barwnie przedstawiono dzieje wojen z Krzyżakami o Pomorze i ziemię pruską (hołd dotyczył lennika pruskiego), z drugiej zaś . . zobrazowano dzieje słowiańszczyzny. Następuje szczegółowe opisanie proporca (coś niby homerycka tarcza Achillesa czy wergiliański puklerz Eneasza), następnie zamknięcie hołdu opisem uroczystości i uczt po nim następujących, wreszcie zaś zakończenie samego utworu wezwaniem poety zwróconym do rodaków, a nawołującym — zgodnie z życzeniami większości narodu — do zawarcia ścisłej i szczerej unii, unii serc i dusz, w której jedyne zabezpieczenie się przed niespodziankami i tajemnicami historii. Całość skomponowana

więc dość prymitywnie, całkowicie potwierdza uznaną opinię o par excellence lirycznym, nie epickim charakterze talentu poetyckiego autora „Proporca".

Że sam opis chorągwi nie był bynajmniej oparty na jakichś źródłach historycznych, to jasne. Oprócz wszystkich innych, które możnaby tutaj przytoczyć argumentów, przeczy temu świadectwo współczesnego historyka, Aleksandra Gwagnina. Istotne znaczenie i wymowę posiada tu fakt zupełnie inny. Uderza bowiem przede wszystkim to, że dzieje zmagań polsko-krzyżackich rzucone są na tło szerokich dziejów słowiańszczyzny. Fakt ten, zgodny zresztą z rozbudzonym niezwykle silnie poczuciem słowiańskim naszego poety, wyraził się w utworze w samym opisie proporca, tej polskiej tarczy Achillesa, która całą treścią i pomysłem swych obrazów wyraźnie wskazuje na związki i analogie zachodzące — poprzez genezę narodu polskiego — między starodawnymi dziejami Słowian (nie chodzi tu o ich historyczność!) a kilkuwiekowym zmaganiem polsko-niemieckim. Trudno się wprost oprzeć sugestii symbolu, jaki zdaje się zachodzić w przedstawieniu proporca na który przysięga „młody Olbrycht" pruski. Obrazy znajdujące się po obu jego stronach wyglądają bowiem — w tym ujęciu — na dwa aspekty tej samej sprawy, jakżeż wymowne, a zarazem jak głęboko symboliczne na tle hołdu pruskiego i wspomnienia straszliwego niebezpieczeństwa, z którego oba narody (Polskę i Litwę) wyprowadziła połączona siła Jagiełłowej unii.

U podstaw kilkuwiekowych zmagań polsko-krzyżackich leżał — nieznośny dla szczerej duszy poety — pierworodny grzech Zakonu Niemieckiego: grzech chciwości a równocześnie niewdzięczności i zaborczego podstępu w stosunku do swego dobroczyńcy. Wnikliwe badania historyczne schyłku ubiegłego i pierwszych dziesiątek lat bieżącego stulecia odsłoniły dostatecznie jego kulisy i metody. Wiek XVI miał jednak o nich pojęcie o tyle bliższe o ile np. powstanie styczniowe (jeśliby zapomnieć straszliwą lekcję poglądową hitleryzmu!) jest bliższe nam niż pokoleniom, które przyjdą po nas za jakieś trzy czy cztery wieki. Dlatego poeta, który, szkicując grubymi tylko rysami obrazy widniejące na proporcu, nie ma czasu na inwektywy i wtręty liryczne, nie może się powstrzymać, niemal zaraz na wstępie, po szczerych pochwałach księcia Albrechta I (ojca składającego hołd lennika) od głośnego

wybuchu oburzenia na tych niewdzięczników, których królowie polscy na szczęście „mieczem okrócili", a

„Którzy z płodnej Syrijej niedawno wygnani,
Będąc przeciw poganom na pomoc wezwani
Od pogranicznych książąt narodu polskiego,
Nie pomniąc dobrodziejstwa dopiero wziętego,
Obrócili swe groty, nad ludzkie nadzieje,
Nie na pogany, ale na swe dobrodzieje;
Psów przykładem wyrodnych, którzy z wilki mają
Dobry pokój, a stado zwierzone drapają.
Ale to wszystko na ich głowę się wróciło."

Wiersz ostatni brzmi jak westchnienie szczerej ulgi, że jednak łajdactwem nie daleko i nie wszędzie się zajdzie, a zarazem jak przestroga, aby — mimo wszystko — nie całkiem i nie zawsze wierzyć, tym którzy od tamtych zbójów ród swój wiodą i których przodków miało się sposobność poznać tak do gruntu i tak głęboko znienawidzieć. Poeta wie dokładnie kto ich sprowadził i w jakim celu, zna też niezawodnie — może nawet z tradycji ustnej — bliższe szczegóły i drobiazgowe dzieje Zakonu, trudno mu jednak to wszystko wyzyskać z datami i szczegółami przy suchym i z konieczności rejestracyjnym tylko wyliczaniu obrazów-grzechów krzyżackich.

Opis dziejów ziemi pruskiej zaczyna poeta od wspomnienia najazdu pogańskich Prusaków na Mazowsze, głównej racji sprowadzenia Zakonu przez niebacznego księcia Konrada:

„Tam było widać Prusy, a oni wojują
Mazowsze, ludzi wiążą, wsi i miasta psują;
A Konrad przeciwko nim Krzyżaki prowadził
I nad głęboką Wisłą przy Dobrzyniu sadził."

Z kolei następują obrazy przedstawiające — w porządku chronologicznym — dzieje stosunków polsko-krzyżackich, a notujące te przede wszystkim momenty, które wyodrębniały się w sposób charakterystyczniejszy lub zaznaczały głośniejszym echem w historii. Poeta pomija więc szybki rozwój potęgi krzyżackiej oraz podboje w Prusach i wzdłuż wybrzeża, pomija nawet sprawę ich wojny ze Świętopełkiem, być może dlatego, że dotychczas Zakon nie zrywał swej obłudnej acz przejrzystej już na ogół maski. Przegląd dziejów polsko-krzyżackich rozpoczyna więc autor dopiero zdradzieckim zaborem Pomorza i Gdańska. Odrzuca wszystkie szczegóły drugorzędne: zdradę rodu Święców, leżącą u podstaw tej całej tragedii, jak też potworną w planie i wykonaniu rzeź oraz spalenie miasta

(14 listopada 1308). Pozostawia tylko sam nagi fakt, zaopatrzony szeregiem pełnych oburzenia lub ironii uwag, zdradzających jego żywy stosunek uczuciowy wobec tej całej sprawy. Dalsze wypadki zaznaczono już więcej po kronikarsku. Są to: wrogość wobec Polski króla czeskiego Jana Luksemburskiego, przymierze Łokietka z Gedyminem (wiosna 1325) przypieczętowane małżeństwem królewicza Kazimierza z księżniczką Aldoną, dalej wyprawa na Marchię (1326) i wojna z Krzyżakami (1327), hołd Mazowsza „Czechowi" i krótkotrwały bunt Wincentego z Szamotuł, zwycięstwo Łokietka pod Płowcami (27 września 1331), wreszcie samodzielna polityka Kazimierza Wielkiego, która poprzez układy i targi dyplomatyczne, przychylne Polsce a potępiające Krzyżaków orzeczenie papieskie Benedykta XII itd., uzyskała pokój niezbędny do przygotowania późniejszej rozprawy. Poprzez wzmiankę o czasach Ludwika Węgierskiego przechodzi wreszcie Kochanowski do czasów Jagiełły. Oto własne słowa poety o tych wszystkich sprawach („Proporzec" w. 77 nn.):

„Margrabiowie pomorską ziemię posiadali[1])
I już Gdańsk niedobyty zdradą otrzymali.
Starosta[2]) zamku bronił, a temu Krzyżacy
Na ratunek bieżeli i zbrojni Polacy.
Wilkowi owcę odjął pies niepościgniony,
Ale ją sam przedsię zjadł. Zamek obroniony,
Lecz dobrzy zakonnicy Polaki wygnali
I starostę, a sami zamek otrzymali,
Aż i wszytko Pomorze; król wojnę gotował,
A Czech się przeciw jemu z Krzyżaki spisował;
Żonę królewicowi z Litwy też niesiono
I pokój między państwy wieczny stanowiono.
Mało dalej król wzajem Margrabstwo wojuje,
. . . .
Tu już burda z Krzyżaki, którzy, swojej mocy
Nie ufając, u Czecha szukają pomocy.
Mazowszanin ściśniony Czechowi hołduje,
A za dobre sąsiedztwo Krzyżakom dziękuje.
Wnet potem Szamotulski przestawa z Krzyżaki,
Ale nawet, gdy bitwę stoczyli z Polaki,
Pomógł ich bić; tam Szary leży zmordowany,
Którego barziej boli zły sąsiad, niż rany.
Inszy król, insze czasy; ludzie syci boju

[1]) W znaczeniu: posiedli, opanowali.

[2]) Bogusza, kasztelan gdański, wierny sługa Łokietka, z polecenia którego zawezwał Krzyżaków na pomoc przeciw brandenburczykom.

Dali w moc dwiema królom radzic o pokoju.[6])
Wyrok naszym nie k myśli, przedsię go trzymają,
Ale się Niemcy czegoś więcej domagają.
Znowu wici roznoszą, lecz papież hamuje,
A przesłuchawszy sprawy, Krzyżaki winuje.
A ci oto zaś z królem znowu się jednają[7]),
Ale polscy biskupi na to nie zwalają."

Na marginesie tych słów poety przypominających mocno kronikarskie wyliczanie ważniejszych wypadków, przeważnie wojennych — krwawe bowiem są dzieje polsko-krzyżackie — zauważyć należy co następuje. Poeta ma słuszny żal do Czechów za prokrzyżackie stanowisko w czasie Łokietkowych (i późniejszych Jagiełłowych) zmagań, aczkolwiek trzeba pamiętać, że na tronie czeskim zasiadał wówczas niemiecki dynasta, syn i ojciec cesarski (Karola IV), król Jan Luksemburski, nieprzejednany wróg Łokietka i Polski, nie mogący pogodzić się z jej odpadnięciem od korony Przemyślidów (żonaty z córką Wacława II) i tworzący swym państwem ramię południowe ściskających Polskę niemiłosiernie kleszczów luksembursko-krzyżackich. Nie darmo też jego polityka nasuwa dzisiejszym historykom tych zagadnień (Zygm. Wojciechowski) porównanie z polityką niemieckiej „Mitteleuropy", wiążącej się wspólnym uchwytem z drapieżną niemczyzną nadbałtycką! Obok tego zaznaczyć tu też można fakt pewnej niekonsekwencji poety, którą zresztą trzeba położyć na karb artystycznej strony utworu. Kochanowski, niewątpliwie bardzo dokładnie zorientowany w dziejach Polski i jej stosunkach

[6]) Jan Luksemb. i Karol węgierski, którzy przysądzili Krzyżakom Pomorze formalnie jako akt darowizny, „jałmużnę" Kazimierza, a Polsce przyznawali ziemię dobrzyńską i Kujawy (listopad 1335).

[7]) Chodzi tu o decyzję papieską Benedykta XII, która wobec skargi Kazimierza na Krzyżaków o zabory i napady, na podstawie dostarczonego mu i zbadanego przez kardynałów materiału, polecała nuncjuszowi Galhardowi de Carceribus rzucenie na Zakon klątwy i pozwania go przed swój sąd. Na sąd ten w Warszawie na wiosnę 1339 Krzyżacy się nie stawili. Przeprowadzony wówczas proces wykazał prawdziwość oskarżenia i odsłonił zbrodnie krzyżackie wobec świata i Kurii. Wyrok komisji papieskiej ogłoszony w kościele (później katedrze) św. Jana dnia 25 września 1339 uznawał Krzyżaków winnymi i skazywał ich na zwrot Pomorza, Kujaw, ziemi dobrzyńskiej, michałowskiej, zwrot wysokich odszkodowań i kosztów procesu. Orzeczenie to miało jednak znaczenie wyłącznie moralne. Kazimierz Wielki poszedł bowiem w końcu na kompromis (tzw. pokój kaliski 1343). Episkopat polski zachował wobec traktatu powściągliwość, aczkolwiek (za wyj. biskupa krakowskiego) przyjął go do wiadomości już 23 lipca tegoż roku.

z sąsiadem, nie zawsze przestrzega szkicowania n a j w a ż n i e j s z y c h tylko wydarzeń w tych dziejach. Jeśliby nawet darować mu epizod z Florianem Szarym, tak wymownie charakteryzujący bitwę pod Płowcami, to trudno nie dostarzec, że bywają jednak momenty, w których historyk czy kronikarz ustępuje miejsca poecie i nie pomija ubocznego „poetyckiego" drobiazgu całkowicie pozbawionego znaczenia (trzy wiersze opuszczone w cytacie!), a to śmierci jakieś nieznanej zakonnicy „Krystyny", która, broniąc swej czystości, zginęła bohatersko z rąk sojuszniczego wojownika litewskiego (szczegół znany Długoszowi i innym historykom).

Wybiła wreszcie wielka historyczna godzina Grunwaldu. Nadszedł czas, w którym spełnić się miały słowa św. Brygidy cytowane z takim przejęciem przez wielkiego epika tego zwycięstwa. „iże wyłamane będą ich zęby i będzie ucięta ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje".

I nasz poeta żywi szczególny sentyment dla pól grunwaldzkich, „pruskich pól". Wspomina o nich kilkakrotnie w najrozmaitszych utworach polskich i łacińskich, i tak, Janowi Baptyście hrabi na Tęczynie przypomina (w „Pamiątce", W. P. I. 367) grunwaldzkie przewagi kasztelana wojnickiego Jędrzeja Tęczyńskiego; w „Zgodzie" (wydana w Krakowie 1564 r.) chwali męstwo i waleczność twardych praojców („Nie bylić kaznodzieje ani doktorowie, II Co w Prusiech tego dali Krzyżakom po głowie"); we współczesnej prawie „Proporcowi" elegii łacińskiej III. 13 gdzie stwierdza, że czas mu o j c z y s t y m, polskim pieniem sławić Sarmację i wylicza wybitniejszych poetów ojczystych, wspomina Łukasza Górnickiego i jego nieznane dziś — niestety — pieśni grunwaldzkie (Germanosque canit magno certamine victos, II Comittens lyricis Martia bella modis") z godnym uwagi podkreśleniem jego poetyckiego u d z i a ł u w tym triumfie. Nawet w zarzuconym fragmencie większego utworu, który miał opiewać bitwę warneńską nie mógł sobie Kochanowski odmówić — przy okazji genealogii Jagiellonów — miłego dlań wspomnienia grunwaldzkiej bitwy oraz poprzedzającej ją wiekopomnej unii z Litwą (w. 55—60), Wreszcie „Proporzec". Aż żal, doprawdy, że, przy tak żywym zainteresowaniu epopeją grunwaldzką, dorastający do roli wieszcza narodowego poeta — krępowany charakterem swego talentu poetyckiego — ograniczył się tylko do wzmianek i urywków.

Powracajmy jednak do „Proporca". W zwięzłych słowach— wszak to tylko wyliczanie obrazów przedstawionych na proporcu — przedstawia Kochanowski najpierw unię Polski z Litwą, następnie przebieg wielkiej wojny z Krzyżakami z bitwą pod Grunwaldem (15 lipca 1410) jako jej głównym i najważniejszym wydarzeniem, wreszcie dalsze dzieje wojny z bezkutecznym oblężeniem Malborga i stosunkowo dokładnym, na Długoszu opartym, opisem bitwy pod Koronowem. Poeta zupełnie słusznie pominął tu tzw. pierwszy pokój toruński (1411), uważany zresztą doraźnie za chwilowe tylko rozstrzygnięcie (w. 134, wbrew komentarzowi Wyd. Pomn., dotyczy pokoju melneńskiego!) tak, że wojny z Krzyżakami za czasów Jagiełły przedstawiają się jako pewna jednolita choć przewlekła całość. Pamiętać trzeba, że poeta w zasadzie wspominał tylko fakty najważniejsze i że „Proporzec" zawiera i tak aż nadto szczegółów mogących się pomieścić na płótnie największego nawet sztandaru. Możnaby natomiast, pomijając drobiazgi (wojna r. 1414), zwrócić uwagę na przemilczenie ważnego soboru konstancjeńskiego i sławnego sporu przed jego forum, o którym tyle u Długosza (zwłaszcza w związku z wyrokiem soboru i pap. Marcina V na Jana Falkenberga!), co tym więcej uderza, że poeta pamięta niekiedy o drobnych układach i orzeczeniach, wreszcie zaś na pewne anachronizmy w przedstawieniu dalszych kolei Jagiełłowych zmagań z Zakonem. Stronniczy wyrok „Czecha", w tym wypadku Zygmunta Luksemburczyka, „Polakom nachyło" tj. tzw. wyrok czyli orzeczenie wrocławskie (6 stycz. 1420), wspomniał bowiem poeta już po zawarciu pokoju nad jeziorem melneńskim (1422) jak również i po (w cytacie opuszczone w. 135—6) porozumieniu się Jagiełły z królem duńskim Erykiem. W każdym bądź razie — pomimo tych zastrzeżeń — biorąc pod uwagę dokładność szeregu danych dotyczących zwłaszcza targów i postanowień pokojowych pod koniec wojny, jak również i szereg szczegółów przytoczonych w związku jeszcze z wojnami Łokietkowymi, trzeba stwierdzić, że poeta niezawodnie korzystał z relacji historyków, że w każdym razie wykroczył poza Długosza i że w tym wypadku potraktował je jednak z własnego, potyckiego punktu widzenia. Nie od rzeczy będzie tu też zastrzeżenie, że w okresie pisania utworu nie miał on jeszcze tego tak wyrobionego krytycznego zmysłu historycznego, jaki okazał pod koniec twórczości w niedokończonej — niestety— „O Czechu i Lechu Historii Naganionej". Oto opis wielkiej wojny i jej następstw:

. . . . Jagiełło Litwę jednoczy z Polaki,
A potem o pokoju rokuje z Krzyżaki[8]).
Próżno podobno; bo patrz, jako wsi gorają,
A zamków między sobą przedsię dobywają.
Widać — że było dalej dwie wojszcze ogromne,
Strzelbę na się składając i kopije łomne,
Stąd Krzyżacy, a z nimi Niemcy i Czechowie[9]),
Stąd Polacy i Litwa, Ruś i Tatarowie.
Wbok wojska król dwa miecza od Niemców przymuje,
Z drugiej strony Tatary Witułt już hamuje;
Ale ci przedsię serca drugim nie skazili,
Bo Polacy na głowę Niemce porazili.
Malbork zatem obegnan, a pod Koronowem
Dwie wojszcze z sobą czynią obyczajem nowem,
Bowiem w pół bitwy z obu stron odpoczywają[10])
Raz i drugi, za trzecim Niemcy się mieszają.
Otóż Krzyżakom kwoli Czech Polskę wojuje,
Ale wyprowadzony toż u siebie czuje[11]).
A Niemce znowu przedsię pod Gołubiem gromią,
A ci, w bramę się cisnąc, szyje z mostu łomią.
Tu już zasie Krzyżacy z królem się jednają,
. A żmudzką płodną ziemię panom własnym zdają[12]).
. . . .
Potem Czech wyrok czyni Polakom nachyło,
Ale szczęście Krzyżakom i w tym nie służyło,
Bo miasto złota, które z wyroku dać mieli,
Srebro kładli, a tego Polacy nie chcieli[13]).

[8]) Poeta ma tu na myśli zapewne tzw. pokój raciązki 1404 r. oraz zatarg o Drezdenko, jak też — może — drugie powstanie na Żmudzi.

[9]) W dobie wielkiej wojny polsko-krzyżackiej królestwo czeskie (Luksemburgowie) znajdowało się po stronie krzyżackiej. Stąd wśród jeńców wziętych do niewoli pod Grunwaldem, Czechów i mieszkańców krain należących do korony czeskiej (Ślązacy) było uderzająco wielu (por. o tym relację Długosza: „Czesi jednak i Ślązacy mnogością innych przewyższali"). Było wprawdzie kilkuset zaciężnych Czechów na żołdzie Jagiełły, ale oddziały te w obliczu bitwy próbowały dwukrotnie acz bezskutecznie usunąć się od walki i całą chorągwią wymknąć się z armii (dokładny znany poecie opis u Długosza).

[10]) Rzeczywiście niezwykła to była bitwa odbywająca się — według Długosza — z uwzględnieniem wszelkich prawideł rycerskości i kojarząca się zupełnie z walkami bohaterów Ariosta czy powieści rycerskich.

[11]) Dotyczy to zbrojnego zatargu z Zygmuntem Luksemburskim i jego rychłych wewnętrznych kłopotów husyckich.

[12]) Pokój nad jeziorem melneńskim podpisany 27 wrześ. 1422 przyznawał Polsce tylko Nieszawę, Orłów i Murzynów (Pomorze, ziemia chełmińska i michałowska zostały przy Zakonie), ale Krzyżacy zrzekli się w nim wszelkich pretensji do Żmudzi, która już nie do śmierci Witolda ale na zawsze miała pozostać przy Litwie. W Wyd. Pomn. błędny komentarz!

[13]) Ściśle według Długosza, którego poeta, jak widać i z szeregu innych szczegółów, musiał mieć pod ręką lub znać bardzo dobrze.

To wniwecz; znowu przedsię radzą o pokoju,
Ale sprawą cesarską przyszło zaś do boju,
Bo Niemcy pod przymierzem do Polski wtargnęli,
A jako Bóg chciał, i tak przedsię klęskę wzięli"[14]).

Drugim historycznym momentem z wojen polsko-krzyżackich, który poetę napawał dumą i radością, jest wojna trzynastoletnia i jej zakończenie: zawarty dn. 10 paźdz. 1466 pokój toruński. Nic dziwnego! Dopiero wówczas zebrano owoce Grunwaldu i wówczas nadeszła ta radosna godzina, „w której jedną bramą wyjeżdżał z Malborga ze łzami w oczach mistrz krzyżacki, drugą wjeżdżał na czele wojsk polski wojewoda, aby w imieniu króla i królestwa objąć w posiadanie miasto i całą krainę aż po siwe fale Bałtyku" (H. Sienkiewicz).

O „zwojowaniu brzegu pruskiego" wspomina poeta kilkakrotnie z wyraźną satysfakcją i zadowoleniem człowieka, który znaczenie morza dla państwa doceniał i rozumiał.[15]) Z dumą o tym wspomina w wierszu „Omen" jako o wiekopomnym — obok Warny i Psiego Pola — „polskiej siły znaku", chwałę tego osiągnięcia polityki królewskiej głosi też — znów wiążąc je z glorią warneńską — w tzw. „Fragmencie Bitwy z Amuratem u Warny", gdzie pisze o Kazimierzu Jagiellończyku (w. 77—80):

„Ten pruską, ziemię posiadł, a Krzyżaki boju
Tak nakarmił, że prosić musieli pokoju,
Który tak otrzymali, że pana inszego
Nie mieli znać na wieki, procz króla polskiego."

Największą jednak radość czuje się we wierszach „Proporca". Słusznie też miał poeta polski prawo do dumy i radości ze zwycięstwa swej ojczyzny. Niezwykła to bowiem była wojna i niezwyklejszy jeszcze jej początek i przebieg. Inicjatywa i tym razem — ale jakże w różny niż poprzednio sposób — wyszła od strony przeciwnej. Rozkład państwa krzyżackiego zła-

[14]) Anachronizm! Wiersze odnoszą się do wojny zakończonej pokojem melneńskim.

[15]) Por. tu ciekawą i przekonywującą, pomimo przeoczenia tego momentu, rozprawkę Wacł. Borowego „Kochanowski jako marinista" (w tomie „Kamienne Rękawiczki", Warszawa 1932). Możnaby ją zresztą z łatwością rozszerzyć dorzuceniem całego szeregu ważnych argumentów postronnych: czasy Zygmunta Augusta to czasy także polskiej floty (nie gdańskiej tylko!) wojennej na Bałtyku, tzw. kaprów, organizację których tak usilnie zalecał Zygmuntowi m. in. Albrecht I (od r. 1546!), mający wybitne zrozumienie dla tych spraw we własnym dobrze zrozumianym, a *wspólnym wówczas* z Polską interesie! Kto wie, czy królewieckie wojaże młodego Kochanowskiego nie otworzyły mu oczu pod tym względem.

manego pod Grunwaldem i od tego czasu odnoszącego przeważnie niepowodzenia w ustawicznych próbach wojen z monarchią jagiellońską, postępował coraz szybciej. Zorganizowany na wzór polskich konfederacji dla ochrony przed uciskiem krzyżackim Związek Pruski (1440), w którym główną rolę odgrywały niemieckie miasta z terenu Prus właściwych i dolnego biegu Wisły, przepędził z miast załogi zakonne i zwrócił się — z wiosną 1454 r. — do króla Kazimierza Jagiellończyka z prośbą o opiekę i przyjęcie w poddaństwo. Stało się to — wobec zgody Polski — hasłem wybuchu najpierw powstania przeciw Krzyżakom, a następnie przewlekłej i ze zmiennym szczęściem nieudolnie zresztą prowadzonej, w ostatecznym jednak wyniku szczęśliwej dla Kazimierza Jagiellończyka, wojny trzynastoletniej. Zakończył ją — przy współudziale Rudolfa z Rüdesheim, legata papieża Pawła II — pokój toruński tzw. drugi (19 paźdz. 1466), z wiadomym wynikiem. Wszystko to znalazło swój wyraz w dumnych i — tym razem — pełnych satysfakcji wierszach „Proporca", gdzie poeta z radością wskazuje na mieszkańców Prus chroniących się pod skrzydła polskiej wolności i swobód obywatelskich, maluje przebieg wojny z porażkami polskimi włącznie i przejście na stronę polską najemnego żołnierstwa czeskiego za wypłatę zaległego żołdu (w. 149 nn.):

„Patrzajże tu Prusaków, jako zamki psują,
A wygnawszy Krzyżaki, koronie hołdują;
Niemcy do kupy, naszy bitwę śmiele dali,
Ale sprawy — porządku nie było; nie dziw, że przegrali
Zamki zatem służebni królowi podają
A dawno zatrzymany swój żołd odbierają.
Krzyżacy przedsię znowu swego szczęścia kuszą,
Lecz za Pańską pomocą ustępować muszą.
Tu pokój zasię poseł papieski stanowi,
A Krzyżak czołem bije polskiemu królowi.
Biskup niedobrej myśli, bo infułę kładzie,
Potem go z mistrzem widzę i z Prusaki w radzie
Matiasz do Prus godzi, lecz mu drogi bronią,
A Krzyżacy powinnej przysięgi się chronią."

Ostatnie cztery wiersze przytoczonego ustępu dotyczą zatargu warmińskiego, wywołanego przez niemieckiego, prokrzyżackiego biskupa warmińskiego Mikołaja Thungena. Zatarg ten wysoce niebezpieczny, bo grożący odnowieniem się całej sprawy pruskiej a związany porozumieniem z wrogim Jagiellonom Maciejem Korwinem i wzbraniającym się od „powinnej przysięgi" lennej wielkim mistrzem krzyżackim M. Truchsesem, zakończył się pomyślnie upokorzeniem się i hołdem

strony przeciwnej (1479) i właściwie zamknął (na „Proporcu" tylko!) dawniejszy okres dziejów polsko-krzyżackich. Po nim — poeta pomija około 40 lat mniej czy więcej jawnych nielojalności wobec Korony — przechodzi Kochanowski do czasów prawie już sobie współczesnych tzn. do epoki rządów ostatniego eksmistrza krzyżackiego, później pierwszego księcia lennego, Albrechta I Hohenzollerna, urodzonego z Zofii Jagiellonki, córki króla Kazimierza.

Stosunek poety do tego księcia zasługuje — ze względu na łączące go z nim stosunki osobiste — na osobne omówienie i zanalizowanie. Dzięki badaniom Stanisława Kota wiemy, że Kochanowskiego z księciem Albrechtem łączył niegdyś stosunek młodego, rokującego wielkie nadzieje poety do protektora i jednego z życzliwych opiekunów, że przebywał on na jego dworze w Królewcu blisko rok (w latach 1555—6), a nawet znamy pożegnalny list poety (datowany z Królewca dnia 6 kwietnia 1556) oraz życzliwą o kilka dni późniejszą odpowiedź księcia. Nie był to bynajmniej pierwszy pobyt Kochanowskiego w Królewcu. Był on już tam bowiem w pierwszych miesiącach r. 1552, jako student tamtejszego uniwersytetu, stamtąd też wyjechał — zapewne nie ominąwszy po drodze stron domowych — na pierwszy swój okrągło trzechletni okres studiów padewskich. Droga do Królewca znana była zresztą i uczęszczana chętnie przez rodzinę Kochanowskich. W tym samym mniej więcej czasie studiowali tam bracia poety Andrzej (późniejszy tłumach „Eneidy") i Jakób, a może (domysł St. Kota) i Mikołaj (tłumacz Plutarcha i autor „Rotuł"), nie licząc znajomych i krewniaków. Zgadza się to też i uzupełnia bardzo dobrze z ówczesnymi czynnymi sympatiami pro-reformacyjnymi rodziny, które — nawiasem mówiąc — znalazły swój wyraz i wspomnienie w głośnej współczesnej (1556 r.) właśnie w Królewcu wydanej elegii Andrzeja Trzycieskiego. Książę Albrecht I wyrastał też w ówczesnych warunkach na potężnego protektora i przywódcę reformacji w Polsce, cieszącego się poparciem i żywymi sympatiami wśród rzesz nowinkarskiej szlachty i magnaterii.

Wspomnienia i lata młodości nawet pomimo włoskich, decydujących dla przyszłego rozwoju poety studiów, i wygaśnięcia jego nowinkarskich sympatii, musiały się odbić na stosunku Kochanowskiego do tego, życzliwego mu niegdyś i otaczającego go opieką księcia. Dowodem są tu wiersze „Proporca", w których o Albrechcie I wspomniano kilkakrotnie i to

bynajmniej nie lakonicznie. Wiersze te są tym charakterystyczniejsze, że poeta bardzo dobrze wiedział o wybitnie wrogo, antypolsko zorientowanej polityce pierwszego okresu rządów Albrechta, jeszcze jako ostatniego wielkiego mistrza krzyżackiego (1511—1525), okresu wojen, wiązania się z wrogami Polski, wzbraniania się od hołdu lennego itd. Okres ten, który Zakon w ówczesnej sytuacji politycznej z początku trzeciego dziesięciolecia XVI wieku postawił wobec widma ostatecznej zagłady, zakończony został hołdem pruskim (1525) i sekularyzacją księstwa i — przyznać to trzeba — przesłoniła go późniejsza, ściśle z Polską związana, wybitna rola księcia, królewskiego kuzyna. Oba okresy rządów Albrechta znalazły swe odbicie w „Proporcu". W jakżeż nierówny jednak sposób! O pierwszym — krótka wzmianka, nawet bez imienia księcia, wzmianka, którą tylko dzięki nazwisku Firleja, wodza armii polskiej w r. 1520, odnosimy pod właściwym adresem. O drugim okresie rządów księcia szczere wyrazy uznania i szerokie pochwały. Przyjrzyjmy się najpierw ogólnemu rysowi rządów Albrechta, zakończeniu dziejów polsko-krzyżackich na proporcu (w. 163 nn.):

„. . . znowu niepokój: Firlej zamki wali,
Wsi i miasta gorają, Niemcy już ustali.
Na końcu Olbrycht klęczy w książęcym ubierze,
A od króla chorągiew rozpuszczoną bierze.
Na niej skrzydła roztoczył czarny orzeł śmiały,
Niosąc w sercu zwyciężce wielkiego znak mały."

I ogólne, sympatyczne tło tego ostatniego obrazu z proporca:

„Srzodkiem tego wszytkiego śrebrna rzeka płynie,
Którą, leżąc pod skałą przy powiewnej trzcinie,
Rozciągła Wisła leje krużem marmurowym,
Głowę mając odzianą wieńcem rokitowym,
A do morza przychodząc, drze się na trzy części.
Tam okręty, a przy nich delfinowie gęści
Po wierzchu wody grają, połyskując złotem;
Brzegi burstynem świecą . . ."

A teraz osobista, zgodna zresztą ze zdaniem szerokich rzesz społeczeństwa, opinia poety o tymże księciu Albrechcie I, ojcu składającego hołd lenny Albrechta (Olbrychta) II. Zanaczyć trzeba, że pochwała ta zwrócona jest do syna („Przystąp Olbrychcie młody, zacnych książąt plemię" w. 25) nie bez pewnego — być może — celu „dydaktycznego" i że stawia mu przed oczy przykład ojca jako wzór do naśladowania:

„Co tak ziścisz, jeśli spraw ojca cnotliwego
Trzymać się będziesz, z których on u pana swego
Był zawżdy w takiej wadze, że nie hołdownikiem
Ale zdał się być jednym państwa uczesnikiem.
Jego tedy postępki mądre uczyniły,
Jego wiara i cnota, że, co srodze były
Pruskie kraje strapione ustawicznym bojem,
Wrychle jęły się cieszyć pożądnym pokojem.
Miecze na niezrobione lemiesze skowano
Szable na krzywe kosy i na sierpy dano;
Morza i drogi bystrych rzek uspokojone,
Miasta z rumów upadłych znowu wyniesione;
Nieprzyjaciele w łaskę przyjęci: a owi,
Co ku zwadzie skłonniejszy, niż ku pokojowi,
Z myśli swej hardej byli do gruntu zniszczeni
I w bojowych powodziach z głową ponurzeni."

Tak, umiał być wdzięcznym i dobrą miał pamięć Kochanowski, jeśli chodziło o tych, od których doznał życzliwości i poparcia. Nie zmienia to jednakowoż faktu, że — jako Polak — nie był on znów tak bardzo pewny jego następców. Wystarczy bowiem uważnie przeczytać „Proporzec", aby dostrzec, że nie jest to bynajmniej utwór tak prosty i nieskomplikowany jakby się na pozór mogło wydawać. Poeta nasz bowiem nie na darmo — obok wyrazów życzliwości dla młodego Olbrychta — przypominał mu, że „piękną pruską ziemię" trzyma w swej władzy „z łaski cnych królów polskich" (żaden z wielkich mistrzów aż do roku 1525 nie mógł się z tym pogodzić!), nie na darmo mówił o jego „winnej powinności" (w. 28), o poddaństwie (w. 62) wobec polskiego suwerena i stawiał mu przed oczy — jakże wymowny — przykład ojca, który doświadczywszy zrazu siły polskiego miecza, wolał się ugiąć i stać się lojalnym lennikiem i sojusznikiem. Dlatego, pomimo że historyk wie dobrze, iż pełna lojalność księcia po traktacie krakowskim opierała się przede wszystkim na dobrze pojętym interesie własnym (największym wrogiem świeckiego księcia pruskiego stał się właśnie cesarz i dotychczasowi sojusznicy niemieccy) i że jedyną gwarancją i obroną księstwa była siła Polski i jej dynastów, nie sposób tego momentu przyjaźni hohenzollernowskiej (żywiącej zresztą osobiste, dynastyczne rachuby na . . . Polskę!) nie podkreślić i nie uwydatnić. Trudno też jednak, aby przedstawione powyżej obrazy z „Proporca" nie miały swej symbolicznej wymowy, jeśli pamiętać o podniosłym nastroju uroczystości, który pełen taktu i umiaru poeta musiał przecież respektować i chciał poetycko uświetnić.

Nie bez wymowy też pod tym względem jest mocny akcent, którym zamyka Kochanowski cały utwór. Oto po opisie pro-

porca i zamknięciu uroczystości wspomnieniem radosnych obchodów i biesiad, uderza poeta w inną zupełnie nie poruszoną jeszcze w utworze strunę. Brzmi w niej serdeczna troska zaniepokojonego nieznaną i chmurną przyszłością patrioty, człowieka, który nie wierzy świetnym obchodom chwili, a mając intuicyjnie wyczulony zmysł historyczny, pragnie całym sercem takiego przynajmniej zabezpieczenia się na przyszłość, jakie leżało w granicach sił i możliwości współczesnych. Możliwości te wskazywała sama historia i one też były głównym przedmiotem obrad sejmu i troską czującego zbliżanie się kresu życia— króla. Nazwa ich brzmiała: ścisła i *nierozerwalna unia* Polski z Litwą. Kochanowski jest jej szczerym i zapalonym zwolennikiem. Jego subtelna, a pełna, jakże słusznych i usprawiedliwionych obaw i trosk dusza poety stoi w uderzającym pokrewieństwie z tym dziwnie głębokim wyrazem niespokojnego zamyślenia jakie znamy z twarzy Matejkowego Stańczyka siedzącego na stopniach tronu „Hołdu Pruskiego". A przykład, którym poeta ilustruje jej konieczność? Przecież to przykład wzięty z dziejów wojen polsko-niemieckich, tych samych, którym poświęcił tyle uwagi i tyle — jak na liryka— czasu! Ton utworu jest więc, jak pisałem na innym miejscu, zwrócony jakby w dwóch kierunkach, zarówno więc w stronę niemieckiego lennika Hohenzollerna, jak też i w stronę rodaków. Jednym przypomina dobrodziejstwa a zarazem *potęgę* państwa polskiego, drugim zaś pokazuje godną uwagi *metrykę* obecnego lennika i — kto wie — może subtelnie sugeruje konieczność bystrej uwagi i baczności? Oto kilka wybranych, najcharakterystyczniejszych wierszy z zakończenia „Proporca".

„A niechaj już unijej w skrzyniach nie chowamy,
Ale ją w pewny zamek do serca podamy,
Gdzie jej ani mól ruszy, ani pleśń dosięże,
Ani wiek wszystkokrotny starością dołęże;
Ale synom od ojców przez ręce podana
Nieogarnione lata przetrwa niestargana.

. . . .

Bo gdzie ludzie pewniejszy zdrowia i swobody?
Jeno tam, gdzie się mocne zbuntują narody.
Miał Niemiec i z Polaka i z Litwina siły,
Póki te dwa narody spólnie się trapiły;
Ale skoro się zjęły, Niemcom śmiech oddali,
Którzy, cudzego pragnąc, swego postradali.
Tymże fortelem i dziś postąpić musiemy."

I ostatnie, serdeczne i szczere wołanie o unię zwrócone do monarchy, dla którego poeta miał tyle sympatii i uczucia (w. 290 nn.):

„Królu zacny, ludzkiego szukaj pomnożenia,
A ludzi jednej wiary i pana jednego
Przywiedź do związku węzła nieroztargnionego
Tym nieprzyjacielowi serce masz zepsować,
A Rzeczypospolitej pokój ugruntować
I bezpieczeństwo całe; swemu imieniowi
Zjednasz cześć niepodległą żadnemu końcowi."

Ten mocny akord wzywający do szczerej unii i jedności, powtarzający się tylokrotnie w polskich i łacińskich pismach poety, stanowi najlepsze zamknięcie, końcowe wiązanie utworu, a zarazem jest jakby ostatnią przestrogą, radą poety, który nie daje się powodować złudzeniom i widzi zbierające się zewsząd na horyzoncie groźne, czarne chmury.

Przyjrzawszy się stosunkowi poety do zagadnienia niemieckiego, krzyżackiego sąsiedztwa i stwierdziwszy jego głęboką nieufność i uprzedzenie do wszelkich zapewnień wychodzących z tamtej strony, należy wspomnieć jeszcze o ustosunkowaniu się Kochanowskiego do Habsburgów, tylokrotnych pretendentów do korony polskiej.

Gdy wielka monarchia Jagiellonów znalazła się na bezdrożu po śmierci ostatniego dynasty z rodu Władysławowego, poeta — rzecz dziwna — tak żywo zainteresowany zawsze losami państwa, nie pozostawił w swych utworach śladów bezpośrednich, do jakiegoby stronnictwa w czasie pierwszej elekcji należał lub sympatiami się skłaniał. Dlatego domysły Plenkiewicza o „sympatiach" prohabsburskich są stanowczo nie przekonywujące. W każdym razie rychło rozległ się głos poety uświetniający nowego króla — Francuza. Że ten spośród kilku ubiegających się o tron kandydatów (arcyks. Ernesta, carewicza Fiodora, Henryka Anjou, króla szwedzkiego Jana i siedmiogrodzkiego księcia Stefana Batorego) był Kochanowskiemu w każdym razie szczególnie sympatyczny, to nie ulega wątpliwości. Romańska Francja — tradycyjny wróg Habsburgów — miłą musiała być poecie wykształconemu na kulturze włoskiej i niechętnemu zarówno carskiej Moskwie jak i Niemcom. Jego więc akces do króla czy jeszcze „pana Gawęckiego" (tj. księcia andegaweńskiego) tłumaczył się zapewne nie tylko zadowoleniem z dokonanej elekcji, ale był też zwykłą konsekwencją sympatii i antypatii osobistych.

Świadczą o tym odnośne utwory Kochanowskiego pisane może ze względu na króla cudzoziemca, a może dla nadania im większej powagi, po łacinie. Już od pierwszej ody na ten temat („Ad Henricum Valesium Regem in Galliis morantem") z drugiej połowy r. 1573, wzywającej nowoobranego króla do oczekującego nań niecierpliwie kraju, poprzez radosny choć drobny rozmiarami wiersz-epigramat na przybycie monarchy do Krakowa („Ad Henr. Valesium Regem Cracoviam venientem"), widać radość poety z powodu wyboru monarchy i pełną satysfakcję z powodu takiego jego wyniku. Ucieczka Walezego była zapewne ciężkim ciosem dla Kochanowskiego. Poeta mimo to jest cierpliwy i stały w swych sympatiach. Oda łacińska na Zjazd Stężycki („In Conventu Stesicensi") z maja 1575 r. zawiera obok delikatnej nagany postępku elekta („Prognata duris natio Sarmatis, // Levis Valesii dicam abitu an fuga // Decepta . . ." (w. 5—7) także i prośbę do Boga, aby król, przywróciwszy pokój we Francji, znów powrócił do kraju („Ita, o deorum magne, velis, pater // Ut constituta pace potentium // Per rura Francorum Polonas // Rex properet remeare in oras"). Z tym zjazdem wiąże się też oda „Ad Concordiam" nawołująca do zgody wobec waśni panujących w Stężycy.

Prawdziwie na rozdrożu znalazł się Kochanowski dopiero w chwili, kiedy okazało się, że Walezjusz zupełnie w grę nie wchodzi i kiedy Polska stanęła w obliczu drugiej elekcji. Trudno mu było — zawiedzionemu tak boleśnie — mieć zaufanie do popieranej przez Francję (Katarzyna Medycejska) sympatycznej skądinąd kandydatury włoskiej Alfonsa d'Este księcia Ferrary, świetnego rządcy kraju i mecenasa sztuk i nauk. Poeta najwidoczniej stracił pion którego się trzymał, a może też nie znając i nie mając odwagi stawiać na rycerskiego księcia Siedmiogrodu (w ówczesnej sytuacji politycznej groziło to wprost koalicją habsbursko-moskiewską przeciw Polsce!) machnął ręką i z determinacją rzucił się w drugą ostateczność. Tak bowiem z największym stosunkowo prawdopodobieństwem można sobie próbować wytłumaczyć zanotowany przez Świętosława Orzelskiego głos poety na elekcyjnym zjeździe warszawskim w listopadzie 1575 r., gdzie Kochanowski występując przeciw popularnej w szerszych kołach szlacheckich kandydaturze Piasta proponuje — do wolnego wyboru! — kandydaturę moskiewską lub . . . habsburską, z jakże charakterystyczną wskazówką: że można ich będzie sobie wychować „iuvenis equi exemplo, quem peritus sessor scite ei curat, sic ut is quo-

que senatui facile obtemperare assuescat". Krok ten jest u Kochanowskiego nieoczekiwany (Plenkiewicz widzi tu wpływ Myszkowskiego) i sprzeczny z wrogim Niemcom instynktem zarówno jego własnym jak większości społeczeństwa szlacheckiego (na zjazdach padały okrzyki: „aż do gardł naszych nie chcemy Niemca"), a nawet z wcześniejszymi o kilka miesięcy słowami poety („In Conventu Stesicensi" w. 41—48). Tłumaczy się on zapewne stratą orientacji politycznej albo też chęcią zajęcia stanowiska pośredniego i może przyczynienia się do jakiegoś trwałego porozumienia (unii?) z jednym z tych dwóch sąsiadów Polski.

Wobec malejących szans kandydatury moskiewskiej, nie pozostawało poecie nic innego jak opowiedzieć się za Habsburgiem. Nie znalazł w sobie jednak Kochanowski zapału ani przekonania dla cesarskiego elekta.[16] Z całą też szczerością przyznawał się do tego w odzie Na Zjazd Warszawski „In Conventu Varsaviensi" („Caesarne imperitet Sarmatiae potens, // An fortem maneant sceptra Batoreum // Non sum sollicitus nimis"), a zniechęcony do polityki i przygnębiony straszliwym napadem Tatarów na Podole (por. pieśń o spustoszeniu Podola w r. 1575, „Pieśni" II, 5) wzdychał — on, ziemianin i artysta, więc zwolennik pokoju! — do rycerskiego, mocnego władcy, którego z prawdziwą radością znalazł w Batorym. Ten ostatni z miejsca go bowiem przekonał swym męskim zdecydowanym działaniem i energią. Epigramatem łacińskim na kunktatorstwo Maksymiliana („In Caesarem", 1576), niefortunnego naśladowcę Fabiusza Maksyma, ostatecznie rozstał się poeta z Habsburgiem, a dbały i troskliwy o dobro kraju musiał się niebawem — wobec przewlekłej frondy gdańskiej i dalszych intryg habsburskich, podsycanych przez kilku książąt niemieckich — zwrócić przeciwko nim, w obronie ojczyzny i uznanego przez naród króla. Poeta znów uderza w tylokrotnie trącaną przez siebie strunę i woła o zgodę („Orpheus Sarmaticus", 1577): wojna stoi u progu, tylu mamy wrogów na granicach! Oto łączą się z nimi obłudni przymierzeńcy Austriacy („Qui foedera vafri // Ore colunt vobiscum, agitant sub pectore bellum") zawistni skutkiem nieudałej dla nich elekcji („invidia geminaque animos stimulante repulsa"). A cóż dopiero jeśli

[16]) Por. też Michał Bobrzyński, Stanowisko polityczne Jana Kochanowskiego. 1884. Przedruk w „Szkice i studja historyczne", tom II, na str. 156 in., Kraków 1922.

pomyśleć o Turkach! Do broni więc, na wroga! — woła poeta (W. P. III. 372):

> 28 „Evigila atque oculis torpentem discute somnum.
> Evigila, cape tela manu, vade obvius hosti."

W kilka lat później, kiedy sprawa została przypieczętowana na arenie politycznej rezygnacją Habsburgów (Rudolfa) po rychłej śmierci ces. Maksymiliana i kiedy poeta w obszernej pieśni zwycięskiej „Ad Stephanum Bathorrheum ... Epinicion", 1582) opiewał króla zwycięskiego w wojnie z carem, nadarzyła mu się sposobność obiektywnego przedstawienia tej elekcji, w związku z dziejami panowania Stefana. Pieśń ta czy pean, gdzie przecież kilkaset wierszy poświęcono tej sprawie i gdzie poeta z największym umiarem odzywa się zarówno o Maksymilianie („Austriadum decus" w. 174—5) jak i o jego stronnictwie, wyjaśnia wszelkie niedomówienia i domysły. Kochanowski opisuje niejasną, skrytą grę polityczną cesarza wobec Batorego („callide sensisti agi tecum neque pectore aperto"), który sam do Polski nie przybywał, a jego chciał odstraszyć czczym cieniem swego imienia („teque ab eodem itere absterrere inani nominus vellet sui umbra". Poeta potrafił ustrzec się stronniczości w przedstawieniu sprawy, umiał pohamować swą niechęć do Niemców, a uwypuklił kilka tylko momentów, ale jakże dlań istotnych! Fakt, że Batory zapobiegł wojnie domowej, przywrócił *jedność* i pokój wśród społeczeństwa, poskromił ostatnie buntownicze miasto (Gdańsk) i wyprowadziwszy Rzplitą z niebezpieczeństwa przebaczył swym niedawnym przeciwnikom — to wszystko stanowi ostateczne zamknięcie i podsumowanie elekcyjnych wystąpień i doświadczeń poety.

Dobiegamy do końca roztrząsań na temat ustosunkowania się Kochanowskiego do Niemców i niemczyzny. Obraz naszkicowany dotychczas niebyłby jednak zupełny bez kilku drobnych dopowiedzeń uzupełniających go wnioskami treści ogólniejszej i paru notatkami, na które dotychczas miejsca nie było.

Przede wszystkim więc stwierdzić trzeba — raz jeszcze — niezmienną żywotność i ciągłą nowość, aktualność Kochanowskiego, poety na wskroś nowoczesnego, mającego silne zrozumienie dla spraw morza i Pomorza, nie spuszczającego z oka sąsiada *niemieckiego*, obojętne czy byli nim Krzyżacy, czy cesarstwo, czy macki luterskie rozbijające jedność wyznaniową i polityczną. Przy całej jednak swojej głębokiej nie-

chęci i — jakże usprawiedliwionej — nieufności do Niemców nie był Kochanowski — podkreślić to trzeba z uznaniem — ślepym germanofobem (on, humanista i Polak nie był zdolny do nienawiści), a choć kilka wieków sąsiedztwa wyrobiło i w nim głęboką odrazę do metod i płaszcza krzyżackiego czy do pozbawionej skrupułów polityki niemieckiej, umiał przyznać im to, co się należało, nie schodząc z szczerze polskiego stanowiska. Do tego rodzaju wypowiedzi zaliczyć trzeba wczesną elegię łacińską, zawierającą m. in. wyrazy literackiego uznania dla ces. Karola V składającego koronę w r. 1556, jak również jedną czy drugą okolicznościową notatkę (np. el. III, 9 w. 21—2) na marginesie innych wywodów. Przyznawał też poeta Niemcom siłę i potęgę państwa, co przejawiło się nawet w utworze . . . „Gallo Crocitanti", pełnej ognia i oburzenia replice niewdzięcznemu Francuzowi na jego paszkwil o Polsce W zakończeniu wiersza bowiem odsyła go rozżalony Kochanowski nad Ren, niech się tam idzie popisywać swą walecznością, wówczas zaś świat zobaczy jak wy Galle-Francuzi, będziecie uciekać przed Germanami!

„Możesz o nas, gdy zapragniesz, składać jakie chcesz wierszydła,
Możesz wołać, że ci Polska strasznie zmierzła i obrzydła.
A gdy władzy pragnąć będziesz, jedź nad Ren: niech jego fale
Ujrzą co widziała Wisła, jak zmykacie — „mężne Galle"."

(przekład J. Ejsmonda)

Dużo jeszcze wyjaśnić i wiele powiedzieć mogą żywe i świeże do dzisiaj wiersze Kochanowskiego.

Niemcami, zagadnieniem sąsiedztwa niemieckiego i dziejów polsko-krzyżackich interesował się poeta właściwie w ciągu całej swej twórczości. Najpierw reformacja i Królewiec, później żywy interes dla spraw ojczystych, jaki obudził się w poecie marzącym o roli wieszcza narodu i piewcy jego czynów, dalej prawdopodobna choć niesprawdzalna podróż po Niemczech[17]) i osobiste wspomnienia, wreszcie rozbudzona niezwykle żywo świadomość słowiańska samego Kochanowskiego i — być może — ogólne, charakterystyczne dla polskiego Odrodzenia nastroje szlachty, w olbrzymiej większości Niemcom w r o g i e j, walczącej — po rozwiązaniu sprawy krzyżackiej — z niemczyzną miast (Gdańsk!), z niemieckimi pretendentami do tronu (Byczyna!), wyśmiewającej się z Niemców w piśmien-

[17]) Stan. Kot, Jana Kochanowskiego podróże i studja zarganiczne. W tomie zbior. „Studja Staropolskie. Księga ku czci Aleksandra Brücknera." Kraków 1928, str. 399 i 403.

nictwie (nawet luteranie: Rej!) itd. Że nastroje te podzielała większość wyższego duchowieństwa (prymas Łaski i in.) i znaczna część magnaterii świeckiej z wyjątkiem płatnych przez Habsburgów dygnitarzy (np. Szydłowiecki), całkowicie zaś dynaści (Zygmunt Stary i Bona, Zygmunt August, Stefan Batory) szachujący chętnie Habsburgów w Czechach i na Węgrzech, o tym wiadomo aż nadto dobrze. Fakt jednak, że Kochanowski, dogłębnie wykształcony humanista, zdawałoby się „upoważniony" do obojętności pod tym względem przez 15 lat zagranicznych podróży, zdecydowanie należy i afiszuje się ze swą przynależnością do tego właśnie obozu, ma swą wymowę szczególną i zastanawiającą. Dziwne doprawdy, że dotychczas nie zwrócono na to uwagi. Nic dziwnego natomiast, że badający pokrewne zagadnienia hitlerowiec — osławiony Kurt Lück! — świadomie to przemilczał i świadomie (jeśli sądzić po doborze cytatów z poety) ukrywał. Tak czy owak omówiony, a nie zaznaczony dotychczas, rys psychiki Kochanowskiego uzupełnia i charakterystycznie zabarwia naszą wiedzę o psychologii piśmiennictwa polskiego Renesansu.

Kraków, sierpień-wrzesień 1946.

KUBIZM I KIERUNKI ZBLIŻONE

Nazwa „kubizm" pochodzi od wyrazu „kubus", jakim określa się bryłę geometryczną. Nowy kierunek wybrał tę nazwę w związku ze swą skłonnością do geometryzacji i schematyzowania form przestrzennych. Kubizm powołany do życia we Francji około r. 1907, odegrał pewną rolę historyczną, naprzód dlatego, że dość szybko opanował inne kraje Europy, ściślej, pewne grupy artystyczne tych krajów, następnie, że wywarł długotrwały wpływ na sztukę choć w swej czystej postaci przeminął szybko.

Kierunek ten wywołał zarówno ze strony odbiorców sztuki, jak i ze strony artystów, przyzwyczajonych do realistycznej lub impresjonistycznej, wizji, gwałtowną opozycję, szermującą pod jego adresem nawet zarzutem absurdalności. Nie wolno jednak przesądzać sprawy i zaczynać od krytyki rzeczy niezbadanych; nie należy też zaczynać od gotowych formułek i filozoficznych spekulacyj, lecz od opisu faktów. Opis ten nie może ogarnąć od razu całości kubizmu, gdyż jego wytwory różnią się dość znacznie od siebie. Kubizm Picassa jest np. inny od kubizmu Légera, a malarstwo obydwóch różni się znowu od utworów Braque'a.

Wśród wczesnych malowideł Picassa (1907/8) spotyka się akty i głowy, których bryłę określają płaszczyzny, nachylone do siebie pod różnymi kątami z tym, że płaszczyzny te uległy jakgdyby zwichrowaniu, a bryła gwałtownej deformacji. Kiedy indziej obraz składa się z płasko leżących, jakby papierowych wycinków, to znowu z wycinków, zwiniętych stożkowato (jak papierowe torebki) i przemieszanych z częściami rozkawałkowanych przedmiotów, np. skrzypiec, oraz z abstrakcyjnych linij zygzakowatych. W innym przypadku treścią malowidła staje się spiętrzona konstrukcja z graniasto — i ostrosłupów, pokrajanych kreskami (tytuł obrazu: Poeta) lub z mnóstwa przysłaniających się wzajemnie prostokątów, zwróconych w najrozmaitszych kierunkach. Pośród tych abstrakcyjnych elementów dzieła spotyka się niekiedy realne, choć uproszczone przedmioty, jak gitarę, stosowany kapelusz, cokół za-

kończony gzymsem, poręcz balkonową, kontur stolika i znowu szereg łusek lub rombów.

Czasami owe związki form czysto abstrakcyjnych z realnymi zastępują czytelne symbole przedmiotów, uwolnionych od normalnych prawideł perspektywicznych: stół z płytą kolistą (bo widzianą z góry), na nim od przodu oglądane flaszki, gitara i kwiaty, zredukowane do czystej sylwety. Malowidła Legera składają się z form walcowatych, podobnych do rur i metalowych słupów, a jeśli uzupełnieniem obrazu staje się człowiek, to również złożony z form podobnych, człowiek podobny do maszyny, lub mechanicznego robota. Elementy te posiadają schematyczny lecz wyraźny modelunek, na skutek czego uwypuklają się bryłowato na tle płaskim. Ich wygląd przypomina maszynową konstrukcję, co podkreśla łączność kubizmu z wiekiem techniki. Najmniej skrajna wydaje się twórczość Braque'a, którego martwe natury składają się najczęściej z owoców, koszów, kwiatów i naczyń, schematyzowanych w kierunku rytmicznej płynności, przelewających się ciężko mas barwy, określanych łagodnym i płynnym konturem, jaki stanowi przeciwieństwo twardych kubów Picassa.

Od kubizmu nie prowadzi więc droga do sztuki bezprzedmiotowej. Obrazy kubistyczne pozostają w kręgu p r z e d s t a w i e ń p r z e d m i o t o w y c h, podobnie jak obrazy impresjonistyczne. Impresjoniści pojmują jednak przedmiot jako sensację świetlną, kubiści zaś jako osobliwą strukturę przestrzenną, dość obojętną na światło i barwę. Kubizm w pewnym sensie jest bardziej przedmiotowy od impresjonizmu, bo impresjonizm zmusza do rekonstrukcji przedmiotu z pośród wiru plam i „przecinków" barwnych, kubizm zaś określa przedmiot przy pomocy form twardych i konkretnych. Inna sprawa, że odbudowany z rojowiska plam impresjonistycznych przedmiot, zbliża się do wybranego, indywidualnego motywu, podczas gdy kubizm poprzestaje na pomyślanym wyglądzie przedmiotu, który nie koresponduje z jakimś jedynym przedmiotem. Przedmiotowość kubizmu potęgowała jeszcze okoliczność, że czołowi kubiści odczuwali potrzebę urealnienia formy, tak, że w ich ujęciu zyskiwała ona coraz to pełniejszą przedmiotowość, prowadząc w końcu do „puryzmu" (Ozenfant), który posługiwał się wyłącznie przedmiotem, co prawda uproszczonym do ostatecznych granic możliwości, ale jednak przedmiotem określonym przejrzyście i zupełnie czytelnym.

Kubizmu nie należy zatem uważać za sztukę czysto abstrakcyjną, choć taką na pierwszy rzut oka się wydaje, ile, że abstrakcja istotnie gra w nim rolę poważną. Wiemy już bowiem, że nie zrywa on całkowicie z przedmiotem. Wprawdzie go odrealnia i swobodnie przekształca dla celów konstrukcyjnych, lecz nie do tego stopnia, żeby zawsze niweczyć jego całą obiektywną prawdę. Jeśli jednak kubizm nie zawsze rozsadza przedmioty, to jednak zazwyczaj odmienia je w zupełności i schematyzuje.

Kubizm nie chce wyrażać się w wartościach „danych", marzy o kształtach, oddzielonych od przekazanego przedmiotu. Uznaje go o tyle, że staje się on podstawą s u b i e k t y w n e g o d z i a ł a n i a artysty, który stwarza fizyczną materię obrazu, odciętą od danego i mitycznie istniejącego przedmiotu. Jego forma to już nie wyrównanie czy selekcja przeciwnych sobie części wybranego motywu, lecz wyraz nowej, wyimaginowanej rzeczywistości. Subiektywizm, za sprawą którego kubista wyzwala się z pod fatalizmu rzeczy danych, nie jest wedle j e g o przekonania równoznaczny z anarchicznym indywidualizmem, z czego oczywiście nie wynika, że tak jest istotnie. Albowiem kubizm dąży do prawidłości, do tektonicznej konstrukcji, do planowej gospodarki ustalonymi przez siebie elementami całości z tym jednak, że planowość ta rzadko jest wartością sprawdzalną. -

W przeciwieństwie do impresjonizmu, który mimo płaskiego, przeciwnego rzeczywistości rozłożenia plam barwnych, liczył się silnie z wybranym motywem, kubizm usamowolnia formy obrazowe, z którymi m o t y w t y l k o n i e z n a c z n i e w s p ó ł d ź w i ę c z y.

Znaczną rolę odgrywa w kubiźmie f u n k c j a r u c h u, pojmowana inaczej niż w f u t u r y ź m i e włoskim, który związany z literaturą i techniką, pragnie utrwalić zjawiska ruchowe w ich czasowym następstwie przy pomocy metody jak gdyby kinematograficznej. Kubizm przedstawia zamiast poruszonych rzeczy, symultaniczną grupę równoczesnych widoków tego samego przedmiotu, oglądanego z różnych punktów widzenia; co wymaga poruszenia samego siebie.

Za podstawę spekulacyj formalnych obiera p ł a s z c z y z n ę, choć dąży do przedstawienia bryły (wolumenu). Ale bryłę tę rozkłada i z jej części tworzy tektoniczną kadencję form płaskich. W konstrukcji zachowuje cézanne'owskie „points centrals", wokół których skupia formy pokrewne: kąty, kule,

elipsy, na jakie zamieniono rozkawałkowany przedmiot. W łamaniu, w „otwieraniu" przedmiotu uwzględnia się „skróty", jakie stosowali już impresjoniści do wartości barwnych (np. z jakiegoś złożonego pigmentu wyciągali tylko jeden jego składnik; stąd niebieskie drzewo Pissarro'a i Pankiewicza), lecz zamiast różnic barwnych, akcentuje się znaki przestrzenne, różne widoki tej samej rzeczy, poznane jak gdyby w czasowym następstwie. Przez to dążenie do obrazu przestrzennego ratował się kubizm od stylizacji.

Nie chodziło jednak o iluzję głębi i stereometryczną wypukłość, a więc o naśladowanie trzeciego wymiaru, lecz o wyrażenie go w sposób obrazowy, tj. o wytłumaczenie go przy pomocy płaszczyzny, ile że płaszczyzna jest powierzchnią obrazu. Rezygnuje się ze złudzenia optycznego, bo samoistny fenomen obrazowy, a więc rozdział prawdy realnej od formalnego widzenia stanowi zasadę kubizmu.

Wzajemne podobieństwo form w granicach obrazu, np. u Leger'a wzmacnia wrażenie jego jednolitości, podkreślonej kolorem. Kubizm używa barw lokalnych, lecz często arealnych. Twarz ludzka może np. posiadać barwę zieloną, a skrzypce buraczkową, lecz barwy te nie ulegają już zmianom pod wpływem światła. Co najwyżej, tak jak w sztuce przedimpresjonistycznej, przybierają w cieniach ton ciemniejszy, w światłach zaś jaśniejszy, zachowując wciąż jednak swój pigment.

Kubizm jest wprawdzie sztuką przedmiotową, lecz obchodzi się z przedmiotem w sposób zupełnie bezceremonialny. Przedmiot staje się tylko graficznym symbolem, znakiem, pozbawionym znamion życia. Jako próbę ucieczki od życia odczuwa kubizm np. A. Huxley (Point counter point), który z związku z tym swierdza, iż maluje się wszystko w sposób kubistyczny, „aby nie mieć wątpliwości, że będzie zupełnie pozbawione życia". Bo dla kubisty przeżywanie formy staje się automatyczną krytyką przedmiotu, która może doprowadzić do jego zniszczenia. *Można bowiem każdy zespół rzeczy uogólniać tak długo,* aż się dojdzie do nowej prawidłowości, do prostych i ogólnych kształtów, ale kosztem zaprzepaszczenia istoty rzeczy". Obrazu kubistycznego nie warto więc „weryfikować", konfrontować z naturą, albowiem rozpoznanie w nim znanego z praktyki życiowej przedmiotu, otrzymuje inne niż dawniej znaczenie,

znaczenie wyłącznie obrazowe, usprawiedliwione nie życiem, lecz autonomiczną strukturą obrazu.

Kubizm jest owocem świadomej rewolucji w pojmowaniu sztuki obrazowej, dokonanej około r. 1910. Przenika go intelektualny doktrynalizm, będący zaprzeczeniem spontanicznego tworzenia. Jest on zarazem produktem logicznego rozwoju, od właściwego impresjonizmowi motywu i sensacji przez połączenie tektoniki i przedmiotu do wolnej koncepcji kształtu i odrzucenia rzeczywiście istniejącego motywu. Droga tej ewolucji prowadzi zatem od impresjonizmu i stylizacji w rodzaju Van Gogha i Gauguina, poprzez zrównanie tektoniki i zamkniętego przedmiotu (Cézanne, Derain), do dyktatury izolowanej formy obrazowej. Swobodny stosunek do przedmiotu cechował już impresjonizm, który uwzględniał tylko niektóre jego właściwości i znosił jego niezależność, uznając światło za czynnik kształtujący ten przedmiot. Łaczność formy malarskiej z przedmiotem rozluźnił silnie także e k s p r e s j o n i z m, który o tyle tylko interesuje się przedmiotem i formą malarską, o ile ułatwiają mu wyrażanie (ekspresję) wewnętrznego przeżycia. Ekspresjonizm przeciwstawił się impresjonizmowi, zastępując wrażenie wyrażaniem, przy pomocy środków do tego stopnia różnorodnych, że w porównaniu z nim impresjonizm wydaje się oparty na nienaruszonych zasadach. Środki wyrazu sztuki ekspresjonistycznej bywają tak rozmaite, że często nie można dostrzec więźby formalnej między poszczególnymi przejawami kierunku.

Ekstatycy berlińscy z pod znaku grupy „Die Brücke" (Nolde) wynaturzają w wulgarny sposób kształty realne w dążeniu do dramatycznego wyrazu, — Kokoszka w Wiedniu, który zachował wiele z techniki impresjonistycznej, deformuje wprawdzie głowę modela, ale bez stosowania geometrii, — zamieszkały w Monachium Rosjanin Kandinskij, twórca tzw. malarstwa „dźwiękowego" używa abstrakcyjnych plam barwnych dla wyrażenia duchowej treści. Ekspresjonizm i kubizm (także futuryzm) wymieniają między sobą swoiste wartości i niekiedy przenikają się tak ściśle, że trudno je od siebie odróżnić. Wychowani na impresjoniźmie „F a u v e s" (Matisse) uogólniają znowu dwuwymiarową sensację barwną, realizując ją również w dwuwymiarowych przedstawieniach. W przeciwieństwie do nich kubiści właśnie masę przekształcają płasko, co apologetów kubizmu skłoniło do stwierdzenia, że „bezpośrednia i chuda sensacja „Fauves" wy-

daje się nieco pusta w stosunku do bogatego motywu, podczas gdy kubizm przez porównanie z nią zyskuje swą całkowitość, a zarazem niezależność".

Dotychczasowe rozważania prowadzą do wniosku, że w intencji kubizmu leży wywołanie innej reakcji u widza, od tej, jaką budziła dawna sztuka łącznie z impresjonizmem; domaga się kubizm innej percepcji. W przeciwieństwie do dotychczasowej sztuki przedstawiającej, obraz kubistyczny nie ustala bowiem jednego wyglądu przedmiotu, nie uobecnia go zatem, lecz wprowadza w grę wiele wyglądów przy użyciu najprostszych, symbolicznych znaków. Znaki te pobudzają lub mają pobudzać funkcję wyobraźni, która prowadzi do rekonstrukcji przedmiotu w najogólniejszych i niejasnych zarysach, co przypomina działanie niektórych tworów literackich. Wyobrażenie odgrywa wprawdzie rolę także przy poznawaniu dzieła przedstawiającego, ale w tym wypadku wysuwa się na czoło postawa spostrzegawcza, która dla kubizmu jest nieistotna. Równocześnie kładzie kubizm nacisk na warstwie formalnej, na zespole kształtów pomyślanych i pozaprzestrzennych, bo obraz nie zawiera przedstawionej przestrzeni, a przestrzeń istnieje tu tylko dzięki dwuwymiarowej powierzchni samego obrazu.

Egzegeci kubizmu przypominają łączność kubizmu z nauką, bo naukowe formuły przeciwstawiają się wielorakiej naturze, zmieniają ją i dostosowują do ludzkich sił kształtujących. Nauka tworzy schematy, w obrębie których człowiek przeżywa i typizuje naturę. Natura w świetle nauki, a tak samo kubizmu, staje się subiektywną konwencją, warunkowaną prawidłami, jakie są wynalazkiem człowieka. Kiedy jednak dążenia kubizmu określa się „jako szukanie mistycznego absolutu", jako „bolesny wysiłek abstrakcyjnego rachunku", jako „ucieczkę od mnemotechnicznej cywilizacji", — odczuwamy to jako objaw egzaltowanej przesady.

Przy ocenie obrazu warto jednak zapomnieć nieraz o balaście teoretycznym i spojrzeć na dzieło jako na samodzielnie istniejący organizm, który powinien tłumaczyć się sam przez się. Dzieło kubistyczne nie wytrzymuje na ogół takiej, normalnej zresztą próby poznania. Sprawia bowiem wrażenie zbiorowiska fragmentów, połączonych ze sobą tylko na skutek woli artysty, do tego stopnia egocentrycznej, że nie może ono znaleźć oddźwięku poza kręgiem jego osobowości.

Zapewne możemy w związku z takim tworem mówić

o konstrukcji, geometrycznej strukturze i tektonice, o równowadze kształtów, zasadzie kątów czy rombów, o spiętrzeniu mas wzdłuż pewnych linij kierunkowych, o harmonii barwnej, o nieoczekiwanych zrostach przedmiotu z abstrakcją, ale w końcu nie jesteśmy w stanie ocenić dzieła w ten sposób, żeby ocena ta oprócz nas obowiązywała innych.

Odwrót kubizmu od życia osiągnął taki stopień, że dostrzegane w nim wartości formalne wydają się czymś, pozbawionym konkretnego fundamentu i zawieszonym w duchowej próżni. O braku aktualności życiowej kubizmu świadczy wreszcie fakt, że kierunek ten przeżył się bardzo szybko i stanowił krótkotrwały epizod nawet w twórczości jego wynalazców, że przypomnimy ewolucję Picassa. Z obfitego dorobku kubizmu afirmujemy w końcu takie twory, które posiadają pewien sens zdobniczy i stanowią harmonijną kombinację kształtów i kolorów. Dekoracyjność pewnych dzieł tego kierunku sprawiła, że duży wpływ wywarł on właśnie na sztuki zdobnicze, na przemysł artystyczny, na grafikę użytkową, plakat, tkactwo, dekorację teatralną, z tym, że wpływ ten trwa do tej pory.

Co więcej obserwujemy po wojnie osobliwe zjawisko odrodzenia kubizmu zarówno na terenie Francji, — jak Polski. We Francji zabarwia kubizm sztukę „grupy oporu" z Fougeronem i Pignonem na czele. Działa wreszcie wciąż jeszcze Picasso, którego sztuka rzuca cień (boć trudno jej refleksowanie nazwać światłem) na dzisiejszą sztukę. Źródłem tego zjawiska jest nerwowe szukanie form, dorównanych zmienionym po wojnie stosunkom społecznym i światopoglądowym. Szukanie to odbywa się jednak wciąż jeszcze w granicach powikłanego, niejasnego i niewykrystalizowanego ideowo świata, pełnego antynomij. Jedną z cyklu tych antynomij wydaje się próba pogodzenia ekscentrycznych i ultraindywidualistycznych cech kubizmu z pragnieniem nowego ładu, uzdrowienia stosunków międzyludzkich i nasycenia humanizmu nowymi treściami.

A przecież kubizm można pojmować jako przejaw wrogiego stosunku współczesności do humanizmu. Tak np. rozumie go przedstawiciel idealistycznej filozofii rosyjskiej Mikołaj Bierdiajew, który w książce „Nowe średniowiecze" snuje na temat współczesnej sztuki następujące refleksje: „... koniec historyczny Renesansu nie odpowiadał wcale jego początkom. Pierwsze stosunki z naturą, które wypełniała radość przeobraziły się wkrótce ... w nieubłaganą z nią walkę za pomocą

mechanizacji życia. Epoka nasza nie naśladuje już form natury, nie szuka w niej źródeł doskonałości, jak to robił Renesans, ale wypowiada wojnę naturze, ponieważ stała się ona obca jej duchowo, przyjmuje ją za martwy mechanizm; epoka nasza pomiędzy naturą i człowieka wprowadziła maszynę". Dodaje, że „futuryzm, który jest objawem poważniejszym, niżby się mogło zdawać z jego pozorów, zniekształca obraz natury i obraz człowieka; ... Obala on dzieło Michała Anioła i Leonarda da Vinci ... Form swoich nie szuka on ani w naturze, ani w człowieku, a w maszynie. Futuryzm upada wobec potęgi procesu, wskutek którego dokonywa się rozczłonkowanie mechanizmu jedności naturalnej i ludzkiej ... Kubizm tak wielkiego malarza jak Picasso, rozczłonkował ciało ludzkie i zburzył jego tożsamość artystyczną". W futuryźmie „idealne granice wszystkich form naturalnych są pogwałcone, wszystko tu przechodzi we wszystko, a człowiek w nieożywione przedmioty. Ogłoszenia dzienników, kawałki szkła, podeszwy butów, wszystko to wlewa się w formy naturalne, niszcząc je całkowicie".

W tym przypadku ma autor na myśli dalsze konsekwencje kubizmu w rodzaju dadaizmu i nadrealizmu. Nie chodzi jednak o nazwy „pochodnych" kubizmu, czy kierunków spowinowaconych z kubizmem. Chodzi o wspólne cechy sekciarskich systemów artystycznych, które pleniły się i plenią w XX wieku z uporem, niepozbawionym swoistej konsekwencji. Cechy te są równoznaczne z odnaturzeniem, czy wynaturzeniem sztuki, z jej odczłowieczeniem i antyhumanizmem. Są to cechy o tyle groźne, że znajdują pokrycie także w pewnych stosunkach życiowych i w pewnych tendencjach polityczno-społecznych, jakich uwieńczeniem były wrogie człowiekowi ustroje totalne.

Stąd wyłania się wniosek, że trzeba się przeciwstawiać zarówno sztuce „nieludzkiej", jak „nieludzkim" ustrojom. Kubizmowi winno się przeciwstawić sztukę opartą na idei człowieczeństwa, którąby była współczującą i odkrywczą w stosunku do człowieka, oraz przeznaczoną dla niego.

4*

ACHAJOWIE

Helladę zamieszkiwały w czasach historycznych trzy plemiona, różniące się znacznie językowo i stale ze sobą rywalizujące: plemię jońskie, aiolskie i doryckie. Obok tych plemion nowsza historiografia gotowa uznać jeszcze czwarte plemię — achajskie, którego indywidualność językową coraz silniej podkreśla dialektologia grecka. O jego znaczeniu politycznym w epoce przedhistorycznej mówią nam pieśni Homera, w których Achajowie występują jako niepodzielni władcy Hellady.

Kim są Achajowie? Pytanie to stawia sobie każdy czytelnik Homera — nie dziw więc, że już starożytni dali na to pytanie odpowiedź. W imieniu uczonych starożytnych oświadcza nam geograf Strabon (Geogr. VIII p 333), że Achajowie to w istocie rzeczy Aiolowie, i sąd ten (nieobcy Grekom od 5-go wieku) przejęła i podpisała nauka nowożytna. Ona to też wierząc w tożsamość ludów starała się wykazać identyczność samej nazwy: językoznawca August Fick bowiem wyjaśnił słowo Aivo-los jako prawidłowy skrót do Ac-aivòs[1]), Otto Hoffmann uważa tożsamość Achaiów i Aiolów za oczywistą i stojąc widocznie pod sugestią Homera, odwraca niejako obraz: albowiem gdy starożytni Achajów nazwali Aiolami, Hoffmann wszystkich poprostu Aiolów nazwał Achajami.

A jednak już samo istnienie tych dwóch nazw powinno było być przestrogą. Czy istnieje możliwość rozdzielenia Achajów od Aiolów i przydzielenia im oddzielnych siedzib? Lingwiści nie uważają tego za możliwe. Wobec tego tym bardziej uwagi godną jest inicjatywa historyka Edwarda Meyera, który już w r. 1894[2]) na to wskazał, że jedynym ludem, który nazwał się Aioleis, byli mieszkańcy azjatyckiej Aiolis i wyspy Lesbos. Tam jest też pierwotna ich siedziba. Dopiero późniejsza epoka przeniosła nazwy Aioles i Aiolis na praepokę Thessalii i po-

[1]) Ilias p. 561, por. Otto Hoffmann, Die griechischen Dialekte in ihrem historischen Zusammenhange, Göttingen 1891, I p. VII.

[2]) P. W. RE. Aioles str. 1030 n. Geschichte des Altertums, Berlin 1937, II 394 nn.

nieważ i Boioci pochodzili z Thessalii, ochrzczono ich także nazwą Aiolów. W ogóle uważali późniejsi uczeni greccy wszystkie plemiona niejońskie i niedoryckie za aiolskie, i w ten sposób też Eleiowie i Arkadowie, jak w ogóle ludność przeddorycka na Peloponezie, uchodzili za Aiolów. Nazwa dialektu stała się nazwą plemion. Jak wynika ze Strabona (VIII p. 333), uważała nauka helleńska Achajów za szczep wielkiego narodu aiolskiego, tak że Aiolowie byliby nadrzędną jednostką etniczną. Pogląd ten daje wyraz faktowi, że nie na całym terenie achaisko-aiolskim stoją nazwy te równorzędnie obok siebie. Ed. Meyer zaś nie oddziela tych Aiolów od Achajów, ale też nie stwierdza ich tożsamości. W każdym razie pogląd wybitnego historyka umożliwia, w przeciwieństwie do kategorycznego zdania językoznawców, swobodną dyskusję nad stosunkiem Aiołów do Achaiów, przytem z góry przyznajemy, że począwszy od epoki periklesowej mnożą się głosy utożsamiające Achajów z Aiolami. Ale nawet jeszcze w epoce hellenistycznej teren Achaiów nie pokrywa się całkowicie z terenem Aiolów, my mamy coprawda w południowej Thessalii Achaję, którą obiegowy pogląd uważa za pierwotną Achaiów siedzibę — ale właśnie ta Achaja thessalska o ścisłym terenowym zasięgu powinna ostrzec przed pochopnym utożsamianiem Achajów z Aiolami, gdyż ona leży niejako w sercu ziemi aiolskiej, a jednak odrębną ma nazwę.

Gdzie więc mieszkają Achajowie, a gdzie Aiolowie? Według Homera Achajowie zajmują całą Helladę (Il. I 254. VII 124. Od. XI 166 481 XIII 249 XXIII 68) a stolicę mają w Mykenach, gdzie króluje Agamemnon, i w Sparcie, gdzie rządzi jego brat Menelaos. Ponieważ historyczne stosunki temu przedstawieniu Homera nie odpowiadają, uważamy to za fikcję poetycką, zwłaszcza też twierdzenie, że wszystkie wyliczone w katalogu okrętów (Il. II 484—877) państwa i państewka podlegały Agamemnonowi jako lenna. Zostawmy więc kwestię tę sporną i zobaczmy, na których ziemiach nam źródła starożytne jeszcze poświadczają Achajów i wykazują ślady ich bytności. Ojczyzną Achajów jest Achaja na Peloponezie. Tam utrzymali się w północnym pasie nadbrzeżnym zatoki koryckiej (Aigialos) oraz na południowym Peloponezie[3]), gdzie mamy koło Korony w Messenii (Paus. IV 34, 6) Αχαιων λιμην*). Dalej prócz już wspomnianej Achai thessalskiej mamy przede wszystkim

[3]) Thraerner, Pergamos 69 n.
*) Litery greckie bez akcentów z powodu braku takowych.

Achajów na wyspie Kypros[4]). Na wyspie Rhodos jest miasto Achaia, w Troadzie tam, gdzie miał być obóz okrętów, Achaion limen, oraz podobny port w Aiolidzie między Myrina i Gryneion; Achaeorum portus (Plin. n. h. IV 82) port nad Morzem Czarnym blisko Olbiopolis. Mamy też zagadkowych Achaiów na zachodnim wybrzeżu kaukaskim, których jedni uważają za lud kaukaski[5]), drudzy za zbarbaryzowanych Hellenów[6]). Mamy wreszcie jeszcze Hypachaiów w Kilikii[7]), zajmujących się piractwem. Tyle daje piśmiennictwo greckie.

Specjalnie ważne są nazwy krajów i ludów w językach hetyckim i egipskim, w których uczeni rozpoznają nazwę Achaiów. Egipskie napisy częściej wymieniają Aquaivaša: już Brugsch idąc za francuskim archeologiem de Rougé[8]) myślał tu o Achajach, coprawda pontyjskich. W hetyckich dokumentach występuje ok. r 1333 kraj Ahhijawa, którego wódz jest sprzymierzeńcem Hetytów. W. r. 1924 assyriolog Emil Forrer[9]) twierdził, że mieszkańcy tego kraju są owymi przez Homera wspomnianymi Achajami, którzy w swym pochodzie na podbój świata zburzyli Ilion. Już ten pomysł był fascynujący, a jeszcze olśnił Forrer świat uczonych tym, że wykazał także historyczność legendarnych herosów greckich, jak Aleksandros, którego odkrył w hetyckim Alekšanduš, Eteokles — het. Tavagalavaš, Atreus—het. Atarišijaš, potem miasto Ilios—het. Vilušaš, Troia—Truiša, Troizen—Taravizan. Zmartwych wstał świat baśni i okazał się nagle w świetle historii. Gorączka ogarnęła historyków starożytnych. I chociaż zaraz wybitni orienta-

[4]) Hesych. Ἀχαιο μαντεις οι την των θεων εχοντες ιερωσυνην εν Κυπρω. Strabo XIV 682. Ptolem. V 14,4 Ἀχαιων ακτη na północnym wybrzeżu Kypru.

[5]) Tomaschek s. Achaioi w Pauly-Wissowa Real-Encykl. I 204.

[6]) P. Kretschmer, Die Hypachäer (Glotta XXI 1933, 241—244) por. Fr. Sommer, Ahhijavafrage und Sprachwissenschaft (Abh. Bayer. Akad. 1934, 60—72: Die pontischen Achaioi).

[7]) Herodot VII 91 por. Sommer, Ahhijavafrage str. 29 n. — P. Kretschmer, Die Hypachäer (Glotta XXI 1933, 213—257), oraz: Nochmals die Hypachäer und Alaksandus (Glotta XXIV 1936, 203—251).

[8]) Por. Edw. Meyer, Geschichte des Altertums II, 1, 557.

[9]) Em. Forrer, Vorhomerische Griechen in den Boghazköj-Texten (Mitteil. d. deutsch. Orient. Gesellsch. L XVIII 1924, 1—22) oraz: Die Griechen in den Boghazköj-Texten (Orient. Lit. Zeitung 1924, 113 nn.) — Por. doskonały przeglad literatury i faktów, jaki dał Stefan Przeworski, Les problèmes mycéniens et les textes hittites (Eos XXVII 1924, 89—97. XXVIII 1925, 1—11). Ed. Schwyzer, Griechische Grammatik, München 1934, 79.

liści, jak Friedrich i Goetze stłumili entuzjazm, wręcz zaprzeczając słuszności tych porównań językowych, to jednak ten głos rozumu nie mógł do dziś dnia stłumić marzeń serca, jak o tym świadczy zwłaszcza długoletnia i zażarta polemika pomiędzy Ferdynandem Sommerem z Monachium a Pawłem Kretschmerem z Wiednia. Nie zamierzam tu podać poszczególnych etapów tej dyskusji, lecz ograniczam się do podania obecnego stanu badań. Wszystkie akta Achajów wspomnianych w dokumentach hetyckich, wydał w sposób wzorowy Ferd. Sommer w Rozprawach Akademii Bawarskiej pt. „Die Ahhijava Urkunden" t. VI 1932 i opatrzył tekst w tłumaczenie i wyczerpujący komentarz. Ostatecznie dochodzi Sommer do wyniku, że nazwy i imiona wspomniane w tych dokumentach absolutnie nie są greckie, zwłaszcza też Ahhijava nie może być zrównane z Achaiia: są to zdaniem Sommera nazwy typowo azjanickie, których nie wolno łączyć z podobno brzmiącymi helleńskimi, gdyż owe homonymie — o ile w ogóle istnieją, czemu Sommer zaprzecza — są czysto przypadkowe. Wyniki badań Sommera pokrywają się więc z protestem J. Friedricha[10]), nie są więc bynajmniej niespodzianką; tylko w jednym, i to w głównym punkcie jest Sommer bardziej kategoryczny od lipskiego profesora, gdyż Friedrich orzekł, że ostatecznie możnaby zrównać Ahhijava z Achaiia. Z dyskusji tej wynika, że zdaniem hetytologów nie wolno łączyć homeryckich Achajów z Achajami hetyckimi, ponieważ jest to lud azjatycki. Kraj ich — jak wynika z tekstów — leżał nad morzem, więc na wybrzeżu południowym lub zachodnio-południowym Azji Mniejszej. Graniczył z krajem Arzawa i przez Amorytów (Amurru), mających swą siedzibę między Kilikią a Fenicją, oddzielony jest od Assyrii. Mieściła się więc Ahhijawa prawdopodobnie w Kilikii (inni, jak Edw. Meyer, myśleli o Pamphylii). Dalej uważa Sommer, że Hypachajowie w Kilikii mogą być potomkami tych Ahhijava; za tą lokalizacją przemawia też egipskie Aqaiwaša. Jednak lud ten był niehelleński, wynika to dobitnie z faktu, że według napisu faraona Merneptah w Karnak (XIII wiek) Aqaiwaša są obrzezani. Za lud niegrecki uważa też August Fick[11]) Hypachaiów wraz z Achajami pontyiskimi, za przed-

[10]) Kleinasiatische Forschungen I 92.

[11]) KZ (Zts. f. vgl. Sprachwiss.) XLI 1907, 106. XLVII 1916, 171

grecki Achiiewa francuz Raymond Weill[12]) i Amerykanin William K. Prentice[13]).

Trudno jednak pożegnać się z uroczym mirażem helleńskiego mocarstwa Achajów, na czele którego stali Atreidzi. Nie dziwimy się więc, jeżeli historyk Fritz Schachermeyr bez względu na wyniki badań filologicznych w licznych swych książkach[14]) utrzymuje tę fikcję i stara się ją uprawdopodobnić koordynując ją do danych archeologicznych, historycznych i zrzadka do językowych. Schachermeyr przyjmuje więc, że ok. r. 2000 przed Chr. przodkowie Hellenów położyli kres kulturze wczesnohelladyckiej; ich kultura była raczej chłopska niż rycerska i zmieszała się z kulturą tubylców. Lud ten uważa Schachermeyr za Achajów.

Druga fala wędrówki zaniosła Hetytów i Luwiów do Azji, trzecia wreszcie z nad morza Kaspijskiego Ariów, hodowców koni, wynalazców rydwanu, twórców rycerstwa. Od nich to po wiekach uprawy roli Achajowie przejęli ideały rycerstwa i stali się nagle wojami ok. r. 1550, i razem z tym przejęli z Krety obcą kulturę dworską i zbytek. Równocześnie owładnęli morze i w wyprawach swoich dotarli aż do Azji Mniejszej, gdzie się stykali z Hetytami. Schachermeyr wie o negatywnym wyniku dyskusji nad Ahhijawa, ale pociesza się tym, że „zmiana ai na ia nie wielkie ma znaczenie", zwłaszcza, że Achajowie zrobili to, co się przypisuje poddanym króla Ahhijawa[15]). Dla-

[12]) Journal Asiatique, 11. seria, t. XXIX 77 nn.

[13]) W. K. Prentice, The Achaeans (American Journal of Archeology XXXIII, 1929, 206—218).

[14]) Etruskische Frühgeschichte 1929. Hethiter und Achäer 1935, tam p. 20 literatura. Indogermanen und Orient, Stuttgart 1940, 48 nn. 66—70. Zur Indogermanisierung Griechenlands (Klio XXXII 1939, 235—288).

[15]) Indogermanen und Orient p. 76: „Jedenfalls ist die Funktion der Leute und Sendboten des Königs von Achiawa mit derjenigen der Achäer im gesamten Küstenraume eine so ähnliche dass der Gedanke einer Identität nicht ohne weiteres abgelehnt werden darf". — Językowe zagadnienia dyskutują dalej: P. Kretschmer, Alaksandus und andere umstrittene Namen der hethitischen Texte (Glotta XXI 1933, 244 — o Alakšanduš, Tawagalawaš, Wilušaš, Truwiša). Na to odpowiedział F. Sommer obszerną rozprawą Akad. Bawarskiej pt. Ahhijavafrage und Sprachwissenschaft 1934, gdzie omawia: nazwę Hypachaiów, Alakšanduš, Vilušaš, Tavagalawaš, pontyjskich Achajów, i Ahhijava = Achaiva? Ostateczną syntezę swoich poglądów dał Kretschmer w rozprawie: Die vorgriechischen Sprach- und Volksschichten (Glotta XXVIII 1940, 231—278 i XXX 1943, 84—217, z takimi rozdziałami: Die anatolische Schicht, II. Die Donauländische Schicht, III. Zur Rassenfrage „Die Träger der bandkeramischen Kultur waren mit den Indogermanen sprachverwandt, ohne darum Indogermanen im eigent-

tego też identyfikuje bez zastrzeżeń hetyckie Milawata z Miletem, , gdzie wykopaliska wykazały osadę mykeńską.

Mimo więc olbrzymiego nakładu pracy kwestia achajska stanęła na martwym punkcie i naprawdę nie wiemy wiele więcej, niż wiedzieliśmy poprzednio. Dyskusja nad Achajami w Azji dała jako ostateczny wynik, że oni nie byli i nie są Grekami. Sprawę Achajów w Helladzie rozwikłać może tylko archeologia wespół z językoznawstwem. Że Grecję zamieszkiwała ludność niegrecka, o tym dobrze wiedzieli starożytni; że tam mieszkała pierwotnie ludność nieindoeuropejska, twierdzi językoznawstwo, operujące dziś szeroko teorią substratu gdyż zmiany artykulacyjne dialektów greckich mają być skutkiem obcego podłoża. Według Kretschmera pierwsza warstwa w Helladzie to anatolska, gdyż przywędrowała z Azji Mniejszej; jej dziełem jest kultura wczesnohelladycka. Grecy nazwali lud ten Lelegami zostali oni później ujarzmieni przez Karów; druga warstwa jest protindogermańska, tj. tyrreńsko-pelazgijska, którzy przynieśli ze sobą ceramikę wstęgową i dotarli do wybrzeża Azji Mniejszej (p. 275); z nimi spotkała się trzecia warstwa, już helleńska.

Według znanej teorii Kretschmera pierwszym szczepem helleńskim był joński — wniosek ten oparł się na jońskich elementach w dialektach achajskich[16]), po nim dopiero przyszła druga warstwa achajsko-aiolska, wreszcie jako III-cia dorycka. Schemat ten można przyjąć z pewnymi zmianami; ze zmian tych byłaby najistotniejszą ta, że w historycznej Helladzie przyjmiemy conajmniej 5 warstw (1 pramieszkańcy Grecji, tj. Łelegowie, 2 indoeuropejczycy z ceramiką wstęgową, 3 kreteńczycy (Karowie), 4 Achajowie, 5 plemiona greckie: Jonowie, Aiolowie, (Dorowie) i że Achajów uważamy za Indoeuropejczyków, ale nie za Greków.

Już na wstępie wskazaliśmy, że zupełnie dowolnie zidentyfikowano Achajów z Aiolami. Aiolowie bowiem, jak to też Alfonsina Braun[17]) wykazuje, dotarli z Aitolii lub Lokridy do Elidy, a z Boiotii do Korinthu i ujarzmiając tubylców tj. Achajów i Jonów, zaiolizowali Peloponez i wyparli ich. Wtedy

---

lichen Sinne zu sein" (Gl. 1943, 84), IV. Ausbreitung der bandkeramischen Bevölkerung: Die illyrische Frage, Veneter und Illyrier, Die Philister, Die Dorier, Die Messapier itd.

[16]) Kretschmer w Glotta I 1909, 9 nn.

[17]) Gli „eolismi" a Cirene e nella poesia dorica (Rivista di filologia classica 1932, 181 nn, cf. Glotta 1936, 63).

to Achajowie i Jonowie opuścili Peloponez i drobna tylko część utrzymała się w górach jako Arkadowie i w pasie nadbrzeżnym jako Achaiowie, gdzie została powoli zaiolizowana. Pod naporem wędrówki Dorów zaiolizowani Achajowie opuścili Peloponez, i utrzymali się tylko w górach Arkadii, w Elidzie i w północnym pasie nadbrzeżnym (w historycznej Achai).

O ścisłym dowodzie dla tego poglądu na razie nie może być mowy — w dziedzinie tej możliwe są tylko hypotezy, i ta będzie najprawdopodobniejsza, która najlepiej zgadza się z tradycją, z kulturą materialną znaną nam z wykopalisk, z faktami językowymi. Pewną rzeczą jest, że po okresie wczesnohelladyckim, więc ok. r. 2000, miejsce miała wędrówka, gdyż ciągłość kultury uległa przerwie i nowe elementy kultury (ceramika wstęgowa) się pojawiają. Sporna jst kwestia, jak nazywa się lud, który wtargnął do Hellady. Był to według powszechnego zdania lud indoeuropejski[18]). W bliższym zaś określeniu tego ludu badacze wymieniają Pelazgów, Jonów, Illyrów. Schachermeyr proponuje — widocznie ze względu na Achajów azjatyckich — Achajów protohelleńskich, ale nie umie wytłumaczyć, dlaczego ok. r. 1550 nagle zmienia się ich charakter.

Począwszy bowiem od kultury średniohelladyckiej, więc mniej więcej od r. 2000, mamy zasadniczą ciągłość kultury materialnej[19]). Ciągłość ta załamuje się dopiero ok. r. 1550: wtedy

[18]) Carl Schuchhardt, Die Indogermanisierung Griechenlands (Forschungen und Fortschritte IX 1933, 481 nn. — Illyrowie biorą udział w pierwszej wędrówce), por. Schuchardt, Die Urillyrier und ihre Indogermanisierung (Abhandlungen, Berliner Akademie, 1937). S. Fuchs, Die Fundgruppen der frühen Bronzezeit. Ein Beitrag zur Frage der Indogermanisierung Griechenlands, Berlin 1937, oraz: Zur Frage der Indogermanisierung Griechenlands (Neue Jahrbücher 1939, 165—174). W. Kraiter, Die Einwanderung der Nordstämme nach Griechenland (czasop. Rasse V 1938, 369—382); oraz: Nordische Einwanderung in Griechenland (Die Antike XV 1939, 195—230). G. E. Mylonas, Protohelladycka i mesohelladycka epoka (Archaiolog. Ephemeris 1937, 40—47 — identyfikuje wędrowców z Jonami); John Linton Myres, Who were the Greeks? Berkeley Cal. 1930. J. B. Haley and C. W. Blegen, The coming of the Greeks (American Journ. of Archaeology XXXII 1928, 141—154). Alb. Cuny, Le nom des „Pelasges" et celui des Achéens (Babyloniaca IX 1926, 1—18). A. Diller, Race mixture among the Greeks before Alexander (Univ. of Illinois, Urbana 1937). Ed. Schwyzer, Griechische Grammatik, München 1934, 63—65, 823.

[19]) Wace-Belgen, Pottery as evidence for trade and colonisation in the Aegean bronze age (Klio XXXII 1939, 131—147), str. 140: „The culture of the Mainland showsa continuous archaeological development from the beginning of the Middle Bronze Age till the close of the Late Bronze Age" etc.

to zaczyna się nagły i niespodziewany rozkwit kultury mykeńskiej, otwierają się na oścież bramy na wschód, mamy bujny okres kultury orientalizującej w formie przejęcia zasadniczych elementów aigajskiej kultury pałacowej, — artyści kreteńscy pracują w Mykenach i innych stolicach (Teby, Orchomenos, Tiryns, Pylos), moda kobieca wzoruje się na kreteńskiej. Ale jest to też epoka warownych grodów i pałaców warownych, grobów szybowych itd. nieznanych w tej postaci poza lądem greckim. Skądże ta głęboka przemiana charakteru narodowego, stylu życiowego, obyczajów i kultury? Skądże nagle kultura rolnicza przemieniła się w wybitnie rycerską? Tu musimy przyjąć głęboką cenzurę w ciągłości historycznej wywołanej pojawieniem się nowego narodu, narodu wojowniczego, który przeobraził Helladę w kraj rycerstwa, a którego ośrodkiem był Peloponez z Mykenami, Spartą, Pylosem nestorowym. Przybysze usadowili się i kolonizowali Helladę od Peloponezu po Tessalię. Ujarzmili tubylców, sami tworząc arystokrację, szlachtę nawkroś wojskową i wojowniczą. Świetność ta trwała na Krecie mniej więcej do r. 1400, kiedy w gigantycznej pożodze wojennej padły ośrodki kultury aigajskiej, aby już nie podnieść się. Pod ciosami nowych najeźdźców ginęły także marne te ślady dawnej świetności aż do ich zaniku i początków stylu geometrycznego ok. r. 1050.

Zadaniem historyka jest skoordynowanie z tymi zwrotnymi punktami kultury odpowiednich ruchów etnicznych, ponieważ wtargnięcie nowych fal najeźdźców uważamy za ostateczną przyczynę tak głębokich zmian kulturalnych. Historyk więc musi wymienić te narody, które w r. 2000 przyszły z północy jako pierwsi Indoeuropejczycy do Grecji, potem te, które w r. 1550 przyniosły ze sobą kulturę orientalizującą, tzw. mykeńsko-minojską, wreszcie te, które w r. 1400 położyły kres świetności kreteńskiej. Przyjmując jako ludność pierwotną Hellady jakiś naród śródziemnomorski azjatyckiego pochodzenia, może Lelegów, musimy teraz z pośród ludów indoeuropejskich wybrać najeźdźców r. 2000. Jonami Mylonasa ci najeźdźcy nie mogli być, gdyż nie utrzymaliby się przez dwa następne najazdy, a ustąpienie Jonów z terenu Hellady do Azji Mniejszej dokonało się dopiero pod naporem Aiolów a zwłaszcza Dorów. Z tych samych powodów Achajowie Schachermeyra nie mogli być tymi najeźdźcami, zwłaszcza że nieprawdopodobne jest ich głębokie przeobrażenie, jakie w r. 1550 musiało mieć miejsce. Kretschmer myśli o Protindogermanach i wymienia jako

takich Etrusków i Pelazgów: ale na to brak wszelkiego cienia dowodu. Natomiast wiemy pozytywnie o wielkich ruchach etnicznych, które się dokonały na przeciwległym do Hellady terenie Azji Mniejszej. Ruchy te nam ujawniły dokumenty z Boghazköj. Tam z początkiem 2-go tysiąclecia fala indoeuropejska zajęła teren ludności anatolijskiej (nieindoeuropejskiej) Hetytów (nazwanych w swoim języku Hatti — od nich najeźdźcy przyjęli nazwę) i opanowała go. Ok. r. 1800 przybyła ze wschodu druga fala indoeuropejska: składała się z tzw. Ariów (może to byli Churrici), dysponujących uzbrojeniem rycerskim, koniem i rydwanem bojowym — dzięki temu ujarzmiła ona w swym pochodzie zwycięskim także kraj Hetytów, który dopiero teraz od pierwszego króla Labarnaš (ok. r. 1800) począwszy uzyskał coraz większy obszar i znaczenie polityczne aż do kulminacyjnego rozkwitu ok. r. 1500. Otóż uważam za prawdopodobne, że pierwsza fala Indoeuropejczyków w Hatti, której nazwy etnicznej jeszcze nie znamy[20]), przeszła przez Helladę[21]), zajęła ją i w swym zwycięskim pochodzie dotarła aż do Hetytów, gdzie później uległa Ariom ok. r. 1800. W Helladzie utrzymała się ona do r. 1500, kiedy to najeźdźcy w momencie szczytowym swej kultury kreteńskiej wtargnęli na Peloponez, podbili Helladę i ujarzmili owych Indoeuropejczyków[22]). Kreteńczycy stworzyli orientalizującą kulturę mykeńską z ele-

[20]) O jej nazwie J. Friedrich w Festschrift Streitberg 1924, 307.

[21]) Tego zdania jest też Przeworski (Eos 1925, 9): „Les Hittites ont choisi pour leur invasion de l'Europe en Asie Mineure le même chemin que les peuples phrygiens et plus tard les Galates." Podobnie sądzi W. Brandenstein, Kleinasiatische Sprachen (Pauly—Kroll RE Suppl. VI 1935, 178: „Dass die Luwier oder Helhiter auch auf dem Festlande waren, zeigt nicht zuletzt der Name von Kydathen, der Unterstadt von Athen; hethitisch Kutti bedeutet nämlich seitlich, aussen." Poza tym odpowiadają Kabeiroi heth. Chabiri. Ceramika (bladomalowana geometryczna) odpowiada dokładnie wczesnomykeńskiej lądu greckiego, zwłaszcza aigineckiej. W. Brandenstein, Die Völkerschichten in Troia (Zeitschr. d. deutsch. Morgenl. Gesellsch. XCII 1938, 303—319) przypisuje Hetytom, którzy z Bałkanu przeszli do Troady, zburzenie II warstwy grodu Troi ok. r. 2000 prz. Chr.; str. 308 powołuje się autor na hetytyzmy w toponomastyce helleńskiej.

[22]) Wace-Blegen str. 138 n. przyjmują tylko wpływy kulturalne Krety i kategorycznie odrzucają hypotezę najazdu. Ale za nią przemawia pojawienie się rydwanu bojowego (Jos. Wiesner, Fahren und Reiten in Alteuropa und im Alten Orient, Leipzig 1939, 24 nn oraz Kimmerier und Skythen im Lichte neuer Indogermanenforschung, w Forschungen und Fortschritte 1943, 216 n.).

mentów aigajskich i tubylczych indoeuropejskich. Najeźdźcy dali też Helladzie królów i szlachtę. Panowanie ich utrzymało się jednak tylko do r. 1400, kiedy to z północy wtargnęła do Grecji nowa fala Indoeuropejczyków, mianowicie Achajowie.

Achajowie ci nie przyszli sami. Razem z nimi przyszli Danaowie i Argeiowie, z którymi Homer ich identyfikuje, przyszli i Dardanowie i Palaistynowie (Filistyni), późniejsi mieszkańcy Troady i Palaistyny. O Danaach i Palaistynach wiemy, że są Illyrami; co do Danaów wykazał to na podstawie języka Hans Krahe, Palaistynowie zaś wyszli z przymorskiej Palaistyny illyrijskiej, leżącej naprzeciw Brundisium. Wynika z tego, zwłaszcza z homerowej identyfikacji Danaów z Achajami, że także Achajowie musieli być Illyrami. Brzmi to na pierwszy rzut oka paradoksalnie, gdyż o Illyrach na terenie Hellady historyk na ogół milczy. Chociaż już Wilamowitz wskazał na to, że jedna z 3 fyl spartańskich, fyla Hylleów, ma nazwę swą od plemienia illyryjskiego Hylleów. Od nich się też nazywają Hylleanii niehelleńscy Kydonowie na Krecie[23]). Naturalnie istnieje możliwość, że ci Hylleowie i językowe illyryzmy[24]) nie są starsze od wędrówki Dorów, więc od wieku XII—IX. Ale obok tego mamy starsze illyryzmy językowe imienne i rzeczowe,

[23]) Wilamowitz, Hellenistische Dichtung, Berlin 1925, II 177 przyp. 1. Otto Lagercrantz, Die drei dorischen Phylennamen (Streitberg, Festgabe 1924, 218—223) przyłacza też Ὕλεες jako nazwę kreteńskich Kydonów z uwagą: „Dass die Kydonen keine Griechen waren, gilt unter den Gelehrten für eine anerkannte Tatsache." Kretschmer w Glotta XV 194. XXX 1943, 154 uważa, że Illyrowie dopiero w IX wieku, po Dorach wtargnęli do Grecji. Por. A. von Blumenthal, Illyrische Rückstände im Dorischen (Glotta XV 1930, 153 n.) i Hesychstudien 1930, 2 nn. Hans Krahe, Die Vorgeschichte des Griechentums nach dem Zeugnis der Sprache (Die Antike XV 1939, 193) uważa Illyrów za stojących za wszystkimi wędrówkami: „Hinter all diesen Völkern indogermanischer Zunge aber steht als treibende Kraft der ganzen Verschiebung ein anderes, ebenfalls indogermanisches: die Illyrier. Sie haben die Phryger, die Dorier und die Osco-Umbrer in Bewegung gesetzt, haben sich aber auch in diese Stämme hineingeschoben und sind an vielen Stellen in ihnen aufgegangen. Am deutlichsten wird das bei den Doriern, deren eine Phyle, die Hylleer, unmittelbar illyrischer Herkunft ist."

[24]) Hans Krahe, Die Illyrier in ihren sprachlichen Beziehungen zur Italikern und Griechen. 2. Die Illyrier in der Balkanhalbinsel (Die Welt als Geschichte, III 1937, 284—299 wymienia słowo „koń". ἵππος Hans Krahe, Tierbezeichnungen in illyrischen Eigennamen (Würzburger Festgabe für H. Bulle, Stuttgart 1938, 204) wykazuje, że Ἐπειοι, nazwa plemienia elidzkiego, jest illyryjskie („Koniarze"); Illyrisches (przejście ē > ā w Elidzkim: Glotta XIX 1934, 122—125).

jak na to już zwrócił uwagę Franc. Miltner[25]); te sprowadzam do Achajów i ludów im pokrewnych. Występują oni ok. r. 1400 już w pobliżu Azji Mniejszej, gdyż wtenczas wymienia król Tyru wśród nowin z Kraju Kanaan lud Danuna[26]), tzn. Danaów. Za synchronizacją wędrówki Achajów, Danaów, Dardanów[27]), Palaistinów (Filistynów) świadczą teksty hetyckie, wymieniając Ahhijawa ok. r. 1330, oraz teksty egipskie, wyliczające wśród ludów morza Agaiwaša, Dardana, Danuna, (Pulușa) Piliština itd.

Achajowie więc położyli kres panowaniu kreteńskiej szlachty na lądzie i na Krecie, niszcząc w krwawej pożodze wspaniałe ich twierdze i pałace. Zainaugurowali oni nowy okres dziejów Hellady: objęli dziedzictwo po poprzednich panach, rozległe i dobrze zorganizowane państwo. Upojeni tym powodzeniem wysunęli przednie swe straże ku posiadłościom egipskim i Azji Mniejszej, gdzie spotkali się z Egipcjanami i Hetytami. Tam starli się i rozkruszyli po walkach i klęskach; tylko marne resztki Achajów uchowały się jako Hypachaiowie w Kilikii, jako Achajowie nad Pontem i Dardanowie w Troadze nad którymi panuje ród Aineiadów. Wobec tego, że ci Achajowie byli Illyrami, Grecy mogli twierdzić, że Achajowie w Azji utracili ojczysty język grecki i przejęli język barbarzyńskich tubylców; także w Helladzie historycznej określano Illyrów w Epirze jako barbarofonoi. Słusznie więc Weill,

[25]) Fr. Miltner, Griechiche Geschichte, referat o publikaćjach hist. (Klio XXXV 1942, 140), „Die sprachwissenschaftlichen Feststellungen, soweit sie schon zeitlich unterscheidbare Schichten erkennen lassen, scheinen dafür zu sprechen, dass nicht der geringste Teil des illyrischen Gutes in Griechenland der vordorischen Zeit zugerechnet werden muss." — Fr. Schachermeyr, Zur Indogermanisierung Griechenlands (Klio 1939, 282): „Ist es doch nicht ausgeschlossen, dass schon um 2000 die Illyrier eine der oben genannten Streitaxtkulturen . . . zu eigen hatten und neben den Urgriechen eine Rolle im westbalkanischen und griechischen Raume spielten." H. Krahe, Die Illyrier in der Balkanhalbinsel (Die Welt als Geschichte III 1937, 298), broniąc się przed wcześniejszym przybyciem Illyrów do Hellady sądzi, że illyryzmy wcześniejsze zapożyczyli Grecy już w swych prehistorycznych siedzibach na północy Bałkanów. Ale hipoteza ta nie wyjaśnia illyryzmów w helleńskiej toponomastyce (np. formans — nt — w Maluntum, Perinthos itd.). Ed. Schwyzer, Griechische Grammatik str. 65 n. 78.

[26]) Ed. Meyer, Geschichte des Altertums II 1, 301. M. Budimir, Stosunki etniczne Dardanów do Illyrów (po serbsku; Jugoslov. Istor. Časopis III 1937, 1—29).

[27]) Ed. Meyer ibd. II 1, 224. P. Kretschmer w Glotta XXIV 1936, 27—29. A. della Seta, Achaioi Argeioi Danaoi (Rendiconti della Accademia dei Lincei 1907, 133 nn.

Prentice, Sommer uważają Ahhijawa za lud nie tylko przedgrecki, ale też za lud niehelleński: byli bowiem Illyrami.

Formalny dowód na to twierdzenie mogłyby nam dać język i kultura materialna. Możemy tu kierować się pewnymi wskazówkami. Za Krahem wskazał Carl Schuchhardt na to, że niehelleńskie imiona Priamos, Paris, Epeios itd. znajdują wyjaśnienie swe w języku illyryjskim[28]; ten język tłumaczy też nazwy etniczne Argeiów, Danaów, Dardanów, Palaistynów Epeiów i liczne inne nazwy miejscowości od Parion, miasta Parisa, począwszy. W zakresie kultury wskazał tenże Schuchhardt na fakt, że specyficznie mykeńskie zwyczaje pogrzebowe, jak groby szybowe, maski, napierśniki, rękawice itp. zachowują się u Illyrów nad jeziorem Ochrida do 6-go wieku prz. Chr. i że Mykenki zawdzięczają swą krótką spódniczkę Illyrom[29]). Nie dużo tego, ale nie można się spodziewać więcej, ponieważ zgodnie z analogiami Illyrowie w Helladzie utracili swoją kulturę na rzecz wyższej mykeńskiej.

Jak długo Achajowie panowali w Helladzie nie wiemy. Zwyciężona przez nich arystokracja mykeńska schroniła się do Karii. Achajowie mocno tkwili w nowej ojczyźnie tak, że Jonowie, którzy pierwsi z Hellenów przybyli do Hellady, ścisnęli ich jedynie terytorialnie, ale nie wyparli. Dopiero następne najazdy Aiolów i Dorów dokonały ostatecznie wynarodowienia Achajów i zupełnego ich shelenizowania[30]). Lecz

[28]) Carl Schuchhard, Die Indogermanisierung Griechenlands (Forschungen und Fortschritte IX 1933, 481n.) oraz: Alte Sagenzüge in der homerischen Archäologie und Geographie (Sitz Berl. Akad. 1935, 186—202). —. Por. też H. Krahe, Die Illyrier in der Balkanhalbinsel (Die Welt als Geschichte III 1937, 287: „Besonders die Troas scheint ein Brennpunkt des Illyriertums gewesen zu sein. Personennamen wie Paris, Baton mit Bateia, Bunimos, Assarakos, Theano (Nehring Idg. Jahrb. 11, 595), vielleicht auch Priamos (Kretschmer, Glotta XXII 115), dazu der Stammesname der Dardanoi, der Ortsname Makus (Jokl. in RLV I 87) und noch manche andere trugen dort ein durchaus illyrisches Gepräge" itd — Na illyryjskie imiona bohaterów trojańskich zwrócił uwagę Carl Schuchhardt, M. Budimir, Vorgriechischer Ursprung der homerischen Haupthelden (Revue des etudes balkaniques II, 1936, cf. Glotta 1938, 219).

[29]) Carl Schuchhardt, Der germanische Mantel und das illyrische Röckchen, (Sitzungsberichte der Berliner Akademie der Wissenschaften 1936, 147—166).

[30]) W. K. Prentice, The Achaeans (AJA 1929, 208): „It seems to me at least possible that the real Achaeans were originally a non — Greek people, some of whom settled in Phthiotis, and that long before Homer these had been so completely absorbed in the Greek race, that their name

żyli Achaiowie w wyobraźni śpiewaków jońskich jako rycerze i wielkorządcy Hellady. Homer przekazał świetność ich i pychę naszej tradycji tak, że Achajowie mimowoli uchodzą za kwiat kultury i ducha helleńskiego.

---

and many of their heroes, myths and legends had been adopted by the Greeks as their own." — Według Lenschau, Agiaden und Eurypontiden. Die Königshäuser Spartas in ihren Beziehungen zueinander (Rhein. Museum 1939, 123—146). Agiadzi reprezentują achajską dynastię w Amyklai i mają orientację helleńską, Eurypontydzi zaś ciasną orientację spartańską.

Wiktor Doda

PORZUCONY NAUCZYCIEL SIEROSZEWSKIEGO

Z dziejów „Siły fatalnej" Sienkiewicza[1])

Pęd Sieroszewskiego do twórczości odezwał się dość późno, gdy już młodość jego przesuwała się wyraźnie poza smugę cienią. Odległych chronologicznie sygnałów i przedwstępnych jego manifestacji nie insynuuje nawet jego autobiografia, pośród bowiem liczmanów cudowności, w które przystroił wspomnienia o własnym chłopięctwie, nie ma tam motywu przedwczesnego uzdolnienia na pisarza. A zatem dopiero sytuacja życiowa Sieroszewskiego na wygnaniu tłumaczy po części jego zwrot ku twórczości, która zużytkowała unieruchomione zapasy i napięcia jego energii życiowej i uratowała je przed samospalaniem się w przymusowej bezczynności. Presja tych czynników istotnie była przemożna, skoro przerzuciła poza nowy zakręt bieg jego życia i w realizacji świeżych dążeń ukazała mu nowy cel istnienia. Ale wchodziły tu w grę inne również sprężyny i bodźce, bez których nie doszła by do skutku taka właśnie metamorfoza wygnańca.

Związki pisarza z tradycją literacką występują zazwyczaj już u początków jego twórczości. W tej jednak fazie zaznaczają się one nie tylko jako elementy ciągłości rozwojowej rodzimej kultury piśmienniczej, ale raczej i po prostu jako stopa zadłużenia w skarbnicy przeszłości. Nie mogło zaś być inaczej w wypadku Sieroszewskiego, u którego bodźce i wpływy literackie spełniły funkcję zaprawy i drogowskazu, ale oprócz tego były jedynym zastępczym czynnikiem przygotowawczym do zawodu pisarza.

Rolę lektury w wygnańczym życiu pisarza dostatecznie uwypuklają jego wspomnienia. Wyśpiewał w nich prostoduszną litanię na cześć czytelnictwa i książki, która mu pozwoliła „przetrwać najgorsze czasy" i „cierpliwie przeczekać złą smugę losu", a „oszalałą, zbolałą przez długą bezczynność myśl kierowała na tory spokojnego, systematycznego wysiłku". A ten wysiłek wygnańca miał na celu samouctwo, zrazu ogól-

[1]) Urywek większej całości.

ne, z czasem raczej literackie, w zakresie sztuki pisarskiej i tajemnic warsztatu. Gdyby rozporządzał dostatecznym przygotowaniem, samouctwo literackie Sieroszewskiego zaczęło by się, jak to jest zjawiskiem powszechnym, od pewnego stadium pracy twórczej, lecz z powodu jego niedostateczności wypadło mu je rozpocząć wręcz od abecadła pisarza. Sam to przyznaje w autobiografii, gdy oględnie na ogół wspomina o ówczesnym podpatrywaniu przez siebie „literackich sposobów" wyrazu u studiowanych pisarzy.

Jacy pisarze patronowali temu terminowaniu Sieroszewskiego? Stylizacyjna ornamentyka jego wspomnień wzbrania szukać tam bezpośredniej odpowiedzi. Pośrednią jednak wskazówką jest lista lektury na wygnaniu, przytoczona w ułamku autobiograficznym z roku 1932. Figurują na niej dwa tomy poezyj Konopnickiej, tom nowel Prusa, Szkice węglem Sienkiewicza, nie licząc pozycji pomniejszych. Wyznanie to nader pożądane, z natury rzeczy jednak więcej interesują przemilczenia. To pewna bowiem, że nie wymienił tu, a nie mógł zapomnieć Listów z podróży i Szkiców amerykańskich Sienkiewicza, których znajomość najoczywiściej i długo była mu przydatna. Istnieją wyraźne tego ślady w jego twórczości, a tych nie da się schować pod korcem. Nie sam fakt atoli, zgoła przecież pospolity, ale dopiero siła i trwałość zakonspirowanych tych kontaktów Sieroszewskiego z arcydziełem polskiego podróżopisarstwa wyznaczają właściwe jego perspektywy.

A wydaje się, że sytuacja duchowa wygnańca i początkowy jego stosunek do życia, przyrody i ludzi na zesłaniu potroiły atrakcyjność sienkiewiczowskich wrażeń z podróży, jako zaczynu nowego spojrzenia na rzeczywistość. Sporo jego przeżyć z owych lat weszło zapewne do powieści Na kresach lasów. Szczególnie przejrzysta analogia zachodzi bodaj w tym ustępie powieści, który traktuje o stosunku Pawła, bohatera utworu, do przyrody syberyjskiej:

„. . . Paweł, nasyciwszy pierwszy głód wrażeń, stracił zapał do wypraw po okolicy. Wszystko, co tam spotykał, począwszy od niezwykłego biegu słońca, skończywszy na wiatru podmuchach, na pluskach wody, **było tak obcym, tak innym** od tego, na czym wyhodowała się i co pokochała jego dusza . . . Te wodne obszary bezbrzeżne, jak morskie zatoki, te mewy ponad nimi w mglistą dal lecące, fale brunatne z posępnym pomrukiem na płaskich kładące się wybrzeżach, głuche puszczy ostępy zawsze milczące i nieruchome, pomimo rozkwitu wiosny i życia płynącego z południa, **budziły w nim** chwilami **niepokonaną odrazę, niby przypomnienie innego, wrogiego mu istnienia . . .**" (VIII. s. 188—189).

Domniemany autobiografizm powieści przydaje tej relacji akcenty autorskiej samoobserwacji. I dlatego lektura wrażeń z podróży Sienkiewicza, zadziwiających soczystą ewokacją egzotycznej rzeczywistości i głoszących pochwałę życia czynnego, „twarzą w twarz" z potężnymi siłami pierwotnej natury — taka lektura zesłańca posiadała wszelkie dane, by stać się dlań rewelacją uroków własnej obczyzny, zastrzykiem i lekcją smaku do przyrody pierwotnej i ludzi. Lekcja ta przyszła bardzo w porę, a poparta świeżością i plastyką indywidualnego ujęcia zjawisk i rzetelną precyzją wysłowienia, nie mogła pozostać bezskuteczna. Ale w impresjach Sienkiewicza znalazła się również wskazówka bardziej bezpośrednia:

„... strzelanina zabierała mi większą część dnia, ale do zwykłych zajęć moich należało **i pisanie.** Jakaś nieprzezwyciężona siła zmuszała mnie ustawicznie, abym **dzielił się z czytelnikami tą sielanką górską, tak oryginalną, że mnie** samemu zdawała się **urojeniem i jakby snem jakimś,** a tak rzadko trafiającą się ludziom mego zawodu i tak zdrową, że była mi uspokojeniem wielkim po życiu w mieście i niby początkiem drugiej młodości, zanim minęła pierwsza ..." (**Pisma,** wyd. Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1880—1913, t. III. s. 46).

Kto wie, czy sugestywne to wyznanie podróżopisarza nie uzmysłowiło Sieroszewskiemu analogii z własną „sielanką", przymusową, ale rodzajowo równie odrębną? Przekleństwo i upośledzenie jego życia nabrało by wówczas ceny, jako materiał doświadczeń i doznań, dopraszający się wedle powyższego wzoru zużytkowania w twórczości. Na pewno bowiem nie było rzeczą przypadku, że gdy jego aspiracje do twórczości weszły w fazę realizacji, dokonało się to właśnie na modłę arcywzoru w pierwszym z brzegu utworze Sieroszewskiego.

Obrazek Jesienią był debiutem, który nic nie zapowiadał, gdyby oczywiście z rachub ściśle literackich wyłączyć tendencje do naśladownictwa. A doszły one do głosu choćby w formie narracji in nominativo, wywodzącej się właśnie z Listów z podróży Sienkiewicza. Ta forma przypadła bardzo do gustu, bo użył jej później parokrotnie (Puszcza Białowieska, Brzask, Grecka szczelina), i tu i tam zaś pomniejsze zbieżności dekonspirują źródło pisarza. W debiucie Sieroszewskiego zbieżności te są liczniejsze i sięgają nawet osnowy utworu. Rodem z Sienkiewicza bodaj jest motyw rodzajowego obrazka z życia krajowców, a na pewno pochodzą stamtąd kolejno: 1) motyw włóczęgi po okolicy w bliskim promieniu wygnańczej siedziby, naiwnie nawet za przykładem wzoru przezwanej „podróżą" (I s. 8) i „wyprawą" (I s.

11), a przypominający eskapady myśliwskie Sienkiewicza (i Sieroszewski wybrał się ze strzelbą na ramieniu) lub jego wyprawę w poszukiwaniu zaginionego mustanga; 2) motyw zabłąkania w terenie (I s. 11—12) odpowiada znów analogicznej sytuacji w Listach z podróży (s. 78); 3) opis „szatańskiego boru" (I s. 8—10) przypomina takiż „las umarły" u Sienkiewicza (s. 150 i nast.); 4) motyw polowania na niedźwiedzia, rozbudowany u Sienkiewicza w obszerny epizod (s. 82—112), znajdzie odpowiednik w opowiadaniu o przebojach łowieckich starego Chachaka, sąsiada wygnańca, doświadczonego zaś jakoby zwycięzcy i ofiary „panów lasu" (I s. 17—24). A ta pracowita mieszanka zapożyczeń wypełnia nikły wątek pierwszego obrazka Sieroszewskiego.

Technika naśladownictwa, jako wyłącznego bodaj ośrodka dyspozycyjnego i szkolenia się pisarza u początków jego twórczości, z kolei również uwydatnia się w szeregu zbieżności frazeologicznych. Pod tym zaś względem jeden przykład jest bardzo charakterystyczny. To ten urywek utworu, który mi już ułatwił rozpoznanie braków ogólnego wykształcenia pisarza. A metryka jego pochodzenia na prawdę jest osobliwa.

SIEROSZEWSKI:

W takim położeniu prędko **tępieją** od bólu wszystkie uczucia: dotykanie, węch, nawet wzrok, jeden **słuch tylko robi się niesłychanie delikatnym.** Po kilku chwilach jużem **słyszał bicie mego serca, szum** przelewającej się **krwi w żyłach,** szept drzew i szelest kłębiącej się mgły — **martwa cisza lasu** zapełniła się nagle **gwarem,** ledwie pochwytnym, lecz wciąż się wzmagającym ... (I s. 13).

SIENKIEWICZ:

... **słuch tępiał,** pojęcia myśli i obrazy zlewały się ze sobą w sennym bezładzie, wreszcie usnąłem (s. 37).
... **puszcza** jest tak **cicha, jak grób. Słuch** przyzwyczajony do tej ciszy niezmąconej hałasem i **gwarem** ludzkim, ani głosami stworzeń, **staje się** wkońcu tak **delikatny** i wrażliwy, jak słuch więźnia pędzącego życie w milczącej celi (tamże, s. 45).

KONOPNICKA:

Dziwna to **cisza! słychać serca bicie, Szelest krwi w żyłach** i oddechu drżenie .... (**Poezje,** t. I s. 182).

Pragnąc wyrazić najpospolitsze zjawiska psychiczne Sieroszewski sięga do obcych i gatunkowo wręcz odmiennych wzorów po sposoby reagowania na podnięty świata zewnętrznego, które atoli kombinuje na własne kopyto, dla zatarcia bodaj śladów zawisłości. Lecz tam właśnie, gdzie w pracowitej tej składance zdobywa się na odruch samodzielności, z miejsca przypłaca to żenującą „wsypą" terminologiczną. I taka prosta reprodukcja przerastała widocznie siły umysłowe debiutanta.

Nie wyklucza to oczywiście, czy dodatkowym czynnikiem nie były tu również sugestie języka rosyjskiego.[2]) Były by one wcale znaczne, skoro udało się im przezwyciężyć nie małe wszak sugestie arcypolszczyzny Sienkiewicza.

Zdarzyło się raz, że Sieroszewski ujął w cudzysłów wyrażenie „wykroty" (I s. 9), czym podkreślił i pokwitował jego pożyczkę, jako oczywistego bodaj przedstawiciela sienkiewiczowskiej leksyki. Dokładne wyjaśnienie znaczeniowo-wyobrażeniowej treści tego wyrażenia znajduje się w Hani:

... **wykroty**, to jest jamy pod korzeniami starych drzew, wywróconych przez burzę (Pisma, XXXV, 1931, s. 122).

Ale rzeczowość tej wykładni była grochem o ścianę wobec znanej skłonności debiutanta do składanek. Połączył więc samą nazwę z innym obrazem deskrypcji Sienkiewicza, tym razem z Selima Mirzy:

SIEROSZEWSKI:

Gęsto po lesie rozrzucone **„wykroty", z korzeniami sterczącymi ku górze**, okryte ziemią i mułem, tworzyły o zmroku, gdy wszystko tak niewyraźne przybiera **kształty, pokręcone dziwaczne** figury (I s. 9).

SIENKIEWICZ:

Była jeszcze noc zupełna. Czarne masy drzew, wywrócone pnie z **korzeniami, sterczącymi do góry**, rysowały się w **fantastyczne**, godne apokalipsy **kształty** ... (**Pisma**, XXXV, s. 261).

Pamiętna jest scena z Ogniem i mieczem, gdy pan Zagłoba w ucieczce przez las przed Tatarami „stoczył się w głęboki wykrot i czuł, że się już nie wygramoli",a za nim Wołodyjowski bez wahania „wskoczył do wykrotu" (Pisma, IV s. 34). W reprodukcji Sieroszewskiego natomiast nazwa ta obejmuje raczej nawierzchnią część zjawiska. Czy jednak nie stało się to również pod bezpośrednim wpływem Sienkiewicza? Dziwnym trafem bowiem i jemu w impresjach z puszczy Białowieskiej (1882) wydarzyło się podobne odstępstwo od przytoczonej wykładni tego wyrazu:

„Nad nimi jeszcze sterczą, jak domy, olbrzymie wykroty ..." (**Pisma**, nakład **Tyg. Illustr.**, t. VI., 1899, s. 146).

Chronologia utworów nie wyklucza i tych również, sienkiewiczowskich sugestii, co w bardzo pouczający sposób rozszerza domniemany katalog składników w mechanicznym, słownikarsko-obrazowym zlepku Sieroszewskiego. Później na-

[2]) Interesujące przypuszczenie w tej sprawie wypowiada p. Aleksander Wojder w artykule p. t. **Źródło uczuć W. Sieroszewskiego, Prosto z mostu**, 1939, nr 11/233, skreślonym na marginesie pierwszego rozdziału pracy niniejszej.

tomiast w podobnej sytuacji Sieroszewski użył sztucznie nieco skonstruowanego wyrażenia „wywrocisko" („opatrując każdy krzew, każde wywrocisko niezwykłych kształtów . . .", Na kresach lasów, VII, s. 234), które sensowniej luzuje źle pojęty sienkiewiczowski „wykrot". Lecz w Puszczy Białowieskiej (III s. 32) znowu powrócił do poprzedniej wersji znaczeniowej tego wyrazu.

Nie lepszy bynajmniej efekt dały inne pożyczki u arcywzoru. Liczą się one na dziesiątki: i te, które wypełniły luki jego słownictwa, i te również, które dostarczyły gotowych formuł opisu. A jednak nie usunęły one wrażenia ubóstwa w pierwszej, tandetności zaś wyrazu w drugiej ich kategorii, wszystkie bowiem w nieporadnej reprodukcji Sieroszewskiego uległy wyraźnemu sprostaczeniu. Ale stosunek zawisłości pomimo wszystko okazał się wielce owocny, bo z jednej strony narzucił wygnańcowi okulary, przez które uczył się spoglądać na rzeczywistość własnego życia na Syberii, z drugiej zaś ułatwił mu przesylabizowanie rudymentów sztuki pisarskiej. Nie mogło to nie pozostawić trwalszych śladów na języku i stylu Sieroszewskiego, bez względu nawet na wspomniany efekt doraźny w pierwocinach jego pióra. I istotnie: owe smugi, wstęgi i snopy, jako najczęstsze zdawkowe ornamenty jego stylu, reprodukowane mechanicznie po tysiąckroć, acz nie rzadkie w metaforyce naszych pisarzy porozbiorowych, od powiastek w noworoczniku Melitele, po najdojrzalsze powieści Kraszewskiego, zdradzają przecież stempel sienkiewiczowski. To zaś, co u Sienkiewicza było jednym z wielu środków ornamentyki, dyskretnym elementem akcesorialnym jego ekspresji stylistycznej, u Sieroszewskiego odrazu nabrało cech wytartej kliszy, ubogiej w natrętnej swej wyłączności i skostnieniu.

Sienkiewiczowski ten stempel na manierze ornamentacyjnej Sieroszewskiego wykracza daleko poza okres pisarskiego jego ząbkowania. Równolegle z nim idą dalsze oddziaływania arcywzoru. Nie pora tu na zestawienia szczegółowe, które by były niezawodnie interesującym również przyczynkiem do dziejów „siły fatalnej" Sienkiewicza w dobie jemu współczesnej. Nie piszę atoli dziejów wpływu wielkiego renowatora prozy polskiej, i dlatego na partykularny ich użytek wolno mi ograniczyć się do rysunku z grubsza.

Forma narracji w opowiadaniu Sieroszewskiego pt. Brzask (1899) pochodzi, jak już wspomniałem, z Sienkiewicza. Ponadto

jednak parę motywów zaczerpnął tu tym razem z Listów z Afryki (1892). Oprócz bowiem niektórych realiów z podróży statkiem, również stamtąd bodaj wywodzą się emocje powrotu z obczyzny. W ujęciu Sienkiewicza brzmi to psychologicznie trafnie i serio (Listy z Afryki, wyd. Tyg. Illustr., 1901, t. III s. 117—118). Ale ta sama sytuacja uczuciowa, przełożona na język wygnańca, czy to w relacji z podróży (Brzask, III s. 3), zatrącającej frazeologicznie z kiepska na modłę młodopolską, czy to powtórzona w powieściowej wersji Powrotu (II s. 288—289), zaznacza się raczej w staroświeckim patosie wykrzyknikowym, który ongiś był typowy dla wczesnego powieściopisarstwa, dziś zaś prowokuje wrażenie niewydarzonej parafiańszczyzny fakturalnej pisarza. Krzyżowanie się tych elementów w miazdze jego twórczości paraliżuje na ogół instruktywne oddziaływanie arcywzoru i ustala zupełnie nieoczekiwane koneksje z dołami piśmiennictwa, w których po dziś dzień pokutuje identyczna staroświecczyzna maniery powieściowej.

Tego pokostu parafiańszczyzny nie przesłoniła rozlewna opisowość Sieroszewskiego. W jakim zaś stopniu i ona zrodziła się w strefie tych samych bodźców i natchnień, przykładowo bodaj świadczą o tym zapożyczenia pisarza w zakresie realiów i techniki deskrypcyjnej pejzażu morskiego. Wspólnie i na przemian działały tu sugestie obydwu serii podróżniczych Sienkiewicza, chronologiczna rozpiętość ich wpływu była bardzo znaczna, sięgała bowiem od Brzasku po Ocean. Działały zaś zgoła intensywnie i wszechstronnie, narzucając gotową formułę słowną własnym doznaniom pisarza, który w ułamku autobiograficznym z roku 1933 przedstawił się przecie jako człowiek bywały i zżyty z morzem. Pouczy o tym parę przykładów, z mnóstwa wynotowanych przeze mnie wybranych na chybił trafił.

Nieliczne realia podróży statkiem powtarzają się u Sieroszewskiego w zapożyczonym sformułowaniu:

SIEROSZEWSKI:	SIENKIEWICZ:
„... **śruba burzy wodę** to z jednej, to z drugiej strony ... (**Jak liść jesienny** ..., VI s. 312).	„**Śruba** poczyna **burzyć wodę** i wyjeżdżamy ..." (**Pisma**, 1880—1912, III s. 182).
„... **uderzenia śrub** wstrząsały nim **miarowo** ..." (VI s. 439).	„Na tle tych ... **rytmicznych uderzeń śruby** ..." (**Listy z Afryki**, III s. 123).

Efektowna obserwacja z chwili odbicia od brzegu, zużytkowana w sposób rzeczowy lub obrazowo urozmaicony, w oby-

dwu typowych tych przypadkach posiada odpowiednik swój u Sienkiewicza:

SIEROSZEWSKI:

„Brzegi ziemi **zapadają** się, **bledną** z każdym uderzeniem śruby ..." (VI s. 321).

„... a wyspa zielona bladnąc za nim zaczęła i niknąć **w lazurze nieba, jak marzenie błękitne** ..." (**Ocean**, XIX s. 228).

SIENKIEWICZ:

„Triest szeregami domów i świateł zdaje się oddalać, jakby **zasuwać pod wodę**, przesłaniać się mgłą, a na koniec niknąć w oddaleniu i ciemności ..." (**Pisma**, III s. 182).

„**Widzenie błękitnieje** z każdą chwilą: domy i palmy zasuwają się pod wodę; tylko wieża sułtańska sterczy długo **wśrod lazurów** ..." (**Listy z Afryki**, III s. 118).

Identyczne ujęcie oddalenia od brzegu, u Sienkiewicza stopniowane, u Sieroszewskiego użyte na przemian:

SIEROSZEWSKI:

„Ósmego dnia podróży zaczerniała na bezbrzeżnym dotychczas widnokręgu **chmura ziemi** ..." (**Ocean**, XVIII s. 20).

„O świcie spostrzegli wreszcie, że są bardzo daleko od **brzegu**, który majaczył ledwie na skraju widnokręgu **jak obłok** ..." (**Tamże**, s. 286).

SIENKIEWICZ:

„Po pięciu dniach widzimy wprost przed dziobem małą plamkę **mgły**, która zmienia się stopniowo w **obłok**, w **chmurę**, na koniec w ciemne zarysy górskiego lądu (**Listy z Afryki**, III s. 137).

Za Sienkiewiczem, a także imitującą go może Konopnicką („— morze, szemrząc, pluska. I tak s i ę m a r s z c z y, j a k o m o d r a ł u s k a ...", P o e z j e, wyd. Czubka, I s. 176), powtarzają się u Sieroszewskiego znamienne elementy opisu gładkiej, spokojnej toni morskiej:

SIEROSZEWSKI:

„... lustro wody ledwie się **marszczy** od podmuchów wiatru ..." (**Ocean**, XIX s. 120).

„Pustynne morze łuszczyło się wokoło **modro-złotą łuską** ..." (**Ocean**, XVIII s. 28).

„... blado błękitny Ocean cały zagrał złotymi **łuskami** drobnych fal ..." (XVIII s. 203).

„Morze aż po linię widnokręgu iskrzyło się złotymi **łuskami** drobnych fal ..." (XIX s. 188).

SIENKIEWICZ:

„Gładka toń **marszczy się** zlekka, jakby **w łuskę**, która stopniowo zaczyna srebrzyć sie i blednąć ..." (**Pisma**, 1880—1912, III s. 183—184).

Z bogatej palety malarskiej arcywzoru pochodzi również dobór efektów kolorystycznych w opisach zachodu słońca na morzu. Nowe to ognisko w łańcuchu zawisłości pozwoli do-

strzec różnice w skali: w porównaniu bowiem z analogicznymi pejzażami Sienkiewicza, szeroko ujętymi, subtelnie zaś i po mistrzowsku podmalowanymi, wspomniane deskrypcje Sieroszewskiego wydają się oschłe, jakby nieśmiałe i skrócone, ograniczone bodaj do chronograficznej funkcji w utworze.

SIEROSZEWSKI:	SIENKIEWICZ:
„**Słońce zachodziło** za chmurę płaską, twardą, zębatą, szarą i nieruchomą, jak wysoka opoka ze starym na szczycie zamczyskiem. Z poza niej strzelały w górę **złociste smugi,** a pod nią kołysało się **morze purpurowe, jak czasza krwi** ...” (VI s. 341).	„Ale **słońce zajdzie** wkrótce ... Szeroka **smuga** wody w kierunku słońca świeci jeszcze, lśni, błyszczy się, mieni i gra barwami, jakoby oświecona z pod spodu. Ta **droga złocista** ginie na krańcu widnokręgu **w morzu z purpury** ... Czarne skały nadbrzeżne, połyskujące wilgocią, wyglądają jakby oblane **krwią** ...” (**Pisma,** III s. 131—132).
„**Słońce zapadło** za lazurowe wody, zostawiając na niebie **wachlarz złotego pyłu, purpury i fioletów** ...” (XVIII s. 219).	„Był **zachód słońca,** a nad oceanem rozlewał się drugi **ocean purpury** i **złota** na **niebie** ...” (**Tamże,** s. 79).

Jeśli w imitowanym zespole barw w cytacie z O c e a n u znalazło się określenie („fiolet”), obce sugestiom źródła, nie świadczy to bynajmniej o inwencji kolorystycznej Sieroszewskiego. W polskim pejzażu, o ile wiem, po raz pierwszy zastosowane w dzienniku podróży do Grecji Weyssenhoffa (1892), oznacza tu późniejszą naleciałość pisarza, która mechanicznie przylegała do użytkowanego szablonu. Miarą zaś dużej jego zachłanności na akcesoria aury morskiej, podyktowanej może przez nieumiarkowany snobizm naśladowcy, było również wywłaszczanie z zapałem pomniejszych nawet szczegółów opisowo-ornamentacyjnych:

SIEROSZEWSKI:	SIENKIEWICZ:
„Światło **księżyca** dobiegało do samego parowca i ten płynął jego **srebrzystym drgającym gościńcem** ...” (VI s. 416).	„... **księżyc** ... ściele długie **srebrne gościńce** na wodzie ...” (**Tamże,** s. 189).
„Bałwany przelewają się ciężko, jak **roztopiony metal** ...” (VI s. 321). „Beznadziejnie patrzał na rozpaloną, **jak czara wrzącego srebra,** powierzchnię morza ...” (VI s. 411). „... w **turkusowych** otchłaniach pozostaje ...” (VI s. 404).	„Pod zachód słońca na niebie jest nieco chmur, które w miarę, jak się ściemnia, przechodzą szybko przez wszystkie **tony stopionego złota i miedzi** ...” (**Listy z Afryki, III s. 129—130**).
„... płynęli dalej po **turkusowym** śródmorzu ...” (XIX s. 114).	„Morze, jak **turkusowy** obrus, bez jednej fałdy ...” (**Listy z Afryki,** III s. 126).

Czy więc eksploatacja arcywzoru nie była wydajna i skuteczna? Amator liczby w badaniach literackich, których u nas nie braknie, miałby tu możność ustalić tu w cyfrach stosunek tej zależności. A wydaje się, że procentowa jej przewaga okazała by się w rachunku takim wcale znaczna, skoro dostarczyła pisarzowi tyle różnorodnych elementów jego techniki deskrypcyjnej. Ale wszechstronność w naśladowaniu Sienkiewicza nie przesądziła w niczym o jego wyłączności. Gdzie indziej już zresztą wspomniałem o wpływie Żeromskiego, zaznaczającym się także w zakresie pejzażu morskiego. Nie wchodząc w rolę genetyczną tego wpływu, uzasadnię jego obecność na przykładzie, znowu celowo lapidarnym:

SIEROSZEWSKI:	ŻEROMSKI:
„Łodzie i dżonki roztapiają się w **świetlistej śreżodze** ..." (**Wachlarz japoński,** VI s. 243).	„Dziwny poranek zasłał jezioro **półprzejrzystą srzeżogą** ..." (**Dzieje grzechu,** wydanie VI s. 24).

Drobny ten akcent zawisłości od Żeromskiego paraduje w cytowanym urywku w pojedynkę. Raz jednak przyswojony, kiedy indziej znów powtarza się w osobliwym bigosie opisowym („Cisza. Ocean gładki, lśniący jak zwierciadło . . . " etc. VI s. 364), który metodą konstruowania pejzażu z podpatrzonych chwytów arcywzoru przypomina podkreślaną już skłonność Sieroszewskiego do składanek. Domieszka z Żeromskiego posiada tu charakter przyprawy obrazowo-leksykalnej. A choć powtórzyła się później, i to znów w pojedynkę („Popielata, skwarna ś r e ż o g a, rozsnuła się po rozłogach . . . ", Z a c i s z e, X s. 143, albo: „Siwa ś r e ż o g a, niby dym niewidzialnego pożaru . . . ", D a l a j L a m a, XXIV s. 87), nigdy jednak nie rozrosła się, może dlatego, iż nie zaklimatyzowała się u niego dostatecznie, w zdawkowy ornament malarski Sieroszewskiego. A zatem jego wysiłek kolorystyczny zdaje się tu polegać na przypadkowym doborze barw z rejestru cudzej palety, pamięciowo opanowanego na trwałe lub raczej przyswajanego sobie od wypadku do wypadku. Domieszki z innego kotła raczej uwydatniają zszablonizowanie najczęstszych jego formuł deskrypcyjnych, które się wywodzą z pod znaku Sienkiewicza.

Lecz wszystkie te korzyści pisarza nie były jedyne, które wyniósł z terminowania u arcywzoru. Złożyły się one na elementy osobliwej jego techniki opisowej, zwłaszcza w zakresie pejzażu. A te znów, zamiast stać się punktem wyjścia, przydatnym niezawodnie i kształcącym u wstępu na drogę pi-

sarstwa, z czasem zaś podścieliskiem indywidualnej uprawy i wynalazczości własnej, przeobraziły się odrazu w manierę deskrypcyjną, o wiele zbanalizowaną w stosunku do pierwotypu. Czy nie wydaje się to zresztą zupełnie naturalne? Bo przecież sam już proceder naśladownictwa opłacił pisarz zbyt znacznym wkładem własnej energii psychicznej, by mogło mu jej starczyć na samodzielny wysiłek twórczy. I bodaj że dlatego nie wyszedł poza zautomatyzowanie imitowanej frazeologii opisowej.

Ale jego chłonność na sposoby ekspresji nie ustąpiła bynajmniej odrazu. W czym zaś należy domyślać się przyczyny tego zjawiska? Napewno nie, a raczej nie wyłącznie w nawykowym już bodaj pędzie do naśladownictwa, ani w trudnościach wyjęzyczenia się, jako pierwiastkowym niekiedy szkopule wyrazu. Sedno sprawy tkwi zapewne głębiej. Apetyt na sposoby ekspresji łączył się przecież u Sieroszewskiego z głodem realiów, z którego mozna by wnosić o organicznych jakichś defektach w zdolności widzenia świata. Nie inne bodaj, jak przyrodzone może niedobory obserwacji lub pamięci pisarza nakazywały mu szukać pomocy w rozpoznawaniu i zwyczajnej konstatacji faktów i zjawisk konkretnej rzeczywistości, dostępnych wszak i najoczywiściej mu znanych z autopsji. Nie na tym atoli koniec. Albowiem typy pamięciowe, rozróżniane w starszej psychologii popularnej, w nowszej odpowiadają analogicznym typom wyobraźni. Ta zaś pozwala sprecyzować zagadnienie nieco wyraźniej: czy nie zaważyły tu również do pewnego stopnia domniemane wady ustrojowe jego wyobraźni, które by utrudniały mu uporządkowanie i samodzielną rekonstrukcję widzianego świata na elementy opisu? Sam fakt jednak pozostanie faktem, bez względu na to, co było jego źródłem: wszystkie po trochu lub którakolwiek z wymienionych właściwości ustroju psychicznego pisarza. Ale mniejsza o przyczyny, nie zmienią one bowiem samego faktu, o który w tej chwili przede wszystkim chodzi. Bo wszak obydwa te zjawiska: głód realiów oraz apetyt na gotowe formuły ekspresji torowały po prostu drogę s p o s o b o m   w i d z e n i a   i   o d c z u w a n i a   ś w i a t a. Ścisły zaś związek pomiędzy nimi jest przecie oczywisty. A oddziaływania tego pokroju stabilizują zagadnienie zawisłości w skali znacznie wyższej i na tym szczeblu ukazują nowe oblicze naśladownictwa.

Już bowiem przykładowo aktualność jego zaznaczyła się w tym utworze Sieroszewskiego, w którym egzotyka obcej

przyrody przestała być czynnikiem dodatkowej komplikacji zagadnienia. Myślę o reportażu pisarza z podróży do puszczy Białowieskiej. Pomysł i formę krajoznawczej swej relacji, opis Białowieży, jakoteż długi szereg motywów Sieroszewski zawdzięczał deskrypcji tej puszczy w wcześniejszych wrażeniach stamtąd Sienkiewicza, garść zaś szczegółów rzeczowo-obrazowych przejął z Bene nati Orzeszkowej (Pisma, wydanie zbiorowe zupełne, t. V., 1925, s. 146—147). Suma zapożyczonych tych motywów i zbieżności budzi podejrzenie, że bez deskrypcji sienkiewiczowskiej nie było by analogicznej pozycji w twórczości Sieroszewskiego. Prawdopodobnie Sieroszewski zdawał sobie sprawę z natarczywości swych związków z uworem Sienkiewicza, niejednokrotnie bowiem próbował, jak się zdaje, skluczyć tropy naśladownictwa. Konspiracyjny taki zabieg dostrzegamy również w urywku, który niedwuznacznie akcentuje wspólność widzenia rzeczywistości u obydwu pisarzy. A chodzi tu o najistotniejszy walor opisu: piękno puszczy białowieskiej. To piękno Białowieży leży oto, według Sienkiewicza, w bogatej gamie zieloności, która wypływa z rozmaitości udrzewienia („Spoglądając w dal, widzisz wszystkie odcienie zieloności — od ciemnej aż do jasnożółtawej. Rozmaitość ta bawi oko i odejmuje puszczy posępny, jednostajny charakter . . .", Pisma, wyd. Tyg. Il., t. VI 1899, s. 130). Inaczej Sieroszewski: u niego ta „zielona powódź" (a nawet „niezmiernie zielona"), już bez zaznaczania jej odcieni, wywodzi się z jednostajności udrzewienia, dzięki czemu jakoby spojrzenie „wciąż odnajduje nowe kombinacje tonów (!), zarysów (!) i perspektywy" (III. s. 42). Powyższy zabięg, jeśli był świadomy, minął się z celem. Sieroszewski bowiem nie zdołał, tutaj ukryć cudzych okularów: spojrzenia na puszczę w kategoriach sienkiewiczowskich, zdradził natomiast, czego ujawniać nie zamierzał: i źródło, i deskrypcyjną swoją nieporadność pisarską.

* *
*

Uroki Sienkiewicza stały u kolebki Sieroszewskiego. Nie były bodaj jedyne, ale najskuteczniej może spełniły rolę bodźca i zaprawy do zawodu pisarza. Nie straciły na atrakcyjności również w późniejszych latach pracy twórczej Sieroszewskiego. Ich żywotność w czasie, jakby długofalowa, była znamieniem siły, rękojmią trwałości. Działały one w pełni, gdy Sieroszewski wziął udział w nagonce na Sienkiewicza, która

rozegrała się z początkiem bieżącego stulecia. Ówczesne jego wypowiedzi w publicystycznej tej kampanii, płaskie w treści i napastliwe w formie — przydają nowy akcent moralnej stronie sprawy. Ale bynajmniej nie dziwią. Wiele bowiem, jeśli nie wszystko tłumaczy „utarte zdanie", które Karol Irzykowski przytoczył w swym Czynie i słowie: „że najgwałtowniej zwalcza się porzuconych nauczycieli, którym się najwięcej zawdzięcza".

PALINGENEZA I ZAGADNIENIE STWORZENIA HOMUNKULUSA

WSTĘP

Przedmiot alchemii był od dawna niewyczerpanym skarbcem dla badań i poszukiwań nie tylko badaczy zainteresowanych w historii nauki chemii, ale również stanowił problem dla wielu filozofów i literatów. Chociaż zagadnienie to zostało już prawie wyczerpująco rozwiązane i opracowane przez niezliczoną ilość autorów, którzy poświęcili mu w XIX i pocz. XX wieku około 5 tys. rozpraw specjalnych, to jednak nowsze badania, które kontynuowane są w ostatnich czasach, przynoszą nieustannie nieznane dotychczas szczegóły z dziejów owej mistycznej poprzedniczki chemii. Świadczą o tym chociażby liczne prace Juliusa Ruski opublikowane w okresie lat 1920 — 30.

Dowodzi to niezwykle bogatego i obszernego pola badań starożytnej oraz średniowiecznej alchemii i zarazem wskazuje na fakt, że alchemicy tworząc swą oryginalną filozofię natury i hermetyczny światopogląd często trudnili się i stykali z problematami, którymi obecnie zajmują się nauki przyrodnicze. Do takich zagadnień należy usiłowanie stworzenia syntetycznego życia przez alchemików oraz rozwiązanie laboratoryjne procesu „palingenezy".

Opracowanie tego tematu rzuca charakterystyczne i ciekawe zarazem światło na samą alchemię, ukazując specyficzne wędrówki myśli ludzkiej w pogoni za poznaniem prawdy. Sam historyczny przegląd owych usiłowań posiada dużą wartość dla historii kultury w ogóle, a dla dziejów nauk przyrodniczych, przede wszystkim chemii i biologii, w szczególności.

Obecnie jest rzeczą znaną, że alchemia przechodziła dłuższy okres swego rozwoju aniżeli nowoczesna chemia, która jest nauką bardzo młodą. Pozytywna chemia powstała w czasach R. Boyle'a (1627 — 1691) a skrystalizowała się w konkretną naukę przyrodniczą w okresie działalności genialnego Lavoisier'a (1743 — 1794) i Łomonosowa (1711 — 1765). Ale badacze ci zastali już obszerny materiał zarówno teoretyczny jak

empiryczny, nagromadzony skrzętnie w okresie stuleci przez alchemików, spagiryków, jatrochemików, flogistyków, pneumatyków itd. Należało przerobić i opracować krytycznie nagromadzony stek bezładnych zdawałoby się i niepowiązanych ze sobą faktów, luźnych spostrzeżeń, teoryj, poglądów i przekonań. Z tego zadania chemia XVIII wieku wywiązała się bez zarzutu. Zresztą podłoże filozoficzne wieku oświecenia wybitnie sprzyjało podjęciu tego rodzaju pracy, a systematy Locke'a przeniesione na grunt europejski i propagowane przez sensualistę Condillac'a we Francji, pod którego wpływem pozostawał Lavoisier, zadały cios stanowczy koncepcjom Descartesa i Mallebranche'a, i zarazem przyczyniły się do pozytywnego rozwoju nauk przyrodniczych, takich jak chemia, fizyka, mechanika i biologia.

Zanim zajmiemy się alchemicznymi zagadnieniami palingenezy i homunkulusa pozwolimy sobie przytoczyć niektóre szczegóły z historii alchemii i rzucić kilka uwag w związku z tym zagadnieniem. Śledzenie ewolucji pojęć filozoficzno-chemicznych jak również metodyki eksperymentalnej pozwoli nam wyrobić sobie właściwy sąd w ujmowaniu genetycznym twórczości chemicznej w zamierzchłym okresie alchemii.

Pewne prace i wiadomości chemiczne znane już były starożytnym ludom wschodu. Najdawniejsze dokumenty pisane z tej dziedziny sięgają zamierzchłych czasów przed narodzeniem Chrystusa. Egipcjanie doprowadzili naukę chemii do imponującego rozwoju. Porcelana starożytna, szkło i rozmaite barwniki, które przechowały się do dzisiaj budzą podziw u znawców. Kolegia kapłańskie, które kultywowały badania naukowe, zapewne były w posiadaniu wielu ciekawych odkryć chemicznych, dzięki czemu mogły utwierdzić swoją polityczną pozycję w ówczesnym społeczeństwie oraz rozszerzyć władzę. Z chwilą gdy hellenizm wkroczył do Egiptu „czarna wiedza", jak nazywano chemię, przeniknęła powoli z sanktuariów świątynnych do Europy. Rozmaici greccy, egipscy itp. awanturnicy, poszukujący przygód i włóczący się po wschodzie zakładali towarzystwa tajemne, zadaniem których było wytwarzanie sztucznego złota. Znane było np. w Aleksandrii towarzystwo alchemiczne, do którego należała Żydówka Maria Prophetissa, Pammenes i w. in. Należy tu podkreślić, że ideja wytworzenia tzw. „kamienia filozoficznego" pojawia się po raz pierwszy w III wieku po narodzeniu Chr. W tym też okresie powstaje wiele legend alchemicznych w rodzaju opowiadania

o Tablicy Szmaragdowej (Tabula Smaragdina), autorem której miał być mityczny bóg nauk — Hermes Trismegistos, a która — jak wykazały nowsze badania — jest zabytkiem z okresu późnej starożytności. Wiele zagadnień natury medycznej doczepili do alchemii Arabowie, którzy dokonali licznych odkryć na polu chemii. Znakomity empiryk arabski Geber (VIII w.) wynalazł kwas solny, wodę królewską, otrzymał wiele soli i znał doskonale podstawowe operacje chemiczne. W okresie gdy fala alchemiczna wkracza do Europy ze wschodu, poprzez Hiszpanię i Włochy, natychmiast pojawiają się pierwowzory nowych hipotez chemicznych i do centralnego zagadnienia, jakim było na początku wytworzenie oraz użycie tajemniczego „kamienia filozoficznego" dołączyło się wiele zamierzeń ubocznych, będących następnie przedmiotem prac i dociekań alchemików. Jest przyjęty ogólnie niesłuszny pogląd, że teoretyczno-empiryczne usiłowania alchemii zmierzały jedynie do osiągnięcia trzech najgłówniejszych celów, a mianowicie:

1-o, sporządzenia kamienia filozoficznego, „Wielkiego Magisterium", „Czerwonej Tynktury", substancji za pomocą której można byłoby zamieniać metale nieszlachetne na złoto,

2-o, sporządzenia „Małego Magisterium", „Białej Tynktury", transmutującej metale na srebro,

3-o, otrzymania uniwersalnego lekarstwa, „Panaceum vitae", „Eliksiru Życia", leczącego choroby, przywracającego utraconą młodość i przedłużającego życie ludzkie.

Pogląd powyższy podziela m. in. dr J. B. Dziekoński[1]) oraz niektórzy inni dawniejsi autorzy, piszący o alchemii.[2]) Historia alchemii wykazała jednak, że podobne zapatrywanie jest pozbawione całkowicie słuszności, gdyż oprócz powyższych zamierzeń alchemicy pracowali również nad innymi problemami. Stosownie do prądów umysłowych danej epoki nieustannie wysuwał się cały szereg nowych zagadnień, których rozwiązanie było zadaniem alchemii. Tak więc w okresie działalności Paracelsusa, czyli w epoce XVI wieku, daje się obser-

[1]) Por.: „Krótki rys historii alchemii, ułożony według Schmiedera", przez J. B. Dziekońskiego. „Biblioteka Warszawska", 1844. Tom drugi. Str. 56-7.

[2]) Nowsze polskie opracowania zagadnień związanych z alchemią, prawie zawsze pomijają problem palingenezy i homunkulusa. Z dawniejszych autorów wspomina o nim, bardzo pobieżnie co prawda, Feliks Beneveni w rozprawie swej „Dzieje alchemii, czyli nauki o filozoficznym kamieniu". „Przegląd Europejski . . ." J. I. Kraszewskiego. Rok II. Tom VI. Warszawa, 1863. Str. 472-3. Inne źródła przytaczam w dalszym ciągu.

wować silna tendencja połączenia i zespolenia alchemii z medycyną, powstaje jatrochemia uważająca chemię za część medycyny, w tym czasie w laboriatoriach chemicznych pracowano nad wykrywaniem i sporządzaniem pożytecznych lekarstw, a zasadniczy cel wynalezienia kamienia filozoficznego ustąpił częściowo miejsca utylitarnemu pragnieniu utworzenia „eliksiru życia". Dawniej jeszcze usiłowali alchemicy otrzymać tzw. „alkahest" (z greck. kaustes-palący), Menstruum universale, rozpuszczalnik uniwersalny, za pomocą którego, — według poglądów alchemii — byłoby możliwe rozkładanie metali na ich zasadnicze składniki: Mercurius, Sulphur i Sal.[3]) Jeśli zaś udałoby się rozłożyć je na te zasady, alchemicy wierzyli, iż łatwiejsze już byłoby ich zestawienie w takiej proporcji, jaką posiadają w ciałach doskonałych, a więc w złocie i srebrze. W tym okresie wykonanie kamienia filozoficznego równoważyło się z wytworzeniem alkahestu. Wreszcie do zadań alchemii średniowiecznej dochodzi, może pod wpływem rozwoju nauk biologicznych i zainteresowania zjawiskiem życia, dążność stworzenia homunkulusa, sztucznego człowieczka. Alchemicy badają również warunki wytworzenia zjawiska „palingenezy" czyli odradzania zmarłych czy też zabitych zwierząt a nawet ludzi. Prawie wszystkie średniowieczne traktaty alchemiczne poruszające te kwestie zapatrują się na nie poważnie i starają się dowieść, że problemy te nie stoją w sprzeczności z prawami natury i możliwościami ich sztuki.

Podstawowe zamierzenia i cele alchemii, odgrywające dominującą rolę w jej dziejach i rozwoju, możemy tedy przedstawić w następującym schemacie:



[3]) O moniżmie alchemistycznym por. J. Jollivet Castelot „La Science Alchimique", Paris, 1904 oraz Albert Poisson: „Theories et Symboles des Alchimistes", Paris, 1891.

Obok tego należałoby jeszcze wspomnieć o rozmaitych dociekaniach drugorzędnych, okolicznościowych, jak np. o spekulacjach mistyczno-alchemicznych w związku z Archeuszem, siłą twórczą przyrody, duchem świata, własnością leczniczą żywiołów itd., zagadnienia te łączą się ściśle z filozofią alchemii i światopoglądem alchemików. Nie ulega wątpliwości, że alchemicy, obserwując przez długi okres rozmaite zjawiska natury poznali wiele jej tajników. Mamy dzisiaj dowody na to, że znali zjawiska elektryczności i magnetyzmu, interesowali się również luminiscensją ciał i prawdopodobnie obserwowali wielokrotnie substancje promieniotwórcze.

Współczesny rozwój chemii i fizyki zrehabilitował w pewnej mierze dawne teorie alchemików odnośnie transmutacji metali. Fizyka współczesna upatruje istnienie „pramaterii" w odrębnej cegiełce jądra atomowego — nukleonie. Zamiana pierwiastków jednych na drugie jest już dziś faktem udowodnionym. Teorie alchemiczne przepowiedziały wiele wspaniałych odkryć w dziedzinie budowy materii, zrealizowanie których przypadło jednak w udziale nauce opartej na doświadczeniu i logicznych przesłankach.

Liczni alchemicy o skłonnościach mistyczno-filozoficznych traktowali alchemię jako czynnik podrzędny i uważali, że poza zwykłym badaniem zjawisk kryje się treść ezoteryczna. Stąd powstają rozmaite kierunki alchemii. Jeden kierunek gubiąc się w dociekaniach filozoficznych i duchowych, oddala się w poszukiwaniu prawdy od właściwego empiryzmu i dowodzi, że alchemiczne „Wielkie Dzieło" odnosi się do uszlachetnienia jednostki ludzkiej, drugi zmierzający po linii uczciwej obserwacji przysparza wiele genialnych odkryć i wynalazków. Powstawanie takich odłamów alchemii z kierunku mistycznego, jak Różókrzyżowcy i Hermetyści, nie może wydać się dziwne, o ile zagadnienie to rozpatrzone zostanie z historycznego punktu widzenia. Silna organizacja Inkwizycji w średnich wiekach święciła rok rocznie znakomite tryumfy w rozmaitych krajach. A jasne jest, że wiele umysłów, które musiały wykroczyć poza kanony średniowiecznej teologii scholastycznej oraz odrzucić sposób poznawania natury za pomocą Biblii i systemów Arystotelesa, szukało nowych dróg i nowych metod poznawania prawdy. O zarzut herezji i czarnoksięstwa w tych czasach nie było trudno. Alchemicy szukali prawdy w naturze i doświadczeniu, nie zawsze mogli jednak usiłowania i dociekania swe kontynuować jawnie i otwarcie.

A więc wydaje się naturalną rzeczą, że wszelkim konkretnym rozmyślaniom o naturze, wszelkim traktatom alchemicznym towarzyszą przedziwne emblematy i wizerunki, które profana i Inkwizycję mają wprowadzić na bezdroża, a znane są tylko nielicznej grupce adeptów, spadkobierców sztuki Hermesa Trismegisty. Owa frazeologia malarska przewijająca się obok niezrozumiałych pojęć i wyrażeń, nieustannie w literaturze alchemicznej wprowadza umysły mierne i bardziej prymitywne w tak ponętny dla natury ludzkiej świat liturgii alchemicznej. Alchemicy, którzy powierzchownie starali się pojmować prawdę zawartą w jakimś dziele poważnego uczonego, doceniali więcej owe emblematy i ozdoby aniżeli konkretne myśli zawarte w jego pracy. Sanktuaria Różokrzyżowców, mistyczne praktyki prowadzone w związku z alchemią duchową, magiczne zaklęcia i formułki odmawiane przy topieniu metali wreszcie nieodłączny związek astrologii z alchemią, oto przykłady owego nierozumnego i bezkrytycznego traktowania realnych zjawisk natury. Napuszona uczoność i pycha bijąca z licznych prac alchemików tego pokroju była tylko maską niewiedzy i szarlatańswa. Mistycy alchemiczni w rodzaju R. Fludda, Paracelsusa, Andreasa i w. in., usiłujący ulepszyć naturę ludzką, pragnęli połączyć w jeden systemat wiedzę o świecie, przy czym za jedyną realną podstawę swoich usiłowań starali się przedstawić swoje arkana alchemiczne. Zadanie to oczywiście wydaje się z dzisiejszego punktu widzenia zbyt śmiałe i godne pożałowania, ażeby można było mówić o nim poważnie. Tą jednak drogą postępowała myśl ludzka w mistycyźmie alchemicznym. Rzeczą dziwną wyda się już przynależność do podobnych organizacji mistycznych największych geniuszów ludzkości. Do towarzystwa Różokrzyżowców należał filozof Leibniz (1646 — 1716), a alchemią interesował się wielce — jak to wykazały najnowsze badania — genialny Isaak Newton (1643 — 1727), który poszukiwał kamienia filozoficznego i wierzył w jego wynalezienie.[4])

[4]) Z końcem lipca 1936 roku sprzedano w Londynie papiery i książki po Newtonie, które przez z górą 200 lat przechowywała i ukrywała jego rodzina. Są one niemałą sensacją, gdyż przedstawiają Newtona jako zapalonego alchemika. O podobnych zainteresowaniach Newtona wspominał kilkanaście lat wcześniej pisarz Surya w jednym z przypisków swej książki „Okkulte Weltallslehre", historycy milczeli jednak w tej sprawie z powodu braku dowodów. Obecnie w związku ze wspomnianą sprzedaża, sprawa ta stała się znów aktualna. O perspektywach tego „odkrycia" pisze Bernard Fay w numerze z dn. 23 lipca 1936 r. paryskiego tygodnika

Druga droga alchemii, realna i naturalistyczna przysporzyła co prawda bogatych odkryć nauce chemii, ale zato historia jej nie obfituje w tyle charakterystycznych momentów i zdarzeń, w jakie bogata jest dziedzina alchemii mistycznej. Berthold Schwartz vel Konstanty Antzklitzen odkrywa ok. r. 1380 proch strzelniczy. Alchemik van Helmont przyczynia się do trzeźwego traktowania zjawisk natury i daje wiele konkretnych i wartościowych myśli związanych z najrozmaitszymi faktami. Glauber zajmując się swoją techniczną chemią odkrywa siarczan sodowy, uczy się destylować ocet, wyrabiać piwo, H. Brand poszukując kamienia filozoficznego w moczu produkuje fosfór, a Böttger wypala swoją şaską porcelanę.

Dzisiaj możemy uważać alchemię za pewien rodzaj obłędu chemicznego. Zagadnieniem produkowania sztucznego złota interesowali się nie tylko uczeni i badacze natury, ale królowie i możni, osoby całkiem niepowołane do badań chemicznych, ubodzy szewcy, krawcy, bakałarze wędrowni, studenci, szarlatani, którzy obok tego zajmowali się wróżeniem i sprzedażą leków miłosnych. „Auri sacra fames", nadzieja otrzymania sztucznego złota z ołowiu czy rtęci, a co za tym idzie, pragnienie szybkiego wzbogacenia się, zawróciły wielu ludziom głowy, dlatego większość alchemików ażeby tylko osiągnąć ten szczytny cel zarzuciło na zawsze rzetelne i żmudne badanie natury. Jednakże traktaty poważniejszych alchemików zawierają niezwykłe bogactwo myśli i głębokie poglądy

„Candide": „Partia zasadnicza i najbardziej rewelacyjna tej kolekcji składa się z książek o alchemii, które Newton posiadał, czytał i pokrywał swymi notatkami. Z górą sześćset pięćdziesiąt tysięcy słów autografów Newtona — mówią skromnie i rzeczowo panowie Sotheby & Co (firma antykwarska sprzedająca te papiery) — pójdzie na sprzedaż . . . Sir Isaac Newton szukał kamienia filozoficznego, eliksiru życia i sekretu przemieniania metali . . . „Times" londyński, podając datę i warunki tej sprzedaży, ogłosił wstydliwy artykuł, tłumaczący, iż „każdy wielki człowiek był równocześnie nieśmiertelny i śmiertelny, pozaczasowy i tkwiący w swoim czasie. Sir Isaac Newton, nieśmiertelny jako — twórca nauki współczesnej, był śmiertelny jako kontynuator alchemików. W cieniu jego geniuszu, stanowiącego fundament jego istoty, i bez wpływu nań, istniało trochę odziedziczonych dziwactw, malowniczych ale bez znaczenia, gdyż nie mających nic wspólnego z jego dziełem twórczym (por. artykuł: „Sir Isaac Newton alchemikiem", wm. (W. Mierski), zamieszczony w „Lotosie", Roczn. III. Zesz. 11. Listopad 1936. Str. 334). Historyczne opracowanie tych archiwów przyniesie niewątpliwie wiele ciekawych szczegółów z zapatrywań genialnego Newtona na sprawę kamienia filozoficznego i innych teorii alchemicznych.

na naturę, oparte na wnikliwych obserwacjach i logicznych założeniach. Te właśnie poglądy składają się na ogólną alchemiczną filozofię przyrody.

1. PALINGENEZA.

Wiele traktatów alchemicznych z okresu średniowiecza porusza problem palingenezy. Wyraz „palingeneza" lub „palingenezja" jest pochodzenia greckiego (palingenesia od palin — znowu, spowrotem i genesis — rodzenie, powstawanie, łac. palingenesia, ae, f.) i w dosłownym tłumaczeniu oznacza „powtórne narodzenie", zaś w interpretacji hermetycznej określa pewne, okresowe odradzanie się tego samego ducha w różnych ciałach materialnych.[5]) Alchemicy wierzyli, że zniszczony lub obumarły organizm, zarówno człowieka jak zwierzęcia i rośliny, można „ożywić" i doprowadzić do poprzedniego stanu fizjologicznego, o ile zastosuje się odpowiednie operacje magiczno-alchemiczne. W tym znaczeniu wyrazem „palingeneza", określano stan żywych stworzeń, których ciało uległo jakiemuś częściowemu uszkodzeniu czy też wprost zniszczeniu, co następnie zostało dopełnione przez sztukę alchemiczną.

Idei palingenezy należy szukać w spekulacjach pisarzy starożytnych. Znajdujemy ją już w zamierzchłej starożytności w Indiach a także u filozofów greckich. Filozofowie greccy w szczególności Pitagoras, Heraklit, Platon i stoicy stworzyli teoretyczne podstawy wiary w palingenezę. Obserwując zjawiska i prawa natury oraz opierając się na ich podobieństwie lub wprost tożsamości twierdzili, że światy (przejawy) następujące po sobie, muszą być najzupełniej do siebie podobne. Stoicy starali się dowodzić, że wszystkie istoty żyjące odradzają się powtórnie po swej śmierci, przy czym podobna przemiana odbywa się periodycznie w historii.[6]) Pitagoras z Samos

[5]) A. K. Gleic: „Glossariusz okultyzmu", Kraków, 1936. Str. 64.

[6]) Por. encyklopedie; Podręczna Enc. Kościelna. Warszawa, 1913. Tom XXIX—XXX. Str. 325. Enc. Powszechna Ultima Thule. W-wa, 1937, T. XVIII. Str. 207. S. Orgelbranda Enc. Powsz. W-wa, 1901. T. XI. Str. 241.

„Palingeneza" jest także terminem filozoficznym, który stał się dość powszechny od czasów ogłoszenia przez Karola Bonnet'a (1720—1793), zwolennnika połowicznego sensualizmu materialistycznego oraz jednego z prekursorów Darwina, dzieła: „Idées sur l'état future des êtres vivants ou Palingénesie philosophique". Według Bonnet'a każda istota żyjąca może się powtórnie odradzać po swej śmierci.

przyczynił się swoimi spekulacjami do stworzenia podobnego mniemania odnośnie wędrówki dusz (metempsychoza i reinkarnacja).

Wydaje się rzeczą pewną, że dzięki koncepcjom filozofów i pisarzy starożytnych powstały w okresie wieków średnich dążenia i usiłowania do laboratoryjnej realizacji tego zagadnienia. Pomimo niskiego stanu wiedzy przyrodniczej i nikłych wiadomości teoretycznych z dziedziny anatomii i fizjologii wielu uczonych średniowiecznych zapatrywało się na tę sprawę całkiem pozytywnie. Uważali oni, że za pomocą prostych operacji chemicznych (np. przez zwykłe podgrzanie badanej substancji w rurce destylacyjnej) uda się im przywrócić utraconą formę spalonej rośliny. Niektórzy alchemicy piszą przy tym wiele o współdziałaniu podczas procesu tajemniczej siły psychicznej, której obecność może jedynie zapewnić pozytywny wynik eksperymentu. Przejrzyjmy niektóre z odnośnych poglądów.

Dr Herbert Silberer w swej pracy „Problems of Mysticism and its Symbolism"[7]) mówiąc o homunkulusie dodaje następującą ciekawą wzmiankę dotyczącą palingenezy: „Duże znaczenie dla dojścia do skutku praktyk homunkulusowych posiada ideja palingenezy. Przedstawiano sobie, że martwa istota może być ożywiona (co najmniej jako gazowa postać) jeśli starannie zbierze się jej wszystkie części, zmiesza i tę masę podgrzeje po umieszczeniu w naczyniu, na odpowiednim ogniu. Po pewnym czasie zjawia się podobny do obłoczku dymu delikatny obraz poprzednio żywej istoty (rośliny, ptaka, człowieka). Obłok znika, jeśli przerywa się podgrzewanie. Czasem jest to możliwe, lecz także trudniejsze posunąć się dalej poza sam obłok i kazać powstać z popiołu w całym ciele ożywionej istocie. W odnośnych przepisach dużą rolę odgrywa nawóz koński (?) lub jakaś gnijąca inna substancja. Wielu autorów baje dużo o różnych cudownych próbach, jakich do-

---

O paningenezie filozoficznej napisał obszerną pracę znany myśliciel i filozof polski August Cieszkowski: „Gott und Palingenesie" von Dr. A. C. Erster, kritischer Teil. Berlin. Verlag von E. H. Schroeder. 1842. (Wyd. polskie: August Cieszkowski: „Bóg i Palingeneza", Poznań, 1912).

Należy jeszcze nadmienić, że wyraz „palingeneza" bywa też używany w zoologii dla oznaczenia przemian jakim podlegają owady, kiedy np. z gąsienicy tworzy się poczwarka o zupełnie innej postaci (gąsienica — poczwarka — motyl).

[7]) Korzystam z przekładu niemieckiego: „Probleme der Mystik und ihrer Symbolik" von H. S. Wien und Leipzig 1914 (Hugo Heller & Co). S. 92.

konywali. Tak opowiada jeden, że spalił on na popiół ptaka i potem znow go ożywił, inny znów wywołał w retorcie dymno-gazowy obraz dziecka z rozkładającego się trupa tegoż itd. Widać w tym właściwie, jak mityczny motyw rozkawałkowania i ożywienia wyraża się w naiwnej praktyce. Ciekawe jest, że ta praktyka nosi te same rysy, jak mityczne wyobrażenie: wszystkie części składowe rozczłonkowane na małe kawałki muszą być troskliwie razem zebrane, zostają zamknięte w garnuszku i (najczęściej) gotowane[7].

Niektóre źródła ujmują teoretycznie zagadnienie palingenezy i dokonywują specjalnej klasyfikacji. Tak więc według pism hermetycznych palingeneza dzieli się na nadprzyrodzoną i przyrodzoną.[8]) O ile praktyczne przeprowadzenie palingenezy nadprzyrodzonej wymaga od eksperymentatora wielu skomplikowanych i trudnych do wypełnienia warunków, specjalnego natchnienia, odpowiednich właściwości itp., to, jak pouczają prace alchemików, palingeneza przyrodzona jest o wiele łatwiejszym procesem, dającym się przy uwadze i pilności adepta szybko wykonać.

Powyższy podział został jeszcze rozbity na specjalne działy, które właściwie dotyczą tylko palingenezy przyrodzonej. A więc hermetyści rozróżniają tu palingenezę zwierząt, roślin i minerałów, która może być zarówno sztuczna, jak rzeczywista. Sztuczna opiera się na naukowych zjawiskach optyki, chemii, fizyki i mechaniki, zjawiskach czysto materialnych i naturalnych, w których może nie występować pierwiastek psychiczny, i które dają się klasyfikować w dziedzinie tzw. „białej magii" (w rozumieniu popularnym, ironicznym) czyli prestidigitatorstwa.

O palingenezie zwierząt i roślin pisał już Platon, Seneka Erast, Avicenna, Averröes, Albert Wielki, zaś w późniejszych czasach Hieronim Cardan (1501 — 1576), Cornelius Agryppa von Nettesheim (1486 — 1535), Teofrastus Paracelsus (1493—1541) i Mauer w dziele „Amphiteatrum magiae universae", wreszcie Buffon i in. Niesłuszne jest więc twierdzenie F. Beneveniego, jakoby pierwotna myśl o możności tworzenia roślin z ich popiołów podał około roku 1600 lekarz Henryka IV,

[8]) Por. „Das Geheimnis der Verwesung und Verbrennung aller Dinge". Frankfurt 1733. „Edelgeborene Jungfrau Alchemia", 1730 pag. 420, oraz St. A. Wotowski: „Tajemnice czarnej i białej magii", Warszawa, b. r. str. 167, Wyd. drugie, Warszawa, 1939, str. 220.

paracelsista Józef Diuszen (Duchene), zwany z łac. Quercetanus, który również zajmował się tym zagadnieniem.

Eliphas Levi przytacza kilka przykładów demonstrowania tego zjawiska. Kircher (Athanasius? zm. 1680) w r. 1687 przedstawiał królowej Krystynie Szwedzkiej ożywienie róży. Sekret ten otrzymał od cesarza Ferdynarda III, który z kolei posiadł od arcyksięcia Maksymiliana, ten zaś od słynnego Terencjusza. Podawano, że receptę tę odnaleźć można w rzadkim dziele, wydrukowanym w 1785 r. w Frankfurcie, noszącym tytuł: „Künstliche Auferweckung der Pflanzen, Menschen und Thiere aus ihrer Asche" (tj. Sztuczne ożywianie roślin, ludzi i zwierząt z ich popiołów). Zainteresowani jednak skarżyli się, że dzieło to jest mało zrozumiałe, a wielce zarozumiałe i wedle jego przepisów operacji robić nie można.[9])

Słynny filozof i okultysta Agryppa von Nettesheim w swoim dziele „Philosophia occulta" opisuje pewną arabską roślinę, zwaną „Pali", która przy dotknięciu martwych ciał ma własność ożywiania ich.

Największy i najsłynniejszy lekarz-alchemik średniowiecza Teofrastus Paracelsus interesował się zagadnieniem odradzania, a także próbami stworzenia homunkulusa. Adam Bełcikowski podaje,[10]) iż pod koniec życia tego alchemisty obiegała wersja o jego odmłodzeniu, podobna do owego romansu o czarnoksiężniku Wergiliuszu, który był wówczas znany publiczności zachodniej i środkowej Europy.[11]) Paracelsus pozostawił własny przepis na laboratoryjne przeprowadzenie palingenezy: „Weź niedawno wysiedzianego ptaka, zamknij go hermetycznie do szklanej kolby i spal stosownym ogniem na popiół. Następnie postaw naczynie z popiołem spalonego ptaka w nawóz koński i trzymaj dopóty, dopóki nie ujrzysz pewnej śluzy. Śluz ten wlej starannie do przyrządzonej skorupy jajka i podłóż pod ptaka, by na nim siedział jak zwykle. Spalony ptaszek pojawi się z powrotem.[12]) W taki oto sposób, mniema Paracelsus, można ożywiać wszelkie istoty, a nawet zmarłych ludzi. Podobnie sądzi hr. Digby, który udowadnia, że po spaleniu raka na popiół, można go stworzyć powtórnie. Szczegółowy opis doświadczenia znaleźć można w Maurera „Amphi-

[9]) 1. c. cit. p. 168, p. 220.
[10]) „Pamiętnik Towarzystwa Literackiego", IV. 1890, str. 140.
[11]) Gräse, Liter. Geschichte, II 2 Abt. 627.
[12]) Wotowski, 1. c. 168, 221.

teatrum magiae universae", który pisze iż czynił to z rybkami.[13])

W bogatym skarbcu wierzeń, podań i legend ludowych różnych narodów starożytnych i współczesnych często można spotkać motyw palingenezy; niejednokrotnie zniekształcony i ukoloryzowany wskazuje jednak na silnie zakorzenioną wiarę w możliwość odradzania.[14])

Grecy spokrewnili Fenicjan z ojczyzną tajemniczego ptaka, Feniksa, który według podania po pięćsetletnim życiu rzucał się w ogień wraz z gniazdem i odradzał się, tj. z popiołu po starym ptaku powstawał taki sam nowy.[15])

Owidiusz w swych Przemianach (VII 179) opisuje czarodziejskie praktyki pięknej wnuczki słońca Heliosa, córki królewskiej — Medei:

Jazon, mąż czarodziejki powrócił do Jolkos. Nie patrzy bohater na tłumy witające go w mieście. Zdaje się myśleć o swym starym ojcu, który złożony ciężką chorobą dogorywa w domu. Wówczas Medea podejmuje się przywrócić młodość starcowi. W piękną noc o pełni wychodzi z domu sama, bosa z sierpem w ręku i wędruje porzez wąwozy Tesalii zbierając zioła czarnoksięskie. Na dziewiątą noc powraca i rozpoczyna swe dzieło. Buduje z darni ołtarz dla Hekate, bogini czarów, i dla bogini Młodości. Zabija czarną owcę, potem składa ofia-

[13]) Idem, 163, 221—2, oraz: Por.: „Elias Artista redivivus oder Das Buch vom Salz und Raum" von Dr. med. Ferdinand Maack. Berlin, 1913. Oraz: W wydanym w r. 1781 „Annulus Platonis" (pag. 100) czytamy: „Gdy postawi się w wilgotnym miejscu popiół sporządzony z raków, albo umieści go w glinianym naczyniu z odrobiną czystej deszczówki lub wody słonecznej (Sonnenwasser), otrzyma się w przeciągu dwudziestu dni niezliczoną ilość małych żyjących robaczków, a jeśli potem zrosi się to krwią bydlęcą, wtedy, powoli zaczną powstawać z tego raki (Porta). Doświadczenie to jest niezawodne. Dygby przedstawiał pewnemu przyjacielowi w Paryżu podczas uczty wieczornej, pełną miskę takich raków, spreparowanych przez niego które były niepospolicie duże i wyśmienite w smaku. Paracelsus pisze, że gdy spali się na popiół ptaka w zamkniętym naczyniu, i zamknięte umieści w nawozie, powstanie z tego mazista ciecz, a z niej, pod wpływem ciepła „znowu ukształtuje się ptaszek", itd.

[14]) Wielokrotnie spotykany wątek odrodzeń ma, według dr-a A. Czubryńskiego pochodzenie księżycowe (przeważnie); np. odmłodzenie po „trzech" dniach lub innych czasokresach. Autor ten omówił swój pogląd w pracy o „Twardowskim". Poza tym materiał można znaleźć u Alfreda Jeremiasa w jego pracach zamieszczonych w skorowidzu „Zerstückelungsmotiv" i w pracy Ernsta Siecke, „Drachenkämpfe".

[15]) Biblioteka Wiedzy. T. 46. H. W. Van Loon: „Dzieje zdobycia mórz" Warszawa, b. r. Str. 26.

rę z miodu zmieszanego z mlekiem, winem i wodą, przeznaczoną dla bóstw śmierci, by nie godziły na życie Ajzona. Odprawia wszystkich. Rozpuściwszy włosy niby bachantka, zapaliła pochodnie zanurzone w krwi zwierząt i trzykrotnie oczyściła ciało starca ogniem, wodą i siarką.[16])

W kotle warzyły się zioła. Wróżka dodała jeszcze rosy księżycowej, piór strzygi, wschodnich kamieni, pereł, łeb sowy, wnętrzności wilkołaka, pokrywę żółwia . . . i warzy wszystko, aż piana występuje na brzegi naczynia . . . A gdy sucha gałąź użyta do mieszania przybrała kolor zielony . . .

> Na ten widok Medea miecz w starca bez zwłoki
> Topi, krew starca ściąga, nowe wlewa soki.
> I ustami i rana Ezon je połyka,
> Zaraz z włosów i brody siwizna mu znika;
> Z nią chudość i bladość, krew zapełnia żyły,
> Ciało pokrywa zmarszczki i powracają siły;
> Powstał Ezon szczęśliwy i poznał radośnie,
> Iż tym na nowo został, czym był w życia wiośnie.[17])

Z postacią czarnoksiężnika Wirgilego, będącego średniowieczną przeróbką rzymskiego poety Publiusa Vergiliusa Marona (70 — 19 przed Chr.), wcześnie poznanego w Europie, ma także związek opowieść o odrodzeniu. Przytaczam to podanie za d-rem A. Czubryńskim: „Wergili uprosił sobie u cesarza, dla którego zdziałał wiele cudownych rzeczy, trzy tygodnie urlopu, poczem odjechał z wiernym służącym do swego zamku, którego wnijście było zamknięte na sztaby. Wergili pokazał służącemu u boku wnijścia śrubę. Kiedy ją odkręcili, sztaby usunęły się i obaj mogli się dostać do zamku przez bramę. Bramę mocno zamknięto; a czarodziej wstąpił ze swym służącym do piwnicy gdzie wisiała „piękna, zawsze paląca się się lampa". „Tu — rzekł Wirgili do swego służącego, — w tej oto beczce, która tu stoi, masz mnie zasolić: Masz całe me ciało na kawałki porąbać, a głowę moją na cztery części podzielić, te najpierw do beczki włożyć, inne kawałki na nie, a serce moje do środka. Potem postaw beczkę tak pod lampę, aby olej dzień i noc do niej się sączył i przychodź przez dziewięć dni, codziennie, celem napełnienia lampy i nie zaniechaj tego, poczem ja powtórnie zmartwychwstanę, stanę się mło-

[16]) Jan Parandowski: „Mitologia". Lwów, 1924. Str. 169.
[17]) „P. Owidiusza Nazona Przemiany", Poema w XV pieśniach. Przekład Br. Kicińskiego. Warszawa, 1826. Tom II, 91. VII, 289—96.

dzieńcem i będę jeszcze długo żył". Służący wzdrygał się z wykonaniem tego strasznego zadania, musiał jednak w końcu wszystko, co mu nakazał wypełnić, poczem zamek puścił, odkręcił śruby, na co poruszyły się sztaby. Przez siedem dni cesarz już nie widział swego czarodzieja, poczem kazał przyjść do siebie służącemu i dowiadywał się, gdzie Wirgili przebywa. Groźbami wymuszono na nim zeznanie, że Wirgili przed siedmiu dniami udał się do swego zamku i że od tego czasu więcej go już nie widziano. Cesarz udał się ze swym orszakiem do zamku i tak długo szukał, aż wreszcie w piwnicy znalazł magiczny grób czarodzieja. Cesarz rozgniewał się na widok tegoż i w mniemaniu, że służący zbrodniczo zabił Wirgilego, kazał go na miejscu zabić. „Wtem zobaczono jak nagie dzieciątko trzykroć wokół beczki biegało i usłyszano głos: „przeklętym niech będzie dzień i godzina w którejście tu przybyli!" Od tego czasu już więcej dziecięcia nie widziano, a Wergili tam pozostał, gdzie był."[18])

W litewskiej bajce o „Żydzie i św. Piotrze" spotykamy wątek o posiekaniu. „Piotr mówi do Żyda, żeby pójść do zamku króla, którego córka umarła. Piotr ofiaruje się królowi córkę wskrzesić, a otrzymawszy przyzwolenie króla, mówi do Żyda: „Musimy dziecię rozrąbać, do kotła wrzucić i gotować, poczem kawałki złożyć, wtedy ożyje". Gdy to zrobili, Piotr zawołał: „W mym imieniu wstań!"[19])

W eposie fińskim „Kalewali", którego strzeszczenie podała Kazimiera Zawistowicz,[20]) znajduje się wątek odrodzenia. Leminhäinen, piękny, niefrasobliwy, przygód zawsze żądny młodzieniec, udaje się do Krainy Północy zaczarowuje wszystkich jej mieszkańców, z wyjątkiem pewnego starca, ślepca, któremu udaje się umknąć przed czarodziejem. Leminhäinen prosi Władczynię Krainy Północy o rękę jej córki; na co ta przyzwala; lecz zadaje mu wiele ciężkich prób, które bohater bez zwlekania wykonuje. Lecz uwolniony starzec czyha, i w pewnej chwili zsyła na Leminhäinena żmiję, która jadowitym ukąszeniem zabija młodzieńca. Wówczas ślepiec, strąciwszy cia-

[18]) Dr A. Czubryński: „Mistrz Twardowski", Studium mitogenetyczne. Warszawa, 1931. Str. 72—3, cytowane za: J. Scheible „Kloster II" str. 152 w pracy J. Goldsterna, str. 44—55.

[19]) Dr A. Czubryński, 10 c. cit. p. 74.

[20]) K. Zawistowicz: „Kalewala, epos fiński". „Wiedza i Życie", Zeszyt 1. Styczeń, 1929. Rok IV. Str. 36.

ło w głębie Królestwa Zmarłych, każe pachołkowi ćwiartować trupa i części wrzucić do rzeki Tuoneki. Matka Leminhäinena dowiedziawszy się o czynie starca poszukuje ciała syna i w końcu udaje się jej wydobyć z rzeki odzież i szczątki zmarłego. „Pszczółka mała przyniosła jej z przybytku niebieskiego maść i płyn wyzdrawiające, dzięki którym zlepionym członkom powróciło życie i Leminhäinen, pełen radości powracą z umiłowaną matką do domu".

W wydanym w Wilnie w r. 1635 przez księcia Albrychta Radziwiłła „Dyszkursie nabożnym" czytamy:[21]) „Straszna zaiste Maria niebu, bo nieśmiertelnego śmiertelnym uczyniła, różnie od onego Marchiona Hiszpana; ten zamyślając być nieśmiertelnym rozkazał słudze swemu. aby go na sztuki rozsiekał y w stajni pochował, a potem za rok przyszedłszy miał go żywego y zdrowego obaczyć y nieśmiertelnego. Nie dopuścił Bóg, żeby czart obłudnym omamieniem oczu ludzkie zwodził. Dowiedzieli się o tym drudzy y przyszli w pół roku do stajni, alic obaczą jakoby dziecię zrosłe z członków rozsiekanych ruszające się. Tamże zginął zaraz chcąc się nieśmiertelnym uczynić, wyniszczył siebie samego, zostawszy cierpiętliwym, etc."

Polski czarnoksiężnik Twardowski przechodzi podobne do powyższych motywów koleje odrodzenia. Służący Maciek Pająk-Klecha skrupulatnie wypełnia rozkazy swego pana tnąc jego ciało na części, okładając je ziołami macierzanką i fiołkami lub też — jak chce inna wersja — płatkami róży oraz innymi roślinami czarnoksięskimi. Zakopane pod murem cmentarnym ciało czarodzieja leży 3 lata, 3 mies. i 3 godziny. Gdy czas ten upływa sługa odkopuje trumnę i znajduje w niej dziecię kilkuletnie, które jednak w oczach mu rośnie . . . W ten sposób Twardowski znów staje się młodym.[22])

Podania takie krążyły w Europie średniowiecznej bardzo często. Dokładna analiza ich osnowy doprowadzi do wniosku, że prawie wszystkie z nich wywodzą się z jednego wątku i wzorują się na jakimś jednym, pierwszym motywie; dla nas jest jasne, iż istotne źródło tego motywu tkwiło w metafizycznych

[21]) Radziwiłł Albrycht St.: „Dyszkurs nabożny", Kraków, 1650. Str. 267—8.

[22]) Na szczegół o odmłodzeniu Twardowskiego zwrócił moją uwagę ś. p. prof. Prosper Szmurło w czasie dyskusji, która wywiązała się po zreferowaniu przeze mnie niniejszej pracy w Towarzystwie Psychofizycznym w Warszawie, dnia 29. XI. 1941.

koncepcjach filozofów starożytnych oraz w poszukiwaniach ówczesnych alchemików, którzy starali się laboratoryjnie rozwiązać zagadnienie palingenezy.

Jak tego można było się spodziewać, idea palingenezy pomimo wielu obrońców znalazła licznych opozycjonistów, do grona których zaliczali się często sami alchemicy. Rozpatrując rzecz krytycznie, twierdzili oni, że doświadczenia podobnego rodzaju nie powinny być traktowane poważnie i wykazywali wiele oszustw, jakich na tym tle dokonano. Inni wprost starali się dowieść niemożności otrzymania żądanego rezultatu, przypisując tylko szarlatanom wszelkie usiłowania uwieńczone rzekomym pomyślnym wynikiem. Powstała stąd ciekawa polemika, w której zarówno z jednej jak i z drugiej strony zabierali głos znakomici uczeni i alchemicy. W liczbie obrońców palingenezy znalazł się — dziwna rzecz — genialny R. Boyle w roku 1661; słynny doktór Franz von Frankenau w 1716 r.*) oraz doktór Petrold. Także J. B. van Helmont (1578—1644), oryginalny przyrodoznawca, lekarz i filozof i Kunckel (1630—1702) byli zwolennikami tej teorii, która istniała jeszcze długo później, stając się dość aktualną w roku 1764, gdy Vallerius starał się jasno dowodzić niemożliwości otrzymania roślin z ich popiołów.[23])

Warto przytoczyć tu ciekawe zdarzenie, jakie miało miejsce w Petersburgu w roku 1782, w którym słynny Aleksander Cagliostro vel Józef Balsamo (1743—1795)zajmuje specyficzną postawę. Oto co o nim pisze ówczesny „Pamiętnik historyczno-polityczny": „Cagliostro przed wyjazdem swoim z Petersburga uczynił jedną rzecz, która mu bardzo kredyt zepsuła y pewnie była powodem do oddalenia go z kraiu. Podiął on się był kuracyi iednego dziecięcia, którego lekarze odstąpili, y względem którego matka nie mogła się uspokoić. Cagliostro miał wziąść 500 luidorów, gdyby go był zachował przy życiu: Obiecał on w ośmiu dniach dziecię zupełnie uzdrowić, y kazał go dla lepszego dozoru przenieść do domu swego. Dotrzymał słowa i odesłał 8-go dnia dziecię wcale zdrowe. Ale mu się ten podstęp nie udał zupełnie, gdyż się pokazało, iż to dziecie było kupione y podrzucone. Zapytano go się o to urzędownie, on przyznał się;

*) Por.: „Palingenesia Francica oder des . . . Georg Francke von Franckenau . . . Traktätlein von der künstlichen Auferweckung derer Pflantzen, Menschen und Thiere aus ihrer Asche". Leipzig 1716.

[23]) Beneveni F.: „Dzieje alchemii", str. 472—3.

spytano się, gdzieby podział ciało zmarłego dziecięcia, odpowiedział: iż go spalił dla uczynienia obserwacyi względem Palingenezyi".[24])

Wypadek powyższy z pewnością skończyłby się dla czarodzieja o wiele smutniej, gdyby nie był on Cagliostrem i nie miał tego sprytu i tak wspaniale wyrobionych wszędzie stosunków, jak awanturnik włoski. To też nawet tutaj, gdy chodziło o synka księcia Gagarina, Cagliostro potrafił usprawiedliwić się za pomocą teorii palingenezy przed dworakami interesującej się tą sprawą carycy Katarzyny II, która tylko uważała za wskazane poradzić magowi jak najszybsze opuszczenie Petersburga i Rosji, a sprawy samej bynajmniej nie starała się rozwlekać.

W owym okresie Cagliostrów, Saint-Germain'ów i Mesmerów wiara w palingenezę była w niektórych kołach zwolenników tzw. wiedzy tajemnej głęboko zakorzeniona. Kabaliści dowodzili, że można dokonać ożywienia przy pomocy tajemniczej kosteczki zwanej „Luc", rozpuszczonej w rosie niebieskiej (?) i którą naciera się ciało zmarłego.[25]) Podobnych poglądów spotykamy w tej epoce bardzo wiele.

Jako specjalne curiosum już z czasów zupełnie nowych należy przytoczyć notatkę następującą:

„Słynny swego czasu chemik Du Cliené opowiadał, że w Krakowie żyje polski lekarz, który ma zbiór popiołów z roślin i kwiatów. Gdy kto chce widzieć zmartwychwstałą z popiołów różę lub inny kwiat, wtedy lekarz ów rozgrzewa popiół we flaszeczce destylacyjnej: najpierw widać ciemny obłoczek poczem rozwija się z niego kwiat tak piękny i świeży, jakby rósł w ogrodzie. Podobne doświadczenia robił także chemik De Clavos.

„Borellus, Kircher, Gaffarelli i inni uczeni na podstawie osobistych doświadczeń zapewniają, że pierwotna postać roślin może być wywołana i okazana w rurce szklanej, jeżeli popiół rośliny w odpowiednim stopniu zostanie rozgrzany — a dr Webster dodaje do tego: „Jeżeli to jest prawda (a przypuszczam że tak jest, bo owi uczeni wstydziliby się okłamywać siebie i drugich), wynikałoby z tego, że wszystkie istoty żyjące, nie

[24]) „Pamiętnik historyczno-polityczny", Tom I. 1786. Styczeń—Luty—Marzec. W Warszawie. Artykuł: „Graf Cagliostro", p. 66—74.
[25]) Wotowski, l. c. p. 168, 220.

wyłączając roślin, posiadają swą reprezentację figuryczną nie tylko za życia ale i po zniszczeniu ich materji ziemskiej".

„Uczony Calmet pisał: „Chemicy dowodzą, że rośliny, zwierzęta itd. zmartwychwstają z popiołu (?). Jeżeli mianowicie ich popiół włoży się do rurki destylacyjnej i ogrzeje do pewnego stopnia, wtedy wydobywa się postać według pierwowzoru oznaczonego przez Stwórcę".

„Filozof XIX stulecia prof. Daumer dodaje od siebie co następuje: „Tak więc cała żyjąca natura zapełniona jest myślami i duchowymi formami, które się wyrażają w cielesnych postaciach roślin i zwierząt, ale nie są z nimi nierozdzielnie połączone, bo jeszcze po śmierci zachowują swoją własną wolną istotę i byt . . . Temat niezwykle interesujący i prowadzący nas do wniosków o nieśmiertelności i zmartwychwstaniu". [26])

Notatka powyższa wskazuje na fakt, że w obecnych czasach rozmaici ludzie hołdujący poglądom mistycznym starali się zrealizować problem palingenezy i rozwiązać laboratoryjnie ten problem dawnej alchemii.

Okultyści bardzo często puszczają wodze swojej fantazji. Dla dopełnienia przedstawionego tutaj obrazu zatrzymamy się nad wypowiedzią bardzo bezkrytycznego kierunku okultystycznego jaki przedstawia książeczka De Larmandie'go: „Próba wskrzeszenia". W słowie wstępnym dokonano trojakiego podziału palingenezy czyli wskrzeszenia:

1) wskrzeszenia z ciała materialnego, gdy ciało astralne istnieje w nim jeszcze, lecz jest jakgdyby sparaliżowane (śmierć pozorna, letarg);

2) wskrzeszenie ciała od którego zasada życia — astral już odłączyła się, lecz krąży w pobliżu. Zadaniem maga jest znęcenie jej drogą zabiegów do swej skorupy;

3) wskrzeszenie, gdy substancja fizyczna już rozpada się; lub ożywienie odrębnych martwych konstrukcji, za pomocą zasady boskiej.[27])

Sama zaś książeczka De Larmandie'go jest poświęcona opisowi fantastycznych i makabrycznych wprost doświadczeń hermetysty i alchemika Yesoda oraz ucznia jego Cheseda,

[26]) Prof. Dr M. Perty: „Dowody istnienia świata duchowego, do którego wstępujemy po śmierci". Wyd. II-gie. Lwów, b. r. Str. 6—7.

[27]) De Larmandie: „Próba wskrzeszenia", Przekład i słowo wstępne J. Jankowskiego. Bibl. hermetyczna. Nr 2. Warszawa, b. r. Str. 57.

który po zastosowaniu dla celów „wskrzeszenia" całego szeregu kabalistycznych i magicznych operacyj, jak również procesów podpadających pod badania fizyki i chemii (a więc działania kwasów, prądu elektrycznego itd.) — przywracają życie zmarłej histeryczce Netzah, opowiadającej im następnie swe przeżycia pośmiertne. Historia cała jest fantastyczna, pozbawiona znamion wszelkiego realizmu i zdrowego rozsądku.

Myślenie okultystyczne możemy traktować jako dziwaczną psychozę, w której cały świat rzeczywisty z jego przejawami i prawami przyrodniczymi jest jakgdyby wytworem i następstwem jakiejś nieokreślonej duchowej inteligencji, mogącej ingerować w każdym zjawisku materialnym. To pokrewieństwo okultyzmu z religią opiera się przede wszystkim na dogmatycznym światopoglądzie sredniowiecznym, w którym dominującą rolę odgrywał wszechwładny egocentryzm i mistyka, i który zamiast empirycznego pojmowania wszechświata opierał się na czynnikach spekulatywnych i urojonych. Należy przyznać, że dla niewykształconego umysłu przyjmowanie gotowych metafizycznych idei za rzeczywistość jest bardziej ponętne od żmudnego, analitycznego pojmowania świata i poznawania jego tajników. Okultystyczny pogląd na świat wychodząc z pewnych dogmatycznych definicji stara się uzgodnić formę jego zjawisk i praw z apriorycznymi założeniami, które jednak same wymagają empirycznego dowodu. Nauka o bycie posmiertnym, o duchach jest łatwo przyjmowana przez szerokie koła, nieprzyzwyczajone do ścisłego, krytycznego i pozbawionego wszelkiej dowolności, myślenia naukowego i oparcie jej o rzekome niezgłębione nauki kapłanów egipskich, chaldejskich, o mądrość starożytnych świątyń i sanktuariów, wprowadza już pewien pierwiastek romantyczny, który literacką formą oddziaływać może na uczucie. Jest rzeczą zrozumiałą, że naukowa wartość dorobku okultyzmu jest znikoma. Poza nielicznym zbiorem zjawisk włączonych do badań pozytywnych (sugestia, hipnotyzm i in.) wszystko to przedstawia materiał historyczno-literacki, czekający na krytyczne opracowanie z punktu widzenia zarówno historii wierzeń jak i psychologii. Ścisła zależność nauk przyrodniczych od czynników wymyślonych, mistycznych itd., mająca miejsce w okresie starożytności i średniowiecza wymaga znajomości i uwzględnienia hermetyzmu i okultyzmu, ich pojęć i wyobrażeń, przy interpretacji ich dziejowej ewolucji. Bez tego byłyby one zupełnie niezrozumiałe i nawet przy swoim niskim poziomie w porównaniu

z dzisiejszym stanem nauk — całkowicie pozbawione sensu. Uwzględnienie tych mistycznych poglądów nabiera specjalnie znaczenia przy badaniu rozwoju nauk przyrodniczych, w szczególności zaś dziejów chemii.

2. TEORIA PALINGENEZY.

Pracując w swoich laboratoriach nad zagadnieniem palingenezy alchemicy stworzyli zarazem specjalną teorię tego zagadnienia, która usprawiedliwiała i dawała podstawę ich usiłowaniom. W znacznej mierze spekulacje te odwołują się do poglądów średniowiecznego okultyzmu i hermetyzmu. Starano się dowodzić, że każdy twór żywy, roślina, zwierzę czy też człowiek posiada obok materialnej, fizycznej istoty także kilka odrębnych form ożywiającego to ciało ducha, który istnieje niezależnie od materii; duch ten jest z nią tylko w pewnym okresie bezpośrednio związany i połączony. Okultyści przyjmowali (i obecnie przyjmują), że czynnikiem który sprawia, iż duch — substancja całkowicie nieważka — może czasowo zespolić się z materią, jest tzw. „ciało astralne", stanowiące pośrednie ogniwo pomiędzy tymi elementami. Uważali więc, że jeśli pewna część ciała fizycznego zostanie zniszczona lub uszkodzona, to „ciało eteryczne" nie opuszcza przestrzeni zajmowanej kiedyś przez materię, lecz w pewnych specjalnych warunkach może z powrotem „wsiąknąć", umiejscowić się w części substancjalnej „materializowanej" przez operatora, i nadal ją ożywiać. W ten sposób tłumaczono odrastanie odciętych szczypiec u raka,[28]) albo też całkowitą regenerację pociętej na kawałki dżdżownicy, lub wreszcie odłączonego od organizmu ogona u jaszczurki. Do tego rzędu zjawisk zaliczali okultyści także powstawanie nowego żywego tworu z całkowicie począstkowanego ciała hydry, najciekawszego okazu zoologicznego, na którym udało się współczesnym biologom dokonać transplantacji komórek. [29])

Zwolennicy okultystycznej teorii palingenezy wywodzili w dalszym ciągu, że cząsteczki ciała tworzące dany organ lub ustrój nie tracą specyficznych właściwości połączenia, budowy itd. po zniszczeniu jego, a poprostu rozpraszają się zachowując

[28]) K. Chodkiewicz: „Narodziny świata", Zarys kosmogonii okultystycznej. Wisła, Śląsk Ciesz. (1934). Str. 12.

[29]) Por. Jan Dembowski: „Szkice biologiczne", Lwów — Warszawa, 1927. Transplantacja komórek, Regeneracja ustroju. Str. 284.

indywidualne znamiona. W czasie zjawiska palingenezy wracają one na poprzednie miejsca w pierwotnej strukturze i w ten sposób kształtują dawniejszą formę uszkodzonej materii. Z chwilą gdy nastąpi połączenie się ich z istotą duchową zaczynają żyć i rozwijać się. Tworzenie widm roślin z ich popiołów tłumaczono na podstawie tych założeń w sposób analogiczny: popiół czy też części niepalne pozostające po spaleniu rośliny nie tracą tajemniczej siły życiowej — rzekomej „vis vitalis", — która roślinę ożywia, pobudza do rośnięcia, rozwoju, rozmnażania id., tylko tracą część materialną, jaka uległa spaleniu, a więc przekształceniu w inną substancję chemiczną. Dlatego istota „życiodajna" rośliny pozornie zamiera nie mogąc manifestować swej aktywności i życia z powodu brakujących cząsteczek materii. Gdy odpowiednie okoliczności (np. podgrzanie w rurce destylacyjnej) zezwala na powrócenie tych cząsteczek i zgęszczenie ich, wtedy życiodajna siła zespala dawną formę rośliny, taką jaką kiedyś ona posiadała i uczyni ją żyjącą i naturalną.

W taki sposób interpretowali alchemicy i hermetyści tajemnicze zjawiska natury i uważali, że procès palingenezy podpadą również pod ogólną teorię. Należy tu podkreślić, że poglądy przedstawione powyżej odgrywały olbrzymią rolę w dociekaniach przyrodniczych uczonych średniowiecza oraz czasów późniejszych. Rozmaite niedorzeczności zdawały się wyjaśniać najbardziej niewinne zjawiska a spekulacje alchemiczne niejednokrotnie starały się zaciemnić i uczynić bardziej niezrozumiałymi opisy rozmaitych obserwacji i doświadczeń.

Współcześni okultyści dopatrują się analogji pomiędzy procesem palingenezy a zjawiskami tzw. „aportów". W nomenklaturze metapsychicznej określają mianem aportu fakty następujące: Na seansach spirytystycznych miały się zdarzać wypadki, że z jednego zamkniętego pokoju przedostawały się jakieś przedmioty (np. klatka z żywym kanarkiem), do pokoju zajmowanego przez seansujących uczestników. Odnośne protokuły podają, że jeśli chodzi w takich wypadkach o zwierzęta, były one naturalne i żywe i nie okazywały na sobie żadnych przeżyć po tej wędrówce przez murowaną ścianę lub drzwi pomieszczenia. Oprócz tego miały też się zdarzać aporty roślin, zwierząt itd., o których pełno w literaturze metapsychicznej. Okultyści wykorzystali te fakty do bezkrytycznych rozważań nad analogią pokrewnej według nich dziedziny palingenezy.

Liczne prace z przedmiotu metapsychiki przytaczają wiele przykładów zachodzenia aportów na seansach mediumicznych. Przytoczymy tu kilka tego rodzaju notatek.

Zdolnością „materializowania" na seansie kwiatów i roślin odznaczała się m. in. mrs. Grupy (dawniej miss Nichol). Posiedzenia odbywane w pomieszczeniach zamkniętych prowadzone były w r. 1886 przez A. Wallace'a (jednego z twórców teorii doboru naturalnego), który w jednej ze swych prac mówi o tym co nast.: „Najgodniejszym uwagi rysem mediumiczności tej pani jest wytwarzanie kwiatów i owoców w pokojach zamkniętych. Poraz pierwszy zdarzyło się to w moim własnym domu, w bardzo wczesnym stadium jej rozwoju. Wszyscy obecni należeli do moich przyjaciół osobistych. Miss N. przyszła tuż przed herbatą, a działo się to w środku zimy, i siedzieliśmy wraz z nią w bardzo ciepłym,gazem oświetlonym pokoju, ze cztery godziny przed ukazaniem się kwiatów. Istotę faktu stanowiło to, że na gołym stole w małym pokoju, zamkniętym i ciemnym (pokój przyległy oraz pasaż były oświetlone) ukazała się pewna ilość kwiatów, których nie było tam, kiedyśmy podnosili płomień gazowy przed kilku minutami. Były tam sasanki, tulipany, złocieńce, pierwiosnki chińskie i kilka paproci, wszystkie były jak najzupełniej świeże, jakgdyby dopiero co były zerwane z cieplarni. Pokryte zaś były piękną, chłodną rosą. Ani jeden kwiatek nie był zgnieciony lub rozdarty, ani jeden z najdelikatniejszych punkcików lub piórek paproci nie zmienił miejsca.

„Wysuszyłem i zachowałem to wszystko i przywiązałem do nich poświadczenie osób obecnych, iż, o ile wiedzą, nie brały żadnego udziału w przyniesieniu tych kwiatów do pokoju. Wierzyłem wówczas i dotąd wierzę jeszcze, iż było rzeczą dla miss Nichol całkiem niemożliwą ukrywać je tak długo, utrzymać w stanie tak doskonałym, a nade wszystko pokryć je na całej powierzchni piękną warstewką rosy zupełnie takiej, jaka się zbiera na bokach pucharu, napełnionego bardzo zimną wodą w dzień gorący."

W dalszym ciągu Wallace dodaje, że zjawiska podobne zdarzały się często i na innych seansach. We Florencji wobec mr. T. Adolfa Trollope'a, mrs. Trollope, miss Blagden i pułk. Harvey'a seansujących z p. Gruppy całe towarzystwo poczuło w pewnej chwili zapach kwiatów, a gdy zapalono świece,

przekonano się, iż ręce medium okryte były żółtymi narcyzami, które napełniały pokój zapachem.[30])

K. Chodkiewicz przytacza w „Ewolucji Ludzkości"[31]) wzmiankę o świadomym przeprowadzaniu aportów na seansach, przyczym rozwodzi się wiele na temat siły psychicznej. „Śmiesznym wyda się w dzisiejszym wieku pary i elektryczności twierdzenie, że można siłą woli „stwarzać" istoty żyjące wzgl. dematerializować je, przenosić na pewną odległość i materializować je z powrotem. A jednak fakty takie zdarzają się i dziś na seansach mediumicznych, a ostatnio medium Lajoss Papp zaprodukował na seansach w Budapeszcie istny deszcz zwierząt. Materializował owady, żywe jaszczurki, żabki i żółwie, a nakoniec zaaportował żórawia wysokości 55 cm. W pierwszej chwili po materializacji stworzonka te były jakby ogłuszone, ale wkrótce przychodziły do siebie całkowicie. Fakty te były tak zdumiewające, że Budapeszteńskie Towarzystwo Parapsychiczne wyznaczyło znaczną nagrodę pieniężną dla tego, kto potrafi w sposób naukowy wyjaśnić pochodzenie takich aportów."

Z faktów powyższych (których literatura metapsychiczna przytacza bardzo wiele), o ile były prawdziwe i o ile dadzą się one powtórzyć w warunkach doświadczalnych, nauka wyciągnie kiedyś odpowiednie konsekwencje, jak wyciągnęła je np. z teorii i wierzeń alchemików. Narazie sprawą tą zajmują się wyłącznie okultyści. Tłumaczą oni zjawisko aportów w następujący sposób: medium-operator wydziela z siebie podczas seansu „ciało astralne", które wędruje do przedmiotu i tam rozprasza cząsteczki z jakich jest on złożony. Następnie zgęszcza rozpyloną materię w odpowiednim miejscu. Tak więc, mniemają okultyści, dzięki działaniu siły psychicznej następuje materializacja.[32]) Tematem aportów zajmuje się obszernie m. in. prof. J. Świtkowski.[33])

We wspomnianej „Ewolucji Ludzkości" znajdujemy jeszcze następujące wiadomości, opisane oprócz tego w książce Wa-

[30]) A. Wallace: „O cudach i nowoczesnym spirytyźmie", z. III-go wyd. oryginału przełożył J. K. Potocki. Warszawa, 1890. Str. 253—4, nastp.

[31]) K. Chodkiewicz: „Ewolucja ludzkości", Kraków, 1936. Str. 121. (Bibl. „Lotosu". Nr 1.).

[32]) Chodkiewicz, 1. c. p. 176.

[33]) Prof. J. Świtkowski: „Stopniowe zgęszczanie się substancji aportów", w „Zeitschrift für Parapsychologie", J. 1926. Heft 4

silewskiego[34]) oraz w „Wiedzy Tajemnej" H. P. Bławatskiej, skąd została przez autorów polskich zaczerpnięta:[35]) „W roku 1880 wystąpił w Ameryce John Warrel Kaly z nowym sensacyjnym wynalazkiem. Sporządził on mianowicie motor, przez który działała siła eteryczna, produkowana przez wynalazcę (?). Siła ta poruszała ogromnym napędem ów motor, natężenie jej było tak olbrzymie, że podnosiła cały ciężki motor do góry ponad ziemię. Siłą tą wobec zebranych świadków zdematerializował Kaly w paru minutach woła, uprzednio zażniętego, tak że wół ów zniknął, rozpłynął się w nicość. Po konkretnym sprawdzeniu działania tej siły zawiązali praktyczni Amerykanie towarzystwo akcyjne, celem eksploatowania tego nowego źródła energii. Spółka otrzymała nazwę „Kaly-Motor-Co" i finansowała dalsze prace wynalazcy. Ale znaleźli się i konkurenci, którzy chcieli wykraść tajemnicę wynalazku. Przemycili do warsztatów spółki swego konfidenta-mechanika, by podpatrywał Kaly'ego i zdradził im potem tajemnicę. Osobnik ten po sześciomiesięcznej współpracy z wynalazcą obeznał się doskonale z motorem, ale mimo że naśladował dokładnie ruchy Kaly'ego, nie mógł w żaden sposób puścić motoru w ruch. Dopiero gdy Kaly, widząc jego nieudolne usiłowania położył mu rękę na ramieniu — motor zaczął natychmiast działać!"[36])

Współcześni pisarze okultystyczni starają się podobnym do powyższych faktów zdarzeniom przypisać olbrzymie znaczenie teoretyczne i w interpretacji omawianych zjawisk mało wykazują realizmu i zdrowego rozsądku. Opierając się bezkrytycznie na fenomenach aportów dowodzą często, że również proces palingenezy pozostaje w sferze realizacji praktycznej. Dla poparcia swych poglądów przytaczają jako miarodajne źródła wzmianki o magicznych doświadczeniach Agryppy, Paracelsa, Kwercitana lub Kirchera. Znaną jest jednak rzeczą z historii, że na przestrzeni dziejów zdarzały się niekiedy istotnie godne podziwu rzeczy, których wytłumaczenie nastręcza nam dzisiaj poważnych trudności. Nie znaczy to jednak, żeby wszelkie owe curiosa należało zaliczać do rzeczy nadnaturalnych, cudownych. Ilu to tajemniczych adeptów demonstro-

[34]) L. Wasilewski: „Świat zaginiony Lemurii i Atlantydy", Warszawa, 1939. Str. 120—1.

[35]) H. P. Bławatska: „The secret doctrine", 1880. T. I, p. 613.

[36]) Chodkiewicz, l. c. p. 178.

wało wobec licznych świadków osławiony kamień filozoficzny i zamianę ołowiu na złoto! Mamy na to źróda i dokumenty. Albo co powiemy o tych wynalazcach-utopistach, którzy zbudowali perpetuum mobile, działające przez nieokreślenie długi przeciąg czasu? Historia powszechna zna wiele takich i podobnych przykładów. Weźmy jeszcze chociażby następujący: „Albert Wielki, hrabia von Böllstadt (1193—1280) i biskup z Regensburga miał być czarnoksiężnikiem i w roku 1248 w obecności króla Wilhelma za pomocą czarów, wywołał w Kolonii w czasie zimy wspaniały ogród, pełny kwitnących drzew i kwiatów, wśród których uwijało się śpiewające ptactwo. Ilekroć zapukał w okno pałacu — niewidoczne ręce miały mu podawać rzadkie przysmaki"[37])

Tyle podaje zmodyfikowana nieco współczesna owemu zdarzeniu notatka. Bezkrytyczni okultyści dopatrywali się wielokrotnie w tym zdarzeniu zjawisk aportów i dematerializacji poprzestając na takim sądzie. Bliższe zbadanie sprawy wykazało jednak, że Wilhelm poprostu wprowadzony został do specjalnie urządzonej przez Alberta Wielkiego cieplarni, zaopatrzonej w rozmaite mechanizmy i urządzenia. Ponieważ zjawisko takie traktowano wówczas jako coś cudownego, niezgodnego z naturalnym biegiem rzeczy, stąd urosła wiara w zdolności magiczne dominikanina.

Znajomość stanu wiedzy przyrodniczej w okresie wieków średnich wskazuje, że badania alchemiczne nad palingenezą i spekulacje teoretyczne w związku z ideją odradzania były, podobnie jak i wiele innych ówczesnych zagadnień, chimerą i mrzonką epoki i zniknęły wraz z samym okresem alchemii. Oczywiście żaden z uczonych średniowiecznych nie wywołał ducha rośliny z jej popiołu. Motywy do spekulacji literackich i odnośnych opisów doświadczeń czerpali hermetyści ze swej bogatej fantazji twórczej, pobudzonej różnorodnością zjawisk natury i tajemniczością ich przebiegu.

3. IDEA HOMUNKULUSA.

Alchemicy obok szczegółowych obserwacji wszelkich zjawisk przyrody martwej, nieorganicznej, interesowali się w dużym stopniu procesami rozmnażania i teoriami seksualnymi. Zainteresowania te wyrosły właściwie z uczuć, jakie każda

[37]) Dr Otton Henne am Rhyn: „Wiara w diabła i czarownice", Warszawa, 1902, „Przegląd Tygodniowy". Por. także „Czarnoksięstwo i mediumizm", I. Matuszewskiego. Warszawa, 1896. Str. 186. (podaje rok 1254).

natura ludzka w mniejszym lub większym stopniu posiada. Problem poznania początku wszelkiego bytu oraz istoty życia od najdawniejszych czasów był przedmiotem spekulacji filozoficznej.

I tu zwrócili uwagę alchemicy na ciekawe zjawiska. Niektóre owady zdają się powstawać wprost z ziemi i pojawiają się na niej w dużych ilościach; to znów w nawozie rodzą się rozmaite glisty i inne robaki, tak samo np. mięso zepsute umożliwia rozwój różnorakich żyjątek, szmaty brudne, płodzenie myszy[38]) itd. Rzecz dziwna: przedtem nie było tam żadnego zarodku i iskierki życia, skąd potem utworzyła się taka różnorodność bytów.

Spekulacje pisarzy starożytnych na temat powstawania istot żywych stały się fundamentalną podstawą wszelkich usiłowań i badań alchemików. W starożytności był przyjęty ogólnie pogląd, że ryby i ślimaki tworzą się samorzutnie ze szlamu wód stojących, myszy z mąki zepsutej, robaki z rozkładającego się trupa i t. d. Podobnym poglądom hołdowali poważni filozofowie tego okresu.

Thales z Miletu (ur. 639 r. przed Chr.) wyprowadzał wszystkie istoty żyjące z wody.

„Anaximander z Miletu (610 r. przed Chr.) w miejsce wody przyjmował jako źródło życia nieokreśloną materię, gęstszą od powietrza, ale rzadszą od wody. Z materii tej powstały istoty żyjące w półgęstym szlamie tj. z ziemi, która na początku miała konsystencję półpłynną. W szlamie tym ziemnym za wpływem promieni słonecznych utworzyły się naprzód pęcherze, te zaś w przystosowaniu się do otaczającego je środowiska rozwinęły się w istoty podobne do ryb. W miarę jak powierzchnia ziemi wysychała, ryby te pierwotne zaczęły się zmieniać w istoty coraz to doskonalsze i w końcu wytworzyły człowieka".[39])

[38]) Autorem ostatniego poglądu był wspomniany już van Helmont. Twierdził on, że aby spłodzić myszy, wystarczy umieścić w beczce w ciepłym miejscu wilgotną brudną koszulę, obsypaną nieco mąką. Por.: E. Ostachowski: „Van Helmont i jego system przyrodniczo-lekarski", w „Archiwum Hist. i Filozofii Medycyny oraz Hist. Nauk Przyrodniczych", Tom IX; Zeszyt II, Poznań, 1929. Str. 157—75.

[39]) Por. ciekawy cykl artykułów prof. H. Nusbauma: „Pojęcia o zjawisku życia w starożytności i w wiekach średnich", „Rozwój pojęcia o zjawisku życia w epoce Odrodzenia i części w. XVII", wreszcie „Rozwój pojęcia o zjawisku życia od schyłku wieku XVII do pocz. wieku XIX", zamieszczonych w „Arch. Historii i Fil. Medyc." Tom I, Zeszyt 2. Poznań, 1924. Str. 177—95. T. II, Z. 1. 1925. Str. 73—90; T. II. Z. 2. Str. 208—28.

Heraklit z Efezu (ur. 576 r. przed Ch.) wyprowadzał istotę życia z pierwiastka ognia, lecz nie uznawał powtarzającego się samorództwa.

Filozof Empedokles z Agrygentu (490—430 r. przed Chr.) wierzył iż życie na ziemi ukształtowało się z materii martwej, nieorganicznej, przy czym najpierwotniejsza jego forma przybierała nieustannie z otoczenia odpowiednie narządy, które według tego autora istniały odrębnie w przyrodzie. Tak więc przyswoiła sobie „oczy", „uszy" i t. d. stając się wreszcie myślącym i obdarzonym świadomością tworem.

Naiwne te wyobrażenia starożytnych potrzymywane były autorytetem Arystotelesa i przetrwały aż do czasów średniowiecza, kiedy to utworzyły główną podstawę do spekulacji mistyczno-alchemicznych.

Arystoteles Stagiryta (ur. 384 r. przed Chr.) wierzył w powstawanie samorodne wielu organizmów. Mniemał on, że zwierzęta wyższe (kręgowe) — „doskonale" rozwijają się z nielicznymi wyjątkami z rodziców, ale odstępstwo od tej zasady stanowią pewne ryby, np. węgorze, które rozwijają się rzekomo z robaków ziemnych, a te już powstawać mają samorzutnie (przez t. zw. Generatio spontanea, Generatio aequivoca). A zwierzęta niższe „niedoskonałe" (bezkręgowe), np. robaki, owady, mięczaki mogą b. często powstawać samorodnie. Podobnie rozwijają się t. zw. „ostracodermata" czyli zwierzęta skorupowe (np. jamochłony, szkarłupnie, pewne mięczaki i t.d.). „W wodzie morskiej—mówi Arystoteles —znajduje się wiele ziemistej materii, dlatego też z mieszaniny takiej powstają zwierzęta skorupowe, w miarę jak części ziemiste twardnieją dokoła i stają się mocne jak kość lub róg, podczas gdy wewnątrz zostaje zawarte żywe ciało zwierzęcia". „Że wszystkie zwierzęta skorupowe powstają samorodnie — en ton tojojton — (same z siebie, t.j. bez rodziców) — mówi na innym miejscu — można się przekonać z tego, że tworzą się na ścianach okrętów, gdy muł piankowaty zaczyna kiśnieć i że w wielu miejscach, gdzie przedtem nie było takich zwierząt, skoro miejsce to później wskutek braku wody zamuliło się, wystąpiły gatunki zwierząt skorupowych, które nazywamy Limnostrea; tak np. gdy przy brzegach wyspy Rhodos zatrzymała się flota i gdy dokoła wyrzuconych skorup glinianych nagromadził się z czasem muł, znaleziono w nim zwierzęta (Ostracodermata). Że zaś zwierzęta te nie produkowały materii rozrodowej, tego dowodzi nast. przypadek. Kilku Chiojczyków zabrało z sobą z Pyrrhy w Lesbos żywe ostrygi i umieściło je w zupełnie po-

dobnych miejscach, w wąskich zatoczkach morza; po pewnym czasie powiększyły się one wprawdzie znacznie, ale liczba ich nie wzrosła. Tak zwane jaja zwierząt skorupowych nie przyczyniają się wcale do reprodukcji, lecz są tylko oznaką dobrego odżywiania się, podobnie jak tłuszcz u zwierząt krew posiadających".[40])

Rozważania Arystotelesa dały także podstawę do idei „putrefakcji" czyli kiśnienia, jakie ma zachodzić przy samorodnym powstawaniu organizmu. Ów tajemniczy proces wywarł później znamienny wpływ na poglądach biologicznych odnośnie zagadnienia życia. „Wszystkie ustroje, powstające w ten sposób (przez samorództwo, samozapłód) w ziemi lub w wodzie, tworzą się przy udziale pewnego rozkładu (alchemiczne putrefactio), przy czym zawsze miesza się do tego woda deszczowa... Ale nic nie powstaje przez samo gnicie, lecz wszystko przez zagotowanie (a więc przez jakiś proces chemiczny), a gnijące i butwiejące jest tylko wydzieliną zagotowanego".[41])

Przyjrzyjmy się teraz poglądom znanego w dziejach atomistyki poety Tytusa Lukrecjusza Karusa (zm. 51 r. przed Chr.). W poemacie dydaktycznym „De rerum natura" daje on ślady swej wiary w istnienie Generatio aequivoca. W ks. drugiej w. 865—885 podaje: „...stworzenia powstają z zaczątków, pozbawionych czucia. Oto można widzieć, jak ze szkaradnego gnoju lęgną się żywe robaki, gdy mokra ziemia dojdzie do stanu zgnilizny skutkiem niewczesnej słoty". Nieco dalej znów mówi: „Oczywiście... kamienie i drewno i ziemia, choćby zamieszać je razem, nie mogą wytworzyć żywotnego czucia! Tutaj więc o tym pamiętać należy, że nie twierdzę bynajmniej, jakoby z każdego w ogóle tworzywa rzeczy rodziło się zaraz coś z czuciem i ze zmysłami, lecz że ma niezmierne znaczenie, po pierwsze, jak maleńkie są te ciałka, co sprawiają czucie, następnie, jaką są obdarzone postacią, a wreszcie, jakie mają ruchy, porządki i układy. Żadnej z tych rzeczy nie dostrzegamy w skibach ni w drewnie, a jednak rodzą robactwo, kiedy skutkiem słoty przegniją poniekąd, ponieważ ciałka materii, wytrącone ze starych porządków skutkiem nowego zdarzenia, łączą się w ten sposób, jak właśnie stworzenia rodzić się winny". (72). „...Skoro widzimy, że jaja ptaków przeobrażają się na żywe

[40]) Aristoteles: „Peri zoion geneseos. Biblia E." (Pięć ksiąg o powstawaniu zwierząt). Ks. 3-cia, § 113. 121—3. Według J. Nusbauma: „Dzieje nauk biologicznych" w Wyd. „Dzieje Myśli", 1911. Str. 181—2.

[41]) J. Nusbaum, op. cit. p. 182.

pisklęta i że się lęgnie robactwo, gdy ziemię przetrawi zgnilizna skutkiem niewczesnej słoty, to przecie jest jasnym, że czucie może się rodzić nie z czucia" (886—930, 73). Lukrecjusz wychodzi z założenia, że tylko odpowiednie warunki i zorganizowanie cząsteczek może wytworzyć organiczne istnienie. „Nie ma żadnego porodu bez uprzedniego skupienia i... nic nie doznaje zmiany bez uprzedniej spójni. Nie może być zasadniczo zmysłów żadnego ciała, zanim się zrodzi sama natura stworzenia, bo oczywiście rozproszona materia, która więzi powietrze, rzeki, ziemię i ziemne płody, nie zebrała się jeszcze we właściwy sposób i nie wznieciła pomiędzy sobą tych żywotnych ruchów, które rozpalają wszystkoczujne zmysły, stojące na straży każdego stworzenia" (931—943, 73). Lukrecjusz uważa, że matką wszelkiego rodzaju życia jest ziemia, która „przyjąwszy do łona krople ulewnego zdroju, zachodzi w ciążę, rodzi hoże zboża, bujne krzewy i ród ludzki, rodzi wszystkie pokolenia dzikich zwierząt, a równocześnie dostarcza paszy, dzięki której wszystkie tuczą swoje ciała, wiodą słodki żywot i krzewią potomstwo. Dlatego słusznie uzyskała imię matki. I wraca tak samo z powrotem do ziemi to, co przedtem było z ziemi, a to co zostało zesłane z eterycznych krańców, zabierają znów przybytki niebiosów" (991—1022, 74—75). „Jeśli to sobie uświadomisz w całej pełni, to odrazu wolna natura staje przed oczyma i oto, oswobodzona od pysznych ciemięzców, sama z własnego popędu wszystko działa bez udziału bogów" (1090—1104, 77). Ziemia zrodziła drobne żyjątka i wszystkie pokolenia dzikich zwierząt; Lukrecjusz nie wierzy, żeby „spuściła je z góry na pola złota lina z nieba. Nie zrodziło także morze, ni bałwany, bijące o skały, lecz ziemia, matka ta sama, co je teraz żywi. Sama nadto zrodziła dla śmiertelnych z własnego popędu poraz pierwszy hoże zboża i bujne winnice, sama wydała słodkie płody i bujne pastwiska" (1144—1174, 78).[42])

Zatrzymaliśmy się dłużej nad poglądami Arystotelesa i Lukrecjusza, gdyż przedstawienie tu sposobu myślenia tych autorów, którzy wywarli tak wielki wpływ na oświatę wieków średnich pozwoli nam zrozumieć usiłowania późniejszych alchemików; ich wywody były wtedy przyjmowane prawie zawsze dogmatycznie i żaden z uczonych nie starał się poprawiać w czymkolwiek zasadniczych myśli, uważał tylko za wskazane kontynuować je dalej po wytyczonej linii. Wiara w samozaro-

[42]) „De rerum natura" (O rzeczywistości), Tytusa Lukrecjusza Karusa. Przetłum. i wstępem poprzedził A. Krokiewicz. Lwów i Warszawa, 1923.

dzenie się materii martwej nosi ciekawe z punktu widzenia psychologicznego rysy mistycyzmu i ewolucjonizmu darwinowskiego. Alchemicy nie przypuszczali, że w zjawiskach przez siebie obserwowanych mogłyby ingerować jakieś czynniki, które uchodziły dotychczas ich uwadze i obserwacjom.

Co prawda rozwijająca się już wówczas biologia i zoologia niweczyła wiele przesądów pokutujących w naukach przyrodniczych, ale postęp ten nie docierał równomiernie do wszystkich dziedzin przyrodoznawstwa. Znakomity badacz włoski Francesco Redi (1626—1687) pierwszy wykazał doświadczalnie, w roku 1674, że życie nie może być utworzone z materii martwej. Nakrył on mianowicie kawałek mięsa gęstą siatką drucianą i pozostawił go na długi czas w spokoju. W tych warunkach rozkładająca się substancja nie wytworzyła robaków, które jak okazało się, były larwami much, powstałymi z jajeczek, jakie te składają na gnijących wiktuałach. Z tego doświadczenia wysnuł Redi powszechne prawo: „omne vivum e vivo", to co żyje powstaje z żywego. Odkrycie to zrobiło w swoim czasie dużą sensację, a Kościół opierając się na św. Ambrożym (zm. 397) i św. Augustynie (353—430) i uznając teorię samorodztwa uważał za właściwe ogłosić to naukowe odkrycie Rediego za niebezpieczną herezję. Polemika toczyła się przez wiele lat późniejszych. Z chwilą gdy zbudowany ok. 1590 r. pierwszy mikroskop (Joh. i Zach. Janssen) A. von Leeuwenhoek (1632—1723) zastosował do poważniejszych badań naukowych i gdy wykryte zostały bakterie, infuzoria i ciałka krwi, sądzono, że istotnie zwierzęta wyższe nie mogą rozwijać się bez współudziału rodziców, ale nie dotyczy to bakteryj, które kształtują się z ciał gnijących.

Alchemicy nie znając współczesnej mikro-biologii i nie przypuszczając zupełnie, że w większości podobnych wypadków dominującą rolę odgrywają bakterie oraz mikroskopijne zarodki i jajeczka, przenoszone przez wiatr lub przez pewne owady, poprzestawali na powierzchownym, zewnętrznym tłumaczeniu zjawisk, przypisując przyczynę powstania Generatio aequivoca specyficznym właściwościom organicznego podłoża. Tak więc główny i istotny powód bytu jest wszędzie, dosiężny i powszechny; dlaczego więc, mniemali alchemicy, nie można przez szczególne sztuczne operacje i działania ukształtować z tych substancji „życiodajnych" istoty żyjącej, myślącej i rozumnej? Lecz poszukiwana materia okazała się martwym, bezdusznym i bezwładnym skupiskiem, pozbawionym zupełnie właściwości życia. Wszakże zadaniem sztuki jest znalezienie

odpowiednich środków i warunków, które umożliwiłyby utworzenie bytu. W ten sposób doszło do usiłowania, które miało jeszcze wiele wieków nęcić nadzieją swej praktycznej realizacji, mianowicie do usiłowania sztucznego wytworzenia homunkulusa.

„Homuncio, onis, homunculus" znaczy człowieczek, jednak alchemicy określali tym słowem taką istotę, która zależna jest całkowicie od innych ludzi i bez ich pomocy oraz opieki istnieć odrębnie nie może. Homunkulus oznaczał istotę ludzką, nie spłodzoną w sposób z przyrodą zgodny, lecz wytworzoną sztucznie za pomocą zabiegów alchemiczno-magicznych.[43]) Alchemicy pragnęli ukształtować odpowiednią pod względem budowy chemicznej i formy fizycznej masę organiczną oraz nadać tej masie żywotność, tchnąć w nią „iskrę Bożą", świadomość. Pomimo że zadanie to przy ówczesnym (jak i dzisiejszym zresztą) stanie wiedzy nie posiadało żednych danych za tym, ażeby mogło być rozwiązane w warunkach laboratoryjnych, nie było to bynajmniej przeszkodą, by nikt nie trudził się nad jego praktycznym zrealizowaniem.[44])

Szczególnie w okresie wieków średnich, gdy napływająca nieustannie fala „powodzi alchemicznej" przynosiła do Europy coraz to nowsze zagadnienia i ideały, zwolennicy i wyznawcy arkanów hermetycznych poświęcili się również badaniu problemu życia i jego istoty, tajemniczej „siły życiowej", dzięki której istnieje cała natura ożywiona. Bez wątpienia podejście ówczesnych uczonych do rzeczy i ich metoda badania tych spraw były w większości wypadków niezmiernie bezkrytyczne

[43]) „Wielka Encykl. Powsz. Ilustrowana", Tom XXIX—XXX. Rok 1902. Warszawa. Str. 372. Artykuł Dr-a J(ózefa) P(eszke): „Homunkulus". Oprócz tego por. Charles Daremberg: „Histoire des sciences médicales", Paris 1870, T. I. p. 412 i Heinrich Haeser: „Lehrbuch der Geschichte der Medic. und der epidemischen Krankheiten", wyd. III. 1875—1882. T. II. p. 84. Tenże w przekładzie polskim: „Historia medycyny", 2 tomy, 1876—1886.

[44]) Trudno przypuścić możliwość technicznego sporządzenia jakiejś istoty żywej. Za podścielisko cech dziedzicznych uchodzi w komórce tzw. chromatyna, przedstawiająca się jako kropki, z której w czasie podziału jądra wytwarzają się chromosomy. A jeśli wziąć pod uwagę, że w takich właśnie „kropkach" i „kreskach" są zawarte dziedziczne cechy rodziców, występujące tak wybitnie u dzieci, i cała przyszła anatomiczna i psychiczna struktura dziecka, to można sobie wyobrazić, jak bogatą, jak zawiłą budowę mieć muszą owe punkciki zawierające cechy dziedziczne, której najlepszy mikroskop już nie obejmuje. W tych warunkach techniczne odtworzenie tego, czego struktury nawet dokładnie nie znamy, jest niepodobieństwem (Dr A. Czubryński).

i błędne. Mistycyzm cechujący średniowiecze, fałszywe pojęcia na życie i materie, nie oparte na doświadzeniu lecz na scholastycznej spekulacji, ascetyczna abnegacja wszystkiego tego co ziemskie, doczesne, wreszcie ogólna nieświadomość naukowa, ograniczona wszechwładnymi przesądami religijnymi, których wpływ na życie był dominujący, stanowiły czynniki dzięki którym umysłowość człowieka średniowiecznego omotana była więzami złudzeń, zabobonów i naiwnej wiary, co nie mogło wyrobić w ludziach krytycyzmu i trzeźwości w dziedzinie wiedzy.

Alchemicy pragnęli stworzyć odrębne życie, chociaż nie znali zupełnie praw rozwojowych najprostszego organizmu. Z tego też względu, gdzie koncepcji ich nie podpiera dowód konkretny, przy swych skłonnościach do zawiłości, alegoryj i mistycyzmu tworzą fantastyczne i skomplikowane hipotezy, nieustannie modyfikowane przez następców, aż w końcu widzi się nie tylko naukowe, przyrodnicze prawa, ale i religijno-etyczno-moralne wyobrażenia, pouczające, jak żyć w ogóle, wyjaśniające czym jest Bóg, świat i t. d. Podobny stan rzeczy wywołany był faktem, że w owym czasie uczony przyrodnik, filozof, poeta, malarz, ekonomista i t. d. w jednej osobie był zjawiskiem całkiem naturalnym i nikomu nie przychodziło do głowy podziwiać rozległości takiego umysłu.[45]) Stąd w alchemii spotyka się splot różnorodnych pierwiastków, skojarzenia pojęć na pozór dalekich od siebie, co w ostateczności wytworzyło tak skomplikowaną i niejasną filozofię przyrody. Rozpatrzenie tych systemów wymaga uwzględnienia ducha epoki oraz wyobrażeń średniowiecznego światopoglądu okultystycznego.[46])

[45]) Por. Ks. Fr. Ksawery Kurowski, mag. fil.: „O chemii w Polsce", w wyd. „Popis publiczny uczniów Konwiktu Warszawskiego Księży Pijarów . . ." W Warszawie 1826 roku.

[46]) O alchemii w ogólności por.: Dr fil. Józef Rygiewicz (Julius Fojtik): „Alchemia dawniej a dziś", w mies. „Lotos", Roczn. IV. Zeszyt 7 i 8. Lipiec, Sierpień, 1937. Str. 205—17. Roman Józef Moczulski: „O kamieniu filozoficznym średniowiecznych alchemików, czyli o odrodzeniu wewnętrznym człowieka". „Lotos", Roczn. V. Zeszyt 3. Marzec, 1938. Str. 73—80. Poza tym: „Die Magie und Alchemie des Alterthums und Mittelalters" von Dr. G. W. Scharlau in Stettin. S. v. 641 b. 674 (Naturphilosophie). „Die Alchemie und die Alchemisten", von Dr Gustav Lewinstein. Berlin, 1870. C. G. Lüderiss'sche Verlagsbuchhandlung. A. Charisius. 643—676. Nikołaj Morozow: „W poiskach fiłosowskago kamnia." S. Pieterburg. 1909, wreszcie Louis Figuier: „L'Alchimie et les Alchimistes, ou Essai historique sur la philosophie hermetique", Paris, 1854.

4. ANDROIDY

Przed dokonaniem przeglądu prac alchemicznych nad homunkulusem uczynimy małą wzmiankę o innym rodzaju „homunkulusów", które wprawdzie nie były przedmiotem usiłowań alchemii, lecz mechaniki.

Homunkulusy mechaniczne, t. zw. „androidy" (z greck. aner — człowiek, i eidos — postać) były to automaty o postaci ludzkiej, których zadanie polegało na wypełnianiu wszystkich czynności, właściwych człowiekowi. Owe arcydzieła mechaniki winny więc mówić, chodzić, a nawet myśleć. Tradycja historyczna głosi, że pierwszym, który stworzył słynny automat był wielce uczony dominikanin Albertus Magnus (1193—1280), pracujący przez trzydzieści lat nad swoją maszyną. Nie była ona wprawdzie androidą kompletną, składała się tylko z głowy, lecz głowa ta rzekomo potrafiła myśleć i dyskutować na temat poważnych zagadnień. Legenda podaje, że kiedyś, gdy Tomasz z Akwinu (1226—1247) rozpocząwszy z nią dyskusję został w niej pokonany, rozgniewany do najwyższego stopnia potłukł kijem ową magiczną głowę na kawałki. Fakt ten wywołał z ust Alberta wybuch żalu: „Periit opus triginta annorum!" (zginął owoc pracy trzydziestoletniej!).

Starożytni Grecy i Rzymianie znali różne lalki mechaniczne, które biegały dookoła stołów poruszając głową, oczyma, rękakami.

Przechowały się podania o gołębiu latającym Archtasa z Tarentu (400 r. przed Chr.), o ośle wspomnianym przez Pausaniasza (160—180 r.), o czołgającym się ślimaku Demetriusa Phalereusa, o androidzie Ptolomeusza Philadelpha i t. d. W wiekach średnich oprócz wspomnianego Alberta Wielkiego zajmował się zbudowaniem androidy Roger Bacon (1214—1294), Regiomontanus (1436—1476) i in. W czasach późniejszych spirytysta i astrolog angielski John Dee (1527—1607) przedstawiał mechanicznego żuka, latającego w powietrzu, co było niemałą sensacją owego czasu.[47])

Szczególnie w XVIII wieku ożywiła się na tym polu działal-

[47]) Podczas przedstawienia komedii Arystofanesa „Eirene" w r. 1547 zademonstrował Dee lecącego w powietrzu chrząszcza, co wykonane było z takim kunsztem mechanicznym, że publiczność przypisała mu nadprzyrodzoną zdolność ożywiania przedmiotów martwych. Por.: „Czary na dworze Batorego. Kartka z dziejów mistycyzmu w XVI. wieku", przez Al. Kraushara. Kraków, 1888. Str. 123, oraz „John Dee, ein Spiritist des 16. Jahrhunderts", von K. Kiesewetter. Leipzig, 1893. S. 11.

ność, gdy prąd umysłowy zwracał się chętnie do wszelkich dziedzin związanych z matematyką i mechaniką.

Androidy były jednak zwykłym mechanicznym rodzajem „homunkulusa", to też powyższą wzmianką zakończymy o nich tę dygresję. Można jeszcze dodać, że w nowszych czasach skonstruowano znakomite automaty, które niby człowiek spełniają wszelkie czynności, wykonywują rozkazy, zapalają światło, odbierają telefon, w wypadku pożaru wzywają telefonicznie straż i t. d. „Pierwszy sztuczny człowiek" t. zw. „Robot" został zbudowany przez inż. Wensley'a. Jest to prawdziwe arcydzieło mechaniki.

5. HOMUNKULUS.

Alchemicy obserwując różnorodne zjawiska przez pryzmat swych okultystycznych koncepcyj upatrywali w naturze, a raczej w jej przejawach pozornie do siebie mało podobnych, znamienne analogie i podobieństwa. Wierzyli, że wielki świat, Makrokosmos, jak w zwierciadle odbija się w małym świecie, Mikrokosmosie, przy czym wszystko co istnieje związane jest nierozerwalnie ze sobą i wpływa nieustannie na siebie nawzajem w postaci niekończących się zależności funkcyjnych. Kształtowanie się i rozwój organizmu żywego porównywali alchemicy z tworzeniem się kryształów. Rzucała się im bowiem w oczy dziwaczna analogia, wyznaczająca tym dwom tak różnym napozór zjawiskom olbrzymią ilość punktów wspólnych.[45])

Otóż badając krystalizujące ciecze przekonali się, że roztwór soli o ile umieszczony zostanie w układzie bezwzględnie odosobnionym, a więc nie jest poddany jakimkolwiek zmianom temperatury i ciśnienia, sam zaś rozpuszczalnik nie może parować wskutek przechowywania w naczyniu zamkniętym hermetycznie, zachowuje przez nieograniczenie długi okres czasu swoje pierwotne właściwości i wcale nie tworzą się w nim formy krystaliczne. Jeśli natomiast wytworzy się odpowiednie warunki zewnętrzne: spowoduje zmianę temperatury (w kierunku ujemnym), doda jakiś ułamek krystaliczny do roztworu — następuje momentalnie stan wydzielania się kryształów, kształtujących się w pewne, piękne i specyficzne postacie. Do tego zastanawiała alchemików ta nieznana siła, która nakazywała formować się cząsteczkom soli rozpuszczonej 1-o: w ogóle w jakieś uorganizowane choć martwe twory, 2-o: w t a k i e właśnie i nigdy nie inne zestawienia geometrycznych płaszczyzn, charakterystyczne i stałe dla każdej odmiany soli krystalizującej.

[45]) Dr St. Radziszewski: „Wiedza Tajemna". Warszawa, 1904.

I z drugiej strony wyobrażali sobie alchemicy czymże byłoby zapłodnione jajo, gdyby wprowadzić je w układ odosobniony, bezwzględny i pozbawić tych warunków zewnętrznych, jakie są nieodzowne do jego naturalnego rozwoju. Napewno zostałby zniweczony jego byt organiczny z chwilą niedopuszczenia doń owej substancji białkowej, odpowiedniego ciepła oraz ogólnego środowiska sprzyjającego i warunkującego istnienie organiczne. Empiryka zdawała się całkowicie popierać ich logiczne rozumowania. Na tej zasadzie mogli alchemicy wyprowadzić wniosek, że tworzenie się kryształu, jak również rozwój płodu żywego stanowią całkiem podobne do siebie zjawiska, zależne do tego od jednej i jedynej siły, która powoduje ich powstawanie. W ten sposób wynajdywali cechy wspólne w naturze martwej i żywej.

Pomimo że usiłowania teoretyczne alchemików kierowały się także do problematu powstania życia w ogóle, jego początku oraz przyczyny, to jednak właściwe i główne ich rozumowania i obserwacje dotyczyły jedynie procesów fizjologicznych, a mianowicie: zapłodnienia, ciąży i porodu. Z tych faz rozwojowych spodziewali oni nauczyć się tworzyć swojego homunkulusa. Przez porównanie zaś z analogicznymi, według ich mniemania, zjawiskami przejawiającymi się w naturze chcieli skonkretyzować ostatecznie sposoby i warunki nieodzowne do realizacji i stworzenia w sztucznych okolicznościach istoty żywej, myślącej i działającej.

Zestawiając te usiłowania ze współczesną teorią ewolucji monofiletycznej przekonywujemy się jak dalece postępowanie to było chybione i niecelowe. Problem stworzenia odrębnego bytu, oddzielnej substancji żywej, nie mówiąc oczywiście o jakiejś formie wykończonej, ale pierwotnej, początkowej, wymagałby przecyzyjnego i dokładnego poznania ogólnych praw rozwojowych, które predysponują je do spontanicznego „rozrostu" i powiększania swej objętości. Zagadnieniem tym zajmuje się wielu uczonych współczesnych Ogłoszono już nawet ciekawe prace, poświęcone wynikom tych badań.[49])

[49]) Stworzeniem plazmy żywej interesował się żywo uczony O. Lehman. Stworzył on substancje składające się z tzw. płynnych kryształów i cieczy krystalicznych i dokonał wiele ciekawych obserwacji nad zachowaniem się jej w rozmaitych okolicznościach. Prace te były traktowane przez innych uczonych jako interesująca „zabawka naukowa". Entuzjastyczne referaty Lehmana poświęcone jego badaniom przyjmowane były przez świat naukowy z wielkim niedowierzaniem i rezerwą.

Oczywistą jest rzeczą w tym świetle, że alchemicy skierowali zagadnienie „komórki syntetycznej" na całkowicie niewłaściwe drogi, które wyprowadziły ich na manowce jałowej spekulacji i obłędnego empiryzmu.

O ile chodzi o współczesne poglądy na zagadnienie powstania pierwszego życia na ziemi to możemy zaobserwować, że w nauce nie ustaliły się jeszcze poglądy na ten temat. Darwinowska teoria ewolucji udowodniła, że życie na ziemi przechodziło na przestrzeni wieków nieustanną ewolucję, podczas której organizmy mniej skomplikowane pod względem swej budowy stawały się wskutek zmieniających się oddziaływań zewnętrznych (klimatów, temperatury, naświetlenia itd.) strukturami bardziej zawiłymi i skomplikowanymi. Ostatnim członem tego tysiącletniego a może nawet miliony lat trwającego procesu rozwojowego jest homo sapiens, człowiek. Pierwszym — prawdopodobnie jakieś bezkształtne, jednokomórkowe żyjątko, o strukturze prostej, plazmowatej i przejrzystej.

Oczywiście dokładne wyjaśnienie powstania życia na ziemi jest niemożliwe z powodu braku materiału faktycznego; wszelkie domysły na ten temat muszą więc obracać się w sferze dość dowolnej spekulacji filozoficznej. Można np. przypuścić, że dziwne zestawienie pierwiastków (występujących obecnie w każdym organiźmie żywym) takich jak węgiel, tlen, wodór i azot skondensowało się pod wpływem bodźcow zewnętrznych w specyficzne połączenie, które umieszczone w odpowiednich warunkach i poddane działaniu „ożywiającej" siły światła słonecznego, uzyskało w ten sposób podnietę do wytworzenia bio-chemicznych, chemik dodałby jeszcze — egzotermicznych reakcyj i idących za nimi oddziaływań fizycznych. Nieuorganizowane z początku i proste przemiany zczasem komplikowały się i pozwalały temu dziwacznemu konglomeratowi materii i energii kształtować się w twór „żywy", który później przechodził tak długi okres rozwojowy.

W teorii ewolucji przyjmuje się, że pierwsze owe przejawy bytu na ziemi nie były bynajmniej formami całkowicie wykończonymi; życie powstało dzięki dziwacznemu, ciekawemu i szczęśliwemu zarazem przypadkowi, w którym — jak powiedziano wyżej — przez odpowiednie zorganizowanie się cząsteczek materii organicznej w plazmę jednokomórkową, a nawet pierwotnie prawdopodobnie bezkomórkową, umieszczoną w odpowiednim ośrodku substancji „białkowej", wy-

stawionej na działanie właściwej temperatury i światła słonecznego, pobudzona została ta „komórka" do wytworzenia rozmaitych reakcji fotochemicznych czy bio-chemicznych, które prowadziły do jej „rozwoju" i „życia", do nieustannej dążności wysubtelniania i kształtowania swych pierwotnych prymitywnych form, wreszcie do walki o byt i przystosowywania się do warunków podłoża i klimatu okolicy. Jest prawdopodobne, że podłożem tych reakcji mogło być dno morskie lub zaszlamione miejsca wśród wilgotnych moczarów, zapełnione rozkładającymi się i butwiejącymi substancjami organicznymi itd.; wspomniana „dążność" owego konglomeratu materii do transfiguracji w formy odmienne od dotychczasowych znajduje pewne potwierdzenie w prawie przekory Le Chatelier'a-Braun'a, które głosi, że jeżeli na układ pozostający w równowadze zostanie wywarte działanie jakiegoś bodźca, wówczas w układzie zachodzi reakcja w kierunku, którvby niweczył działanie tego bodźca, lub stawiał mu największy opór. A więc w owym pratypie organizmu działanie wichru i zimna mogło wytworzyć specjalne napięcia powierzchniowe a zatem błonę w rodzaju skorupy; wpływy mechaniczne, jak działanie ostrych nierówności gruntu powodowały cząstkowanie jego na kawałki, przy czym struktura wewnętrzna „komórki" przeobrażała się, a prawo przekory kazało zawsze bronić się przed niszczącymi wpływami. Aby ta pierwiastkowa istność organiczna mogła „rozwijać się" pomyślnie musiało istnieć wokół niej — jak już wspomniano — odpowiednie środkowisko, i ono właśnie kształtowało akomodacyjne właściwości „komórki", do którego ta ostatnia nieustannie się przystosowywała. Drogą wiekowych zmian i przekształceń środowiska, wywoływanych różnymi kataklizmami, przeobrażeniami temperatur i klimatów itp., zachodzącymi nieustannie w naturze, pierwotna forma materii zatracała swe początkowe własności, stając się tworem coraz bardziej przystosowanym i odpornym na wszelkie nieprzychylne jego rozwojowi czynniki, dochodząc wreszcie do najbardziej wykończonej i skomplikowanej postaci „człowieka".[50])

Powyższe długie dosyć odstąpienie od tematu „homunkulusa pozwoli na przedstawienie usiłowań alchemików w bar-

[50]) Por.: „Der Darwinismus und die Probleme des Lebens" von Dr Konrad Guenther. Freiburg i. Br. 1905; Dr Jan Dembowski: „O istocie ewolucji", Warszawa, 1924; Aug. Müller: „Jak powstały pierwotne istoty organiczne i jak z nich następnie wytworzyły się gatunki". Warszawa, 1874.

dziej charakterystycznym świetle. O ile alchemicy zrealizowaliby wytworzenie pierwotnej formy bytu i sporządzili prymitywną „komórkę żywą", wtedy mogliby myśleć o części drugiej, czyli o doprowadzeniu owego principium do ostatecznej, wykończonej postaci homunkulusa. Jednak uczeni średniowieczni nie byli, na tyle krytyczni i wierząc w potęgę swojej sztuki hermetycznej i czarów zamierzali w prymitywnych warunkach laboratoryjnych rozwiązać jeden z największych problemów.

6. ALCHEMICZNE PRACE NAD HOMUNKULUSEM.

Pragnienie stworzenia homunkulusa pojawia się w zamierzchłej przeszłości. Wzmiankowaliśmy już o doświadczeniach Alberta Wielkiego, o jego głowie mówiacej i myślącej. Lecz machina ta była tylko wytworem mechanicznym. Pierwszym okultystą, który zajmował się praktycznie stworzeniem odrębnego życia przez zrealizowanie homunkulusa, był zdaje się słynny lekarz i alchemik średniowiecza Arnold de Villanova (1235—1311), natura pełna wysokich ambicji naukowych, nie pozbawiona jednak pewnych awanturniczych skłonności. Przepisy i notatki jego odnoszące się do prac nad homunkulusem są tak ciemne i niezrozumiałe, jak sama alchemia średniowieczna, a późniejsi alchemicy dowodzili, że trudnością nie do pokonania byłoby pragnienie przeprowadzenia procesów według jego wskazówek. Starał się on sporządzić istotę żyjącą podobną do człowieka, przy czym prace swe kierował częściowa na „magiczną", częściowo na „alchemiczną" drogę. Villanova wprawdzie homunkulusa nie stworzył, współcześni jednak opowiadali o nim, że posiada siedmiu duchów zaklętych w naczyniach szklanych[51]) i w ogóle uważali go za czarnoksiężnika i zaklinacza diabłów. Wersję powyższą jednak późniejsi alchemicy włożyli między bajki i uważali za pospolite paplanie gminu.

W czasach Arnolda Villanovy ponował olbrzymi chaos wśród poglądów chemicznych i biologicznych. Badania zjawisk życiowych łączono wtedy ze spekulacjami astrologicznymi, z wpływem gwiazd, duchów itd. Powstała wówczas duża ilość rozmaitych błędnych teorii i koncepcyj, których źródłem były oczywiście spekulacje Arystotelesa, a którym hołdowali Arabowie, pisarze średniowieczni, scholastycy, mistycy, alchemicy

[51]) K. Kiesewetter: „Faust in der Geschichte und Tradition". Berlin, 1921. B. II. S. 89.

i jatrochemicy aż do XVIII-go stulecia. Wygłaszano rozmaite hipotezy, odnoszące się do „putrefakcji" i „mumifikacji", co do „sztuki spagiryjskiej" i stworzenia „człowieczka" (homunkulusa) np. z fiołka zagrzebanego w łajnie końskim, i wiele innych tym podobnych niedorzeczności. Niektórzy pisarze dowodzili, że ażeby stworzyć „człowieczka" należało nasienie mężczyzny umieścić w naczyniu szklanym i włożyć je do ciała gnijącego konia, gdyż „corruptio unius est generatio alterius" (rozkład jednego jest stworzeniem drugiego). Inni znów łącząc zagadnienie homunkulusa z palingenezą spalali roślinę na popiół, rozpuszczali go w szklance wody. którą potem wystawiali na mróz; następnie obserwowali efloresencję, wykwity jakie powstawały z zamarzniętego płynu uważając je za liście, jakie przybrała nowa roślina.[52]) Traktaty alchemiczne z XIII i XIV stulecia zapełnione są tajemniczymi maksymami w rodzaju: „Non fui, quod eram, nunc sum, dum morior" (nie byłem tym, czym byłem, obecnie, gdy umieram, jestem), „verbum caro factum est" (słowo ciałem się stało), pod którymi ówcześni alchemicy starali się ukryć największe arkana hermetyczne. W procesach chemicznych dużą rolę odgrywały promienie słoneczne odbite w lustrze. tajemnicze wyciągi z ziół i kwiatów, jakieś preparaty określane nazwami: olej księżycowy, nasienie złota, tynktura Apollona itd.

Powszechnie uważa się Paracelsa (1493—1541) za głównego autora idei homunkulusa, traktaty alchemiczne dowodzą jednak, że jeszcze dawno przed nim znane było to zagadnienie. Cytowany już H. Silberer uważa, że idea ta tylko przez niezbyt krytyczne umysły alchemików mogła być uważana za całkiem realną i posiadającą pewne podstawy przyrodnicze. Mogą istnieć różne sądy odnośnie roli, jaką odgrywa tu Paracelsus. Podstawę jaką dał on do wytworzenia homunkulusa odnajduje się w dziele „De Natura Rerum" (lub „De generatione rerum naturalium") przypisywanym, może niesłusznie, temu autorowi. Niektórzy sądzą, że wypowiedzi tych nie należy traktować zbyt poważnie i bezkrytycznie, nie wiadomo bowiem, co jest w nich w dobrej myśli podane, a co dla próżności i pychy, jaką człowiek ten bez wątpienia się odznaczał. Jest możliwe, że przedstawia on w nim pewnemu ciekawemu przyjacielowi, któremu przypisał swą pracę, rodzaj zbioru ciekawostek alchemicznych, zebranych w czasie nieustannych je-

[52]) Dr med. i fil. Wł. Szumowski: „Historia medycyny filozoficznie ujęta". Kraków, 1930, 1932, 1935. Tom II, str. 356—7.

go podróży między wędrującym ludem, cyganami, studentami, wróżbiarzami. Książka napisana jest, zauważa Silberer, w taki sposób, jaki naiwna uczoność wyimaginować sobie mogła. Idea sama została tam przedstawiona w wyraźnych alchemicznych wyobrażeniach.

Paracelsus wytworzył specjalną filozofię mistyczno-alchemiczno-lekarską, to też zrozumienie jego istotnych myśli, dotyczących np. zagadnienia homunkulusa, wymaga pogłębienia się w bezładnym chaosie jego dzieł i pism, gdzie sprzeczności i niejasności zauważa się na każdym kroku. Istotę kerującą życiem i bytem nazwał on „Archaeusem" (z greck. arché — początek) lub „spiritus vitae". Podkreślał, że należy dokładnie rozróżniać jego pierwiastek zasadniczy i objaw, czyli wynik tego Archeusza. Według Paracelsa „życie" jest budowniczym (Archaeus), który materie organizuje, łączy w całość składniki i cegiełki, z których składają się jej twory.[53] Pierwiastek ten nie jest zwykłą mechaniczną siłą, w nim tkwią idee wszelkich rzeczy, i aby stworzyć nowy organizm nie wystarczy proste działanie chemiczne: musi w nim współdziałać ów Archeusz zawierający siłę czterech elementów (ognia, powietrza, wody i ziemi), obdarzony istotą życia, bytu. Wtajemniczony dokładnie odróżnia ową siłę życiową od jej materialnych, widocznych objawów i jest w stanie wcielić Archeusza w odpowiednią materię. Przy tym rozprawia Paracelsus o warunkach i sposobach działania, o znaczeniu dobrych i złych duchów etc. Trudno iść za wątkiem jego myśli, tym bardziej, że wyrażenia co krok napotykane, jak np. „Ares", „Iliadum", „Trivallini", „Tschitma" i wiele innych tylko przez niego mogłyby być wyjaśnione.

Odnośnie praktycznej realizacji homunkulusa Paracelsus wychodzi z założenia, że putrefakcja (użyźnienie) zamienia wszystkie rzeczy w ich pierwotną formę (?) i że jest początkiem i różniczkowaniem wszelkich rodzajów. Spagiryczna sztuka może, według tego autora, produkować ludzi i potwory. Takim potworem jest bazyliszek. Posłuchajmy co mówi o nim w jednym ze swych dzieł, wydanym w Strassburgu:

„Bazyliszek wzrasta i rodzi się z największych nieczystości kobiet, mianowicie z menstruacyj i krwi spermatycznej; tak że on zostaje włożony w naczynie szklane i cucurbitę / in uentre equino putreficirt / w takim putrefactio (zbutwieniu) zostaje Bazyliszek urodzony. Któż jest tak śmiały i silny / aby go zrobić

[53]) W. Mirski: „Theophrastus Paracelsus". Wisła, 1933, Str. 27.

/ lub wydobyć / albo nawet znów zabić, / jeśliby się przedtem nie ubrał i nie ochronił zwierciadłami? Nie widziałem nikogo takiego / lecz chcę niniejszym ostrzec wielu... Nie należy także żadną miarą zapominać o rodzie Homunculusów. Ponieważ wszystko co w tej sprawie dotąd było wiadome trzymano w głębokiej tajemnicy / i nie ma żadnej wątpliwości, że często w starych aktach Filozofów stawiano pytanie / czy możliwe jest aby natura czy też sztuka / była w stanie stworzyć człowieka poza ciałem kobiecym, bez naturalnej matki? Na to daje odpowiedź / że to nie stoi w sprzeczności ze sztuką spagiryczną ani z naturą / lecz przeciwnie jest to zupełnie możliwe. Jednak jak to się dzieje / jest to tylko kwestią procesu: postępowania więc: mianowicie, że nasienie jakiegoś mężczyzny w zamkniętym naczyniu (cucurbicie) per se (przez siebie) użyźnia się z najwyższą putrefakcją ventre equino przez 40 dni / lub tak długo aż stanie się żywym / i poruszy się, / co łatwo spostrzec. Po tym czasie będzie on ogólnie biorąc podobny do człowieka / lecz przeźroczysty / i bez ciała. Dalej ma być on Arcano sanguinis humani (wodą życia) mądrze żywiony / aż do 40 tygodni / i trzymany w cieple, równym ciepłu brzucha kobyły (ventris equini): z tego staje się kompletny, prawdziwy człowieczek-dziecko / ze wszystkimi członkami / jak inne dziecko / urodzone z kobiety / lecz dużo mniejsze: dlatego nazywa się go Homunculum / i potem ma być nie inaczej, jak inne dziecko wychowywany z wielką pilnością i troską, / aż swego czasu dojdzie do rozumu. To jest właśnie jedna z największych i najwyższych tajemnic / którą dozwolił Bóg wiedzieć śmiertelnym i grzesznym ludziom. Poza tym jest to dziw i Magnale Dei, i tajemnica nad tajemnicami i ma pozostać tajemnicą aż do ostatniego dnia, / gdy nic już nie będzie ukryte, / a wszystko zostanie objawione.

„I o ile jest to ukryte przed zwykłym człowiekiem / nie jest to zatajone przed człowiekiem leśnym (Syluestris), nimfami i olbrzymami, / lecz wiadome jest im od dawna, / skąd pochodzą. Ponieważ z takich homunkulusów, gdy dojdą do wieku męskiego / będą olbrzymy, / karły / i inne podobne tym potwory, / które używane bywają do nadzwyczajnych rzeczy, / które zawsze zwyciężają największego choćby wroga / i wiedzą o wszystkich tajemniczych rzeczach / o których wiedzieć jest niemożliwością dla zwykłych ludzi. W sztuczny sposób dochodzą oni do swego życia, do swego ciała / nóg / krwi / w sposób sztuczny rodzą się za pomocą sztuki: dlatego też jest im wrodzona ta sztuka / i oni nie potrzebują się jej od nikogo uczyć, / lecz inni muszą się od nich uczyć jej: ponieważ oni

dzięki niej istnieją / wzrastają z nią / jak róże lub kwiaty w ogrodzie / i nazywane są dziećmi Sylw czyli „leśnych" i nimf / i są porównywane nie z ludźmi / lecz z duchami / dla swych sił i czynów".[54])

W opisie produkcji „człowieczka" okazało się jak ważną rolę odgrywał tam gnijący materiał. Zastąpienie odżywiania przez odpowiednią pożywkę z krwi — „wodą życia" — jest dobrze zrozumiałe: tajemnicza substancja miała oddziaływać w sposób „magiczny" na organizm homunkulusa. Nawóz koński był tym materiałem, który i łatwo było otrzymać, i który podczas procesu służył do utrzymania odpowiedniej temperatury.

Paracelsus pozostawił jeszcze inną notatkę dotyczącą produkcji homunkulusa, którą później komentował na swój sposób Eckarthausen (1752—1803), a zanim Christian: „Wziąć jajko czarnej kury i przedziurawiwszy je, wylać część białka wielkości grochu. Na to miejsce wlać sperma viri, poczem otwór zalepić dziewiczym pergaminem (?), zlekka zwilżonym. Po trzydziestu dniach, wylęgnie się z podobnego jajka mały potworek, posiadający pewne podobieństwo ludzkie".[55])

Z poglądów wyrażonych tutaj widoczne jest na jaką drogę skierował Paracelsus zagadnienie homunkulusa, koloryzując je mistycznymi opowiadaniami o istotach leśnych, nimfach, olbrzymach itd. Usiłowania Paracelsa wskazują na fakt, że pewnego rodzaju embriologiczne i fizjologiczne procesy identyfikuje on ze stworzeniem sztucznej organizacji życia za pomocą alchemiii. W idei homunkulusa leżało jak najdalej idące wykorzystanie sztuki i wyprodukowanie „człowieczka" bez żadnych czynników, które były naturalną podstawą normalnego kształtowania się istoty żyjącej. Paracelsus natomiast przedstawił te usiłowania w sposób naiwny łącząc prymitywnie podchwycone zjawiska rozwoju płodu ze sztucznym sporządzeniem homunkulusa.

O innych próbach Paracelsa, mających na celu wykonanie homunkulusa nie będziemy tu już wspominać, ponieważ istota tych praktyk była analogiczna do wyżej podanych i opierała się na podobnych procesach.[56])

Słynny w dziejach alchemii awanturnik Leonard Thurn-

[54]) Die Strassburger Folio-Ausgabe des Paracelsus. Bd. I. S. 881—4.

[55]) Wołowski, 10 c. cit. p. 155.

[56]) Por.: R. Thiel: „W walce ze śmiercią i diabłem". Warszawa, 1934.

heisser (1530—1595), który w r. 1555 był w łaskach arcyksięcia Ferdynanda, dzięki któremu zwiedził prawie pół świata, a potem przebywał jako alchemik-lekarz na dworze elektora brandenburskiego Jana Jerzego, gdzie elektor wystawił mu w Galle wspaniałe laboratorium, zajmował się także próbami stworzenia homunkulusa. Jednak autorytet jego w dziedzinie wiedzy był wielokrotnie wystawiany na szwank i ośmieszenie wskutek nieustannych oszustw i szarlatańsw jakich dokonywał. Tak np. twierdził on, że ma u siebie w szklance w płótno zaszytej zaklętego podwładnego ducha, który wypełnia wszelkie jego rozkazy. Ogólnie uważano to za najświętszą prawdę. Zawistni alchemicy zazdroszcząc mu znacznego majątku wykazali wreszcie, jego oszukaństwa przed elektorem, wtedy prawda okazała się w świetle dziennym. Thurnheisser uciekł tak szybko, że zapomniał nawet ukryć lub zabrać ze sobą swego tajemniczego ducha zaklętego w szlance. Okazało się, że był nim skorpion zamarynowany w oliwie.[57])

Przyrodoznawca Van Helmont (1578—1644), w którego dziełach przebija z jednej strony zagorzałość religijna wierzącego katolika, z drugiej zaś wolnomyślność badacza, dążył do zbadania „źródła życia" i na podobieństwo Paracelsa przyjmował istnienie Archeusza, mistycznej siły żywotnej, która znajduje się wszędzie, nawet w ciałach martwych, tylko w nierównym tych dwu bytów (ożywionego i nieorganicznego) do siebie stosunku. Im więcej jest tego Archeuszą, tym wyraźniejsze są objawy życia. W minerałach jest go najmniej, w roślinach nieco więcej, najsilniej przejawia się on w człowieku. Istnieją pewne ślady, wskazujące że Van Helmont kontynuował laboratoryjnie realizację idei homunkulusa.

Nie ulega wątpliwości, że rozwiązaniu zagadnienia homunkulusa oraz problemu samorodztwa czyli samozapłodu (lub też: Generatio spontanea, Generatio aequivoca, Archigonia, Archibiosa, Abiogenesis, Heterogenesis etc.) poświęcał swe prace i badania laboratoryjne niezliczony zastęp uczonych średniowiecza i Odrodzenia. Jednak nie zawsze imiona ich weszły do historii nauk i ogromna część tych usiłowań pozostanie na zawsze w cieniu. Jeszcze w XVIII wieku pracowano nad tymi zagadnieniami. Wszechstronny uczony A. Kircher (XVII w.), Needham, Buffon (1707—1788), Trewiranus (1776 do 1837), Redi, Vallisneri, Spalanzani (1729—1799) i wielu in-

[57]) F. Beneveni, „Z dziejów alchemii", op. cit. p. 246—7.

nych czynili próby odtworzenia organizmów z przyrody nieorganicznej.[58])

7. MISTYCYZM ALCHEMICZNY

Alchemicy kierunku bardziej mistycznego wdawali się w trudniejsze i więcej skomplikowane spekulacje teoretyczno-empiryczne. Usiłowania swe kierowali w celu wynalezienia tajemniczej „Ziemi czerwonej", interpretowali bowiem biblijne imię „Adam" — postać wielce znaczącą w alchemii mistycznej wieków średnich — po hebrajsku jako „terra rubra"; ich wielkie dzieło nie sprowadzało się do wynalezienia sposobu transmutacji, przeciwnie odkładali je jako czynnik podrzędny, poszukując natomiast istoty życia, „Arcanum vitae", „punktu, około którego światło — Jod — fluid ognia, zgęszcza się tworząc substancję ziemną (materie), zawierającą w sobie jednocześnie pierwiastek życia i ruchu".[59]) Alchemicy starali się ów twórczy pierwiastek „Jod" pobudzić do ekspansji siłą swej woli i nadać mu właściwość barwienia i moc zapładniającą, dzięki której możnaby stworzyć życie. Lecz osiągnięcie tej części nie było końcem całego działania. Należało jeszcze ukształtować ową „ziemię czerwoną", owo ciało Adama, którą ma być skrzepła krew żywej ziemi, czyli stworzyć człowieka — produkt nauki z jaja filozoficznego („ovum philosophicum"), aby nadać materii byt i życie.

Prymitywna forma czarnej magii kultywowana w sferach najniższych, najbardziej umysłowo nieukształconych i zabobonnych, zajmowała się tym problemem przez długi okres wieków średnich. Znane jest podanie o poszukiwaniu Mandragory.

[58]) Por.: Nowsze pojęcia i hipotezy o powstawaniu istot. Szkic przyrodniczy. J. B. Warszawa, 1884. L. Büchner: „Obrazy fizjologiczne". Tłumaczył M. Mendelsohn, Warszawa, 1873. Tom II, str. 102, nast. W pracy L. Büchnera: „Siła i Materia", Filozoficzne studia na polu doświadczeń przyrodniczych, spolszczył L. Mulski, Lwów, 1869, str. 50, znajduje się wzmianka o pracach botanika prof. L. Cienkowskiego nad zagadnieniem samozapłodu: „Podług wiadomości podanej przez Rossmässlera odkrył prof. Cienkowski w Petersburgu powstawanie samodzielnych organizmów z odrobin krochmalu w gnijących główkach kartoflanych; — spostrzeżenie to przez nowe odkrycia Cienkowskiego miało przybrać inne znaczenie. Autor ze swego stanowiska wychodząc nie wątpi o istnieniu „Generatio aequivoca" nawet dzisiaj, jak również o tym, że takowe prędzej lub później z pewnością wykryte zostanie". Prof. Cienkowski zajmował się głównie badaniem roślin zarodnikowych i bakterii.

[59]) Dr St. Radziszewski: „Wiedza Tajemna".

Roślinę tę można było znaleźć tylko koło szubienicy, na której wieszano zbrodniarzy, około północy i przy zachowaniu szeregu ceremonii. Wierzono, że gdy zbrodniarz zostaje zepchnięty z podstawy aby zawisnąć na sznurze, wydziela w spazmie przedśmiertnym nasienie, które upada na ziemię. W ten sposób powstaje mandragora-pokrzyk, roślina czarnoksięska, przybierająca w dalszym rozwoju postać ludzką, męską lub kobiecą „Alrauny" magicznej. Inny wątek podania podaje, że Mandragory należało szukać w pobliżu wisielców, do których przywiązywano jakiegoś psa i zabijano go gwałtownie. Pies oddawał swą duszę powstałej w tej chwili roślinie, która znów przyciągała duszę powieszonego. Podobnych motywów jest zresztą więcej. Literacko wyzyskał ten temat niemiecki pisarz H. H. Ewers w powieści pt. „Alraune".[60]) Ze względu na pewne podobieństwo do postaci ludzkiej, jakie wykazują niektóre korzenie mandragory, roślina ta odgrywała dużą rolę w praktykach homunkulusowych i prawie wszyscy pisarze hermetyczni zaliczają ją do roślin „czarnoksięskich".

Alchemicy sądzili, że podczas kopulacji ludzkiej następuje przyciąganie i zgęszczenie „światła astralnego". Moment ten wykorzystać chciały do stworzenia homunkulusa już czarownice hebrajskie, które obwinia o to Philon (I. w. po Chr.), jak to podaje dzieło astrologa Gaffarela. Aby więc uzyskać ów pierwiastek życiowy, wkładały sobie do pochwy podczas związku ziarnka roślin, pragnąc spowodować specyficzne ich kiełkowanie dzięki zapłodnieniu nasieniem męskim.

Nie był to bynajmniej pomysł odosobniony. Dzieje magii średniowiecznej przepełnione są podobnego rodzaju zabobonnymi praktykami.

W literaturze polskiej zużytkował motyw homunkulusa, co prawda nie pod tą nazwą, J. U. Niemcewicz w powieści „Lejbe i Siora". Oto co każe mówić jednemu ze swych bohaterów w liście do przyjaciela:

„... co do mnie, prawa pozwalają uczonemu zostawać w bezżeństwie, i bez żony potomstwo mieć mogę. Synu, zawołałem, co mówisz? nie rozumiesz mię, odparł, lecz wkrótce się nauczysz. To mówiąc podszedł do skrzynki swojej, wyjął z czymsiś tygielek, przykrywszy i oblepiwszy gliną postawił

[60]) H. H. Ewers: „Alraune. Dzieje istoty żyjącej". Powieść. Przekład J. Przybyszewskiej, zaopatrzony wstępem St. Przybyszewskiego, oraz portretem autora. Lwów, 1918.

go na ogniu, i dmuchać zaczął. Cóżto smażysz drogi mój Feniksie, zawołałem. Syna dla siebie, odpowiedział".[61])

Pomysł homunkulusa dała Niemcewiczowi prawdopodobnie notatka Tadeusza Czackiego, przyłączona do jego rozprawy „O żydach".[62]) Otóż Czacki zastanawiając się w jednym rozdziale m. in. nad kabałą, podaje w przypisku następującą wiadomość:

„W Smyrnie przez cztery pokolenia, iak msc. Samuela ze Lwowa, który za paszportem Jana Kazimierza (1609—1672) bawił się przez lat 12 w Syryi i Palestynie, zaświadcza: pracowano nad utworzeniem człowieka z nasienia (e semine hominis), robiąc piecyki, iak w Egipcie na kurczęta, o których Radziwiłł i Niebuhr w opisach wędrowek piszą, i że od czasu Antonina Cesarza, (Kabaliści) pracują nad tym wielkim projektem (i wynalazkiem); pracowano w innych mieyscach cokolwiek w względzie Alchemii, lecz te przedmioty nie są do kabbali należne; ale gdy w księgach Moyżesza, chcieli niektórzy rozumieć, że wszystkich nauk są prawidła, szanujący kabbalę i te wiadomości w naszych czasach za śmieszne poczytane, znaydować chcieli".

Notatka ta wskazuje, że podobnie jak w Europie interesowano się problemem człowieczka alchemicznego także na Wchodzie. Niektórzy pisarze sądzą, że właśnie stamtąd idea ta przyszła do Europy. Trudno cośkolwiek więcej powiedzieć w tej sprawie, gdyż oprócz powyższej wzmianki nie ma o tym żadnych wiadomości. Jest to jednak zupełnie możliwe, gdyż ludy wschodnie interesowały się zagadnieniami medycyny i alchemii dosyć żywo, można więc przypuścić, że i próby stworzenia homunkulusa były tam przez rozmaitych badaczy kontynuowane.[63])

[61]) „Dzieła Poetyczne Wierszem i Prozą", J. U. Niemcewicza. Wyd. J. N. Bobrowicza w Lipsku, 1838. „Lejbe i Siora". Tom VII. Str. 69.

[62]) Rozprawa T. Czackiego: „O żydach" drukowana była w „Pomnikach Historii i Literatury Polskiej" M. Wiszniewskiego. Kraków, 1835—1837. Tom III. Str. 54, przyp. 42.

[63]) Ślady tej wiary w stworzenie homunkulusa przechowały się wśród Żydów do późniejszych czasów. Świadczy o tym historia nast.: „Pewien wielce uczony Rabin w Pradze sporządził sobie z gliny ludzką postać, którą ożywił przez wetknięcie jej do ust jakichś formułek kabalistycznych, napisanych na pergaminie, i zobowiązał do niewolniczego posłuszeństwa. Do czarodziejstwa tego należał warunek, że Golam (tak nazywała się owa magiczna istota) w dniu sobotnim powinien być zostawiony w spokoju, gdyż w przeciwnym wypadku on stawał się panem, a Rabin jego sługą.

Przejrzyjmy teraz jeszcze inne źródła alchemiczne. Pod koniec 18-go stulecia Niemiec Józef Kammerer wydał obecnie bardzo rzadką książkę, w której opisał dokładnie praktyki swego pana, szlachcica hr. Kneffsteina, szambelana Marii Teresy, które w roku 1773 jakoby doprowadziły do wyprodukowania aż dziesięciu „duchów", wprawdzie czterotygodniowe przygotowania początkowe opisane są tak niejasno, że trudno wywnioskować na czym istotnie polegały. Wszelkie prace przeprowadzano w Kalabrii, wśród najgłębszej tajemnicy odnośnie praktyk i miejsca. Oprócz Kammerera świadkiem całego procesu był niejaki Geloni. Po czterech tygodniach przygotowań dobyto z alembików, pod którymi przez cały ten czas palił się ogień, dziesięć „duszków" miniaturowych o postaci ludzkiej; byli to: „król", „królowa", „rycerz", „mnich", „górnik", „architekt", „zakonnica", „serafin", „duch niebieski" i „duch czerwony".

Wszystkie dziesięcioro umieszczono w oddzielnych naczyniach, wypełnionych wodą święconą, poczem wszystkie naczynia szczelnie zamknięte włożono do skóry krowiej, którą opieczętowano i zakopano w ogrodzie w nawóz koński (dla uzyskania odpowiedniej temperatury). Co trzecią noc Kneffstein i Geloni udawali się do ogrodu, gdzie oddawali się jakimś praktykom magicznym i odprawiali nad kupą gnoju różne

---

Przez pewien czas dotrzymywał Rabin skrupulatnie tego warunku, jednak każdego piątku wieczorem (według mozaistycznej historii stworzenia dzień kalendarzowy zaczyna się wieczorem) przed nadejściem soboty wyjmował ów talizman z ust Golama. Wszakże kiedyś zapomniał o tym; udał się do synagogi, zaczęto intonację hymnów, z zakończeniem których rozpoczynała się sobota. W tym czasie poinformowano go z przerażeniem, że Golam dostał napadu szału i począł wszystko niszczyć. Rabin nie stracił swego spokoju; polecił przerwać śpiewanie hymnów, pośpiesznie wyszedł, i na miejscu zakrzyknął do Golama, że sobota jeszcze nie zaczęła się, i wyrwał z ust przerażonemu niewolnikowi formułę. Uspokojony powrócił do synagogi i kazał zacząć pieśń od początku. Dla pamięci tego wypadku odśpiewują w synagogach w Pradze hymny sobotnie dwa razy po sobie. Ostatni motyw każe sądzić, że nie mamy tu do czynienia z mitem, lecz z jakąś sztuczką księdza à la Marpingen". Historię powyższą przytacza bez podania daty jej powstania, J. Aug. Pivany w pracy: „Entwicklungsgeschichte des Welt- und Erdgebäudes und der Organismen". Plauen i. V. 1877. S. 129. Z innego źródła (Oskar Schürer: Prag, Kultur, Kunst, Geschichte. München/Brünn, 1935, S. 169) dowiadujemy się, że rabin ów nazywał się Rabbi Löw, właściwie Löwy (Juda) ben Bezalel (1525—1609) i przybył do Pragi w r. 1573 jako wyższy rabin, później zaś udał się do Poznania, skąd znowu powrócił do Pragi. Słynął tam jako myśliciel, kaznodzieja, matematyk, astronom, Żydzi zaś cenili go jako wielkiego kabalistę.

gusła i zaklęcia. Wreszcie odkopali skórę i wydobyli naczynia, a z nich owe „duszki". Kammerer zapewnia, że wzmocniły się one znacznie i że wszystkim „mężczyznom" urosły długie brody, oczywiście oprócz „serafina". Sprowadzono je do domu i karmiono co trzy dni jakąś czerwoną pastą, której składu Kammerer nie znał.

Wszystko szło jak najlepiej do chwili, gdy wytworzone przez Kneffsteina homunkulusy nie wymówiły posłuszeństwa swemu twórcy. Pierwszym anarchistą okazał się „król", który przebiwszy papierową pokrywę swego naczynia zamierzał prowadzić życie na własną rękę, przy czym buntował „królowę", do której wyraźnie się zalecał. W czasie pogoni, mówi Kammerer, „król" przeskakiwał z miejsca na miejsce, wydając przenikliwe okrzyki. Ostatecznie biedna ofiara została uduszoną jak ryba wyjęta z wody. W podobny sposób zginęły później pozostałe twory Kneffsteina.[64])

Cała powyższa historia zakrawa na oryginalną bajkę literacką opowiedzianą w bezkrytyczny sposób; prawdziwym szczegółem jest w niej zapewne usiłowanie Kneffsteina stworzenia homunkulusa. Magicznym praktykom hrabiego przyglądał się naiwny sługa Kammerer, któremu potem przyszła do głowy myśl opisania ich w oddzielnej pracy.

W tymże wieku J. W. Goethe, interesujący się w znacznej mierze średniowiecznym okultyzmem i mistyką, w swym „Fauście" w części drugiej przedstawia homunkulusa jako istotę żyjącą i działającą, która wprawdzie Faustowi jest obca, ale troszczy się o nią jego famulus Wagner.

Motyw homunkulusa wykorzystał również R. Hamerling w utworze pod tym tytułem.[65])

Powyższy przegląd byłby niezupełny gdybyśmy nie przytoczyli jeszcze wzmianki o poglądach współczesnych okultystów na zagadnienie homunkulusa. Istnieją ludzie, którzy niezależnie od postępu nauk przyrodniczych i zdając się nie zważać na ich osiągnięcia poważnie zajmowali się, podobnie jak dawni alchemicy, próbami stworzenia istoty żywej, spodzie-

[64]) Karl Kiesewetter: „Die Homunculi des Grafen Kreffstein". „Sphinx", Mai 1890, oraz: „Czy jest możliwy sztuczny przyrost ludności?". „Nowy Kurier Warszawski", Sobota 13 stycznia 1940 r.

[65]) Robert Hamerling: „Homunculus", Modernes Epos in zehn Gesängen 2. Auflage. Hamburg, 1888.

wając się na drodze magii, osiągnąć swe zamierzenia. Tak np. w r. 1934 jeden z głośnych adwokatów paryskich Maurycy Garçon, m. in. pisał: „Nowocześni magowie niejednokrotnie zaznaczają z naciskiem, że umieją zaklinać duchy zmarłych i zmuszać ich do przemówienia. Wielka ilość ludzi na świecie wierzy głęboko, że zmarli wracają jako widma. Człowiek przyzwyczaił się do myśli, że jest centrem całego świata i nie może się zgodzić, że któregoś dnia znika i przepada, jak wszystko co żyje na tym globie.

„Znałem w Paryżu człowieka, który zajmował mieszkanie suterenowe i przez szereg miesięcy pracował nad sporządzeniem przedziwnej mikstury, z pomocą której chciał odtworzyć ciało ludzkie, celem reinkarnacji pewnego ducha. Chodziło o osobę bardzo dla niego drogą, którą utracił. Powie mi ktoś z czytelników, że ten człowiek był wariatem. Bynajmniej. Był on poza tym człowiekiem zupełnie trzeźwym, pracował wzorowo i był jednym z najpunktualniejszych urzędników w biurze".[66])

Widzimy, że poglądy alchemików i mistyków na zagadnienie palingenezy i homunkulusa zyskują i dziś aprobatę u zwolenników „wiedzy tajemnej".

Na zakończenie tego szkicu o „homunkulusie" winniśmy jeszcze dodać, że w historii alchemii możemy znaleźć wiele rzekomo wiarygodnych świadectw stwierdzających wytworzenie wobec świadków alchemicznego „człowieczka"; po bliższym rozpatrzeniu takiej sprawy zawsze okazuje się, że mniemane cuda i Wielkie Dzieła były niczym więcej, jak oszustwem ubranym w pozory uczoności i wtajemniczenia. Podczas syntezy człowieczka, np. kiedy zmieszano już najrozmaitsze ingrediencje i poddano je oddziaływaniu, któryś z pracowników wrzucał zręcznie do naczynia malutki szkielet dziecka z kości słoniowej, poczem zapewniał obecnych, że człowieczek już istniał, ale umarł z braku pokarmu.[67])

Dziedzina ta obok naiwnych i bezkrytycznych spekulacji mistyczno-empirycznych szeregu poważnych alchemików, była wymarzonym terenem do popisu dla różnych awanturniczych jednostek, które w różny sposób przez wiele wieków wykorzystywały nieświadomość ludzką.

[66]) Ludw. Szczepański: „Wiedza tajemna, wróżbiarstwo, magia dni naszych". Warszawa (1939). Str. 268.

[67]) Dr M. Centnerszwer: „Szkice z historii chemii", Warszawa, 1909. Str. 36.

8. ZAKOŃCZENIE

Gdy Maurycy Maeterlinck zatrzymując się w swej „Wielkiej Tajemnicy" nad działalnością Paracelsa nazwał jego spekulacje homunkulusowe „szarlatańską fantasmagorią", nie myślał zapewne, że ów lekarz-alchemik znajdzie w 500 lat później kontynuatorów swej idei. Pisarze materialistyczni z okresu XIX wieku, jak np. Büchner, wierzyli w możliwość laboratoryjnej realizacji „Generatio aequivoca" czyli samorództwa. Botanik Cienkowski zajmował się tym problemem przez wiele lat.

Sprawa ta jednak wypłynęła na światło dzienne, coprawda w zmodyfikowanej postaci, dopiero w XX wieku. Znakomity rozwój i postęp nauk przyrodniczych, takich jak biologia, chemia it. d. rzucił wiele światła na tajemnicze i niezbadane zjawisko życia. Prace doświadczalne, prowadzone przez znakomitych uczonych w największych laboratoriach świata przyniosły w tej dziedzinie rewelacyjne wyniki. Wystarczy tu wspomnieć o badaniach laureata nagrody Nobla Al. Carrel'a (Nowy York), któremu udało się wyhodować poza organizmem zwierzęcia jego narządy, np. serce, wątrobę, nerki, język i płuca. Transplantacja i eksplantacja komórek stała się faktem udowodnionym. Odkrycie i bliższe zbadanie zarazków chorobotwórczych przesączalnych, t. zw. virusów, dokonane w okresie minionej wojny, znowu odsłoniło zagadnienie samorództwa. Okazało się bowiem że granica między t. zw. „substancją żywą" a martwą jest tylko pozorna i wszystko zdaje się wskazywać za tym, że ona w ogóle nie istnieje. Virusy stanowią krystaliczne istoty zbudowane z cząsteczek białka, i jak stwierdzono, mogą „rozmnażać się" na podobieństwo wzrastania kryształu.

Doświadczalne prace nad tymi problemami są obecnie w toku i każdy miesiąc przynosi liczne publikacje z tych dziedzin.

Równolegle obok uczonych i pisarze współcześni podejmują często problem „homunkulusa". Świadczy to o żywotności dawnych pomysłów i idej w literaturze dzisiejszej. Aldous Huxley w książce: „Nowy, wspaniały świat" snuje perspektywy przyszłego ustroju z fabryką homunkulusów, w którym normalny poród uchodzi za coś haniebnego. Również B. Russell w licznych swych pracach przepowiada przyszłe doświadczenia uczonych nad przekształcaniem rozwijającego się

zapłodnionego jaja ludzkiego, drogą chemicznych i fizjologicznych oddziaływań na nie.

W świetle odkryć dokonywanych nieustannie na polu badań przyrodniczych owe perspektywy przedstawiane przez pisarzy współczesnych nie mogą wydać się dziwne. Rozwiązanie tych kwestii jest jednak sprawą przyszłych prac i badań naukowych.

January Kołodziejczyk.

DWA SADY

Z CYKLU „ROŚLINA A CZŁOWIEK"

Wacławowi Borowemu

Trudno dociec, kiedy człowiek począł sadzić wokół swych siedzib drzewa owocowe, figę, drzewo oliwkowe lub winorośl. Opisy ogrodów, jakie pozostawili historycy i geografowie greccy, Herodot lub Strabon, wykazują, że już w czasach najodleglejszych ogrody, jak egipskie lub słynne wiszące ogrody Semiramidy, były urządzane z wielkim przepychem i stały już na pewnym stosunkowo wysokim stopniu organizacji. Niewątpliwie więc powstanie ogrodów datuje się z czasów przedhistorycznych. Według Pisma Świętego pierwszą winnicę „nasadził Noe". Noe musiał znać również sposób wyrabiania wina, skoro się upijał. Piękny obraz ogrodu, a właściwie mówiąc sadu, znajdujemy w Odyssei. Jest to sad króla Feaków Alkinoja na wyspie Scherii. Opis ten podajemy w świetnym tłumaczeniu Lucjana Siemieńskiego:

„Za dziedzińcem sad duży ciagnął się od brony,
Czteromorgowy, w koło płotem ogrodzony;
Kędy drzewa wysokie i kwieciem okryte.
Rodzą granaty, gruszki, jabłka smakowite.
Słodkie figi. Toż drzewa oliwne tam były;
Przez rok cały tak zimą jak latem rodziły,
Bo w ciepławym zefirze, co tam wciąż powiewa,
Jeden owoc się kłuje, drugi już dojrzewa,
Jabłko idzie po jabłku, gruszkę gruszka spycha,
Figa figę i owoc zawsze się uśmiecha.
Widać tam i winnicę bujną w winogrona,
Część jej duża na upał słońca wystawiona,
Ażeby schły jagody; więc jedne w kosz biorą,
Drugie tłoczą. Wiośnianki dochodzą niesporo;
Tu kwiat ledwo, tam już się rumienią jagody."

Pieśń VII, 112—127

Jedyny to większy opis sadu nie tylko w tym eposie, ale i w całej literaturze antycznej. Sam król Alkinoj, wnuk Posejdona, jest postacią mitologiczną; również w fantazji poety powstał opis jego dworu i ludzi, niewątpliwie jednak opis sadu jest odtworzeniem rzeczywistości tych czasów, w których żył i two-

rzył autor Odyssei. Nie było wtedy zwyczaju opisywania przyrody; twórczość poety była pochłonięta głównie uczuciami, namiętnościami oraz przygodami człowieka. Skoro jednak poeta zdecydował się na opisanie sadu, musiał z konieczności wymienić i drzewa w nim rosnące; nie dawał opisu samych drzew, ale ograniczył się tylko do podania ich nazw; przymiotniki dodane do nich, jak „słodkie" figi lub „jabłka smakowite", przedstawiają raczej stosunek człowieka do tych drzew, aniżeli ich cechy istotne. Podanie więc nazwy rośliny wynika ze stwierdzenia, że roślina jest dla opisu czymś znaczącym, koniecznym. W istocie opis ten, poza niektórymi szczegółami, natury ogrodniczej jest inwentarzem roślin ogrodowych. Geniusz pisarza zrobił z niego arcydzieło. Należy jeszcze uprzytomnić sobie, że wiersze te były pisane dla mieszkańców Azji Mniejszej i Grecji, którym te wszystkie drzewa były dobrze znane. I my dzisiaj rozkoszujemy się tym obrazem tylko dzięki temu, że, jak się mówi, mamy te rośliny w oczach.

Przesuńmy się teraz przez księgi historii o 25 wieków naprzód i przypomnijmy sobie drugi artystyczny opis sadu w Soplicowie w ziemi Nowogródzkiej; odmalował go Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu".

„Był sad.
Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, pląsząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.
Grzędy rozcięte miedzą; na każdym przykopie
Stoją, jakby na straży, w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn, ciche, proste i zielone;
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyle,
Na nich, myślisz, iż rojem usiadły motyle,
Trzepiecąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni:
Tylą farb żywych, różnych, mak zrzenicę mami.
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Krągły słonecznik licem wielkiem, gorejącem,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.
Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,

Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki.
Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym,
Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzistym."

(Ks. II, w. 403—430)

Porównajmy ten opis sadu soplicowego z opisem sadu króla Alkinoja w Odyssei. Pomińmy szczegół, że sad króla Alkinoja był, właściwie mówiąc, sadem owocowym, a sad soplicowski sadem owocowym i warzywnym. W niniejszym chodzi nam o wykazanie różnic w artystycznym przedstawieniu obu sadów. Już przy powierzchownym czytaniu opisów obu sadów, widzimy, że różnice są zasadnicze. W opisie sadu Alkinoja twórca Odyssei wymienia jedynie nazwy roślin, natomiast każda roślina w opisie sadu soplicowskiego jest scharakteryzowana, i każdy opis pojedynczej rośliny przedstawia obraz artystycznie wykończony. Poddajmy więc dokładnej analizie opis sadu soplicowskiego, a przede wszystkim zbadajmy, jak były traktowane rośliny w dziełach literackich antycznych i nowszych aż do powstania „Pana Tadeusza". W tym celu przejrzymy niektóre najwybitniejsze dzieła i zacznijmy od najstarszych greckich eposów Iliady i Odyssei oraz od Pisma Świętego.

Na stronach Iliady i Odyssei nazwy roślin wymieniane są dość często; używamy tutaj wyrazu „nazwy", bo trudno określić, jaki gatunek one oznaczają. W eposach tych znajduje się około 150 ustępów, w których są wymienione 46 nazw roślin uprawianych lub dziko rosnących we wschodnim obszarze morza Śródziemnego. Większa część stron Iliady jest poświęcona walkom; stąd informacje o roślinach mają charakter raczej wojenny. Dowiadujemy się więc, że na włócznie używano drzewa jesionowego, że trzony do toporów były wykonane z drzewa oliwnego, że na oś rydwanu brano drzewo dębowe, że kołodziej z drzewa topolowego wygina dzwon rydwanu, że szyki wojskowe ustawiały się koło figi, lub wreszcie, że jeden z bohaterów zabłąkał się w krzaku tamaryszku. W pięknej scenie miłosnej w XIV księdze Iliady, dowiadujemy się, że na łące rosły: „lotos kroplisty[1]), szafran, hiacynt". Dowiadujemy się również, że na przyjęciu u Achillesa Atrydzi jedli cebulę, że święte ołtarze były pod jaworem lub wreszcie, że w czasie bitwy „gorzały: wiązy, wrześnie, wierzby, lotos, sitowie i cibora".

W Odyssei są przedstawione przeważnie obrazy gospodarcze z życia ludzkiego. Z istoty tych opisów wynika potrzeba

[1]) O lotosie patrz „O lotosie i lotofagach" w pięknej książce Władysława i Janiny Szaferów „Kwiaty w naturze i sztuce". Lwów, 1939.

wymienienia pewnych nazw roślinnych, przeważnie uprawianych. Najlepszym przykładem tu może służyć właśnie opis sadu Alkinoja. W sadzie ojca Odysseusza Laertesa rosły: figi oliwki, grusze i winogrady.

Również w księgach Starego Testamentu rośliny wymieniane są dość często. Naliczono tutaj ponad 70 nazw roślinnych, głównie roślin uprawianych, jak winorośl, drzewa oliwne, jabłka, granaty, pszenicę, jęczmień i inne, a z drzew dziko rosnących: cedr, bo z cedru budowano świątynie i wyrabiano sprzęty domowe, a poza tym dąb, jodłę, palmę, sosnę, wiąz, migdał, sykomorę i inne. Dowiadujemy się więc, że np. synowie Izraela wspominali: „ogórki, melony, łuczki, cebule i czosnki darmo jadane w Egipcie" (Ks. IV Mojżeszowa, XI 5). Nie brak w Starym Testamencie informacji rolniczych, tak np. w księdze Izajasza (XXVIII, 25) czytamy: „izali zrównawszy wierzch (ziemi), nie będzie siał czarnuchy, i kminu nie roztrzęsie, i nie nasieje pszenice porządkiem i jęczmienia i prosa i wyki miejscy swemi?". Ciekawe są szczegóły będące rezultatem spostrzeżeń fizjologicznych; np. w Księgach Hioba (VIII, 11) czytamy: „Aza się może zielenić sitowie bez wilgotności? albo rogozie urość bez wody?"

We wszystkich tych opisach podana jest jedynie nazwa rośliny. Możemy powiedzieć, że rośliny są traktowane informacyjnie. Tylko niekiedy do nazwy dodany jest szczegół charakterystyczny, wyrażający w większości wypadków stosunek człowieka do rośliny, a więc: płodny, wonny i t.p.; wyjątkowo tylko dodano określenie charakteryzujące daną roślinę, jak np czarne cyprysy, trzcina puszysta, oliwnik w liść strojny. Tylko w jednym wypadku roślina jest nieco szczegółowiej opisana Dążącemu do pałacu Cyrki Odysseuszowi Hermes ziółko pokazał one z ziemi wyrwane, dziwną mocą obdarzone; Korzonki miało czarne, kwiat białości mleka, Moly zwie się u bogów Dotąd niema człeka, któryby je wykopał" (Pieśń IX)[2])

Wyjątkowy to wypadek w którym jednej roślinie poświęcono kilka wierszy oraz, co jest również wyjątkowe, podano barwę kwiatów.

W obu tych dziełach roślina występuje również w porównaniach. Porównywa się jakąś rzecz lub zjawisko życia ludzkiego do rzeczy podobnych roślinie. Porównania te są wyrazem ob-

[2]) Cytaty są podane z Iliady w tłum. Czubka Gebethner i Wolff. Z Odyssei w tłum. Lucjana Siemieńskiego i z Pisma Świętego w tłum. X. Wujka.

serwacji, stwierdzeniem, że w życiu rośliny zauważa się zjawiska podobne do zjawisk w życiu człowieka. Geneza tego typu porównań jest taka sama, jak geneza leczenia podobnego podobnym w medycynie pierwotnej. Zwłaszcza dość dużo porównań spotykamy w Iliadzie. Tak np. Ajasi są porównani do dębów („Ajasi silne, jak dąb chłopi" w tłum Czubka, str. 152). W innym miejscu czytamy, że padający w boju bohater

„Runął, jak ten dąb albo topola w parowie
Lub smukła sosna, co ją ciesielscy majstrowie
Zetną w górach, by użyć przy łodzi budowie . . ."
(w tłum. Czubka, str. 326).

Inny znów bohater runął, jak jesion,

„Co podcięty na szczycie góry, widnym zdala,
Na ziemię razem z liśćmi młodymi się zwala . . ."
(w tłum. Czubka, str. 250).

Tego rodzaju porównań, w Iliadzie jest kilka. Przytaczamy jeszcze najbardziej z nich znane:

„Jak gospodarz szczep bujny hoduje oliwy
W szczerym polu, zraszanym dobrze przez zdrój żywy;
Śmiga w górę i lekkim wietrzyków podmuchem
Rzeźwiony, białym kwiatów okrywa się puchem;
Nagle zerwie się burza z orkanem i sroży,
Szczep z korzeniem wyrwawszy na ziemi położy:
Tak Atryda Menelaj Pantojczyka zabił,
Euforba kopijnika i z zbroi ograbił."

Są jeszcze inne porównania jak np. „wybujał jak trzcina przy wodzie", albo jeden z bohaterów „kiwał głową jako mak w ogrodzie, ziarneczkami i rosą obciążon wiosenną" (tłum. Czubka, str. 219). Porównań roślinnych w Odyssei jest mniej niż w Iliadzie.

Są one również piękne jak np.:

„Inne (niewolnice) przy krosnach, kądziel znowu przędły inne
Jak liście na topoli, wciąż w ruchu, wciąż czynne." (Pieśń: VI)

W opisie kąpieli Odysseusza:

„. . . bujny kędzior z głowy
Rozsypie mu na barki, by kwiat hyacyntowy". (Pieśń: VI)

Albo wreszcie takie porównanie:

„. . . . ta sukienka,
Jak łuska na cebuli suchej, była cienka." (Pieśń: XIX)

Wybrańców wsród roślin służących do porównania jest bardzo mało. Przodują wśród nich przez długie wieki, jak zresztą i w innych zjawiskach kultury ludzkiej przede wszystkim róża i lilia. Bardzo pięknie użył tych obu roślin w porównaniu Wirgiliusz w Eneidzie: „. . . jak świecą splecione z różami białe

lilie: — tak płonie wstydliwa dziewica" (Eneida w tłum. Karyłowskiego, Pieśń XII w. 68—69).

Lilia nie tylko jest ozdobą w porównaniach, ale może służyć jako miara uczuć i wartości duchowych. Przykładem takiego pięknego porównania jest ustęp z „Pieśni nad Pieśniami" (II 2):

„Jako lilia między cierniem, tak przyjaciółka między córkami."

W innych księgach Starego Testamentu jako motywu w porównaniu użyto palmy i cedru libańskiego: „Sprawiedliwy jako palma rozkwitnie: jako drzewo cedrowe na Libanie rozmnoży się" (ks. Psalmów, XCI 13).

Głębsze wartości wnoszą porównania życia i przeznaczenia człowieka do rozwoju i losów rośliny. Takie porównania możemy nazwać porównaniami z motywem przeznaczenia. Do nich niewątpliwie należy przytoczone powyżej porównanie drzewa oliwnego, niszczonego, przez burzę, do śmierci bohatera Iliady. Na niedosięgłe szczyty poezji wprowadza nas inny, może bardziej precyzyjnie ujęty wiersz z Iliady z motywem przeznaczenia:

„Ludzie — to marne liście, co na drzewie rośnie,
Jedno wiatr strąca z drzewa, a w drugie o wiośnie
Las się, znów odmłodzony, stroi i ubiera:
Tak ród ludzki — ten żyje, a tamten zamiera."

(tłum. Czubka, str. 115)

W Odyssei Homer porówna córkę króla Alkinoja piękną Nauzykę z latoroślą młodej palmy:

„Niegdyś widziałem (mówi Odysseusz) w Delos, przed żertwiennym głazem Feba, latorośl palmy: jak ty w górę strzela." (Pieśń: VI, w 162).

Bardziej ogólnikowo natomiast przedstawia się ten motyw w Psalmach Starego Testamentu: „Człowiek jako trawa dni jego; jako kwiat polny, tak okwitnie" (Psalmy, CII 15). Porównania te to wynik niejednego spostrzeżenia, ale i uogólnienie wielu obserwacyj, synteza pracy twórczej wielu pokoleń.

Podobne porównania stają się z czasem w literaturze nieomal konwencjonalnymi i jak powój, przewijają się przez wszystkie epoki. Zwłaszcza piękny okaz tego typu porównania mamy w piątym trenie Kochanowskiego:

„Jako oliwka mała pod wysokim sadem
Idzie z ziemią ku górze macierzyńskim śladem,
Jeszcze ani gałązek ani listków rodząc,
Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc;
Tę, jeśli ostre cienie lub rodne pokrzywy
Uprzątając, sadownik podciął ukwapliwy,
Mdleje zaraz, a zbywszy siły przyrodzonej,
Upada przed nogami matki ulubionej —
Tak — ci się mej najmilszej Urszuli dostało."

W rozpatrywanych przez nas utworach w obu eposach Homera i w Starym Testamencie są podawane głównie nazwy roślin, przy czym rośliny są często używane i w porównaniach. Jakieś zjawisko życia ludzkiego jest porównane do roślin; w tym wypadku roślina jest rzeczą uboczną i służy jedynie do uwydatnienia jakiegoś zjawiska w życiu człowieka lub jako miara jego siły. Notujemy jeden tylko wypadek porównania odwrotnego; roślina jest porównana do jakichś zjawisk przyrody lub nawet życia człowieka. W Odyssei pień drzewa oliwnego wmurowany w dom jest porównany do grubego filaru (Pieśń XXIII). W tym wypadku roślina jest rzeczą główną, a porównanie uwydatnia jakieś szczegóły budowy jej lub życia. Tego rodzaju porównania zyskują prawo obywatelskie dopiero po wielu wiekach. Zwłaszcza lubił posiłkować się nimi Mickiewicz i dzięki właśnie nim opis sadu Soplicowskiego uzyskuje swój znamienny artystyczny wyraz.

Przesuńmy się teraz w dziejach starożytnych o kilka wieków i rozpatrzmy pod kątem widzenia naszego zagadnienia poemat Wirgiliusza: „Georgiki". Opiewa w nim Wirgiliusz powaby i zajęcia rolnicze, pielęgnowanie drzew, głównie drzewa oliwnego i winorośli, wreszcie w osobnej księdze, poświęconej pszczelnictwu, podaje opis niektórych roślin miodonośnych. Botanik posiadający zdolność oceny artystycznej, doznaje niewysłowionej rozkoszy czytając te przepiękne, malownicze, treściwe wiersze. Znajdzie również w tym poemacie opisane fakty ze swej dziedziny, jak szczepienie, przesadzanie drzew, obcinanie gałązek oraz bardzo interesujący fragment o rozmieszczeniu drzew w Italii zależnie od warunków naturalnych ich życia. Nie sposób nie przytoczyć tego fragmentu:

> „Każdy płód, każde drzewo innych gruntów pragnie.
> Ponad rzeką wierzbina, olcha wzrasta w bagnie.
> Skała wiązem obrosły dumny szczyt najeża,
> Wino miejsca wzgórzyste, mirt lubi nadbrzeża,
> Cisom służą najlepiej chłodne Akwilony." (II, 113—117)[3].

Cały ten poemat może być uważany za artystyczny podręcznik gospodarstwa wiejskiego. Dużo tu niezmiernie ciekawych szczegółów, tyczących się uprawy roli, siania, uprawy drzew, sprzętów rolniczych, a poza tym hodowli bydła oraz bartnictwa.

Wirgiliusz, który żył od 70 do 19 roku przed Chrystusem, młodość swoją spędził na wsi pod Mantuą. Przebywając w Rzymie, często odwiedzał strony rodzinne — niewątpliwie więc wiadomości i opisy zawarte w Georgikach były rezultatem jego bezpośrednich spostrzeżeń. A jak wynika z poematu, Wirgi-

liusz widział wiele i miał nadzwyczajnie rozwinięty zmysł spostrzegawczy, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden wybitny przyrodnik. Już z samego omawiania zagadnień wynikała konieczność wymieniania nazw roślinnych; Wirgiliusz przytacza w swym poemacie przeszło 50 nazw roślin, nie tylko użytecznych, ale i chwastów, a nawet i dziko rosnących. Obok czystych informacyj spotykamy, zwłaszcza w ostatniej księdze, i opisy, przedstawiające bądź samą roślinę, bądź roślinę na tle jej naturalnego środowiska. Dwa przykłady z IV-ej księgi najlepiej nam to zilustrują. Oto urywek[3]): „Możebym zaśpiewał o sztuce zakładania i zdobienia urodzajnych ogrodów i rozarjach Pestum[4]) dwa razy rocznie kwitnących i o tym, jak endywie[5]) radośnie piją wodę z potoków i jaką uciechą jest opich[6]) dla zielonych brzegów, jak pęcznieje w trawie kręty ogórek, nie zamilczałbym też o późno wyrastającej grzywie narcyza, ani o giętkiej łodydze akantu[7]), ani o bladych bluszczach, ani o mirtach, miłośnikach wybrzeży" (Pieśń IV w. 116 i nast.). W drugim ustępie mamy już opisaną szczegółowiej dość często rosnącą i u nas na słonecznych wzgórzach i łąkach roślinę, zw. aster gawędka (Aster Amelius): „Jest też na łąkach kwiat, który rolnicy nazywają gawędką: roślina łatwa do znalezienia, bo z jednego miejsca darni wyrasta ogromnym gąszczem; samo kwiecie jest złociste, ale w płatkach, które je obficie obsypują dookoła, pobłyskuje purpura ciemnego fiołka" (Pieśń IV w. 271—275).

Schylamy głowę przed tym opisem. Pierwszy to może, artystyczny samoistny obraz roślinny w literaturze antycznej i w

[3]) Fragment ten podajemy z pewnymi zmianami w tłumaczeniu F. Frankowskiego, wydanym w Bibliotece Powszechnej Nr 802 i 803, Lwów—Złoczów, 1909 r. Pozostałe fragmenty są już podane w dosłownym tłumaczeniu.

[4]) Pestum miasto południowej Italii, gdzie były plantacje róż; róże te były przewożone statkami do Rzymu i używane podczas uczt i obrzędów.

[5]) Jest to mlecz zwyczajny (Sonchus oleraceus), albo podróżnik zw. cykorią (Cichorium Intybus).

[6]) Opich z łacińskiego Apium, co znaczy „pszczelna trawa"; trudno opierając się jedynie na nazwie ustalić gatunek tej rośliny; ogólnie przypuszcza się, że jest to seler. Korzenie opichu były używane przez starożytnych jako pokarm; z liści pleciono wieńce; używano te wieńce na ucztach, a również na uroczystościach pogrzebowych.

[7]) Akant (Acanthus) — rośliny, występujące w obszarze śródziemnomorskim; ulubione rośliny starożytnych, sadzone w ogrodach; liście jej były ulubionym motywem rzeźb na kubkach i kandelabrach; były również używane jako motyw na kapitelach, zwłaszcza Koryntckich kolumn.

historii naszego zagadnienia poczyna nową epokę artystycznego traktowania rośliny. Niewątpliwie celem tego opisu jest poznanie danej rośliny użytecznej, aby każdy mógł, opierając się na tym opisie, łatwo ją wyróżnić. Korzeń gawędki, gotowany w słodkim winie, miał być lekarstwem dla chorych pszczół. Obraz rośliny jest sambistny: w obrazie tym są uwydatnione najbardziej istotne cechy rośliny. Roślina jest przedstawiona tak, jak ją widzimy przy pierwszym na nią spojrzeniu, bez rozpatrywania szczegółów. Tego opisu mogliby pozazdrościć najwybitniejsi ziołopisarze antyczni: Teofrast i Dioskorides lub Pliniusz. W obrazie tym mamy również porównanie: barwy kwiatów zewnętrznych astra-gawędki porównane są do purpury ciemnego fiołka. Nawiasem należy dodać, co zresztą nie miało z pewnością wpływu na Wirgiliusza, że w opisach roślin u ziołopisarzy antycznych pewne organy np. liście mniej znanej rośliny bywają porównywane z analogicznymi organami roślin bardziej znanych. I jeszcze jedno: w opisie Wirgiliusza wysuwa się na pierwszy plan kwiat. W zielnikach starożytnych i średniowiecznych, aż do końca XVI stulecia kwiat był przeważnie pomijany, jako że nie miał on wartości leczniczych. To też wysunięcie kwiatu z jego barwami na plan pierwszy zasługuje na specjalne zaznaczenie.

Jeszcze inny opis rośliny w literaturze antycznej znajdujemy również u Wirgiliusza w jego Eneidzie. Wenus, pragnąc ulżyć ranionemu Eneaszowi, zerwała z kretejskiej Idy dyptam „łodygę o puszystych liściach, uwieńczoną kwieciem amarantowym" (ks. XII w. 411—414).

W życiu starożytnych Rzymian i roślinie przypadł niemały udział. W domach bogatych patrycjuszów znajdowały się ogródki z roślinami ozdobnymi: na ucztach dekorowano różami stoły, a uczestników przyozdabiano w wieńce z kwiatów róż, fiołków i niewiędnących lub wiecznie-zielonych liści, głównie opichu i mirtu. To traktowanie rośliny, a przede wszystkim kwiatów jako rzeczy uprzyjemniającej życie znalazło swe odzwierciadlenie w literaturze pięknej, zwłaszcza u Horacego. W pieśni (I 36) np., nawołującej do godnego uczczenia powrotu Plotiusa Numidy z wyprawy Hesperyjskiej, poeta woła: „Niech przy biesiadzie nie zabraknie róż, ani zawsze świeżego opichu, ni krótko żyjącej lilii".

W poezjach Horacego rośliny są wymieniane bardzo często, głównie: lilia, róża, mirt, opich, fiołki, laur, drzewo oliwne, a

także platan, wiąz. Zwłaszcza bardzo piękna jest oda (I 38), poświęcona wieńcom i kwiatom:

„Mierzi mnie stół po persku zastawiony,
Oraz korona z kwiecia łykiem zwita.
Nie patrz więc, chłopcze, czy gdzie kwiat spóźniony
Róży zakwita . . .
Skromnego tylko mirtu szukaj skrzętnie:
I ty nim możesz wieńczyć skronie swoje,
I ja też, pijąc w cieniu, mirtem chętnie
Głowę przystroję."[*])

Chociaż podane są tu tylko nazwy kwiatów róży i mirtu, to jednak w całej odzie motywem głównym jest roślina i splatanie z niej wieńców. Przytoczony poprzednio ustęp z Georgik Wirgiliusza i podana oda Horacego to szczytowe punkty na naszej drodze od sadu Alkinoja do sadu Soplicowskiego.

Ale roślina w poezji Horacego nie jest tylko przyjemną ozdobą uczty. Mówi on o niej i z innych pobudek: W sławnej np. pieśni do Taliarcha (I 9) mówi o potędze bogów, którzy obalają nawet wichry walczące z rozwścieczonym morzem: i oto już „ani cyprysy, ani stare wiązy nawet nie drgną". W tym wypadku spokój krajobrazu harmonizuje z pogodą ducha, która jest głównym tematem utworu. Występuje także czasem u Horacego roślina w porównaniach, ilustrujących sprawy życia ludzkiego. Tak np. w pieśni do Licyniusza (II 10), wykładającej, że średnia droga jest najlepsza, czytamy: „Wysoka sosna częściej jest wstrząsana przez wichry, i wyniosłe wieże straszliwiej padają..." Zdarzają się wreszcie i pobudki... natury gastronomicznej; tak w pieśni I 31 pisze poeta: „O cóż mam błagać Apolina? Niech sobie ci, co chcą proszą o bogactwa; moje pragnienia są skromne: żywią mnie oliwki, cykoria i lekkie malwy". Jak z wybranych przykładów widać, pod względem formalnym nie znajdujemy o Horacego żadnych nowych motywów; są więc wymieniane nazwy roślin, niekiedy połączone przymiotnikami określającymi daną roślinę, jak np. krótko żyjąca lilia, zielony mirt, wilgotny opich, wysoki platan, wysoka sosna i t. p.; są i porównania, ale nieliczne. Jeżeli jednak chodzi o pobudki, to należy zaznaczyć cieplejsze ustosunkowanie się Horacego do rośliny, jako do rzeczy uprzyjemniającej życie oraz wyraźniejsze sharmonizowanie motywów roślinnych z główną treścią utworu.

[*]) W tłumaczeniu Józefa Zawirowskiego. Horacy. Wybór poezyj opracował Józef Zawirowski. Biblioteka Narodowa Nr 25, seria II. Rok 1923.

Jest jeszcze jeden obraz roślinny w literaturze dawnej, już chrześcijańskiej. W Ewangelii, według św. Łukasza (XII 27) czytamy: „przypatrzcie się liliom, jako rosną: nie pracują ani przędą: a powiadam wam, ani Salomon we wszystkiej swej chwale nie był ubranym, jako jedna z tych". Takiego zachwytu nie zna nawet tak wrażliwa na piękno literatura współczesna; piękność lilii jest tu przede wszystkim pojmowana, jako przejaw opatrzności. Zresztą obraz ten mówi sam za siebie.

Przesuńmy się znów na kartach historii o kilkanaście wieków aż do epoki humanizmu. Z punktu widzenia naszego zagadnienia poezja humanizmu nie wnosi nic nowego, raczej wyczuwa się cofnięcie wstecz. Motyw roślinny jest przeważnie traktowany informacyjnie, tj. podawane są tylko nazwy roślin. Tak np. w utworze Kochanowskiego „Satyr" znajdujemy taki ustęp:

„Gdzie pojźrzę, wszędy rąbią: albo buk do huty,
Albo sośnią na smołę, albo dąb na szkuty."

W przytoczonych wierszach są wymienione jedynie nazwy roślin, a dodana do nich treść informuje nas o ich użytku. Tak pięknie zapoczątkowany przez Wirgiliusza samoistny obraz artystyczny rośliny nie znajduje jeszcze echa, jest jak gdyby niezauważony. A przecież „Georgiki" Wirgiliusza znalazły w literaturze świata tylu naśladowców. W epoce humanizmu i neoklasycyzmu przeważają raczej wpływy Horacego. Nawet w wypadku próby przedstawienia artystycznego rośliny jest ona raczej traktowana z punktu widzenia jej pożytku lub przyjemności. Dla przykładu weźmy fraszkę Kochanowskiego „na lipę"

„Gościu. Siądź pod mym cieniem, a odpoczni sobie;
Nie dojdzie cię tu słońce, — przyrzekam ja tobie.
Choć się najwyżej wzbije, a prosto promienie
Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelane cienie:
Tu zawżdy chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowicy; tu szpacy wdzięcznie narzekają.
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potem szlachci pańskie stoły;
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,
Że człowiekowi łacno słodki sen przypadnie.
Jabłek wprawdzie nie rodzę, lecz mię pan tak kładzie,
Jakoż szczep najpłodniejszy w Hesperyskim sadzie."

Nie ma prawie tu nic, co by zbliżało ku nam to drzewo. Lipa jest tu traktowana nie z punktu widzenia jej piękna lub cech dla niej charakterystycznych, ale chwalone są jej właściwości, dające cień, powiew, miód, a więc to, co uprzyjemnia życie człowiekowi. I ten sposób podejścia do rośliny widzimy w literaturze przez długie lata. Jak wielki był wpływ literatury an-

tycznej świadczy fakt, że np. autor „Trenów" mieszkając na wsi w otoczeniu rodzimych drzew, porównywując w podanym powyżej wierszu życie i śmierć Urszulki do drzewa, wybrał mało komu znaną, ale często przytaczaną w dziełach antycznych śródziemnomorską oliwkę. Wymienione w tym porównaniu jako szczegół uboczny „rodne pokrzywy" niewątpliwie pochodzą z rodzimej flory. Natomiast Rey wprowadził do literatury naszej wiele roślin dziko u nas rosnących: „A zaż lepiej, iż ci łopian pod okny śmierdzi a pokrzywa cię parzy, niż byś co innego w to miejsce posadził"?[9])

To podawanie motywów roślinnych, oparte na wzorach literatury antycznej, znalazło swój specjalny wyraz w literaturze neoklasycznej. Panują tu jeszcze cedry, mirty, laury, rozmaryny, róże, inne postacie z mitologii klasycznej. Zresztą zarówno w przenośniach, jak w alegoriach i symbolach nazwy tych roślin są wyrazami, mającymi inne, związane z jakąś tradycją znaczenie; rośliny jako istoty żywe zatraciły się. W lirykach tak wybitnego poety neoklasycyzmu, jak Franciszek Kniaźnin, rośliny przytaczane w poezji antycznej są wymieniane o wiele częściej, niż rośliny z parku Puławskiego; przytaczane często w jego lirykach róże są raczej pokrewne różom Horacego. Kniaźnin pisze nawet poemat pod tyt. „Rozmaryn"; w tym poemacie, który jest panegirykiem na cześć księżnej Czartoryskiej i jej córki z racji jej małżeństwa — o rozmarynie, jako o roślinie mówi się bardzo mało. W lirykach Kniaźnina motyw roślinny, podobnie jak u Horacego, harmonijnie stapia się z motywami uczuciowymi; niekiedy otrzymujemy na tle tych uczuć artystyczny samoistny obraz rośliny, jak np. w wierszu „podarek Hijelli", rozpoczynającym się tak popularną strofą" „Piękne narcyszki, śliczne tulipany", a poniżej obraz tych roślin.[10])

„Którejże ziemi wy jesteście płodem.
Na której blask wasz ukazał się łące?
Którymże twórca was usłodził miodem,
I kto was upstrzył w listeczki pachnące?
Czy pewnie, między Idalskiemi lasy,
Sama wam Wenus swojej wlała krasy?

[9]) Rey M. Żywot człowieka poczciwego. Wydawnictwo Akad. Umiejęt., str. 300.

[10]) Tulipany są może jedyną rośliną, wymienianą w literaturze neoklasycznej, której nie znał jeszcze świat antyczny; rośnie dziko bowiem w południowo-wschodniej Europie i na zachód została przeniesiona dopiero w XVI stuleciu.

Szczęśliwe nazbyt, o szczęśliwe kwiaty.
Które dłoń pięknej Hijelli zeszczknęła,
Ztąd wy to macie tak śliczne szkarłaty?
Że was ust swoich purpurą dotknęła.
A od białości śnieżnych onej rączek
Mlecznym się liściem wasz ubielił pączek."

A oto oda do róży:

„Idę za sławy odgłosem,
Za tkliwej duszy ozdobą,
Ucierając się i z losem,
I z samym sobą.
Obłudny i żądzy goniec,
Trudzony, mylon, trącany,
Serca mojego nakoniec
Zgoiłem rany.
Jakaś to razem pociecha?
Lube spotykam oblicze
Do czegóż mi się uśmiecha
Bóstwo zwodnicze?
O śliczna rożo-słodkiemu
Podchlebiasz czuciu niezmiernie.
Gdzieś moja wiosna? i czemu
Znam twoje ciernie?

Obok motywu klasycznego już w XVII w. zjawia się w literaturze motyw krajobrazowy, a z nim i motywy roślinne. Jeszcze w późnym renesansie w drugiej połowie XVI w. powstają romantyczno-fantastyczne poematy jak: „Orland szalony" Ariosta lub „Jerozolima wyzwolona" Torquata Tassa: są w nich przedstawione niezmiernie skomplikowane przygody, a autorzy specjalnie zwracają uwagę na przyrodę jako na tło malownicze. Tak np. w „Orlandzie szalonym" jest przedstawiony fantastyczny gaj, a podajemy go w świetnym tłumaczeniu Porębowicza:

„Wdzięczne gaiki, gdzie, śród majestatu
Cedrów, palmowe sterczą w górę kity,
Wawrzyny ciche i śniegami kwiatu
Pomarańcz cały wonny sad pokryty.
A z drzew się chłody podwiewają latu
Parnemu dając dniowi cień obfity,
Podczas gdy w cieniu, w szumnej krynicy
Rozmiłowani śpiewają słowicy . . ."

A w „Jerozolimie wyzwolonej" jest taki piękny opis rozwoju róży; podajemy go w doskonałym tłumaczeniu Piotra Kochanowskiego:

„Widzicie różą, co w pół wychylona
Dopiero swoie opowiada przyście
Y w pół zawarta, a w pół rozwiniona,
Ieszcze niedoszłe ukazuie liście.

Patrzcie, iako się ledwie wypełniona
Rozwia, a iuż więdnie oczywiście;
Więdnie y iuż się nie godzi na wieńce,
Ani na panny, ani na młodzieńce." (str. 152)

Opisy przyrody, np. w tak popularnych u nas w XVII stuleciu sielankach są również przesiąknięte elementem antycznym; nie tworzą one jeszcze na ogół samoistnych obrazów, a raczej są tłem dla innych motywów. Jeżeli zjawiają się nazwy roślin — to są one raczej informacyjnymi. Poeci często z nazwą rośliny wiążą pewną, przeważnie krótką treść uczuciową, krajobrazową, mitologiczną lub inną, ale nie ma w tym nic coby charakteryzowało, a tym samym zbliżało roślinę ku nam. Jedynie u Zimorowicza spotykamy się z próbą jakiegoś wyodrębnionego obrazu rośliny[11], jak np.:

„Róże, ucieszne róże, ognie samorodne,
Szkarłatne me opony i gwiazdy ogrodne."

Niewiele jeszcze tu mamy istotnych cech róży, ale niemniej są to próby, które dopiero w następnych stuleciach rozwiną się w pełni.

Przełom w przedstawieniu obrazów, a tym samym i w motywach roślinnych wprowadza romantyzm. Może nie bez znaczenia jest fakt, że dwaj czołowi pisarze Rousseau i Goethe, których wpływ na rozwój literatury romantycznej zaznaczył się tak wybitnie, mieli zamiłowania botaniczne. Prekursor romantyzmu Rousseau pisał listy o botanice, a romantyk Goethe daje podstawy nowoczesnej morfologii roslin. Pisze epokową pracę prozą i wierszem o metamorfozie roślin. Roślina coraz częściej zjawia się w księgach, a do poezji przenikają i najnowsze zdobycze wiedzy. Znakomity poeta angielski Shelley pisze poemat o mimozie, a jednym z pierwszych utworów Mickiewicza jest niedokończony poemat w stylu klasycznym „Kartofel". W trzeciej części „Dziadów" w scenie więziennej znajdujemy w mowie Frejenda fragment o Tomaszu Zanie:

„Dziś w więzieniu jak w domu, jak w swoim żywiole.
On był na świecie, jako grzyby kryptogamy,
Więdniał i schnął od słońca; — wsadzony do lochu,
Kiedy my słoneczniki bledniejem, zdychamy,
On rozwija się, kwitnie i tyje po trochu."

Mowa tu oczywiście o grzybach, rozwijających się głównie w ciemnościach; odpowiada to w zupełności współczesnym poglądom na rozwój niektórych grzybów. Wśród poetyckich

[11]) Adamczewski St. Oblicze poetyckie Bartłomieja Zimorowicza, 1928.

strof zjawia się niespodzianie termin naukowy, ścisły, nieużywany ani w mowie potocznej, ani jeszcze w współczesnej literaturze popularnej. Być może, że to są aluzje do zamiłowań botanicznych Zana, a możliwe, że i od niego Mickiewicz przejął termin: kryptogam.

Rousseau w swych epokowych dziełach niejednokrotnie akcentuje zależność człowieka od przyrody i wskazuje na nierozerwalny z nią związek. Literatura zrywa z konwenansem antycznym. Powstają arcydzieła opisów przyrody: rzeczowe, szczegółowe, a zarazem nastrojowe z silniejszym nasyceniem uczuciowym. Uwzględniona zwłaszcza jest przyroda rodzima, a w tym wszystkim zarysowuje się już wyraźnie zindywidualizowany samoistny, artystyczny obraz rośliny.

Dotarliśmy wreszcie do „Pana Tadeusza", a tym samym i do opisu sadu soplicowskiego. W „Panu Tadeuszu", jak wiemy, opisy pojedynczych roślin lub ich skupień są częste. W wyjątkowych wypadkach podawane są tylko same nazwy roślin, jak np. w opisie pokoju Zosi:

„A na oknach donice z pachnącymi ziołki,
Geranium, lewkonia, astry i fiołki." (Ks. I, w. 85—86).

W znacznej większości jednak wypadków poszczególne rośliny są scharakteryzowane i otrzymujemy niezwykle artystyczny i plastyczny ich obraz. W tych obrazach niemały udział przypada porównaniom. Odmienny to jednak typ porównania, od tych porównań, które widzieliśmy w Starym Testamencie, Iliadzie i Odyssei. W tych utworach jakaś rzecz lub jakieś zjawisko życia ludzkiego było porównywane do rośliny. Roślina więc w tym porównaniu była motywem ubocznym. U Mickiewicza, jak zresztą u wszystkich romantyków sama roślina jest porównywana do jakiejś rzeczy lub zjawiska, a więc jest motywem głównym. W porównaniach tego typu zostaje uwydatniony lub spotęgowany jakiś szczegół budowy lub życia roślin, dzięki czemu porównywana roślina jest ku nam zbliżona. W literaturze antycznej ten sposób porównywania, jak już mówiliśmy, jest niezmiernie rzadki.

U Wirgiliusza np. barwa kwiatów zewnętrznych astra jest tłumaczona barwą purpury ciemnego fiołka. U Mickiewicza porównania te dają niezwykły efekt artystyczny, jak np.

„A tam się czerwieniły wrzosiste pagorki,
Strojne w brusznice, jakby z korałów paciorki."

Bierzemy inny przykład — znany obraz grzybobrania:

„Grzybów było w bród. Chłopcy biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,

Co są godłem panieństwa, bo czerw ich nie zjada,
I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.
Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy
I mniej sławny w piosenkach, zato najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory
Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku.
Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyń stołowych sterczą; tu z krągłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki rożnem winem napełnione;
Koźlak, jako przewrócone kubka dno wypukłe,
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka; zaś innych imiona
Znane tylko w zajęczym, lub wilczym języku,
Od ludzi nie ochrzczone; a jest ich bez liku."

(Ks. III, w. 260—285).

Co nas przede wszystkim uderza w tym obrazie, to odmienne traktowanie grzybów znanych: borowika, rydza i muchomora i grzybów mniej znanych, „pospólstwo grzybów pogardzone w braku dla szkodliwości albo niedobrego smaku". Grzyby powszechnie znane potraktowane są informacyjnie; obok ich nazwy znajdujemy tylko określenia: wysmukły lub wzrostem skromniejszy; w przypadku muchomora wymieniona jest jedynie jego nazwa. W fragmencie o rydzu jest wysunięty jego pożytek. Natomiast pozostałe grzyby są porównywane do naczyń stołowych. W porównaniach tych autor trzyma się jednego tematu, przez co ogranicza swe możliwości. A jednak jaki efekt artystyczny. Obraz każdego grzyba, to zupełnie zindywidualizowana, samoistna miniatura opisu, a całość daje obraz wysoce artystyczny. W tym fragmencie ponadto wszystkie grzyby są traktowane tematycznie jednakowo, tj. odtworzone zostały ich kształty i nie jakieś szczegóły drugorzędne, ale uwydatnione są ich cechy znamienne. Porównania te zresztą mogłyby być doskonale użyte nawet przy opisach naukowo-systematycznych wymienionych grzybów. Jak widzimy na przykładzie grzybobrania, a co potwierdza się w następnych obrazach, każdy obraz czy krajobraz roślinny u Mickiewicza stanowi odrębną całość — może być doskonale wycięty z całego

dzieła. I druga cecha charakterystyczna — prawie każdy obraz jest odtworzony podług jednego i tego samego tematu. Tematem tym są kształty, uczucia ludzkie lub barwy.

Również i opis sadu soplicowskiego jest oparty przede wszystkim na porównaniach. Poeta tu przedstawia nam najpospolitsze, tak dobrze nam znane rośliny, jak kapusta, bób, kukurydza, marchew, burak, harbuz, konopie, mak, słonecznik, ogórki. Drogą odpowiednich mistrzowskich porównań, np kapusty do łysiny, kwiatów bobu do oczów, harbuza do brzucha, konopi do cyprysów, poeta nie tylko uwypukla ich najbardziej charakterystyczne cechy, ale je również potęguje. Poeta nastawia nasze oczy na rzeczy zwykłe i wydobywa z nich cechy najbardziej znamienne. Obraz poszczególnych roślin, otrzymany drogą porównania, potęguje się jeszcze przez dodanie odpowiednich, świetnie zharmonizowanych określeń, również charakteryzujących rośliny, jak sędziwe łysiny, wysmukły bób, otyły harbuz, „konopie ciche, proste i zielone", krągły słonecznik z liściem wielkim rozłożystym.

Niezwykły efekt artystyczny tak charakterystyczny dla twórczości Mickiewicza dają porównania barw, jak porównanie kwiatów maku do trzepieczących skrzydełkami motyli, a wreszcie porównanie kwiatów słonecznika do pełni pomiędzy gwiazdami. Ta barwna część opisu jest wprost skąpana w świetle słonecznym i mieni się najsubtelniejszym doborem żywych barw. W całym opisie uderza nas tu przede wszystkim prawdziwość kształtów i barw; jestto rezultat niezwykłej subtelności i bystrości spostrzeżeń.

Rzecz charakterystyczna, że o ile w pierwszej części opisu Mickiewicz porównywuje jedynie kształty przedmiotu, to w drugiej części głównie zwraca uwagę na barwy.

Cały opis sadu jest bogaty w kształty i mieni się jaskrawymi subtelnymi barwami. Każda opisana roślina została w kilku słowach scharakteryzowana, odmalowane zostały jej cechy najbardziej znamienne tak, jak je ogarniamy przy pierwszym na nią spojrzeniu. Opis każdej poszczególnej rośliny stanowi odrębny samoistny, wykończony obraz artystyczny, podobny do tych pięknych drobnych obrazów, które malował Stanisławski. Po przeczytaniu tych wierszy, chociaż znamy te rośliny, stają się one nam bliższe i patrzymy na nie inaczej. To porównanie kwiatu bobu do tysiąca oczu, jak świetnie jest uchwycone i jak tkwi w naszej pamięci. Pigoń w swej świetnej przedmowie do „Pana Tadeusza" pisze: „Mickiewicz przyrodę

pragnie ująć w jej własnej kolorystycznej prawdzie, za cel sobie stawia wierność w oddaniu wrażenia świetlnego. Wierność wobec rzeczywistości jest stałą zasadą poetycką w „Panu Tadeuszu".

Obraz sadu Alkinoja w Odyssei jest szary, surowy, pozbawiony kształtów i barw. Jest on niewątpliwie odbiciem kultury duchowej swej epoki. Opis ogrodu soplicowskiego obfituje w kształty i mieni się barwami. Na powstanie obrazu ogrodu soplicowskiego w „Panu Tadeuszu" złożyły się dwa czynniki: geniusz Mickiewicza z jego patriotyzmem i tęsknotą do kraju lat dziecinnych, oraz ta atmosfera twórcza, w której pisał poeta, a która jest rezultatem pracy twórczej w ciągu wielu wieków.

Porównywania i samoistne obrazy roślin, oparte na ich życiu i charakterystycznych cechach, występują obficie w literaturze nowszej i odpowiednio do stylu epoki nabierają specjalnego kolorytu. W interesującym nas zagadnieniu czołowe miejsca zajmują w naszej literaturze zwłaszcza Żeromski i Kasprowicz. Żeromski był mistrzem w odtwarzaniu krajobrazu. W jego utworach powieściowych przyroda stanowi tło, na którym rozwija się akcja, w poematach zaś krajoznawczych, jak „Wisła", „Międzymorze", „Puszcza Jodłowa" przyroda jest sama przez się akcją, czymś żywym, podległym tym samym nieubłaganym losom, co Rafałowie, Judymowie, Czarowice i inni, tak nam znani. Co przyrodnika, fiziografa w twórczości Żeromskiego uderza i do jego obrazów wprost przykuwa, to niezwykle ścisłe poczucie form i genezy krajobrazu, a w nim poczucie formy roślin. Wszystkie poznane przez nas sposoby traktowania rośliny znajdują tutaj swój specjalny wyraz. Oto np. porównanie z pierwszych strof „Popiołów" w opisie jodły: „ze spłaszczonymi szczytami, jakoby wieże strzeliste nie wyprowadzone do samego krzyża". Czyż to porównanie jodły z wieżami nie wyprowadzonymi do samego krzyża, nie oddaje nam doskonale wzrokowo tej charakterystycznej cechy pokroju kopulastego jodły? A oto opis krajobrazu Czarnej Wisełki, w którym rośliny są traktowane jako informacje: „...Z trzęsawisk torfowych, ponad którymi najobfitszy mży deszcz... z pościeli mchów, otulających stopy jodeł i świerków, z zagaja młodej olszyny, paproci i podbiałów, ściekowiskiem wykapu ze smereku wylewa się Czarna Wisła". A oto wreszcie przykład, wzięty z „Dumy o hetmanie" obrazu samoistnego rośliny: „Wonna poziomka czerwieni się pod liśćmi

ostrostrzyżonymi, na wysmukłej ciężąc odnóżce. Zgina się badyl różowej centurii pod ciężarem tchórzliwego trzmiela... Lilia leśna, złotogłów stoi wysoko na brzegu po nad czystym strumieniem. Stopki jej cybulaste ziębną w chłodzie urwiska, korzeń szczerozłotem odziany pije z głębin mocny trunek żywota. Kwiaty nad żywą wodą zwieszone jej jednej, wodzie żywej, dają oglądać wewnętrzne sromy szkarłatem wysłanych kielichów. Głęboko jasno i długo, jak gdyby nienasycone własnej piękności doskonałym czynem, jak gdyby usiłując same siebie drugi raz utworzyć, kształt swój powtarzają i kolor".

Mocno zarysowuje się również krajobraz roślinny w utworach Kasprowicza. Przyroda dla Kasprowicza była nie tylko umiłowaniem ale i obcowanie z nią było jego wewnętrzną potrzebą. „Polskie drzewa, pola, łąki, strumienie, a od pewnej chwili i polskie góry niezliczone razy występują w jego poezji, szczególniejszym zaś rysem tej poezji jest umiłowanie i upoetyzowanie całego mnóstwa krzewów, kwiatów polnych i chwastów, które zapewne stały się jego bliskimi znajomymi w jeszcze chłopskiem pastuszem dzieciństwie".[12]) W jednym z jego utworów bohater już w dzieciństwie „godzinami przyglądał się w mlecze — i w te jaskry, co po ścieżkach rosną... słuchał żyta, co nim kłosy pośną,—pobielałe i ścięte na wieki,—gwarzy z słońcem...". Niewątpliwie tu już zarysowuje się wewnętrzny pęd autora do samodzielnych spostrzeżeń. Roślin więc i nazw roślinnych spotykamy tu sporo i to nie użytecznych i uprzyjemniających życie jak w literaturze antycznej, ale dziko rosnących na polach, lasach, łąkach, przydrożach i bagnach.

Motywy roślinne, tak wyraźnie tematycznie wydzielone w rozmaitych opisach roślin w „Panu Tadeuszu" u Kasprowicza mieszają się, krzyżują i tworzą swojego rodzaju arcydzieła. Przykładem może służyć wiersz tego autora pod tytułem „Nasturcje":

„Kwiaty nasturcji, gęste,
Nieugaszone rany,
Krwawym wieńcem opasują
Nasz domek drewniany.

Świecą, jak złote słońca,
Płoną, jak purpury,
To spadają ku dołowi,
To się pną do góry.

[12]) Borowy W. Jan Kasprowicz. Dziś i Wczoraj. 1934 r. Str. 187.

Naokół naszego balkonu
Smrekowe korytka,
A z nich główki swe wychyla
Kwiatów gawiedź wszytka.

Niektóre z nich swe dzióbki
Wznoszą szczebiotliwie,
Z gniazd drewnianych, niby ptactwo,
Pierzące się na niwie.

Lecz poco szukać niwy?
Szczebiocą by jaskółki,
Co się tak do nich lubią mizdrzeć
Z balkonowej półki.

Dola kwiatów, ludzi, ptaków
Ze sobą jest sprzęgnięta;
Jednaką spójnią los je spina,
O losie Bóg pamięta.

Cóż tam się dzieje na górze?
Coś wre w jaskółek gnieździe,
Czyżby tu się już znudziły?
Myślą o wyjeździe?

Myślą rzucić już okap?
Nasturcji rzucić kwiaty?
O, jak nam będzie bez nich smutno,
O raty! przeraty!

O, jakże będą więdnąć!
Jak będą gasnąć one!
O, jakże nasze zamrą serca,
Całkiem przygaszone!

Lecz chwała Bogu, że dotąd
Jeszcze płomienieją,
Chociaż ich ogień będzie tylko
Zwodniczą nadzieją.

Palcie się kwiaty drogie!
Palcie się dosyta!
I niech z was się o swe losy
Żaden już nie pyta.

Palcie się kwiaty wrzące!
Chłońcie własne ognie!
Bez troski o to, co was jutro
Zwarzy, skruszy, pognie.

Piękny ten wiersz z jego bogactwem odcieni barw, form i ciepłym stosunkiem człowieka do rośliny — to synteza tych możliwości, którymi rozporządzał poeta dzięki pracy twórczej tylu wieków, tylu pokoleń. Ale w tym wierszu jest jeszcze jeden motyw — poczucie braterstwa człowieka z rośliną oraz stapianie się człowieka z przyrodą w jedną całość. I ten motyw panteistyczny, to szczytowy dotychczas punkt historii rośliny w literaturze.

Jerzy Antoniewicz

O METODĘ ARCHEOLOGICZNĄ W BADANIACH NAD NASZYM ŚREDNIOWIECZEM[1])

Minęły już bezpowrotnie czasy gdy prehistoria czuła się i była uważana za naukę pomocniczą historii, mimo istniejących do dziś w pewnych kołach takich tendencji, naukę, która przez badania wytworów kultury materialnej dawała możność spojrzenia w głąb mroków dziejowych osłoniętych tajemnicą z braku źródeł pisanych. Dawno też minęły czasy gdy patrzono na te fragmentaryczne zresztą ślady kultury materialnej romantycznie widząc w nich spadek po ubiegłych pokoleniach naszych „przodków" oraz traktowania tych niepisanych źródeł jako pewnych ciekawostek, pewnych obiektów antykwarskiego starożytnictwa, do których mamy raczej sentyment zbieracza-kolekcjonera, a nie ocenianie ich jako naukowego materiału pod kątem realnej wartości źródła w znaczeniu nauk historycznych. Wiek XIX twórca eklektyzmu w sztuce, był wiekiem rozwoju nauk historycznych na wielką skalę. Wiek ten podniósł do najwyższej skali wartość historyczną, a ponieważ wartość historyczna była dla tego okresu tym większa im starszy jest zabytek, przeto w wieku XIX powstał kult dla wartości starożytniczej w skali nie spotykanej dotąd nie tylko w odniesieniu do wytworów rękodzieła artystycznego czy architektury, ale także w stosunku do nieefektownych wytworów ludzkich jakimi są skorupy ceramiki przedhistorycznej, narzędzia kamienne, kościane, brązowe czy żelazne itd. Propagowana przez Ruskina i jego satelitów zasada konserwacji pomników przeszłości, stała się zbawienną i w odniesieniu do zabytków prehistorycznych. Zaczęto w tym okresie tworzyć na szerszą skalę zaczątki muzeów prehistorycznych w formie kolekcji zabytków prehistorycznych przez gromadzenie zabytków przypadkowo odkry-

[1]) Artykuł niniejszy jest szkicem do większej pracy, nad którą pracuje autor od pewnego czasu. W artykule tym świadomie pominięto wnioski i postulaty w zakresie organizacji nauki, które będą ujęte osobno, zaś zawarte w nim uwagi mają charakter dyskusyjny.

tych z łona ziemi po muzeach ogólnych oraz za pośrednictwem kolekcjonerów prywatnych, których pobudką była w większej części nie konserwacja ale żyłka zbierania i posiadania, co dawało w sumie kolekcje nieraz o dużej wartości lecz nie równe w kryteriach i ocenach. Były to też czasy powstawania archeologii prehistorycznej, czasy gdy zaczęła ta nauka wypracowywać swoje metody badawcze, by wreszcie z wielkim sukcesem zostać uznaną za naukę pomocniczą historii. Od tego czasu wiele się zmieniło. Nie od rzeczy będzie przytoczyć przeto zdanie wielkiego prehistoryka o skali europejskiej, niedawno zmarłego, narodowości fińskiej A. M. Tallgrena, że „archeologia przedhistoryczna w ciągu ostatniego półwiecza rozwinęła się z nadzwyczajną szybkością w naukę całkowicie skrystalizowaną. Stworzono system, wyjaśniono granice pewnych zjawisk kulturowych i ustalono chronologię prehistoryczną. Zostały wygłoszone hipotezy i twierdzenia o cechach etnograficznych epok prehistorycznych a długie okresy „prehistoryczne" przekształcono w „historyczne" we właściwym tego słowa znaczeniu".[2]) Już dziś przeto nie polega prehistoria na zbieractwie bezdusznym starożytności, ani nie jest tylko jedną z nauk pomocniczych historii *de facto*. Metoda i wyniki jakie zastosowano i osiągnięto w badaniach prehistorycznych zmuszają nas do stwierdzenia, że nazwa tej nauki jest już tylko też bezduszną formą nomenklaturową, za którą kryje się bogata *treść* dziejów historycznych w całym słowa tego znaczeniu. Co więcej, przez swe metody badawcze przez wciągnięcie do współpracy z prehistorią jej nauk pokrewnych i zarazem pomocniczych (jak np. antropologia, etnografia, etnologia, językoznawstwo, socjologia itd.) oraz nauk historycznych, jak i historii sztuki i kultury, wyrasta prehistoria jako potężna gałąź wiedzy w grupie nauk humanistycznych. Nauka ta daje nowy aspekt zagadnieniom już zgoła historycznym, wyjaśnia drogą progresywną szereg wątpliwości w dziedzinie badań historycznych, ożywia martwe nieraz, zdawałoby się, przekazy źródłowe, daje — jakby można było lapidarnie powiedzieć — „wizję lokalną" pewnych problemów historycznych, które nie posiadają w dostatecznej ilości źródeł pisanych. Metody badawcze prehistorii na gruncie polskim okazały się

[2]) Tallgren, A. M.: Sur la méthode de l'archéologie préhistorique. „Eurasia Septentrionalis Antiqua", t. X, str. 16—24. Por. też tłumaczenie pomieszczone w „Wiad. Archeologicznych" t. XIV (1936) str. 23 i in.

szczególnie cenne dla problemów związanych z początkami naszego bytu państwowego, a mówiąc terminem ściślejszym współpraca historii z prehistorią według zasady „równy z równym", przez wzajemne użyczanie sobie zdobyczy, jest niezwykle cenna w badaniach nad skąpym w źródła okresem, jakim jest polskie wczesne średniowiecze, czasy kształtowania się państwa Piastów nad Wisłą i Odrą.

W ostatnich czasach prehistoria polska i obca zajmowała się nie tylko czasami czysto przedhistorycznymi ale także sięgała badaniami na podwórko sąsiednie: archeologii historycznej albo — mówiąc terminem szerszym — historii kultury materialnej średniowiecza. Ta ostatnia, mimo jej oczywistej potrzeby w rzędzie nauk historycznych, była i jest w powijakach mimo głosów zmierzających do jej uaktywnienia. Warto tu w tym miejscu przytoczyć głosy Demetrykiewicza[3]) oraz Gębarowicza.[4]) Od tych czasów sprawa nie posunęła się ani na krok naprzód i można powiedzieć, że archeologia historyczna właściwie nie istnieje w nauce polskiej a słabymi jej reminiscencjami w wąskim zakresie jest dział bronioznawstwa jako przyczepka do historii wojskowości.[5]) Dział ten też nie stoi na wysokim poziomie, gdyż dotąd nie wypracowano właściwych metod pracy naukowej, a ludzie, którzy pracują w tej dziedzinie w Polsce, rekrutują się przeważnie z samouków oraz miłośników broni i różnego autoramentu antykwariuszów traktujących bronioznawstwo zawodowo (handlarze starożytności) lub po amatorsku (kolekcjonerzy). W tych przeto warunkach archeologia historyczna właściwie u nas dotąd nie istnieje jako osobna dyscyplina naukowa, a w poszczególne jej dziedziny wkracza prehistoria, historia sztuki i kultury, etnografia

[3]) Demetrykiewicz, Wł.: Naukowe badania i ochrona wykopalisk doby historycznej. Wiadom. Archeol. t. IX, str. 137—140.

[4]) Gębarowicz, M.: Archeologia historyczna. „Kwartalnik historyczny", Lwów 1937 z. 1—2.

[5]) Porównaj np. pracę Gumowskiego p. t. Uzbrojenie i ubior rycerski w czasach piastowskich. „Broń i Barwa" III (1936) Nr 3, gdzie autor opracowuje te tak szerokie zagadnienie na podstawie materiału ikonograficznego dostarczonego z pieczęci i nagrobków piastowskich co stwarza fragmentaryczność i niepełne ujęcie całości. Pełne opanowanie tego problemu może być, naszym zdaniem, dokonane dopiero wówczas gdy wciągniemy do badań materiał zabytkowy dostarczony przez archeologię historyczną pochodzący z wykopalisk i badań terenowych.

numizmatyka, sfragistyka itd. Tymczasem z wyjątkiem tego, co robią historycy sztuki w specjalnym zakresie badania zabytków mających znamiona artyzmu, nic się u nas nie dzieje w zakresie ochrony zabytków kultury materialnej doby historycznej wydobytych z łona ziemi oraz ich naukowego opracowania, jak zauważył swego czasu Demetrykiewicz. W zakresie początków dziejów kultury materialnej w okresie historycznym (wczesne polskie średniowiecze) najbardziej wkroczyła w dziedzinę archeologii historycznej prehistoria. Złożyło się na to wiele powodów. Nie były to powody wagi podstawowej a mianowicie fakt leżenia odłogiem archeologii historycznej jako nauki w Polsce. Były one głębsze. Do najważniejszych należały względy o dobro dwóch metod prehistorii: 1) stratygrafii oraz 2) typologii. Archeologia przedhistoryczna miała tak wielkie pole do działania w zakresie zbadania procesów przeddziejowych na ziemiach polskich, że niechętnie wkraczała w dziedzinę archeologii historycznej. Zmusiło ją do tego życie. Układ stratygraficzny wielu zabytków nieruchomych w terenie posiadał w warstwach najwyższych, zróżnicowanych czasowo, zabytki świadczące o śladach pobytu człowieka w czasach historycznych jako następne nawarstwienie czasów ściśle prehistorycznych tak, że metoda retrogresywna dawała mu jaśniejszy obraz warstwy prehistorycznej; i odwrotnie: metoda progresywna dawała jasne wytłumaczenie zjawisk w okresie historycznym tkwiących swymi korzeniami w czasach przedhistorycznych. Zupełnie przeto bezwiednie prehistoria w pewnym momencie zaanektowała sobie dwa stulecia (XI i XII w.) i włączyła je do planowych badań metodą prehistoryczną, mimo, że czasy te odpowiadają już okresowi historycznemu. Stało się to dlatego, że typologia, a więc formy, była dla prehistoryka jednym z najważniejszych środków pomocniczych. Fakty odkryte w warstwie kulturowej z wczesnego polskiego średniowiecza, zwłaszcza w odniesieniu do ceramiki, zmusiły prehistoryka do doceniania materiału historycznego. Długi okres od 550 po Chr. aż do XII, lub nawet w wielu wypadkach do XIII wieku, określano jeszcze do niedawna jako jednolity, gdyż nie sposób było na podstawie ceramiki wykryć różnicę w zakresie ewolucji form czyli podzielić ten okres na pewne stadia. Jeżeli nawet to robiono to brano pod uwagę raczej kryteria historyczne niż typologiczne w zakresie ceramiki, jak to uczy-

nił Antoniewicz[6]) oraz ostatnio Jakimowicz.[7]) Okazało się bowiem, że w zakresie typologii ceramiki wczesnośredniowiecznej nie sposób było na razie wykryć różnicę w ewolucji typologicznej między zabytkami z okresu przedpiastowskiego i wczesnopiastowskiego. To też przesądziło, aby okresem wczesnohistorycznym nazwać niesłusznie w zakresie nomenklaturowym okres w granicach 550 po Chr. do 1200 po Chr., czyli do końca wędrówek ludów aż po czasy wczesnopiastowskie. Okres ten z czasem podzielono na trzy podokresy w miarę postępu badań typologicznych zamykając je w granicach: 1) 550 do 800, 2) 800 do 950 i 3) 950 do 1200. Odnośnie do tego podziału już dziś można mieć wiele zastrzeżeń: i rzeczowych i typologicznej natury. Po pierwsze, że w XIII i XIV wieku mamy tak skąpe źródła pisane dotyczące kultury materialnej, że dopiero gruntowne badania przez włączenie XIII i XIV wieku mogą rozjaśnić wiele wątpliwości. Po drugie, że w zakresie typologicznym przez badanie tylko np. ceramiki z XIII i XIV wieku dojdziemy do ciekawych rezultatów.. Nikt u nas w Polsce, o ile wiem, nie podjął myśli przepracowania ceramiki tego okresu tak niezwykle ciekawej dla zbadania istotnych podstaw kolonizacji niemieckiej w tym okresie. Kartograficzne ujęcie występowania dwóch przewodnich znamion ceramiki niemieckiej w XIII i XIV wieku, a mianowicie dolno-saksońskiego naczynia okrągłego (Bombentopf) oraz frankońskiego wątku zdobniczego tzw. „Raedchenverzierung", rozjaśni niewątpliwie istotny wkład niemieckiej kultury na ziemiach polskich w tym okresie, poprze niezupełnie zadawalające wyniki historii wywołane brakiem źródeł, co dawało nauce niemieckiej powód do snucia fantastycznych teorii i mitów. Co więcej, materiał ten, prawie u nas nieznany, wyjaśni, być może, wzajemne filiacje oraz da możność zaobserwowania, być może,

[6]) Antoniewicz, Wł.: Archeologia Polski. Warszawa 1928, str. 195 i in. oraz str. 282.

[7]) Jakimowicz, R.: „Okres wczesnohistoryczny" w pracy zbiorowej „Encyklopedia Polska" (P. A. U.), Kraków 1939 (dotychczas w druku), gdzie idąc śladami Antoniewicza podzielił na dwa podokresy: przedpiastowski i wczesnopiastowski z tą tylko różnicą, że włączył do okresu wczesnohistorycznego okres „wędrówek ludów". Ogólne perspektywy w zakresie badań nad okr. wczesnohistorycznym zakreślił Unverzagt: Landschaft, Burgen und Bodenfunde als Quellen nordostdeutscher Frühgeschichte. „Deutsche Ostforschung". t. 1 (Lipsk 1942), str. 267—290 gdzie jest wiele cennych, acz tendencyjnych uwag w odniesieniu do Polski Zachodniej.

zaniku lub wchłonięcia tych dwu typów ceramicznych przez ceramikę piastowską, co będzie ważnym dowodem dla poparcia hipotez historycznych. Dla przykładu tylko warto zaznaczyć, że w odniesieniu do czasów wcześniejszych szereg importów skandynawskich znalezionych na ziemiach polskich, jak ostatnio wykazała nauka polska, nie świadczy o normańskiej genezie państwa polskiego, lecz jest świadectwem wymiany handlowej ze Skandynawią. Występowanie bowiem np. mieczów wikińskich na ziemiach polskich nie jest dowodem oczywistym pobytu Wikingów jako warstwy panującej w Polsce. Takie argumenty przytaczane przez naukę niemiecką są wyrazem krytyki materiału archeologicznego inspirowanego przez tendencję. Już Tallgren zauważył, że słabą stroną archeologii przedhistorycznej, co uznaje ona sama zresztą, jest dążność do doszukiwania się w zjawiskach kulturowych, tzn. w formach kultury materialnej, w pierwszym rzędzie przejawów jakiegoś „ludu" — jednostki etnicznej czy jednolitej ludności, jak to czyniła niejednokrotnie nauka niemiecka schodząc tym samym na manowce. Dopatrywano się też niejednokrotnie w związkach pewnych elementów na obcym sobie podłożu — ruchów lub wędrówek ludów a nie przedmiotów handlu czy mody. Występowanie ceramiki frankońskiej o motywie zdobniczym wyżej przytoczonym nie dowodzi, by tereny Wielkopolski, ziemi Chełmińskiej, okolic Elbląga czy też Ostródy były opanowane przez Niemców pod względem politycznym i gospodarczym w zupełności. Metodą statystyczną oraz porównawczą będzie można obliczyć stan nasilenia elementów obcych na tych terenach w stosunku do ludności miejscowej. Zresztą jak wykazują badania Tymienieckiego oraz jak ostatnio słusznie zauważył Kaczmarczyk,[8]) była kolonizacja niemiecka w większej mierze zjawiskiem gospodarczym, dalszym ciągiem wielkich przemian społeczno-gospodarczych dokonywujących się w Polsce rodzimymi siłami i z rodzimej inicjatywy. Z końcem XII w. i przez cały wiek XIII w dużym stopniu dochodzi do głosu duchowieństwo oraz rycerstwo na skutek obniżenia autorytetu moralnego oraz materialnego księcia. Te dwie warstwy dążą do powiększenia swych dochodów wszelkimi możliwymi drogami, zagospodarowując nieużytki. Musieli

[8]) Kaczmarczyk, Z.: Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry. Poznań 1945, str. 40 i in.

przeto i książę i możnowładcy stworzyć system bezpieczeństwa, system obrony dla ochrony możliwości pracy pokojowej osadników w zakresie gospodarczym. Świadectwem tego są grody stożkowate nieraz spełniające tylko rolę strażnic, które zresztą zostały pobudowane przez p r o t e k t o r a dla bezpieczeństwa osobistego protegowanych osadników. Prawo do budowy grodów otrzymują możnowładcy, zasłużeni i godni zaufania rycerze. Księcia w tym czasie nie stać na budowanie wielkich grodów, gdyż posiada on coraz mniej zasobów materialnych, gdyż rozdaje ziemię Kościołowi i rycerzom. Wobec zmniejszenia się władzy i autorytetu księcia zmniejsza się bezpieczeństwo na skutek walk dzielnicowych. Rycerstwo w oparciu o księcia zmuszone jest budować grody, które by to bezpieczeństwo gwarantowały. Są więc g r o d y s t o ż k o w a t e systemem obronnym księcia dzielnicowego, który w ten sposób zapewniał sobie i swym poddanym bezpieczeństwo od agresji z zewnątrz. Błędnym też rozumowaniem jest łączenie wielkiej ilości tych drobnych gródków, np. na Śląsku, z kolonizacją niemiecką mimo, że powstawały one w XIII wieku (tzw. Frühdeutscher Turmhügel), jak chce nauka niemiecka.[6]) Jest to przypisywanie sobie zasług, których nie było. Powstały one z polecenia naszych książąt i możnowładców dla tych samych celów i ze względu na te same warunki, o których była mowa powyżej. Przytoczone zresztą analogie z Polesia przez Jakimowicza (w pracy cytowanej powyżej) wyjaśniają dostatecznie to zagadnienie. Nie sposób bowiem przyjąć, aby w XIII wieku istniały te same stosunki prawno-społeczne i polityczne na Polesiu co i na Śląsku, a jednak występowanie tych samych typów tu i tam jest oczywiste. Inna interpretacja tych zabytków nieruchomych, np. na Śląsku, jest krytyką materiału za-

[6]) Uhtenwoldt, H.: Burgenbau und Strassenschutz in Schlesien. Altschlesische Blätter t. 4 (Wrocław 1942) str. 53 i inn. Ogólne perspektywy badań prehistorycznych i historycznych na Śląsku w odniesieniu do grodzisk podaje w książce p. t. „Die Burgverfassung in der Vorgeschichte und Geschichte Schlesiens" (Wrocław 1938 r), która zawiera interpretację materiału zabytkowego w duchu podanym w tekście niniejszego artykułu. Tendencyjną pracą o podstawach gospodarczych kolonizacji niemieckiej jest praca Aubina p. t. „Wirtschaftsgeschichtliche Bemerkungen zur Ostdeutschen Kolonisation". Gedächtnisschrift für G. v. Below, 1928, str. 169 i in. która stała się, w ślad za innymi pracami Aubina podstawowym poglądem na ocenę stosunków gospodarczych na „niemieckim wschodzie" przez całą naukę niemiecką. Patrz też: Aubin: Zur Erforschung der deutschen Ostbewegung. Lipsk 1939 oraz tegoż: Geschichtlicher Aufriss des Ostraums. Berlin 1940, str. 44.

bytkowego wynikającą z tendencyjnej oceny kultury materialnej tzn. za pośrednictwem badania form przez „doszukiwanie się, jak pisze Tallgren, elementów etnicznych" . . . „ten postulat jest usprawiedliwiony — wedle mego mniemania (pisze Tallgren) — całkowicie w stosunku do punktu wyjścia badań i do syntezy, a w części tylko w stosunku do sposobu traktowania materiału". Znalezienie ceramiki frankońskiej, zresztą bardzo nielicznej, z wymienionym powyżej ornamentem w Głogowie, Legnicy, Wrocławiu, Brzegu, Świdnicy, Kłodzku i Opolu nie dowodzi faktu budowania czy silnego związku z systemami obronnymi kolonistów niemieckich w tych mastach w XIII i XIV wieku. Dowodzi tylko, że kolonizacja ta tam istniała (w stosunku do punktu wyjścia krytyki znalezionego tam materiału), zaś przy sumowaniu wyników (w syntezie) mówi o ewentualnej sile natężenia tej kolonizacji w stosunku do ludności rodzimej, a nie do wypowiadania pochopnych wniosków o niemieckim charakterze tych miast. Dlatego pisze Tallgren „archeologia powinna przestać być „nauką przyrodniczą" opartą na studium przedmiotów i form, aby w miejsce tego stać się nauką społeczno-ekonomiczną i historyczną". Bowiem nie jest ważne, że występują np. w miastach śląskich ślady kultury niemieckiej w postaci nielicznej zresztą ceramiki, ale ważne jest stwierdzenie jaką rolę odgrywała ta kultura na obcym sobie podłożu w stosunkach prawno-społecznych, ekonomicznych i politycznych co winno być zadaniem archeologii.

Jest to jedno uzasadnienie potrzeby przesunięcia naszych badan, metodą archeologiczną, do XIV wieku. Drugim motywem jest fakt istnienia w naszych granicach państwowo-administracyjnych północnego Mazowsza i Warmii, w stosunku do których okres od XI—XIII wieku jest okresem kultywowania późnopogańskich elementów kulturowych mimo wdzierania się chrystianizmu krzewionego przez św. Wojciecha i św. Brunona z Kwerfurtu. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że mimo „misji" chrystianizacyjnej Zakonu Prusowie aż do XV wieku kultywowali stare elementy zwyczajowe w zakresie religii oraz kultury materialnej, na co jest zresztą powszechna zgoda w nauce. Dowodzą tego choćby cmentarzyska, gdzie, obok chrześcijańskiego pochówku szkieletowego, występują groby ciałopalne oraz dodatki grobowe świadczące o tradycjach staropruskich. Niemieckie elementy kulturowe są w pochówkach bardzo rzadkie i powoli i opornie wchodzą w skład

inwentarzy grobowych. Wyświetlenie penetracji niemieckich składników kulturowych w XIII i XIV wieku oraz ich istotnej roli w stosunku do kształtowania się nowej kultury niemiecko-pruskiej w tym okresie — oto jeszcze jeden ciekawy problem, mający głęboki sens dla procesów politycznych, gospodarczych i społecznych na ziemi warmińskiej i na północnym Mazowszu, dający szerokie pole do popisu i do wydobycia nowych nieznanych szczegółów dla archeologii. Proponowana granica dla badań polskiego średniowiecza metodą archeologiczną wiąże się formalnie i metodycznie z elementami północnymi, których skromnym ale tak ważnym związkiem jest sprawa wyświetlenia zagadnień p r u s k i c h w jej dolnej granicy. Nie mniejsze znaczenie ma tu też wyświetlenie metodą archeologiczną występującego w granicach naszego państwa szczepu Jadźwingów, którego obszar terytorialny obejmuje też i tereny ZSRR, a mianowicie między rzeką Łęgiem a średnim Niemnem, na południu zaś aż po Biebrzę. Walki jakie toczyli Jadźwingowie z książętami polskimi, a mianowicie: Ziemowitem Mazowieckim i Bolesławem Wstydliwym oraz ruskim księciem Danielem Wołyńskim dają podstawy do prześledzenia ich metodą archeologiczną i nie jest wykluczone, że szereg grodów na polskim północno-wschodnim Mazowszu był wybudowany celem zabezpieczenia się przeciwko temu wojowniczemu sąsiadowi. Wprawdzie upadek ostateczny tego bitnego ludu zamyka się z rokiem 1283, tym niemniej warto prześledzić ich dalsze losy i wdzieranie się na te tereny kolonizacji mazowszańskiej, której penetracja jest widoczna na podstawie ceramiki typowo mazowieckiej, występującej już w zwartych zespołach kulturowych Jadźwingów (np. Jasudów, pow. augustowski). Dalsze prześledzenie ekspansji mazowszańskiej na terenach jadźwińskich odpowie nam z pewnością na pytanie, czy elementy etniczne Jadźwingów pozostały na miejscu, czy, jak chcą głuche przekazy późniejsze i domysły historyków, niedobitki tych szczepów przeniosły się do zachodniej Sambii i na Litwę, opuszczając tym samym tereny Podlasia na korzyść ekspansji mazowszańskiej.

Ostatnim wreszcie momentem przemawiającym za przedłużeniem granicy badań, jest fakt istnienia w Polsce w okresie dzielnicowym wpływów kulturalnych zarówno zachodnich, jak południowych, wschodnich i północnych. Wpływy te uzyskują w różnych okresach różne natężenia z tym, że drugie tracą na korzyść pierwszych. Można powiedzieć, że ziemie

polskie są w tym okresie chłonniejszym elementem przyjmowania „nowinek" obcych na gruncie polskim, niż było to dawniej oraz w XV wieku. Polska staje się mozaiką zróżnicowaną kulturowo na skutek przemian i osłabienia politycznego oraz przebudowy ewolucyjnej stosunków prawno-społecznych i gospodarczych. Książęta dzielnicowi szukają sobie różnych protektorów poza ziemiami rdzennie polskimi i wchodzą w związki małżeńskie z cudzoziemkami i, co za tym idzie, wchłaniają obce elementy kulturowe za pośrednictwem aparatu państwowego, Kościoła i domeny gospodarczej.

Niejedni wprost sprowadzają cudzoziemców, jak np. Konrad Mazowiecki, tworząc państwo w państwie. Wyświetlenie tych zawiłych procesów nie może być rozwiązane, rzecz zrozumiała, tylko na podstawie badań nauk historycznych. Brak źródeł stoi tu przede wszystkim na przeszkodzie. Tylko gruntowne badanie kultury materialnej, oparte na szerokiej podstawie, uczyni zadość tym postulatom. Dlatego też, by temu zaradzić, należałoby przesunąć badania archeologiczne aż po koniec XIV wieku lub przynajmniej do daty śmierci Kazimierza Wielkiego jako granicy konwencjonalnej. Motywy takiego kroku są następujące: ziemie pruskie wchodzą w tym okresie w światło historii przez kolonizację krzyżacką oraz fakt, że ziemie kiedyś historycznie z nami związane jak Litwa, Żmudź, Inflanty czy północna Białoruś wchodzą dopiero w XIV wieku w światło historii. Szeroki przeto pas ziemi od Warmii i Mazurów po przez Litwę i Białoruś, który wycisnął swe niezaprzeczalne piętno na naszym Mazowszu i Podlasiu, wymaga przesunięcia badań metodycznych archeologii aż do tego czasu. Drugim motywem są najazdy koczowników mongolskich (Tatarów) na ziemiach polskich w tym okresie. Trzecim to kolonizacja niemiecka na naszych ziemiach. Do wszystkich tych motywów dochodzi najważniejszy. Skąpość źródeł pisanych dotyczących kultury materialnej tych czasów. Niejeden przekaz źródłowy, jak należy się spodziewać, zostanie w ten sposób przez badania archeologiczne rozjaśniony, niejeden moment niejasny nabierze cech życia. Dalsze uzasadnienie jest następujące: pod koniec właśnie XII wieku załamuje się ostatecznie w Polsce władza księcia zwierzchniego nad całym państwem, datująca się od czasów Krzywoustego z r. 1138. Wraz z tym momentem zatraca się spoistość wewnętrzna ziem polskich, zanika troska o całość organizmu rodzimego: jest to okres wpływów romańskich, bizantyjskich oraz

niemieckich w życiu społecznym, politycznym i gospodarczym. Okres ten był punktem zwrotnym w bycie państwowym i narodowym polskim. Stanęliśmy na zakręcie dziejów politycznych, kulturalnych, gospodarczych i społecznych, z których mogła nas uratować tylko p r ę ż n o ś ć narodowa wewnętrzna. Czy była ona dostatecznie silna, może świadczyć przede wszystkim badanie kultury materialnej tego okresu na tle kultur innych narodów, jako rzeczowego wykładnika silnych ośrodków w e w n ę t r z n y c h narodu polskiego. Kolonizacja niemiecka oraz najazdy koczowników mongolskich są czynnikiem o dużej wartości, które mają wielki wpływ na kształtowanie się losów narodu polskiego w XIII i XIV wieku. Wyjaśnienie jednak podstaw walki między czynnikiem demograficznym polskim, rodzimym, a czynnikiem obcym, wzajemne przejmowanie zdobyczy pozytywnych, wreszcie wchłonięcie tego elementu przez masę narodową polską i doprowadzenie w ten sposób do zwycięstwa, którego wykładnikiem są ostatni Piastowie, oto istotny cel badań archeologicznych, które dadzą się doskonale ująć w ramach badania kultury materialnej.

Jest to zresztą problem świadomości narodowej, jaką wykazujemy począwszy od drugiej połowy XIII wieku, mimo wsiąkania w nasze życie państwowe i społeczne elementów obcych. Świadomość narodowa wybucha siłą jednak dopiero w XIV wieku i myli się chyba K. Dobrowolski,[10]) szukając jej pierwocin w plemiennym, przedhistorycznym układzie stosunków. Jak słusznie zauważył ostatnio Grodecki,[11]) świadomość z czasów krystalizacji się państwa Piastów nie była świadomością n a r o d o w ą, lecz świadomością w i e r n o ś c i wobec d y n a s t i i i spoistości państwowej. Ta wierność wobec dynastii zątraca się w okresie dzielnicowym i dopiero na skutek samoobrony przed różnymi wpływami kultury duchowej i materialnej obcej (przede wszystkim niemieckiej) urabia się w formie świadomości n a r o d o w e j, mającej niekiedy znaczenie aktu politycznego. Trzeba przy tym zwrócić uwagę, że jest to okres powstawania miast, okres krystalizacji tego zjawiska socjologicznego, którego początków należy szukać nie gdzie indziej jak w okresie poprzednim. Nie można się przeto ograniczać w badaniach archeologicznych do XII wieku.

[10]) Dobrowolski, K.: Zagadnienie świadomości narodowej w Polsce Piastowskiej. Zjazd historyków polskich w Poznaniu (1925).

[11]) Grodecki, R.: Powstanie polskiej świadomości narodowej. Katowice 1946.

jak to czyni niejednokrotnie prehistoria i zamykać tę granicę jako ostateczną. Trzeba prześledzić na podstawie badań terenowych przekształcenie się **podgrodzia w miasto** mimo, że wątpimy, aby każde podgrodzie przechodziło taką ewolucję. Miasto bowiem jest tym nowym skupiskiem ludności, którego związek z państwem jest luźniejszy niż u **podgrodzia**, które podlegało ekonomicznie i socjalnie w większym stopniu ośrodkowi władzy, jakim był gród książęcy. Ciekawe to z wszech miar zagadnienie da się rozwiązać tylko znowu metodą archeologiczną: przez obserwacje terenowe miast wywodzących się z słowiańskich miast-podgrodzi. Chodzi o zbadanie, czy miasta te zachowują w swych założeniach kształt miasta z okresu poprzedniego (tak jak widzimy to np. w Szczecinie), czy struktura rozplanowania miasta zmienia się w zupełności. W pierwszym wypadku mamy możność przyjęcia, że mieszkała tu ta sama ludność co w mieście — podgrodziu, w drugim, że zakłada to miasto ludność napływowa przy ewentualnej współpracy z ludnością byłego podgrodzia — miasta. Naturalnie nie tylko zagadnienia etniczne odgrywają tu rolę. Przekształcenie się miasta — podgrodzia w miasto z tzw. lokacją na prawie niemieckim pociąga za sobą naturalnie zmiany gospodarcze i społeczne. Badania archeologiczne mają tu wielkie pole do popisu na podstawie skromnych i nieraz nieefektownych danych, które kryje w sobie ziemia a pozwalających na snucie daleko idących wniosków natury historycznej. Zagadnienie ludności napływowej jest zawiłe i trudne i wiąże się z recepcją dokonywaną przez ziemie polskie, której świadectwem są ślady kultury materialnej i duchowej z tego okresu. Tylko badanie porównawcze w zakresie wyników archeologii, historii, historii sztuki oraz nauk pomocniczych historii, da właściwy obraz zagadnień tak bardzo zagmatwanych i niejasnych. Dla przykładu należy przytoczyć zagadnienie wpływów romańskich na wąskim tylko odcinku **klasztorów** cysterskich w Polsce w XII i XIII wieku, gdzie zaznaczają się filiacje klasztorów macierzystych francuskich (Marimond), nadreńskich (Camp i Altenburg) oraz francusko-duńskich (jak np. Oliwa pod Gdańskiem) o barwnej treści odchyleń specyficznie polskich, z których każde ma inne problemy do przepracowania i inną wymowę.[12]). A przecież trzeba sobie uświa-

[12]) Zachwatowicz, J.: Kartografia średniowiecznych klasztorów cysterskich w Polsce. Biuletyn Historii Sztuki i Kultury. Rocznik 1935, zeszyt 4 + 1 mapa.

domić, że prócz wpływów romańskich istnieją odrębne bizantyjskie z Rusi i Konstantynopola, oraz wtórne również bizantyjskie z Włoch, skąd przez Akwileję i Wenecję docierały do Polski (np. Gniezno — wykopaliska Laubitza). Wreszcie w pierwszej połowie XIII wieku oprócz romańskich docierają już wczesne wpływy stylu gotyckiego, by w wieku XIV nabrać bujności rozkwitu na miarę potężniejszą. Wszystko to ma swe odbicie w kulturze materialnej i błędem do niepowetowania byłoby nie uwzględnić tych momentów w badaniach syntetycznych nad polskim średniowieczem.

Prehistorycy dotychczas dając próby syntetycznego obrazu kultury materialnej w ramach od X do XII wieku, nie uwzględniali wszystkich jej elementów czy to w postaci budownictwa sakralnego czy wreszcie innych zabytków sztuki. Ograniczenie się tylko do dwóch domen, które bada prehistoria, jakimi są ślady życia w formie osadnictwa oraz cmentarzyska jako ślady po życiu, nie rozwiązuje całokształtu ujęcia syntetycznego danego okresu. Jakże można przedstawiać obraz kultury okresu wczesnopiastowskiego, omawiając formy i konstrukcje grodzisk a ani słowem nie wspomnieć o budownictwie sakralnym występującym na tych grodziskach. Prehistorycy te zagadnienia zostawiają historykom sztuki. Przecież taka np rotunda św. Prokopa w Strzelnie, będąca zapewne fundacją komesa Janusza z lat przed rokiem 1147, pomyślana została jako kościółek grodowy istniejącego niegdyś w tym miejscu grodziska.[13]) Czy to grodzisko jest jeszcze uchwytne i stanowi jakąś wartość dla nauki, nikt się dotąd nie zainteresował, jak można sądzić z literatury. Nie trudno dać typologię i rozwój konstrukcji obronnej grodu z chwilą, gdy mnożą się sprawozdania z systematycznych wykopalisk, gdyż to nie jest wszystko w tym zakresie. Tylko syntetyczne ujęcie wszystkich zagadnień, jakie się z danym grodem wraz z podgrodziem łączą, otworzy nowe perspektywy badawcze w zakresie naszego średniowiecza. Archeolodzy są specjalnie predestynowani do ujęć syntetycznych, o ile mają odpowiednie do tego przygotowanie. Odkrycie na ziemiach polskich szeregu rotund z XI wieku, które mają tak wymowne analogie w Czechach (jak np. Liboun, Předni Kopanina i Řip), nie spowodowało w wielu wypadkach badań takich, jakie należałoby podjąć me-

[13]) Walicki, M.: Budowle Strzelna na tle sztuki romańskiej w Polsce. Biuletyn naukowy (1932) str. 21—24.

todą archeologiczną. Historycy sztuki mają specyficzne podejście do dzieła architektonicznego, mimo postępu prac badawczych i ogólnych dążności do wypracowania syntezy na możliwie jak najszerszych podstawach badawczych. Dopiero rotunda cieszyńska doczekała się systematycznych badań przeprowadzonych w 1941 roku przez archeologa Raschkego, który określił czas wzniesienia tej budowli na koniec XI wieku na podstawie zbudowania jej w obrębie prapolskiej warstwy kulturowej, zawierającej zabytki z końca X oraz XI wieku doskonale ją datujące.[14]) Przede wszystkim archeolog jest zdolny zaobserwować to wszystko, co się w koło danego obiektu architektonicznego z danej epoki znajduje, i w ten sposób jego badania osiągają szerszą platformę, gdyż będzie go interesować np. układ warstw kulturowych oraz datujące ten zabytek architektoniczny, skorupy ceramiki wczesnohistorycznej.

Dotąd nie pokuszono się na ziemiach, które na przestrzeni historii wchodziły w skład naszego państwa, o ujęcie syntetyczne, które by połączyło wszystkie pokrewne dziedziny wiedzy, w stosunku do pewnego problemu terytorialno-historycznego poza niewolnym od błędów osiągnięciem nauki ukraińskiej w postaci pracy Pasternaka.[15]) Praca ta dowiodła, że takie osiągnięcia są niezwykle cenne dla badań nad skąpym w źródła średniowieczem. Żałować przeto należy, że wybuch ostatniej wojny nie zezwolił poznańskiej szkole prehistorycznej kontynuować prac badawczych w Gnieźnie. Tom opracowanych wyników badań gnieźnieńskich jest cenną zbiornicą materiałów, publikowanych pośpiesznie ze względu na spodziewany lada chwila wybuch wojny polsko-niemieckiej, co jest wielką zasługą J. Kostrzewskiego, który uratował niewątpliwie wyniki tych badań od zagłady.[16]) Materiały te jednak czekają na szerszą syntezę zagadnień politycznych, gospodarczych, społecznych i kulturalnych w odniesieniu do Gniezna jako do całości: z chwilą gdy badania zostaną ukończone, skontrolowane będą nawet wyniki dyletanckich bądź co bądź

[14]) Raschke, G.: Grabungen an der frühromanischen Burgkapelle von Teschen. Altschlesien, t. X (1941) str. 146—161 z 11 ryc. + 4 tabl.

[15]) Pasternak, J.: Staryj Halicz. Archeologiczno-istoryczni doslidy u 1850 do 1943 r. r. Kraków — Lwów 1944 str. 206 + obfiły materiał ilustracyjny.

[16]) Gniezno w zaraniu dziejów w świetle wykopalisk (praca zbiorowa pod red. J. Kostrzewskiego) Poznań 1939, str. 335 + 116 tablic i 25 ryc. w tekście.

badań Laubitza.[17]) Praca ta będzie tym cenniejsza o ile ten problem będzie przepracowany przez jednego uczonego, który naturalnie będzie dobrym syntetykiem. Dlatego kardynalnym błędem jest, w naszym przekonaniu, opracowywanie tylko kultury materialnej oraz rozplanowanie i konstrukcji grodu tylko pod kątem badań typologicznych, a nie wypracowanie syntezy w oparciu o szeroki wachlarz nauk zajmujących się badaniem średniowiecza, wychodząc z założenia że dane dostarczone przez archeologię mogą być substratem dla badań przedstawicieli innych nauk. Historia np. w odniesieniu do polskiego średniowiecza operuje tak skąpą ilością źródeł, że w zakresie znajomości kultury materialnej stwarza tylko ramy. W ramy te winna być wkomponowana cała barwa życia, rekonstrukcja historyczna z faktów źródłowych kultury materialnej opartej na zabytkach ruchomych i nieruchomych zbadanych w terenie.

Nieraz się słyszy z ust przedstawicieli nauk badających średniowiecze (zwłaszcza od historyków i historyków sztuki) pod adresem archeologii oraz jej przedstawicieli dość niezrozumiałe pretensje, w których wysuwane są argumenty, że pewne problemy rozwiązywane przez naszą naukę nie są jasne względnie zwodnicze czy iluzoryczne. Twierdzenia te nie są oparte na wniknięciu w metodę badawczą archeologii i nie wynikają ze znajomości metod krytyki źródła naszej nauki, jakimi są niepozorne zabytki kultury materialnej poszczególnych okresów. Z tym wiąże się fakt, że przedstawiciele nauk pokrewnych nie umieją wykorzystać naszych wyników w swych pracach syntetycznych w takim zakresie, w jakim można by to było zrobić. Zazwyczaj ograniczają się do cytowania paru aktów ogólnych, stwierdzonych przez przedstawiciela naszej nauki, które ewentualnie podpierają w szczegółach ich wnioski syntetyczne. Trudno im jednak wczuć się w całą barwę życia, znaną tylko z nielicznych przekazów źródłowych czy zabytków sztuki, jaką niesie przez swe metody badawcze archeologia, która najdrobniejsze przejawy życia czyta dokładniej niż historyk nieraz lakoniczny przekaz źródłowy. Zadaniem prehistorii jest przez badanie zjawisk kultury materialnej dać aspekt ekonomiczny, socjalny, etniczny itd. procesów przeddziejowych. Ostatnio np. Wojciecho-

[17]) Laubitz, A. X. Biskup: O początkach kościoła gnieźnieńskiego w świetle ostatnich badań wykopaliskowych. W-wa 1934 str. 16 + 1 plan.

wski, zdaje się w ślad za Balzerem, wysunął tezę, że organizacja państwa Piastów stworzyła system bezpieczeństwa umożliwiający „przerzucenie osadnictwa grodowego i przejście do osadnictwa w terenie."[18]) To zn., że o k o l i c a jest jednym z typów wsi, który powstał według tego autora w związku z najdawniejszym osadnictwem grodowym jako wtórna postać. Twierdzenie to nie jest oparte na realnych danych archeologicznych i należy je uznać za błędne.[19]) Natomiast metody archeologiczne stosowane do problemów naszego średniowiecza pozwolą uczonemu wychwycić na „gorąco", podczas badań terenowych, niejeden ciekawy szczegół dotyczący zagadnień gospodarczych, społecznych i politycznych, pozwalający wysnuwać daleko idące wnioski historyczne, których związek przyczynowy jest widoczny w skąpym i niedostatecznym przekazie źródłowym.

To też nasuwają się z nieodpartą koniecznością dalsze słowa Tallgrena: „o ile uczony opierać się będzie na kulturze materialnej, materiał najistotniejszy składać się będzie z tych elementów, które odgrywają rolę decydującą przy tworzeniu się jakiegoś stadium czy stopnia kultury: nie ozdoby, lecz narzędzia produkcji, narzędzia i przedmioty użytkowe będą miały największe znaczenie; w odniesieniu do nich jest rzeczą najistotniejszą ich f u n k c j a a nie ich f o r m a, ani też analogie. W tym wypadku popełnia się g w a ł t odrywając przedmiot od produkcji, którego jest narzędziem i od jego środowiska ekonomicznego" . . . Zabytek czy zespół zabytków danego obiektu archeologicznego nie służył, w myśl słusznych rozumowań Tallgrena, jako f o r m a ale jako t r e ś ć w odniesieniu do czynników natury geograficznej, ustrojowej, ekonomicznej czy socjalnej w takim układzie, w jakim się one w zespole morfologicznym znajdują. Dziś nieraz natrafiamy przy pracach ziemnych na dokumenty kultury materialnej średniowiecza. O ile są to zabytki noszące znamiona artyzmu, chętnie umieszczamy je w muzeach regionalnych lub ogólnych. Natomiast często o inne ślady życia z czasów średniowiecza nie dba się w zupełności. Podnosimy nieraz wykopany przypadkowo drobny przedmiot z tego okresu (nie mówiąc już

[18]) Wojciechowski, Z.: Państwo Polskie w wiekach średnich. Poznań 1945 str. 9.

[19]) Niesłuszne to rozumowanie Wojciechowskiego poddał krytyce W. Hensel w drobnej pracy p. t. Grody wczesnopolskie „Z Otchłani Wieków" tom XIV (1945) str. 9 i in.

o mieczu średniowiecznym) i zazwyczaj nie wystawiamy mu nawet metryki pochodzenia i dokładnych danych znaleziska postępując w wielu wypadkach tak, jak postępowano jeszcze w XIX wieku z zabytkami, które były rozdrapywane przez handlarzy i kolekcjonerów starożytności, o ile naturalnie nosiły znamiona artyzmu. Dotychczas jeszcze po muzeach regionalnych oraz większych muzeach poglądowych, zalega materiał zabytkowy sredniowiecza (XIII i XIV wiek), nie posiadający podstawowych danych o miejscu znalezienia, okoliczności itd., co utrudnia naukową inwentaryzację zbiorów. Rzecz prosta, że wartość naukowa tych zabytków jest minimalna i tkwi chyba tylko w stronie dydaktycznej danego obiektu. Zabytki średniowiecza w ten sposób odrywa się od warstwy kulturowej, od podłoża i nie wyświetla się ich roli, jaką odgrywały, co jest wielką szkodą dla nauki. Bowiem poza nielicznymi wyjątkami zabytki te też nie były publikowane ani naukowo opracowywane w okresie międzywojennym.[20]) W badaniach kultury materialnej polskiego średniowiecza nie chcemy widzieć tylko martwych przedmiotów, które epoka ta wytworzyła. Wprowadzić chcemy z powrotem kulturę materialną średniowiecza do nauki nie dlatego, że jest stara a więc w myśl idei XIX wieku godna poszanowania, pietyzmu czy kultu, ale przede wszystkim dlatego, że drzemiąca w niej suma mocy duchowej nie straciła siły emanacyjnej pobudzającej do nowego życia. Wkraczamy przecież na szlaki Polski Bolesławów, na piastowskie stare szlaki Polski nad Odrą i Wisłą.

---

[20]) Sporadyczne opracowanie tego materiału w odniesieniu do broni można znaleźć w periodyku p. t. „Broń i Barwa" wydawanym przez Tow. Przyjaciół Muz. Wojska w W-wie co jest wielką zasługą ówczesnego komitetu redąkcyjnego z pułk. B. Gembarzewskim na czele.

DRUGI EWOLUCYJNY KROK OD FIZJOLOGII DO SOCJOLOGII

Fizjologia jest to część biologii, która objaśnia wszelkie prawidłowe procesy odbywające się w żywych organach i komórkach roślin, zwierząt i ludzi. Dla nas najważniejszą jest fizjologia ludzka dająca solidną podstawę dla wszystkich nauk humanistycznych. Nieznajomość fizjologii człowieka uważał Carrel, za główną przyczynę, że ludzkość idąc za błędną wskazówką Galileusza podążała na kwantytawnej drodze do wynalazków technicznych, które jej obok szczęścia i dużo biedy przyniosły, a opuściła drogę kwalitatywną, która bezpośrednio podążała do jej uszczęśliwienia. Dlatego Carrel widzi ratunek w nawiązaniu kontaktu między fizjologią człowieka a naukami humanistycznymi i daje w tym celu w swojej książce genialny skrót fizjologii ludzkiej.

Idąc za przykładem Carrela chciałbym w najkrótszym streszczeniu przedstawić nowoczesną fizjologię człowieka, aby móc połączyć ją z ewolucją w socjologii. Otóż tak samo jak ziarno pszenicy musi przeleżeć kilka dni w głębi ziemi i przejść okres życia beztlenowego (anaerobji), aby potem wystrzelić na powierzchnię zielonym listkiem, który pochłania tlen z powietrza i w ten sposób zaczyna życie tlenowe (aerobię), tak samo i człowiek posiada w swym organiźmie życie beztlenowe i tlenowe. Jego życie beztlenowe odbywa się w żołądku i w jelitach dzięki fermentom i enzymom. A ponieważ wszystkie komórki organizmu ludzkiego muszą oprócz pożywienia z jelit otrzymywać i tlen z płuc niezbędny dla jego spalania, musiał więc być w tym celu zorganizowany skomplikowany aparat. W przeciwieństwie do roślin człowiek nie posiada nazewnątrz organu któryby umożliwiał przyswajanie tlenu, musi przeto zapomocą oddychania wciągać powietrze do płuc, gdzie przez cienką błonkę tlen przedostaje się do krwi i tworzy z hemoglobiną zawartą w czerwonych ciałkach krwi dość luźne chemiczne połączenie, a dopiero ta utleniona krew zostaje zapomocą pompy ssąco-tłoczącej tj. serca rozprowadzona po całym organiźmie. Oczywiście podział tej krwi zawierającej i pożywienie

dostarczone przez jelita i tlen z płuc musi być uczyniony sprawiedliwie według potrzeb pojedyńczych komórek. Nad tym subtelnym i drobiazgowym rozdziałem czuwają dwie organizacje, autonomiczny system nerwowy oraz hormony tj.chemiczne regulatory i katalizatory wyprodukowane przez gruczoły dokrewne. W interesie zachowania gatunku istnieje jeszcze aparat regeneracyjny rozdzielony między dwa różne organizmy tj. mężczyznę i kobietę, przyczem główna część pracy fizjologicznej powierzoną jest kobiecie. Kobieta bowiem posiada nie tylko komórkę zarodczą, ale podczas 9-cio miesięcznej ciąży dostarcza materiału dla pierwszego rozwoju noworodka, a po narodzinach karmi go jeszcze swym mlekiem przez cały rok a często i dłużej. Rola mężczyzny ogranicza się tylko do wysyłania plemników, które działają na podobieństwo prądu elektronów rozbijających atomy. Komórka rozrodcza żeńska rozbita przez plemniki posiada energię podobną do tej jaką posiadają te atomy, gdyż tworzy z jednej komórki organizm złożony z miliardów komórek. Pod jednym tylko względem rola mężczyzny jest równą roli kobiety: w zapłodnionej komórce ilości genów męskich i żeńskich są sobie równe, co ma duże konsekwencje z punktu widzenia dziedziczności. Wszystkie te objawy życia beztlenowego, tlenowego i rozrodczego nazywały się w starożytności ciałem, podczas gdy myśl, rozum, czucie i wola nazywały się duszą, mającą już według Galena swe siedlisko w mózgu.

Przy studjowaniu tak zasadniczej części układu nerwowego jaką jest rdzeń kręgowy zauważył Shekleten, znakomity fizjolog londyński, że rdzeń posiada położone naprzeciwko siebie jednoimienne nerwy ruchowe i czuciowe i że brak tylko kilku centymetrów do tego by się te nerwy połączyły. Ponieważ jednak złączone nie są, więc łącznikiem tym jest świat zewnętrzny. Najlepszą ilustracją tej jego teorii jest odruch kolanowy wywołany uderzeniem w ścięgno poniżej rzepki kolana, przyczem następuje podniesienie w górę nogi przez skurcz mięśnia uda. Tę teorię o odruchach rozszerzył znacznie Pawłow, który odróżnił odruchy warunkowe od odruchów bezwarunkowych. Odruchami warunkowymi nazwał te, które były poprzedzone podnietami świetlnymi lub akustycznymi, a więc te które przenikają do mózgu przez drogi zmysłowe i stąd dopiero przedostają się do gruczołów trawiennych, a więc do ślinianek lub do gruczołów żołądka. Prawdziwość tego faktu udowodnił Pawłow tysiącznymi eksperymentami na psach.

Na zasadzie tych eksperymentów powstała też doktryna, iż mózg jest nie tylko centralą dla naszych zmysłów, ale że również dzięki przenikaniu nerwów po przez zwoje podkorowe jest on centralą dla popędów i wrażeń czuciowych. Jednym słowem mózg dominuje nad całym organizmem ludzkim i dlatego Pawłow przypuszcza, że i myśl ludzka powstaje za pomocą analizy i syntezy tych wszystkich skoncentrowanych prądów, a neopallium zawiera całą psychologję ludzką, co wobec miljardowej liczby komórek mózgowych jest wielce prawdopodobne. Na zasadzie tych danych musimy odrzucić dualizm dzielący człowieka na dwa zasadniczo zupełnie różne tworzywa duszy i ciała, a przyjąć unitaryzm łączący te dwa elementy człowieka w jedno. Możnaby zarzucić tej koncepcji iż wtedy człowiek nie różni się od zwierząt. Istnieje jednak fakt niezbity, który wywyższa człowieka ponad wszystkie inne zwierzęta. Faktem tym jest niedokończona jeszcze ewolucja mózgu ludzkiego, a szczególnie przedniej jego części, neopallium. Dowieść tego możemy za pomocą czaszek prymitywnych ludzi (Pithecanthropus erectus) odkrytych w Azji i ludzi z Neanderthalu w Europie, których czaszki są za małe aby objąć mózg współczesnego człowieka.

Dlatego też postawienie tego pierwszego kroku, który poprowadził człowieka od fizjologii do socjologii, musiało być dokonane w epoce późniejszej od epoki ludzi z Neanderthalu. Krokiem tym było przetworzenie pierwotnych dźwięków, za pomocą których porozumiewały się zwierzęta, w precyzyjny instrument łączności ludzkiej czyli wynalezienie mowy. Mowa jest niczym innym jak także odruchem warunkowym, tylko nie przenikającym, jak u psów Pawłowa, do gruczołów trawiennych, ale do mięśni krtani. Jeżeli teraz człowiek poneanderthalski przyzwyczai się do tego, że każdemu określonemu wzruszeniu lub określonemu przedmiotowi odpowiada określony dźwięk, to wówczas jest jasne, że dwie jednostki będą mogły komunikować sobie wzajemnie swoje wzruszenia i myśli. W ten sposób powstała łączność ludzka, co prawda w zakresie dość ograniczonym. Liczba słów tak ustalona jest bardzo rozmaita. Niektórym syberyjskim narodom wystarcza 300 wyrazów w całym ich języku, podczas gdy Szekspir używał 12000 słów w swoich dramatach.

O wiele później bo już prawie w czasach historycznych powstało pismo, które jest tak samo odruchem warunkowym, tylko przenikającym nie do krtani lecz do mięśni rąk. Pier-

wotne pismo było pismem obrazkowym; spotykamy je już u ludzi jaskiniowych w południowej Francji; a rozwinęło się ono w całej okazałości w hieroglifach egipskich. Wadą tego rodzaju pisma było, iż pomimo wszelkich skrótów posiadało ono niezliczoną ilość pojedyńczych znaków, przetrwało to jeszcze do dzisiaj w piśmiennictwie chińskim. Daleko praktyczniejszym okazał się wynalazek Fenicjan, którzy wyodrębnili z mowy pojedyńcze dźwięki akustyczne i dźwięki te utrwalili optycznie przez odpowiednie znaki, nazwane później przez Rzymian literami. Okazało się wtedy, że liczba tych dźwięków jest bardzo mała i nie przekracza w żadnym języku 30. Zespół tych znaków nazwano alfabetem; rozpowszechnił się on szybko w Europie i dał początek alfabetom greckiemu i łacińskiemu, na których wzorowały się później inne. Kto wie, czy nie temu alfabetowi zawdzięcza cywilizacja europejska swe zwycięstwo nad cywilizacją chińską.

Dzięki pismu porozumienie ludzi rozszerzyło się do bardzo dalekich granic. Jeszcze donioślejszą przysługę przyniósł ludzkości wynalazek pisma przez przechowywanie w bibliotekach myśli poprzednich generacji. Dzięki więc ścisłej asocjacji osiągniętej przez mowę i pismo ludzkość zapanowała nie tylko nad światem roślinnym i zwierzęcym, ale nad całą kulą ziemską do tego stopnia że darwinowska walka o byt stała się w naszych pojęciach przeżytkiem i pozostała tylko jako atawizm po naszych zwierzęcych przodkach.

A jednak potęga tego atawizmu jest tak wielką, że wywołuje on w coraz to nowej formie, czy to religijnej czy rasowej, czy klasowej fale niedorzecznej nienawiści i doprowadza do największej klęski ludzkiej jaką jest wojna. A ponieważ wojna dzięki wynalazczości umysłu ludzkiego jest technicznie coraz doskonalszą, staje się ona coraz większą klęską ludzkości i zagraża nie tylko rozwojowi cywilizacji ale wprost bytowi ludzi na ziemi.

Tak samo jak człowiek poneanderthalski mógl wskutek wynalazku precyzyjnej mowy i pisma osiągnąć asocjację międzyludzką, która przyniosła mu zwycięstwo w walce o byt ze wszystkimi zwierzętami, tak samo i teraz, po wielkim wstrząsie ostatniej hitlerowskiej wojny, może on tylko zapomocą dalszej ewolucji swego neopallium zdobyć uwolnienie ludzkości od potwora wojny. Musi więc być zrobiony dalszy krok ewolucyjny, już nie w obrębie fizjologii ale socjologii tj. nauki traktującej o stosunkach międzyludzkich. Krok ten powi-

nien być oparty na przykładzie przyrody, która potrafiła osiągnąć w jednostkowym organiźmie zadziwiającą synergję wszystkich tak różnych organów zapomocą subtelnej korektury nerwów autonomicznych i hormonów.

W stosunkach międzyludzkich musiałaby zniknąć nienawiść pomiędzy pojedyńczymi sferami i klasami w obrębie jednego narodu i nienawiść jednego narodu do drugiego, miejsce ich winny zająć przychylność i miłość. Jest to zadanie olbrzymie, które jednak już 2000 lat temu podjął twórca religji chrześcijańskiej w zwięzłym i genialnym przykazaniu ,,kochaj bliźniego swego jak siebie samego". Ówczesne społeczeństwo nie dorosło do urzeczywistnienia tej na tak daleką przyszłość nastawionej idei. Ale i dzisiaj jeszcze ludzkość nie jest dostatecznie przygotowana do tej wielkiej myśli, gdyż ewolucja mózgu człowieka potrzebna do postawienia tego drugiego, po wynalazku mowy i pisma, kroku ewolucyjnego wymaga dużego czasu: kilkunastu tysięcy lat. Powstanie więc Królestwa Bożego na ziemi nie tak prędko jeszcze nadejdzie, mimo że wskutek dwuch ostatnich wojen światowych ludzkość została silnie wstrząśnięta i stara się czy to przez Wilsonowską Ligę Narodów, czy przez obecną Organizację Zjednoczonych Narodów dojść do pacyfizmu i zapewnienia pokoju. Wilson chciał tego dokonać za pomocą światowego parlamentu, obecnie zaś chcemy osiągnąć ten cel przez siły zbrojne będące do dyspozycji Zjednoczonych Narodów, tak jak diament szlifuje się diamentowym, proszkiem. Ten parodoksalny sposób unicestwienia wojny za pomocą oręża ma służyć czasowo dopóty, dopóki neopallium mózgowe nie przejdzie swej ewolucji, co zapewni wszystkim ludziom wolność, sprawiedliwość, zdrowie i dobrobyt.

Stefan M. Kuczynski

KTO DOWODZIŁ W BITWIE POD GRUNWALDEM?

1.

Niewiele lat dzieli nas od 550-ej rocznicy Grunwaldu, a wciąż jeszcze budzą się wśród historyków wątpliwości co do osoby wodza bitwy grunwaldzkiej. Zdawałoby się, że po pracach O. Laskowskiego[1]) i L. Kolankowskiego[2]) zagadnienie to zostało rozwiązane, chociaż Karol Piotrowicz uważał, iż autor „Grunwaldu" nie dość pogłębił „problem poważny i trudny do rozwiązania", ale przeciw głównej tezie omawianej pracy nie zgłosił sprzeciwu".[3]) Tymczasem w lipcu 1945 r., na łamach „Tygodnika Powszechnego", prof. Jan Dąbrowski w sposób zdecydowany wypowiedział się przeciw koncepcjom wspomnianych autorów.[4]) Autorytet zaś Dąbrowskiego ma taki ciężar gatunkowy, że nakazuje brać pod uwagę poglądy tego uczonego nawet wówczas, gdy zostały wypowiedziane w artykule publicystycznym. Zwłaszcza, że i uprzednio Dąbrowski miał opinię odmienną. Stajemy zatem wobec konieczności nowego rozważenia sprawy: kto był wodzem potrzeby grunwaldzkiej, gdyż niepewność co do osoby wodza armii w szóstym stuleciu po najświetniejszym zwycięstwie polskim dawnych czasów staje się nieznośna i dłużej trwać nie powinna, tym bardziej, iż — naszym zdaniem — źródła wypowiadają się wystarczająco jasno w tym względzie.

[1]) Laskowski Otton: „Grunwald" W-wa 1926 (Odb. „Przeglądu Wiedzy Wojskowej" Rocznik II. 1925 r.). Podczas wojny w Londynie ukazało się nowe wydanie „Grunwaldu" Laskowskiego; niestety, nie mogłem dotychczas uzyskać tego wydania do użytku. O ile więc przynosi ono istotniejsze zmiany, proszę ewent. krytyków niniejszej pracy o wzięcie pod uwagę, że — mimo najszczerszych chęci — mogłem korzystać jedynie z warszawskiego wydania.

[2]) Kolankowski Ludwik: „Dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego za Jagiellonów" tom 1. W-wa 1930.

[3]) Piotrowicz Karol: Recencja książki Laskowskiego w „Kwartalniku Historycznym" t. 44, r. 1930 s. 235—236.

[4]) Dąbrowski Jan: „Grunwald" Tyg. Powsz. Kraków, 15. VII. 1945 s. 1.

Pragnąc uzyskać wynik całkowicie niesporny, musimy zastosować nową metodę analizy zagadnienia. Dotychczasowi badacze, na ogół, nie zadawali sobie trudu uzasadnienia: dlaczego tego, a nie innego wybitnego męża z pod Grunwaldu uważają za wodza. Po prostu orzekali (Szajnocha, Szujski, Bobrzyński etc.), że ten a ten był wodzem. Kolankowski i Laskowski przeprowadzili dowód, który wydał się im wystarczający, aby uznać przywództwo Jagiełły za bezsporne. Widzimy wszakże, że dowód ten nie zadowolił Dąbrowskiego. Piotrowicz słusznie natomiast zwrócił uwagę Laskowskiemu, że udowodniając sprawę dowództwa Jagiełły, nie przeprowadził ostatecznego dowodu, iż wodzem tym nie był Witold. Z tej uwagi daje się wysnuć wniosek o potrzebie przeprowadzenia dowodu, że każdy z dotychczasowych kandydatów na wodza mógł, albo nie mógł być wodzem faktycznym Grunwaldu, tzn. samo to, że inni kandydaci wodzami nie byli nie powinno przesądzać na rzecz ostatniego kandydata. Nadto należy rozważyć, czy nie mógł być wodzem ktoś dotychczas nie brany pod uwagę.

Opinie historyków polskich co do interesującego nas zagadnienia są nader niejednolite. Jedni, za Konstantym Górskim wypowiadają się na rzecz Witolda. Drudzy, za Semkowiczem, na rzecz Zyndrama z Maszkowic. Trzeci, za Kutrzebą, na rzecz Jagiełły. Innych postaci historycznych, jako przypuszczalnych wodzów, dotychczas nie brano pod uwagę.

Wszyscy badacze zgodni są jedynie co do tego, że z racji swego królewskiego dostojeństwa, wodzem nominalnym musiał być Władysław Jagiełło. Należy więc wyjaśnić: kto był faktycznym naczelnym wodzem Grunwaldu? Król, Witold, Zyndram z Maszkowic, czy jeszcze ktoś inny, dotąd nieznany?

Przystępując zaś do dania odpowiedzi na postawione pytanie należy postępować jeszcze ostrożniej, niż sumienny K. Piotrowicz, który zastanawiając się nad tym, co w sprawie dowództwa można uznać już za pewne, na podstawie dotychczasowych wyników, uznał za możliwe przyjąć, — jako minimum: — „Że tylko dowództwo Witoldowe nad siłami Litwy nigdy nie zostało zakwestionowane, zaś wszystkie inne sprawy wymagają jeszcze wyświetlenia“.[5]) Otóż stwierdzamy, że Piotrowicz był, wbrew swemu minimalizmowi, optymistą, bowiem w naszym pojęciu i faktyczne dowództwo Witolda

[5]) Piotrowicz K. o. c. s. 234.

nad siłami litewskimi nie jest ustalone. Najprawdopodobniej Witold był faktycznym wodzem sił litewskich, ale nie jest wykluczone, iż mógł być także tylko wodzem nominalnym z tytułu swego niemal monarszego stanowiska. Przyszły historyk Witolda powinien ustalić to ostatecznie. Narazie — nie uprzedzajmy wniosków.

2.

Za wodzostwem Witolda wypowiadają się w porządku chronologicznym: K. Szajnocha, S. Smolka, K. Górski, J. Szujski, M. Bobrzyński, T. Korzon, O. Halecki i M. Kukiel. Wypowiedzi te wszakże są różnej mocy i nie zawsze zdecydowane.

Szajnocha przypisuje Witoldowi dowództwo bez zastrzeżeń i nazywa go wyraźnie „naczelnym wodzem armii polskiej"[6]). Smolka pisze, iż „w zwycięstwie grunwaldzkim główną zdobył sobie zasługę bohaterski wódz—Witold"[7]) Górski określa, że „Witold powinien być uważany za wodza naczelnego połączonego wojska"[8]), a w innym miejscu: „Kierował zaś, jak się zdaje, wojskiem połączonym, o ile mógł, Witold"[9]). Nie wiadomo też, według Górskiego, kto był twórcą planu wojny. „Prawdopodobnie Witold".[10])

Szujski wpowiada się niejasno. Nazywa Witolda „owego wielkiego geniusza litewskiego" — „głównym materialnej walki bohaterem"[11]), ale jednocześnie mówi o dowództwie „naczelnego hetmana Zyndrama z Maszkowic"[12])... Bardziej zdecydowany jest Bobrzyński. Określa Witolda jako: „Wielkiego wodza z pod Grunwaldu, jako przywódcę polityki słowiańskiej, oraz znakomitego „administratora i dyplomatę"[13]).

Korzon, wbrew powoływaniom się w tej kwestii na niego, jest bardzo nie zdecydowany. Wypowiedziawszy się na-

[6]) Szajnocha Karol: „Jadwiga i Jagiełło" Dzieła t. VIII. W-wa 1887 s. 83 (pierwsze wydanie tej książki wyszło we Lwowie w r. 1855—56).

[7]) Smolka Stanisław: „Szkice historyczne". Seria pierwsza. W-wa 1882. Szkic „Witold pod Grunwaldem" s. 34.

[8]) Górski Konstanty: „Bitwa pod Grunwaldem". W-wa 1888 (odb „Bibl. Warsz.") s. 35.

[9]) ibidem s. 50. [10]) ibidem s. 57.

[11]) Szujski Józef: „Dzieje Polski". Kraków 1895. Dzieła. Serie II. tom 2. s. 15.

[12]) ibidem s. 49.

[13]) Bobrzyński Michał: „Dzieje Polski w zarysie" wyd. IV, W-wa 1927 t. I s. 227.

przód na rzecz Witolda, później coraz bardziej zdaje się skłaniać ku Jagielle. Pisze bowiem: „Jagiełło złożył nowy dowód zdrowego rozsądku", gdy nie czując się na siłach dowodzenia „szukał wodza naprzód między Czechami", a potem uczynił przewodniczącym rady wojennej Witolda, „który tym sposobem wyszedł na wodza naczelnego obu wojsk"[14]). Jednak dalej, omawiając zarządzenia mobilizacyjne króla i zachwycając się nimi, dodaje: „Wielbiciele Witolda genialności zechcą jemu przypisać pomysł pierwszy oraz mobilizację ziem litewskich i ruskich W. Księstwa, ale samo przyjęcie pomysłu, a potem przystosowanie do warunków pospolitego ruszenia w Polsce i na Mazowszu stanowi z pewnością zasługę Jagiełły nie docenioną ani przez Długosza, ani przez nowoczesnych badaczy"[15]). Palmę zwycięskiego wodza Korzon przyznaje temu, kto pod Grunwaldem zarządził zmianę frontu wojsk polskich w chwili ataku w. mistrza, „bo trudno przypuścić, aby samo rycerstwo polskie uszykowało się w krótkim czasie samorzutnie, bez komendy"[16]). Korzon uważa, że jest możliwe, iż komenda pochodziła od Jagiełły, który „władzy się nie zrzekał, i owszem używał jej przy zarządzeniu pościgu" etc. Wynikałaby z tego sprzeczność, albo że dowodzili i Witold i król, albo, że palmę zwycięstwa należy oddać Jagielle. Jest to wyraźnie niejasne, natomiast jasne jest, że Korzon nie mógł się zdecydować na czyją korzyść przechylić szalę dowództwa.

Halecki, rozpatrując rolę Jagiełły, Zyndrama i Witolda pod Grunwaldem, dochodzi do wniosku, że źródła nie przemawiają ani za wodzostwem Jagiełły, ani za wodzostwem Zyndrama i dlatego: „Dotychczasowe pojęcie o dowództwie naczelnym Witolda nie jest tedy obalone"[17]). Wreszcie historyk wojskowości, Kukiel, sądzi, że plan wyprawy Jagiełło i Witold ułożyli wspólnie. „Nie wiemy — zaznacza — czy rozstrzygnięto sprawę dowództwa w kierunku jego jednolitości"[18]) i dalej: „Dowództwo było niewątpliwie w ręku króla Władysława, ale wodzem rzeczywistym mógł być Witold — tak wygląda według Długosza i nominacji Witolda na przewodniczą-

[14]) Korzon Tadeusz: „Dzieje wojen i wojskowości w Polsce" Kraków 1912, t. I. s. 277.

[15]) ibidem s. 278. [16]) ibidem s. 282.

[17]) Halecki Oskar: „Władysław Jagiełło". Historia polityczna Polski, cz. I. Wieki średnie. Encyklopedia Polski PAU Kraków 1920, s. 476, przypisek.

[18]) Kukiel Marian: „Zarys historii wojskowości w Polsce" wyd. III. Kraków 1929, s. 20.

cego rady wojennej„.[19]) Trudno nie zauważyć, że sąd Kukiela jest mało zdecydowany i nie przesądza o ostatecznym stanowisku autora.

Z przedstawienia powyższych opinii wynika, że z wyjątkiem Kukiela żaden z historyków nie przedkłada żadnych istotnych argumentów, które świadczyłyby o wodzostwie Witolda. Halecki zaś, jako argument, wysuwa, iż ponieważ nie był wodzem ani Jagiełło, ani Zyndram — to musiał być Witold.

Źródła, na których opierają się wyliczeni historycy, a więc przede wszystkim Cronica conflictus i Długosz, nie upoważniają bynajmniej do stwierdzenia, że dowództwo sprawował Witold. Cronica wspomina o udziale Witolda w pochodzie i w boju, ale nie wspomina nawet o powołaniu go do rady wojennej, zaś wbrew Długoszowi przypisuje królowi wezwanie Witolda, aby gotów był do bitwy a nie Witoldowi wezwanie króla[20]). Długosz, naszym zdaniem, wcale nie daje do zrozumienia, że Witold został przewodniczącym rady wojennej. Długosz jedynie mówi, że 10 lipca król zwoławszy panów radnych wybrał z pośród nich 8 członków rady wojennej i na pierwszym miejscu wymienia Witolda.[21]) Wymienienie to dla nas nie jest argumentem, ponieważ dla swej godności musiał Witold być wymieniony pierwszy, a poza tym, mimo tej nominacji, dalej wszystkie ważne decyzje wydaje król. Gdyby Witold został wodzem naczelnym, on zdecydowałby czy np., obejść Drwęcę, czy nie, a tymczasem czyni to król; tak samo pod Grunwaldem: chwilę rozpoczęcia bitwy wyznaczył król a nie Witold, który kilkakrotnie prosi króla o danie hasła do boju. Gdyby Witold był naczelnym wodzem, to on przecie wyznaczyłby chwilę rozpoczęcia bitwy. Jedynie jedno

[19]) Kukiel, Marian: „Zarys historii wojskowości w Polsce", wyd. III. Kraków 1929, s. 22.

[20]) „Cronica conflictus" Wladislai regis Poloniae cum cruciferis anno Christi 1410". Scriptores rerum prussicarum III. Lipsk 1866, s. 436: „Statimque rex ad fratrem suum Wytoldum nuntios direxit cum predicto sermone ...": „Sis ad pugnam paratus et iube parari exercitus tuos ..."

[21]) Długosz „Historia" t. 4. Opera omnia XIII. Kraków 1887, s. 23—24: „Advesperascente autem et solis mitigato fervore, convocatis Wladislaus Poloniae Rex primoribus consiliariis, octo tantummodo ex eis eligit ... Nominat et eligit primum fratrem suum Ducem Magnum Lithuaniae Aleksandrum, Cristinum de Ostrow castellanum, Johannem de Tarnow palatinum, Cracovienses, Sandivogium de Ostrorog palatinum Posnaniensem, Nicolaum de Michalov palatinum Sandomiriensem, Nicolaum Praepositum Sancti Floriani, vicecancellarium, Sbigneum de Brzesze Regni Poloniae marsalcum et Petrum Schafranyecz de Pyeskowa Skala succamerarium Cracoviensem"

ze źródeł nie polskich, mianowicie Aeneas Sylvius, widzi Witolda jako wodza „Polaków, Litwinów i Tatarów",[22]) ale jest to źródło wielce bałamutne, które parę stron dalej podaje nam do wierzenia, że król polski, Władysław, był narodowości... tatarskiej![23]) Latopisy litewsko-ruskie, które właśnie mówić by mogły jedynie o Witoldzie, mówią przede wszystkim i na pierwszym miejscu o królu. Późniejsze źródła polskie, jak Kromer, Bielski, czy Gwagnin widzą w Witoldzie jedynie pomocnika Zyndramowego, którego uważają za naczelnego wodza, względnie i Witolda i Zyndrama za dowódców równorzędnych, podporządkowanych królowi.[24]) Wobec tego nasuwa się pytanie: skąd zrodziła się w ogóle wersja o dowództwie Witoldowym? Nie od rzeczy jest zwrócenie uwagi na dwie okoliczności: primo w charakterystyce pośmiertnej Witolda, którą pisał Długosz (a wszak za życia Długosza umierał Witold) nie znajdujemy ani słowa, mimo rozlicznych, innych pochwał, o talencie wodzowskim Kiejstutowicza,[25]) secundo rozejrzenie się w wyprawach wojennych i bitwach kierowanych przez Witolda zmusza do powzięcia wręcz odmiennego poglądu na jego zdolności wojenne, od poglądów wyrażonych przez Szajnochę, Szujskiego czy Bobrzyńskiego, a za nimi powtarzane bezkrytycznie jeszcze i w naszych czasach.

Nie znamy bowiem ani jednej poważniejszej bitwy, czy wyprawy, w której Witold dowodziłby pomyślnie, chyba że miał przy sobie innego, doświadczonego wodza. O ile wojsko Witoldowe odnosiło sukcesy, to napewno: albo Witold miał przy boku obcą pomoc i radę, albo walki nie miały poważniejszego charakteru. Oto chronologiczne zestawienie tych walk będące najlepszym dowodem:

W roku 1382 Witold walczy przeciw Jagielle w czerwcu pod Wilnem i zostaje pobity. W r. 1389 Witold próbuje opanować zbrojnie miasto Wilno, ale plany te udaremnia brat królewski Korybut. W zdradzieckich walkach Krzyżaków i Witolda przeciw Litwie, czy po r. 1382, czy w 1390—91 przeciwnicy Jagiełłowi miewali sukcesy, to prąwda, ale odnosili je Krzyżacy, nie Witold. Po ugodzie ostrowskiej r. 1392 Witold usuwa stry-

[22]) Scr. rer. pruss. IV. Lipsk 1870 r. s. 233. [23]) ibidem s. 239.

[24]) Kromer M. „Kronika" przekł. Błazowskiego W-wa 1767, s. 448, Bielski M. „Kronika" wyd. Turowskiego. Sanok 1856, s. 519, Gwagnin Aleksander „Kronika Sarmacyey Europskiey" . . . przekł. Paszkowskiego R. P. 1611, s. 74.

[25]) Długosz o. c. XIII 415—416.

jecznych braci z ich księstw i nieraz łamie zbrojny opór, ale dokonywa tego za współdziałaniem króla Władysława i przy pomocy zbrojnych posiłków z Polski, oraz przy współdowództwie ze Skirgiełłą. Samo usuwanie książąt nie jest pomysłem Witolda. W grudniu 1392 r. zjechali się Jagiełło, Skirgiełło i Witold w Bełzie i ustalili plan działania. W następstwie tego planu z Witebska usunięto Świdrygiełłę, z Nowogródka i Siewerszczyzny — Korybuta, Fedora Lubartowicza — z Wołynia, a Fedora Koriatowicza z Podola, Włodzimierza Olgierdowicza z Kijowa. Te akcje — głową króla, a rękami Witolda i Skirgiełły przeprowadzane — nie mogą w żadnym razie być uważane za świadectwo wojskowych talentów Witolda, jak i zdobycie Smoleńska w r. 1404, czego dokonało aż czterech książąt, a wśród nich i Witold. Gdy tylko bowiem dowodził sam w r. 1394, broniąc przeprawy Niemna przed inwazją krzyżacką — poniósł porażkę. W latach 1397 i 1398 dokonywa Witold dwu jedynych w życiu pomyślnych, ale niewielkich wypraw na Tatarów w dalekie stepy czarnomorskie.[26]). Są to jednak nie bitwy, a dalekie wypady czy zagony. Bo gdy przychodzi do wielkiej rozprawy z Tatarami, nad Worsklą w r. 1399, Witold daje się ze zdumiewającą łatwowiernością wyprowadzić w pole i ponosi straszliwą klęskę. W r. 1417 w czasie walk Witolda z Tatarami na Podolu ratować go muszą z opresji polskie posiłki Jagiełły. W r. 1426 wyprawia się Witold na rzeczpospolitą Pskowską, majac obok siebie, prócz wojsk litewskich, oddziały pomocnicze polske i tatarskie. Psków zaś jest w wyjątkowo niepomyślnej sytuacji politycznej, całkowicie osamotniony, bez poparcia swych zwyczajnych partnerów tzn. republiki Nowogrodu Wielkiego, Zakonu Inflanckiego, albo w. ks. Moskiewskiego. I w takiej nadzwyczajnie dla Litwy pomyślnej sytuacji: „sukcesy Witoldowe na tej wyprawie były zgoła nieznaczne. Landmistrz inflancki donosił nawet, że książę nie dokonawszy niczego, zmuszony był do odwrotu".[27]) To też na wyprawę w r. 1428, na rzeczpospolitą Nowgorodu W., król — najwyraźniej nie dowierzając siłom, ani talentom wojennym Witolda, przysłał mu nie tylko polskie oddziały, jak i uprzednio, ale i polskich doradców wojskowych: Wincentego z Szamotuł, Kazimierza ks. Mazowieckiego i najważniejszego —Jakóba z Kobylan, późniejszego sprawcę „drugiego Grunwaldu" — zwycięstwa pod Wiłkomierzem 1.IX.1435 r. nad

[26]) Omówiłem je szerzej w pracy pt.: „Sine Wody" W-wa 1935.
[27]) Kolankowski L. o. c. s. 140.

Świdrygiełłą i Zakonem Inflanckim. To też ta wyprawa Witolda z r. 1428 w otoczeniu wodzów polskich i litewskich dała lepsze wyniki od pskowskiej, ale możność zapisania jej na konto sukcesów orężnych Witolda wydaje się nam więcej, niż problematyczna.

Z powyższego zestawienia wynika, że poza drobnymi sukcesami wypadowymi w stepy czarnomorskie, Witold całe życie albo ponosił klęski militarne, o ile sam dowodził, albo zręcznie wykorzystywał zwycięstwa innych. Rzecz jasna, że w kronikach litewsko-ruskich, które powstawały za panowania Witolda i pod jego okiem, każdy sukces czasów Witoldowych z urzędu niejako przypisywano w. księciu. Zrozumiałe jest również, że liczne ludy Europy wschodniej słysząc o powodzeniach państw jagiellońskich musiały przypisywać je przede wszystkim Witoldowi, nie mając wszak możności stwierdzać, czy Witold był inicjatorem pewnych posunięć czy tylko wykonawcą, lub czy był wodzem faktycznym wyprawy, czy tylko nominalnym. Stąd mogła urość jego sława jako wodza. Ale badacze naszych czasów, mając do dyspozycji nie tylko opinię latopisów litewsko-ruskich i zestawiając fakty, winni byli już dawno zorientować się w nieprawdziwości opinii wodzowskiej co do Witolda i odróżnić, że ten wybitny naprawdę administrator i polityk nie koniecznie musiał być utalentowanym strategiem.

W poszukiwaniu skąd wywodzi się w Polsce opinio communis co do wybitności wodzowskiej Witolda, mamy wrażenie, że niesłuszne jest obarczanie winą wyłącznie samych historyków. Masy dotychczas nie czytywały Szujskiego czy Smolki, a wiara fałszywa w zdolności wojskowe Witolda była powszechna już przed wyjściem z druku „Krzyżaków" H. Sienkiewicza, z których mogła się w pewnej mierze umocnić (chociaż Sienkiewicz z godną podziwu intuicją nie przypisuje Witoldowi wodzostwa pod Grunwaldem). Nie będzie, jak się wydaje, błędem przypuszczenie, że szeroki ogół zaczerpnął mylny pogląd z arcydzieł Matejki.

Znane jest powszechnie oddziaływanie wielkich dzieł sztuki na kształtowanie się światopoglądu ogółu. Byłoby więc nawet dziwne, gdyby potężne wizje Matejki nie oddziałały. Jeżeli chodzi o Witolda, to dwa obrazy mistrza Jana najwięcej są znane i oddziaływują po dzień dzisiejszy: rysunek Witolda ze starej pieczęci (w r. 1866). Potężny i posępny Witold siedzący na tronie, w pancerzu, z nagim mieczem na kolanach — analogia do wielkiego wojownika: (Batorego pod

Pskowem), oraz obraz „Bitwy pod Grunwaldem" (w r. 1878) z czerwonym płomieniem szaty Witoldowej na pierwszym planie. Kto nie badał specjalnie dziejów Witolda, a widział choć raz w życiu te dwa arcydzieła matejkowskie, ten musi mimo woli przejąć się bijącą z nich sugestią wodzostwa Witolda i z sugestią tą odejść w życie. A jeśli sugestii tej poddał się ktoś młody, przyszły historyk, to później z głębokim przeświadczeniem, choć bez uzasadnienia, mógł pisać o wybitnych talentach wojennych Kiejstutowicza.

Pora wszakże wyjaśnić dwie rzeczy. Po pierwsze: nagi miecz na kolanach Witolda nie oznacza na starej pieczęci wojowniczości w. księcia, ani w ogóle nie jest symbolem wojennym. Pieczęć ta jest tzw. pieczęcią majestatyczną i ma wyobrażać władzę monarszą Witolda. Miecz w ręku monarchy może być uważany wyłącznie za symbol jednego z atrybutów jego władzy: prawa kary śmierci nad winnymi. Cesarzy i królów na pieczęciach rysowano zazwyczaj z berłem i jabłkiem królewskim w ręku. Panujących książąt raczej z tarczą i mieczem, lub z tarczą i włócznią. Trafiają się co prawda, pieczęcie cesarskie i królewskie z mieczami w ręku, ale miecz w ręku władcy na cesarskich pieczęciach sądowych (iudicium curiae) Wacława Luksemburczyka, Zygmunta Luksemburczyka (XV w.) i Fryderyka III (XV w.), ale już sam charakter pieczęci wskazuje na znaczenie nie wojenne w niej miecza. Niekiedy widzimy miecz na pieczęciach pomazańców w późniejszych wiekach: ces. Karola V (XVI w.) i ces. Ferdynanda III (XVII w.) ale najczęściej miecz związany jest z godnością książęcą. Miecz w ręku postaci napieczętnych jest bardzo pospolitym składowym elementem wyobrażeniowym szczególnie w typach pieczęci pieszej i konnej. Sfragistyka książąt polskich dzielnicowych dostarcza licznych tego przykładów: Konrad I Mazowiecki — pieczęć piesza z r. 1228, Przemysław Wielkopolski — piecz. konna z r. 1248, Kaźko Szczeciński — pieczęć piesza z roku 1377.[28]) Prócz wymienionych dowo-

[28]) Wymienione dotychczas pieczęcie znajdują się w oryginałach lub w odlewach z oryginałów w Muzeum Państwowym we Wrocławiu i możność korzystania z ich wyglądu zawdzięczam uprzejmości p. dr. M. Haisiga, któremu w tym miejscu składam podziękowanie. Dr. M. Haisig był tak uprzejmy, iż nawet dostarczył mi na piśmie napisów z pieczęci: Fryderyka II (z lat 1235—50), postać na tronie z mieczem i wyrazy: „Diligite iustitiam qui iudicatis terram", oraz Wacława IV Luksemburczyka (z lat przed r. 1400) z wyrazami: „S. Pacis per Dnm Wenzeslaum Romanorum et Bohemie Regem Ordinate (?)" A więc, mimo mieczów, obydwie wyraźnie sądowe.

dem być mogą: pieczęć Ziemowita księcia Mazowieckiego i Wizneńskiego z r. 1343 trzymającego w jednej ręce dzidę, w drugiej miecz i tarczę[29]) i Przemysława ks. Kujawskiego i bydgoskiego z r. 1307 z mieczem i tarczą[30]). Włócznie i tarcze trzymają: Ziemowit ks. Mazowiecki i Czerski z lat 1249—50[31]), Trojden ks. Mazowiecki na Czersku i Sochaczewie z lat 1313—41.[32])

Pieczęć majestatyczna książęca jest rzadsza, ale się zdarza i wówczas właśnie berło i jabłko królów zastępuje tu tarcza i miecz, jako atrybuty władzy, chociażby dany książę był najdalszy od typu wojownika. Typowymi przykładami takich pieczęci są np.: pieczęć Władysława Hermana (XI w.) z mieczem na kolanach i obydwoma rękoma opartymi na mieczu[33]) (a wiemy, że Wł. Herman był księciem niedołężnym i nie miał ambicyj wodzowskich), oraz pieczęć majestatyczna Władysława ks. opolskiego (i wielkorządcy Rusi z ramienia Ludwika Węgierskiego) z r. 1373, również na tronie z mieczem,[34]) chociaż Opolczyk nie był postacią wybitną, ani wodzem.

Po drugie: zachodził niewątpliwie wzajemny wpływ krakowskiej szkoły historycznej na Matejkę i Matejki na środowisko historyków krakowskich. W r. 1938, we Lwowie, w związku z jubileuszem Matejki, Aleksandra Majerska miała wykład pt.: „Ideje historiozoficzne Matejki w związku z historyczną szkołą krakowską", w którym zwróciła uwagę na bliskie kontakty mistrza Jana z Szujskim i Stańczykami[35]). Ci wszyscy odnosili się chętniej do Witolda, niż do Jagiełły i dowodem tego są obrazy Matejki, a zwłaszcza „Grunwald". Czyż w układzie obrazu i ustawieniu Witolda nie wyczuwa się niejako, iż koncepcja artystyczna Matejki jest jedynie transpozycją określenia Szujskiego w jego opisie Grunwaldu: „Głównym materialnej walki bohaterem jest Witold, ów wielki geniusz litewski"? Ale, jak mówiliśmy wpływ był wzajemny. Uczniowie wielkich historyków i szerokie masy czerpały znowu sugestie z obrazu Matejki. Dowodem tego wpływu jest

[29]) M. Gumowski: Pieczęcie książąt piastowskich w dziele „Polska, jej dzieje i kultura", t. I. Tablica pięczęci. (Z oryg. w muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie.)

[30]) ibidem. [31]) ibidem. [32]) ibidem.

[33]) „Polska, jej dzieje i kultura" t. 1. str. 85.

[34]) Piekosiński: „Pieczęcie polskie wieków średnich" Kraków 1899 s. 261 fig. 314.

[35]) O wykładzie tym poinformowal mnie łaskawie p. prof. dr. Władysław Podlacha, któremu w tym miejscu pozwalam sobie złożyć serdeczne podziękowanie.

uwaga znakomitego historyka, Smolki, który w swych „Szkicach historycznych", wydanych w cztery lata po namalowaniu przez Matejkę „Bitwy pod Grunwaldem" pisze wprost o bohaterze „w środku obrazu Matejki"[36]), który to bohater „W zwycięstwie grunwaldzkim główną zdobył sobie zasługę"![37]) Od czasów Smolki nie jeden pisarz i człowiek ulegał sugestiom pięknych słów i wspaniałych obrazów!

Ale sugestii tej nie ulegał ani Jagiełło, który znał Witolda od lat najmłodszych, ani panowie polscy, którzy pamiętali dobrze straszliwą klęskę Witolda nad Worsklą. Stąd wydaje się nam wykluczone, aby właśnie jemu powierzono naczelne dowództwo w bitwie, która miała stanowić o losach narodu i państwa. Fakt powołania Witolda do rady wojennej jest dwojako zrozumiały: primo jako jedynego przedstawiciela sił litewskich w tej radzie, secundo — jako posunięcie polityczne. Przecież nie można było Witolda nie zaprosić nie narażając się na jego obrazę, a przez to na daleko, może, nawet sięgające komplikacje, które wobec nadchodzącego spotkania z Krzyżakami musiały być dla strony polskiej ze wszech miar nie pożądane. Przecież parę miesięcy przed dniem Grunwałdu kusił jeszcze Witolda koroną królewską przyjaciel krzyżacki, Zygmunt Luksemburczyk![38])

Nie wiemy na czym oparł swoje przypuszczenia Korzon pisząc, że Jagiełło stworzył radę wojenną „pod prezydencją Witolda, który tym sposobem wyszedł na wodza naczelnego".[39]) Długosz wyraźnie nie mówi o prezydencji. Że zaś z 8 członków rady na pierwszym miejscu wymienia Witolda, nie oznacza to koniecznie „nominacji jego na przewodniczącego rady wojennej", jak chce Kukiel, a jedynie zrozumiały szacunek kronikarza dla Witolda, ze względu na jego w. książęce stanowisko. Przecież Witold był stryjecznym bratem króla i niemal udzielnym władcą Litwy. Trudno więc go było pisać inaczej, jak na pierwszym miejscu wobec 7 innych doradców, możnych panów, ale nawet nie roszczących sobie prawa do stawania w paragon z potężnym kuzynem królewskim.

Słusznie więc Dąbrowski nadmienił w cytowanym artykule, że „o dowództwie Witolda nie może być mowy. Z całego przebiegu bitwy wynika, że dowodził on jedynie wojskiem litewskim, że po zniknięciu tego wojska z pola bitwy... nie miał

[36]) Smolka o. c. s. 35. [37]) ibidem s. 34.
[38]) Długosz o. c. XIII s. 6—7.
[39]) Korzon o. c. t. I. s. 277. [40]) Kukiel o. c. s. 22.

czym dowodzić".[41]) Słusznie więc Halecki, wbrew własnemu zdaniu cytowanemu poprzednio, stwierdza, „że i pod względem strategicznym nie wolno przeceniać zasług Witolda w pamiętnej bitwie", bo „dowództwo sprawował tylko nad Litwinami"[42]), ale, o ile godzimy się z wymienionymi uczonymi, co do odrzucenia koncepcji naczelnego dowództwa Witolda, o tyle wcale nie uważamy za dowiedzione, iż dowództwo Witolda wojskami litewskimi było nie tylko nominalne. Nominalnym wodzem był napewno, ale czy faktycznym? Wiele przemawia za tym, chociażby fakt szybkiego rozproszenia wojsk litewsko-ruskich przez Krzyżaków, ale całkiem pewne nie jest. Wszak Tatarami dowodził chan Dżelal-Eddin, a jako dowódców litewskich wymienia źródło litewsko-ruskie kniazia Iwana Żedewida i Jana Gasztołda[43]). Inne Moniwida[44]). Mogli oni wszyscy być jedynie dowódcami poszczególnych chorągwi, jak Lingwen pułków smoleńskich, ale rzecz wymaga zbadania. Jako nie należącą bezpośrednio do naszego tematu odkładamy jej rozpatrzenie do innej sposobności. W tym miejscu wysnuwamy jedynie pierwszy wniosek: Witold nie był wodzem naczelnym Grunwaldu.

3.

Zakończywszy sprawy Witolda przechodzimy do drugiego z kolei kandydata na stanowisko naczelnego wodza, Zyndrama z Maszkowic.

Zyndram uznawany jest jako naczelny wódz Grunwaldu zasadniczo tylko przez W. Semkowicza i J. Dąbrowskiego. Nieco mętnie pisał o tej sprawie Szujski, wyraźniej zaś piszą o nim kronikarze: Długosz, Kromer, Bielski.

Zacznijmy od Długosza. „Ponieważ zaś wszyscy Czesi i Morawcy uważani za najbieglejszych w wojowania sztuce, wymawiali się od steru i zwierzchnictwa nad wojskami królewskimi i książęcymi i żaden urzędu wodza przyjąć nie chciał ... zlecono zatem rząd i dowództwo Zyndramowi z Maszkowic... mężowi wprawdzie małej postawy, ale wielkiego serca i znacznej w sprawach obrotności".[45]) To zarządzenie królewskie z dn.

[41]) Dąbrowski o. c. s. 1.
[42]) Halecki O.: „Dzieje unii jagiellońskiej" t. 1, Kraków 1919, s. 193.
[43]) Połn. Sobr. Russkich Letop. t. XVII. Ptbg. 1907. Lat. Bychowca s. 522.
[44]) Codex epistolaris Vitoldi. Monumenta medii aevi. t. VI. Kraków 1882. Nr 444.
[45]) Długosz o. c. XIII s. 22 „cura et ordinatio", tekst polski według K. Mecherzyńskiego

9 lipca 1410 r., wydane już na ziemi nieprzyjacielskiej, wraz ze wzmianką o ustawianiu szyków przed samą bitwą grunwaldzką, uznane zostało przez niektórych kronikarzy za nominację na naczelngo wodza. Kromer pisze, iż Zyndrama mianowano na wodza (naczelnego), a Witolda i innych dano mu do pomocy[46]). Podobnie Bielski, który uważa, iż dowództwo „wszystkiego wojska" oddano Zyndramowi, a ku pomocy dano mu Witolda, Krystyna z Ostrowa, Zbigniewa z Brzezia i in. panów rady wojennej[47]). Rozpatrując teksty Kromera i Bielskiego bez wysiłku daje się ustalić, że są kombinacją 3 miejsc Długosza: nominacji Zyndrama przez króla w dn. 9 lipca, opisu ustawiania wojsk przez Zyndrama w dniu 15 lipca i wyliczenia składu rady wojennej. Własną kombinacją następców Długoszowych było stwierdzenie, że skoro Zyndram był naczelnym wodzem, a istniała rada wojenna, to przecież musiała być ku pomocy naczelnego wodza. Być może grała tu rolę i ambicja narodowa, żeby zwycięzcą był Polak, a nie Litwin, a książę litewski najwyżej zwycięzcy pomocnikiem. A przecież jawnym nonsensem było, aby pyszny i potężny Witold, któremu przy różnych okazjach pochlebiali, jak mogli, w mistrzowie krzyżaccy i sam cesarz Zygmunt Luksemburski, Witold, którego niemal lennikiem był chan Złotej Ordy, aby ten władca mógł być pomocnikiem Zyndramowym na równi z byle rycerzem małopolskim. Ale nawet, gdyby skreślić Witolda z listy tych „pomocników", to i żaden z pozostałych panów rady wojennej nie zgodziłby się zostać podwładnym Zyndramowym bez jakiejś szczególnej przyczyny. Przecież byli to pierwsi dygnitarze królestwa: Krystyn z Ostrowa, kasztelan krakowski, Jan z Tarnowa, wojewoda krakowski, Sędziwój z Ostroroga, wojewoda poznański, Mikołaj z Michałowa wojewoda sandomierski, Mikołaj Trąba, proboszcz św. Floriana i podkanclerzy, Zbigniew z Brzezia, marszalek królestwa i Piotr Szafraniec z Pieskowej Skały, podkomorzy krakowski. Aby oni mogli zostać podwładnymi Zyndrama i uznać go za swego wodza musiałby ten ostatni albo sam zostać możnowładcą i panem z rady królewskiej, albo być słynnym na całą Europę wojownikiem. Sama „obrotność" i „wielkie serce" rycerskie nie wystarczały. Wszak sławniejsi od Zyndrama rycerze na czele z Zawiszą Czarnym, z Garbowa, Sulimczykiem, byli na

[46]) Kromer o. c. s. 448. [47]) Bielski o. c. s. 519.

grunwaldzkim polu, a nie zwrócono się do nich, aby objęli naczelne dowództwo. Kim że był wobec nich Zyndram z Maszkowic?

Odpowiedź na to pytanie daje sumienna praca W. Semkowicza,[48]) w której zostało ustalone pochodzenie Zyndrama i podane wszystkie wzmianki źródłowe o nim od dn. 2.VI.1388 r. do dn. 5.VI.1414, czyli do pierwszej znanej wiadomości o wdowie po nim, z czego wnioskujemy, że Zyndram zmarł przed tą datą. Z studium Semkowicza wynika, że Zyndram z Maszkowic był prawdopodobnie potomkiem mieszczańskiej rodziny sołtysów sądeckich, wywodzących się ze Śląska. Był więc pochodzenia śląskiego, ale chudopachołkiem. Przed potrzebą grunwaldzką, w lutym 1390 r. Zyndram uczestniczył w wyprawie Jagiełły przeciw Witołdowi i Krzyżakom. W wyprawie tej stawał mężnie i otrzymał dowództwo zdobytego zamku, Kamieńca Litewskiego. Na wojnie przebywał kilka lat. W r. 1401—1402 źródła wspominają Zyndrama jako „oprawcę krakowskiego" — justycjariusza. W r. 1404 występuje jako miecznik krakowski. W r. 1405 jako dziedzic „de Jassel" — jasielski. W r. 1407 jako dziedzic i starosta tejże miejscowości. W następnym roku musiał być przeniesiony, gdyż źródła mówią o nim, jako o staroście goleskim (capitaneus Golesiensis). W r. 1410 Zyndram z Maszkowic, miecznik krakowski wspomniany jest pośród asesorów na rokach królewskich w Wiślicy. I naraz, podczas marszu na nieprzyjaciela, otrzymuje, według Semkowicza „officium principis militiae".[49])

Mało prawdopodobnie brzmi, aby nad całą armią polską, albo i nad obydwoma otrzymał władzę rycerz chudopacholskiego pochodzenia, z sołtysów, człowiek skromnej zamożności, który prócz jednej wyprawy przeciw krzyżakom i dowództwa w jednym gródku niewielkim, nie miał żadnych sławnych czynów za sobą, ani tytułów, ani bogactw. Również wręcz nieprawdopodobnie brzmi, aby król, o którym nawet niechętny mu Długosz pisze, że „w ludziach umiał dostrzegać cnoty i nie zawiścią, ale przychylnością mierząc czyny i za-

[48]) Semkowicz Władysław: „Zyndram z Maszkowic." Przegl. Hist. XI. s. 261—287.

[49]) Właściwie Długosz nie pisze o „officium principis militiae" w odniesieniu do Zydrama, tylko w mowie o Czechach i Morawianach. (Opera XIII s. 22). O Zyndramie tego nie powtarza.

sługi swego rycerstwa, każdą sprawę chwalebną, czy to w wojnie, czy w pokoju spełnioną, hojnie i wspaniale nagradzał"[50]), aby król Zyndramowi, o ile był naczelnym wodzem Grunwaldu, niczym się nie wywdzięczył. A jednak wśród wszystkich zasłużonych rycerzy, których król hojnie nagradza, nie ma Zyndrama! Argument zaś, iż może Zyndram nagrodę uzyskał, tylko wiadomość o tym do nas nie doszła, odpada, bowiem posiadamy dokumenty z roku 1411, w którym Zyndram z żoną Anną zaciągają pożyczkę 76 grzywien pod zastaw młynów i dochodów, oraz wzmiankę z r. 1412, w którym Zyndram przedkłada sfałszowany dokument. Otóż, pomijając wszelkie inne strony zagadnienia, możemy na podstawie powyższego stwierdzić, że chyba Zyndram znajdował się w ciężkiej sytuacji materialnej po wyprawie wojennej, skoro musiał zaciągnąć pożyczkę i przedkładać nieprawdziwy dokument. Gdyby zaś był nagrodzony przez króla — chybaby pożyczki w niespełna rok po Grunwaldzie szukać nie musiał.

Sam prof. Semkowicz, zwolennik tezy o naczelnym dowództwie Zyndrama, wyraża zdziwienie z tego powodu: „Rzecz szczególna — pisze Semkowicz — że nagrody żadnej nie otrzymał, ani w postaci wyższego urzędu, ani w wydatniejszym nadaniu, którego byłby się dochowały jakieś ślady. Jak sobie to tłumaczyć, nie wiemy, bo król umiał hojnie nagradzać zasługi wojenne"[51]).

Zdaniem naszym wytłumaczenie jest niezmiernie proste: za co wynagradzać szczególnie Zyndrama, ponieważ ten ostatni dowództwa nie sprawował.

Argumenty na poparcie naszego twierdzenia są następujące: 1) na owe czasy Zyndram był zbyt małego rodu i fortuny, aby mógł zostać wodzem nad książętami i możnowładcami, zwłaszcza, że 2) Zyndram nie był sławnym wojownikiem, lecz miał bardzo skromną przeszłość bojową — jedną wyprawę wojenną i dowództwo jednego zameczku na Litwie, 3) Zyndram nie dostał po Grunwaldzie żadnej znaczniejszej nagrody, ani urzędu, 4) nie powierzono mu po Grunwaldzie żadnego innego dowództwa, czegoby należało dla zwycięskiego wodza oczekiwać, gdyby nim był, podczas gdy inni, i to właśnie

50) Długosz o. c. XIII, 534: „Virtutis cuiusque spectator egregius, non invidia, sed favore suorum militum, opera quaelibet pensitans, et uniuscuiusque facinus egregium, sive bello gestum sive domi, largitione prosequens et remunerans singulari." Tekst polski według Mecherzyńskiego.

51) Semkowicz W. o. c. s. 282.

członkowie rady wojennej, dowództwa takie otrzymywali np. Piotr Szafraniec, podkomorzy krakowski, i Sędziwój z Ostroroga, woj. poznański, 5) żadne inne źródło, prócz Długosza nie wzmiankuje o Zyndramie. Trudne jest do przyjęcia, aby Krzyżacy ani jednym słowem, chociażby nienawiści, nie wspomnieli swego pogromcy — gdyby nim był istotnie. Nie zna Zyndrama i źródło Długoszowe — Cronica conflictus, 6) nieprawdopodobne jest, aby wódz naczelny nie przewodniczył, albo conajmniej nie brał czynnego udziału w radzie wojennej, oraz aby nie był wymieniony w jej składzie. Tymczasem Długosz, który podaje imiona członków rady i dwukrotnie określa, że było ich ośmiu,[52]) nie znajduje miejsca na Zyndrama. A właśnie, ze względu na wymienienie Witolda na pierwszym miejscu w radzie wojennej, uważali Korzon i Kukiel, iż jest Witold wodzem naczelnym. Również w poczuciu absurdalności faktu iż wódz naczelny mógłby nie wchodzić w skład rady wojennej, Szujski uzupełnia źródła własną wyobraźnią, tzn. podaje nam do wierzenia rzeczy, o których źródła milczą, a mianowicie o tajnej radzie wojennej, do której m. in. wchodził Witold i Zyndram z Maszkowic.[53]) Z tego samego poczucia, zapewne, wypływa uwaga W. Semkowicza ostrożniej sformułowana, iż Zyndram: „prawdopodobnie wchodził do rady, jakkolwiek Długosz nie wymienia go w rzędzie ośmiu jej uczestników"[54]).

Szukając podobnej sytuacji, gdzie obok dowodzącego króla występowałby faktyczny wódz armii polskiej, w wyprawie nie mniejszej od grunwaldzkiej, możemy dopatrzyć się dużej analogii w wyprawie czarnomorskiej Jana Olbrachta z r. 1497. Coprawda, wiele rzeczy już się od czasów Jagiełłowych zmieniło, ale rozpiętość czasowa między wyprawami nie była jeszcze tak wielka, a jeśli chodzi o wysiłek wojenny, to nie był na pewno mniejszy, niż w wielkiej wojnie 1409—1411 r. Otóż w wyprawie tej występuje „Jako wódz naczelny już we Lwowie, później w Złotnikach, a także w Szypienicach Jan Trnka z Raciborzan", który na naradzie w Kocmaniu „uważał, że należy naprzód zdobyć Chocim... Król się nie zgodził z tą radą"[55]). Wódz Olbrachta, Jan Trnka, ma podobne stanowisko do tego, jakie miałby Zyndram przy królu, gdyby go istotnie posiadał. Oto chociaż Trnka jest wodzem, naczelne zdanie jest przy królu. Ale jednak źródła nietylko wymieniają Trnkę, jako

[52]) Długosz, Opera XIII s. 23 i 24.
[53]) Szujski o. c. s. 49. [54]) Semkowicz o. c. s. 273.
[55]) Papée Fryderyk: „Jan Olbracht", Kraków 1936, s. 138 i 143—44.

wodza, lecz także notują jego uczestnictwo na radzie wojennej, jego projekty i podają, w następnych latach ponowny udział Trnki, jako wodza królewskiego, w odpieraniu Turków[56]). Stąd możemy ufać, że istotnie JanTrnka pełnił funkcje wodzowskie przy królu. O Zyndramie takich wzmianek nie posiadamy. Stąd, na podstawie tego milczenia i uprzednich argumentów, wysnuwamy drugi wniosek: Zyndram z Maszkowic nie był wodzem naczelnym w bitwie pod Grunwaldem.

Argument Dąbrowskiego co do wodzostwa Zyndrama mają nieco innych charakter. Dąbrowski milcząco zakłada, że wodzem Grunwaldu mógł być tylko albo król, albo Witold, albo Zyndram. Ponieważ dowództwo Witolda Dąbrowski uważa za wykluczone, a przeciw królowi wytacza szereg argumentów (które rozpatrzymy niżej), zdaniem Dąbrowskiego wystarczających całkowicie, aby wykazać niemożliwość dowodzenia przez Jagiełłę, wobec tego przyjmuje tezę, że wodzem bitwy „był Zyndram prowadzący główną masę uderzeniową polską". Zdaniem bowiem Dąbrowskiego „W bitwach rycerskich naczelny wódz nie może się znajdować zdala od pola bitwy"[57]). Argument mocny, ale nie decydujący. Primo, że Jagiełło znajdował się przy samym polu bitwy, a chwilami nawet na samym polu bitwy, secundo, że przy swoich bystrych uwagach Dąbrowski nie wziął w rachubę jeszcze jednego czynnika, o którym będzie mowa za chwilę.

Skoro jednak nie godzimy się z tezą prof. Dąbrowskiego, obowiązkiem naszym jest oznaczyć rolę, jaką w naszym przekonaniu spełniał Zyndram z Maszkowic.

Jeszcze w r. 1903 Stanisław Kutrzeba wypowiedział się stanowczo przeciw uważaniu Zyndrama za naczelnego wodza, którego cechą (Kutrzeba zwie go hetmanem) „jest samoistne dowództwo... A tego Zyndram nie miał, gdyż tylko z ramienia króla rozstawiał wojska".[58]) Po Kutrzebie Otton Laskowski analizując przebieg wyprawy grunwaldzkiej zwracał uwagę, że król w miarę rozwoju wypadków i coraz nowych potrzeb związanych z kierownictwem armii tworzy poszczególne organy dowództwa, któremu przekazuje stopniowo części swej władzy, ale nie rezygnując z praw naczelnego wodza i czynnika

[56]) Papée Fryderyk: „Jan Olbracht", Kraków 1936, s. 165.
[57]) Dąbrowski J. o. c. s. 1.
[58]) Kutrzeba Stanisław: „Urzędy koronne i nadworne w Polsce" Lwów 1903, s. 83.

rozstrzygającego. Mianowanie Zyndrama w dn. 9 lipca miało dla króla stworzyć: „Odciążenie od czynności związanych z regulowaniem szczegółów życia wewnętrznego wojska"[59]). Król polecił Zyndramowi troszczyć się i zarządzać porządkiem. Laskowski uważa, iż była to funkcja „wybitnie dyscyplinarno-administracyjna, z właściwym sprawowaniem dowództwa mającą nader mało wspólnego".[60]) Zaś przed bitwą, sądzi Laskowski, „Zyndram ustawiał wojsko tylko z ramienia królewskiego i niewątpliwie według jego wskazówek". Zaś „powierzenie jednemu z dowódców chorągwi szykowania oddziałów do boju, według wskazówek wodza, nie było bynajmniej wyjątkiem: w wojsku krzyżackim, o ile obecny był w nim W. Mistrz... funkcje te pełnił W. Marszałek; w wojsku francuskim obowiązek ten powierzano jednemu z dowódców oddziałów... i nosił on tytuł: maréchal de bataille lub sergent de bataille; była to funkcja tymczasowa. Laskowski dochodzi wreszcie do wniosku, że funkcje Zyndrama najbliżej odpowiadały funkcji sergent de bataille.[61])

K. Piotrowicz, recenzujący książkę Laskowskiego, dość krytycznie odnosi się do ostatecznego wywodu jej autora, ale zgadza się, iż Zyndram dowodził polskimi siłami pod rozkazami króla. Prof. L. Kolankowski uważa, iż Zyndram pełnił jedynie rolę obożnego, pilnował przygotowań do bitwy „wdziewania ciężkiej zbroi, gromadzenia się oddziałów i ustawiania we właściwych szeregach"[62]). Z wszystkich wymienionych dotychczas określeń najbliższe rzeczywistości wydaje się nam określenie Kolankowskiego.

Wszelako z walną pomocą w polemice z Semkowiczem i Dąbrowskim przyszedł nam... prof. Semkowicz. W bardzo pięknie rozpatrzonej „Nieznanej zapisce o bitwie pod Koronowem"[63]) znalazł Semkowicz następujące zdanie, że Stanisław z Charbimowic opuścił Koronowo „non causa timoris alicuius ipse recessit de predicto loco, sed per rectores illius vexilli alias przes hetmani fuerat destinatus". Prof. Semkowicz słusznie podkreśla wagę pozyskanej nomenklatury. „Mamy więc dowód — pisze — że dowódcy chorągwi w w. wojnie, ci, których Długosz zwie ductores vexilli, czyli jak nasza zapiska zwie „rectores vexilli" nosili wówczas miano hetmanów. Ta-

[59]) Laskowski O. o. c. s. 61 [60]) ibidem s. 65 [61]) ibidem s. 66.
[62]) Kolankowski L. o. c. s. 100.
[63]) Semkowicz Władysław: „Nieznana zapiska o bitwie pod Koronowem." Kwart. Hist. 1910 r. s. 528—531.

kim właśnie hetmanem był także Zyndram z Maszkowic, jako ductor chorągwi ziemskiej krakowskiej. Zapiska z r. 1429 wspomina jednak nie o jednym hetmanie chorągwi, ale o hetmanach (w liczbie mnogiej). Zgodne to jest z tym, co mówi Długosz o naczelnictwie niektórych chorągwi pod Grunwaldem. Tak np. chorągiew nadworna tzw. „cubicula[r]iorum" miala 2 hetmanów: Andrzeja Ciołka z Żelechowa i Jana Odrowąża ze Sprowy" i, za Długoszem, Semkowicz wymienia szereg podwójnych hetmanów chorągwi polskich w epoce Grunwaldu. Zapiska omówiona przez Semkowicza wyjaśnia nam w dużej mierze skąd źródła litewsko-ruskie nazywają (być może za jakim źródłem czeskim) Czecha Sokoła hetmanem w wojsku Jagiełłowym, a kroniki polskie XVI w. widzą wodza-hetmana w Zyndramie: właśnie w tytule hetmańskim, jaki nosili dowódcy chorągwi za czasów Jagiełły, a który to tytuł w nowym, marszałkowskim, rozumieniu przyjmowano już w wiekach późniejszych.

Ustalamy zatem: Zyndram z Maszkowic był jednym z dowódców chorągwi i to czołowej, krakowskiej, i zapewne dlatego, jako bliżej stojący króla, został przez króla obdarzony funkcją zbliżoną do funkcji obożnego. Masy uderzeniowej całego wojska polskiego nie prowadził zatem jako wódz naczelny, lecz jedynie dlatego, że dowodząc chorągwią krakowską szedł wraz z nią na czele polskiego rycerstwa. Gdyby dowodził inną chorągwią, to sądzimy, że przy tych samych funkcjach szedłby wraz ze swą chorągwią z tyłu, za krakowską. O jego też roli po rozpoczęciu walki Długosz już milczy, co chyba byłoby wykluczone, gdyby Zyndram oprócz swej chorągwi zajmował się podczas bitwy całością wojsk polskich i litewskich, lub tylko nawet polskich.

4.

Zanim przejdziemy do rozważań co do możliwości naczelnego wodzostwa Jagiełły, spróbujmy zastanowić się: czy w cieniu wielkich postaci monarszych nie kryje się czasami, nieznany dotychczas, f a k t y c z n y dowódca z pod Grunwaldu?

Zacznijmy ponownie od Długosza. Uważniejsze wczytanie się w tekst jego „Historii" pozwoli nam odrazu stwierdzić, że znana rada wojenna, o której powstaniu pisze Długosz pod datą 10 lipca 1410 r., miała już swoje poprzedniczki: pierwszą w grudniu 1409 r. w Brześciu, drugą w Krakowie wiosną 1410 r.

Na pierwszej, brzeskiej, w której udział brali: król, Witold

i ks. podkanclerzy Mikołaj Trąba, a może i jeszcze jedna osoba, o której za chwilę wspomnimy, ustalono plan kampanii letniej 1410 r. w sposób, budzący podziw historyków i wojskowych współczesnych, zarówno polskich, jak i obcych. Na drugiej krakowskiej, król radził z panami nad sprawą organizacji wojska i dowództwa. Jan z Tarnowa, woj. krakowski, zalecał wzięcie na żołd polskich ochotników (poza pospolitym ruszeniem), ale przeważyła opinia doświadczonego w bojach Zbigniewa z Brzezia, marszałka królestwa, iż lepszym najemnikiem jest cudzoziemiec[64]). To też król postanowił zaciągnąć obcych najemników, przede wszystkim zaciężnych z Czech i Moraw, „którzy umieli szańcować obozy, prowadzić hufce i stosowne dla wojska obierać stanowiska"[65]). Między tymi zaciężnymi z Czech i Moraw, jako najwybitniejszych, wymienia Długosz: Sokoła, Żóławę, Zbisława, Kostkę, Stanisławka i in., a po Grunwaldzie także sławnego później husytę, Żyżkę[66]).

Wreszcie na trzeciej, znanej nam radzie — radzie wojennej s e n s u s t r i c t o, — mamy wymienionych: Witolda, Krystyna z Ostrowa, Jana z Tarnowa, Sędziwoja z Ostroroga, Mikołaja z Michałowa, Mikołaja Trąbę, Zbigniewa z Brzezia i Piotra Szafrańca z Pieskowej Skały.

Zdaniem naszym, wśród tych osób, wymienionych na radach wojennych przez najobszerniejsze znane nam źródło dotyczące boju grunwaldzkiego, jakim jest Długosz, musi znajdować się faktyczny wódz Grunwaldu. Omówmy więc je kolejno. Najpierw obcych.

Wśród najemników czeskich i morawskich szukać miał król 9 lipca wodza połączonych wojsk polsko-litewskich, a dopiero, gdy żaden z najemników urzędu wodza przyjąć nie chciał, Jagiełło mianował tym „wodzem" — Zyndrama z Maszkowic. Zarówno to, co wyżej było powiedziane o Zyndramie, jak i

[64]) D ł u g o s z, Opera, XIII s. 9.

[65]) D ł u g o s z, Opera, XIII s. 22 „qui exercitum regere, ordines ducere, loca apta pro locando exercitu eligere nosse credebatur" To „regere", niewątpliwie, ponosi dużą część odpowiedzialności za obarczanie Zyndrama godnością naczelnego wodza przez dawniejszych historyków. Tymczasem w edycji lipskiej Długosza, zamiast „r e g e r e" jest „t e g e r e", co zmienia sens i znaczenie stanowiska tego, który ma „exercitum tegere", czyli „chronić", „ochraniać". Podobne zwroty spotykamy u Cezara: „aliquem tegere", u Sallustiusza: „aliquem armis tegere" i u Cycerona:: „patriam tegere". (K. E. v o n G e o r g e s, Kleines Lateinisch Deutsches Handwörterbuch, VI wyd., Lipsk r. 1890 str. 2503—2504.)

[66]) D ł u g o s z, Opera XIII s. 92: „Et inter alios Zyska, Bohemus, processu temporis famosus exercituum in Bohemia ductor."

ostatnio zacytowany wyjątek z Długosza, wskazuje o jakiego rodzaju wodza tu chodziło: o umiejącego zabezpieczać obóz, prowadzać hufce (w marszu, niewątpliwie) i obierać miejsca postojów. Była to funkcja ważna i pożyteczna, ale mało honorowa i dlatego król szukał kandydata wśród najemników. Przecież nie wymaga, chyba, wyjaśnienia, że pod dowództwo najemnego rycerza, czy włodyki czeskiego nie poszliby książęta i możnowładcy, nie powierzonoby mu losów kraju. Zatem o inne wodzostwo chodziło, o takiego obożnego do pomocy królewskiej, o jakim pisze Kolankowski. Potwierdza naszą tezę, że wyznaczonego przez króla Zyndrama nie proszą nazajutrz na radę wojenną, którą przecież taki wódz, gdyby nim był, sam powinienby zwoływać! Stąd mylna jest również wiadomość, jaką podaje nam do wierzenia latopis Bychowca, iż „Hetman był najwyższy wo woysku Jagoyłowom pan Sokoł, Czech".[67]) Wiemy przecież, że Jan Sokół był dowódcą najwyższym, ale tylko oddziału czeskiego, że za swoje zasługi dostał od króla Radzyń,[68]) lecz że „hetmanem" był tylko w sensie ówczesnej czeskiej nomenklatury, tzn. wodzem chorągwi. Inni czescy goście nie mogą być brani pod uwagę, nie tylko dlatego, że nie szukano ich rad na posiedzeniach sztabu, ale także dla tego, że źródła nie wyróżniają ich zupełnie, a przyszły wódz husytów, Jan Żyżka z Trocnowa, jest podkomendnym Sokoła i dopiero w dziesięć lat po Grunwaldzie zasłynie w Europie.

Nie mógł być także wodzem wspomniany, jako gość Witolda w Brześciu, chan Dżelal-Eddin, chociażby tylko dlatego, że był nie-chrześcijaninem, bowiem narażałby Polskę na zarzuty w Rzymie i w całej Europie, a nadto nie chcieliby walczyć pod nim chrześcijańscy rycerze, którzy, jak Zawisza Czarny, gotowi byli życie oddać za wiarę. Nie był nim również żaden z Litwinów, bowiem po odrzuceniu kandydatury Witolda, nie widzimy w źródłach jakiegokolwiek bądź śladu, któryby pozwolił podejrzewać szczególnie bliskie doradztwo, lub współpracę jednego z dowódców litewskich przy osobie królewskiej. W rachubę wchodzić więc mogliby jedynie panowie polscy; wymienieni, obok Witolda, w dniu 10 lipca.

Pierwszy z nich, Krystyn z Ostrowa, kasztelan krakowski, jeden z czynnych twórców unii polsko-litewskiej, cieszył się niewątpliwym zaufaniem królewskim, ale w całości

[67]) Połn. Sobr. Russkich Letop. XVII s. 522.
[68]) Długosz, Opera XIII s. 92.

swego życia publicznego sprawował raczej służby pokojowe i dyplomatyczne, niż wojenne. Raz tylko w r. 1396 prowadził wojsko królewskie na ziemię Dobrzyńską i oblegał zamek Opolczyka, Bobrowniki[69]). Pod Grunwald przyprowadził chorągiew (u Długosza oznaczoną, jako 26-a), ale czy sam wiódł ją do boju, nie wiadomo. Drugi, z kolei, Jan z Tarnowa, wojewoda krakowski, „mąż stałego umysłu i niezłomnej wiary"[70]) (tak pisze o nim Długosz, bo o przyjacielu Oleśnickiego)[71]) pełnił wierną służbę przy królu polityczną i dyplomatyczną i brał udział we wszystkich ważniejszych wydarzeniach państwowych. Pełnił nawet tak delikatne misje, jak pertraktacje z Witoldem, w czasie których miał mu ofiarować koronę polską od Jagiełły i postarać się, aby Witold jej nie przyjął[72]), co się też stało. W jego obecności składała przysięgę oczyszczającą królowa Zofia w r. 1427. Nie wymieniany wszakże nigdzie, jako wódz i organizator wypraw wojennych, jedynie pod Grunwaldem zanotował Długosz chorągiew wojewody, jako 27-ą. Trzeci — Sędziwój z Ostroroga, wojewoda poznański, występuje, jak i poprzednik, przy wszystkich ważniejszych aktach i naradach państwowych, ale pod względem bojowym ma kartę w życiorysie bogatszą. W r. 1399 Sędziwój, wraz z Dobrogostem z Szamotuł, uratował podczas pogromu nad Worsklą w. ks. Witolda[73]); pod Grunwald przyprowadził 28-ą chorągiew, po Grunwaldzie walczy dalej i wymieniany jest przez źródła: na pierwszym miejscu wśród zwycięzców pod Koronowem[74]) i jako dowódca samodzielnej grupy operacyjnej na Pomorzu[75]) (Nowe Miasto 1410), a w r. 1433 na czele Wielkopolan i „Sierotek" czeskich pustoszył Nową Marchię i Pomorze[76]). Miał widać król do niego zaufanie pod względem wojskowym, skoro mu te samodzielne dowództwa powierzał. Czwarty — Mikołaj z Michałowa, wojewoda Sandomierski, mąż zaufany Jagiełły, uczestnik ważnych aktów państwowych, honorowy rycerz eskorty wiodącej do Polski Annę Cylejską, drugą żonę Jagiełły, w r. 1400[77]), obok Jana z Tarnowa świadek przysięgi oczyszczającej królowej Zofii w r. 1427[78]), poseł do w. mistrza Ulryka von Jungingen, w r. 1408 i 1410, miał również, jak i Sędziwój, więcej zacięcia wojskowego. Pod Grunwald przyprowadził 29-ą chorągiew; w r. 1411 dowodził pocztem

[69]) Długosz, Opera XII s. 516. [70]) ibid. XIII s. 372 „integrae vir constantiae et fidei". [71]) ibid. XIII s. 476—477. [72]) ibid. XIII s. 381—386. [73]) ibid. XII s. 528. [74]) ibid. XIII s. 100. [75]) ibid. XIII s. 111. [76]) ibid. XIII s. 500. [77]) ibid. XII s. 539. [78]) ibid. XIII s. 349.

królewskim[79]), w r. 1433 był dowódcą wyprawy przeciw Krzyżakom na Pomorze, wraz z Sędziwojem z Ostroroga[80]). Za swe zasługi bojowe dostał po Grunwaldzie od króla nadanie na Brodnicę[81]).

Piąty z rzędu, Mikołaj Trąba, ksiądz i podkanclerzy, ze względu na swój stan duchowny nie mógł być wodzem, acz, niewątpliwie, był człowiekiem nieprzeciętnym. W przyszłości został przecież arcybiskupem gnieźnieńskim i pierwszym prymasem; razem z królem układał plany w Brześciu 1409 r., a podczas bitwy grunwaldzkiej powstrzymał najemnych Czechów od ucieczki[82]). Suknia duchowna i usposobienie popychało go wszakże bardziej na drogę dyplomatyczno-polityczną, niż militarną. Dał zresztą tego świetne dowody na soborze w Konstancji, w kilka lat po Grunwaldzie. Szósty — Zbigniew z Brzezia, marszałek królestwa, dostojnik występujący, jak i poprzednicy, przy wszystkich ważnych wydarzeniach państwowych, niedawno, bo w r. 1408 prowadził 5 tysięcy kopijników (armię niebywałej siły, jak na owe czasy) polskich na Ugrę, na pomoc Witoldowi przeciw w. ks. Moskiewskiemu[83]). I właśnie jego wybrano do czuwania nad porządkiem w marszu, surowo oznajmiając wojskom, aby nikt nie śmiał wychodzić z obozu, dopóki Zbigniew ze swym hufcem nie wyruszy. A przecież był także porządkowy dowódca, Zyndram z Maszkowic, który widać w opinii rady wojennej niższe zajmował stanowisko. Laskowski, rozważając funkcję Zbigniewa, określa ją jako analogiczną do późniejszego urzędu strażnika wojskowego[84]), nam wydaje się bardziej doniosła: czymś pomiędzy dowództwem straży przedniej (jak za czasów napoleońskich jeden z marszałków wiódł przednią część armii), a zastępstwem króla w prowadzeniu całości. W bitwie Zbigniew dowodził 34-ą chorągwią, a po zwycięstwie dał mu król najpierw Dzierzgów, a później, po Wincentym z Granowa, miasto Toruń[85]). Aczkolwiek wszystkie te darowizny okazały się efemerydą, świadczą one jednakże o stopniu zasługi obdarzonych. Zbigniewa musiały być niemałe.

Ostatni — Piotr Szafrąniec z Pieskowej Skały, podkomorzy krakowski, dowódca 35-ej chorągwi pod Grunwaldem, szczególnie zasłużony przy wyniesieniu na tron Jagiełły[86]). W r.

[79]) Długosz, Opera XIII s. 125. [80]) ibid. XIII s. 500—502. [81]) ibid. XIII s. 79. [82]) ibid. XIII s. 55—56. [83]) ibid. XII s. 571.

[84]) Laskowski O. o. c. s. 67.

[85]) Długosz, Opera XIII s. 75—76 i 80.

[86]) Akta Unii Polski z Litwą, Kraków 1932 s. 3 nr 2; Halecki o. c. I s. 116.

1404 chwilowy namiestnik podolski[87]), po Grunwaldzie, ale jeszcze w r. 1410, dowódca grupy operacyjnej 12 chorągwi działających pod Tucholą[88]), w r. 1412 dowódca hufca obronnego, eskortującego siostrzenicę królewską, Cymbarkę Mazowiecką, i jej małżonka ks. rakuskiego, Ernesta[89]), w r. 1431 szczęśliwy dowódca w walkach z oddziałami Świdrygiełły na wschodzie[90]).

Wszystkich wymienionych podzielić możemy na dwie grupy: a) więcej polityków i b) również wojowników. Otóż do wojowników daje się zaliczyć: Sędziwój z Ostroroga, Mikołaj z Michałowa, Zbigniew z Brzezia i Piotr Szafraniec. Jeden z nich mógł być faktycznym wodzem naczelnym, ale czy był i który?

Na pierwszym miejscu postawilibyśmy Zbigniewa z Brzezia, ale zarówno on, jak i pozostali, mimo czynnej postawy w tej wojnie i dalszych wydarzeniach, nie są w źródłach wzmiankowani ani razu w ten sposób, aby można było stwierdzić, iż odegrali pod Grunwaldem rolę większą od roli doradców królewskich i dowódców chorągwi. Nie możemy więc domyślać się rzeczy idących dalej poza przekazy źródłowe. Zatem stwierdzamy: spośród doradców królewskich, faktycznych lub domyślnych, polskich lub obcych, mogliśmy wyodrębnić jedynie c z t e r e c h p a n ó w p o l s k i c h, a l e z n i c h ż a d e n n i e w y r ó ż n i a s i ę t a k d a l e c e, a b y m ó g ł b y ć u w a ż a n y z a n i e o f i c j a l n e g o w o d z a g r u n w a l d z k i e g o.

5.

Wobec wyczerpania listy kandydatów, o których z mniejszym lub większym prawdopodobieństwem można było mówić, jako o przypuszczalnych dowódcach armii pod Grunwaldem, stajemy przed rozważaniem ostatniej kandydatury — osoby króla Władysława. Odpadnięcie innych stwarza już zasadniczo ważny argument na jego korzyść, ale samo to, zdaniem naszym, nie wystarcza.

Za naczelnym wodzostwem Jagiełły opowiedzieli się bezpośrednio i zdecydowanie: S. Kutrzeba, O. Laskowski i L. Kolankowski, pośrednio zaś A. Prochaska i Ks. Kujot. Mocno i wyraźnie, a momentami z zachwytem wprost, mówi o nim, jako o wodzu, literatura niemiecka G. Köhler, K. Heveker, C. Krollmann, M. Oehler i in.

[87]) D ł u g o s z, Opera XII s. 560—561; N. M o ł c z a n o w s k i j: „Oczerk izwiestij o podolskoj zemle", Kijów 1886, s. 266.

[88]) D ł u g o s z, Opera XIII s. 103. [89]) ibid. XIII s. 129. [90]) ibid. XIII s. 447, 452—453.

Kutrzeba podkreśla, iż „W czasie w. wojny dowodził jeszcze wojskiem sam Jagiełło. Cechą bowiem instytucji hetmana (tu = wódz naczelny) ... jest samoistne dowództwo ... a tego Zyndram nie miał, gdyż tylko ramienia króla ustawiał wojska; wodzem zaś, który miał w swoich rękach kierunek tej (grunwaldzkiej) bitwy, był tylko król".[91]) Pośrednio to samo pisze Prochaska, skoro w swoim opisie Grunwaldu nie wyróżnia wodzostwa Witolda, lub Zyndrama a w innym miejscu tej samej książki[92]) podkreśla, że król „sam stawał na czele hufców i przewodził wojsku" i skoro w dwa lata później, przy recenzji książki Krollmanna „Die Schlacht bei Tannenberg", nie napisał ani słowa protestu przeciw entuzjastycznym ocenom „króla, właściwego wodza bitwy" przez uczonego niemieckiego.[93] Prawdopodobnie Prochaska sądził, iż sprawa ta jest jasna i dlatego nie podjął dyskusji z przeciwnikami. W ogóle bowiem rzeczą charakterystyczną jest fakt, iż ci historycy, którzy głębiej i specjalnie zajmowali się okresem Jagiełłowym, łatwo wyzwalają się z sugestyj Długosza, nie przychylnych dla króla, i piszą o tym ostatnim z niekłamaną sympatią.

Dowodem tego A. Lewicki, który nie zajmował się specjalnie osobą Jagiełły, lecz przy swoich pracach związanych z okresem panowania tego króla nabrał bliższej znajomości rzeczy i — stał się gorącym wyznawcą Władysława. „Biada monarchom — pisze Lewicki — którzy mieli nieszczęście nie podobać się kronikarzom! Biada im także, jeśli mieli starość niedołężną! Jagiełło miał jedno i drugie, szczęśliwy nad miarę za życia, nie miał szczęścia po śmierci ... Długosz żył w brzydkim gnieździe plotek, skwapliwie je chwytał i w swoich dziejach uwieczniał. Wiadomo, że nie lubił Jagiełły i całego jego rodu".[94]) To też stronnicy dowództwa Jagiełły wyszli poza opowieść Długosza. Zarówno Köhler, jak i Heveker nie dwuznacznie uznają króla za wodza,[95]) aż drugi z nich wywołał replikę Haleckiego.[96]) Zarówno

[91]) Kutrzeba S. o. c. s. 83—84. [92]) Prochaska Antoni: „Król Władysław Jagiełło", Kraków 1908 r. II s. 350—351.

[93]) Prochaska A. Kwart. Hist. 1910 r. s. 646. [94]) Lewicki A. „Powstanie Świdrygiełły", Kraków 1892 s. 12.

[95]) Köhler G. „Die Entwickelung des Kriegswesens und der Kriegsführung in der Ritterzeit von Mitte des 11. Jahrh. bis zu den Hussitenkriegen" in 3 Bänden. Wrocław 1886 r. t. II s. 656 i n.; Heveker K. „Die Schlacht bei Tannenberg", Berlin 1906 r. s. 67 i n.

[96]) Halecki O. „Władysław Jagiełło" Hist. Pol. Polski cz. I Wieki Średnie. Encyklopedia Polska PAU, Kraków 1920 s. 476.

Krollmann przyznaje bezsporną zasługę zwycięstwa znakomitemu kierownictwu polskiemu i wychwala zalety króla, istotnego wodza bitwy,[97]) jak i Oehler, który plany Jagiełły określa mianem „wielkiego pomysłu".[98]) Opierają się przy tym na analizach strategicznych, na „Cronica conflictus", dzięki czemu mają obraz jaśniejszy, niż daje go sam tekst Długosza, aczkolwiek i w tekście Długosza wodzostwo króla występuje dość wyraźnie. Również Kujot, który Grunwaldowi poświęcił duże studium, ale szerzej nie zajmuje się sprawą dowództwa, uznaje jednak, że: „Król polski do stanowczej rozprawy osobiście stanął na czele wojsk".[99])

Laskowski w sposób bardzo przekonywujący wykazuje, jak król w miarę rozwoju wypadków i powstawania coraz to nowych potrzeb przy kierownictwie armią, tworzy poszczególne „organy dowództwa, przekazując im stopniowo część swojej władzy, dotyczącą szczegółów technicznych dowództwa, sam zaś wyzwalając się od tych szczegółów, zwraca się ku sprawom ogólniejszym".[100]) Dlatego powierza Zyndramowi funkcje zbliżone, według określenia Kolankowskiego, do funkcyj obożnego, dlatego też powierza członkowi rady wojennej, Zbigniewowi z Brzezia troskę o porządek w marszu. Ale nie oznaczało to, iż król zrzekał się swej władzy na rzecz Zyndrama, lub Zbigniewa.

Treściwą, ale mocną podbudowę pod twierdzenie o dowództwie króla dał Kolankowski. W oparciu o „Cronica conflictus", analizę Długosza i literaturę niemiecką, przeprowadził dowód wodzostwa króla.[101]) Nie uważał jednak za potrzebne omawiać jeszcze oddzielnie, że Witold i Zyndram nie mogli być wodzami całości, i to zapewne dało broń do ręki Dąbrowskiemu.

Dąbrowski uznał przede wszystkim Kazimierza Wiel-

[97]) Krollmann C. „Die Schlacht bei Tannenberg, ihre Ursachen und ihre Folgen", Królewiec 1910.

[98]) Oehler M. „Der Krieg zwischen dem Deutschen Orden mit Polen-Lithauen 1409—1411", Elbląg 1910 s. 57: „trägt den Stempel des Grosszügigen".

[99]) Kujot S. ks. „Rok 1410" Roczniki Tow. Nauk. w Toruniu, Toruń 1910 R. XVII s. 87—88. Korzystam przy sposobności z okazji i serdecznie dziękuję p. dr. Zygmuntowi Wdowiszewskiemu z Torunia za łaskawe umożliwienie mi otrzymania potrzebnych materiałów naukowych z miasta Kopernika.

[100]) Laskowski O. o. c. s. 66.

[101]) Kolankowski L. o. c. tom I. s. 98—101.

kiego „za jednego z głównych, choć pośrednich twórców zwycięstwa",[102] ponieważ król ten przez dobre zagospodarowanie kraju stworzył podstawy do zorganizowania potężnej armii, która zwyciężyła pod Grunwaldem. Argument ten, jasny i słuszny, trafia nam do przekonania z jednym wszakże zastrzeżeniem: że bez wielkiego wodza najlepiej przygotowane podstawy gospodarcze armii nie pomogą, a odwrotnie: wielki wódz może nadzwyczajnych czynów dokonać (zwłaszcza w dawnych czasach), nawet przy opłakanych podstawach gospodarczych, czego przykładem Napoleon Bonaparte w kampanii włoskiej, Wallenstein w Niemczech, Chodkiewicz pod Kircholmem etc. Nie twierdzimy, aby dzisiaj taka rzecz się udała, ale w czasach średniowiecznych nie byłoby to wykluczone. Poza tym, skoro wysunięty został argument, iż „potencjał militarny państwa jest w każdej epoce prostym wykładnikiem jego sił gospodarczych i położenia geograficznego, korygowanych przez stan kulturalny i organizację wewnętrzną", skoro powiedziane jest, że dobra gospodarka Kazimierza W. była właściwie podstawą stworzenia potężnej armii polskiej, która zwyciężyła pod Grunwaldem, to dlaczego nie mamy zastosować tych słusznych uwag i do drugiej strony wojującej, do Krzyżaków? Czy siły gospodarcze krzyżackie, położenie geograficzne, stan kulturalny i organizacja wewnętrzna były gorsze od polskich? Wszystko, co wiemy o dziejach i organizacji Zakonu, mówi nam, iż wprost przeciwnie: *były lepsze*.

Kazimierz W., który nie tylko dobrze gospodarował, ale także bez przerwy niemal prowadził wojny (o samą Ruś Czerwoną z przerwami 29 lat), zmarł w r. 1370, po nim zaś rządzili w Polsce Andegawenowie, którzy specjalnie o kraj nie dbali, ani go nie bogacili (z wyjątkiem polityki miejskiej Ludwika). Za ich to czasów wzmaga się separatyzm Wielkopolski, powstają walki o tron Władysława Białego, za ich czasów (w końcu 1376 r.) najazd Litwinów pustoszy kraj, aż do okolic Krakowa i wybuchają, po śmierci Ludwika, wojna domowa w Wielkopolsce Grzymalitów z Nałęczami i zatargi zbrojne z Ziemowitem Mazowieckim, które wyniszczyły zagospodarowany kraj. Jagiełło obejmując Polskę nie zastawał jej spokojnej, ani kwitnącej, jaką była za Kazimierza. Słabą i wyniszczoną była w r. 1386 Litwa. A jednocześnie lata 1351—1382

[102]) Dąbrowski J. o. c. s. 1.

(a więc koniec rządów Kazimierza W. w Polsce i rządy Ludwika) są latami rządów Winrycha von Kniprode, czasami największej potęgi Zakonu, które historycy niemieccy oznaczają, jako czas rozkwitu: „grosse Zeit" i „Blütezeit".[103]) Zarówno pod względem militarnym, jak i organizacyjnym i handlowym, Zakon staje się potęgą i wzorem Europy.[104]) Być może, że polityka polska w pierwszych latach po objęciu tronu przez Jagiełłę, celowo unika decydującej walki z Zakonem: chce wyrównać różnice, zwłaszcza iż Polska ma gorszą sytuację geograficzną i odcięta jest od wybrzeża Bałtyku. Zakon zdawał sobie również sprawę, iż jeżeli nie doprowadzi do zerwania unii, to czeka go walka na śmierć i życie i — szykował się do rozgrywki, apelując o pomoc finansową i militarną całej Europy. W przede dniu Grunwaldu, według słów Dąbrowskiego: „Widocznym . . . było, że powszechną przychylnością cieszą się Krzyżacy, którym, co więcej udało się odnieść bardzo poważne sukcesy dyplomatyczne nad Polską i wobec najbliższych jej sąsiadów, co mogło mieć doniosły wpływ na przebieg sprawy. Zakon, dysponując ogromnymi bogactwami, z którymi Polska mierzyć swych zasobów nie mogła, umiał rzucić w decydującej chwili tak znaczną ilość złota na szalę, że dzięki niej potrafił opasać Polskę od zachodu i południa jednolitym pierścieniem państw jej nieprzychylnych".[105])

Zatem, o ile przyjęlibyśmy, jako decydujące, spostrzeżenia Dąbrowskiego o potencjale gospodarczym dającym już w wiekach średnich podbudowę pod przewagę militarną, to winien był pod Grunwaldem wygrać Zakon, który miał jeszcze większe zasoby, niż Polska po-Kazimierzowa. A jednak — wygrała Polska. I dlatego, nie ujmując zasług Kazimierzowi W., twierdzimy, że Polska i Litwa wygrały ponieważ na ich czele stał wybitny organizator i utalentowany wódz, i że twórca planów kampanii 1410 roku, a zwłaszcza marszu na Malborg

[103]) Voigt J. „Geschichte Preussens von den ältesten Zeiten bis zum Untergang der Herrschaft des Deutschen Ordens 1525", tom V, Królewiec 1832 s. 86; „Eine wichtige und grosse Zeit"; K. und T. Gass „Der deutsche Orden", Wiesbaden 1936, s. 86: „Winrich von Kniprode — der Hochmeister der Blütezeit"

[104]) Zajączkowski Stan. „Dzieje Zakonu Krzyżackiego", Łódź 1946, s 55 uważa, że Winrich v. Kn. dorównywał potęgą „najwybitniejszym współczesnym władcom Europy, takim jak cesarz Karol IV, Ludwik W., król Węgier . . ."

[105]) Dąbrowski J. „Dzieje Polski Średniowiecznej", Kraków 1926, t. II, s. 259.

i faktyczny dowódca bitwy grunwaldzkiej posiada zasługę z pewnością nie mniejszą od ostatniego Piasta.

Dalsza argumentacja Dąbrowskiego przeciw dowództwu Jagiełły jest następująca: twierdzenie, iż Jagiełło stojąc na wzgórzu, opodal bitwy, stamtąd nią kierował (Oehler) jest przeniesieniem „pojęcia tzw. wzgórka wodzów" (Feldherrnhügel), powszechnego w bitwach czasów nowożytnych, na czasy średniowieczne ... Jest to teza nie do utrzymania. w bitwach rycerskich naczelny wódz nie może się znajdować zdala od pola bitwy. Rozkazy jego wówczas do nikogo nie dotrą, nikt ich nie usłucha i nie wykona. Wódz musi się znajdować przy głównej masie uderzeniowej". Dąbrowski przytacza przykłady wodzów średniowiecznych Europy zachodniej i środkowej: W. Mistrza, który „nie stał na żadnym wzgórku wodzów, ale osobiście prowadził swoje chorągwie", Filipa II Augusta pod Bouvines, Ludwika W. we Włoszech, Czarnego Księcia angielskiego w bitwach wojny stuletniej. „Fakt, że jeszcze przed rozpoczęciem decydujących operacyj stworzono radę wojenną w istocie decydującą o poruszeniach wojsk, że rozglądano się za zdolnym i doświadczonym wodzem, któryby pokierował bitwą, stanowią obok biernego stanowiska Jagiełły w czasie bitwy zasadnicze argumenty za tym, że posiadał on wprawdzie naczelną władzę nad wojskami polskimi tak jak i litewskimi, wynikająca z jego monarszej godności, ale że operacyjnie w bitwie grunwaldzkiej Litwinami dowodził Witold, a Polakami Zyndram z Maszkowic, prowadzący osobiście główną masę uderzeniową polską".

Rozpatrzmy te argumenty, jedynie grupując je w nieco odmiennym porządku: 1) stworzenie rady wojennej przed rozpoczęciem decydujących operacyj, 2) rady istotnie decydującej o poruszeniach wojsk, 3) poszukiwanie zdolnego i doświadczonego wodza, 4) bierne stanowisko Jagiełły w czasie bitwy, 5) anachronizm „wzgórka wodzów", pojęcia czasów nowożytnych przeniesionego na czasy średniowieczne.

Ad 1) Każdy wódz naczelny musi mieć swój sztab doradczy. Jagiełło naradzał się w sprawach wojny ze swoimi przybocznymi dostojnikami dużo wcześniej zanim utworzył radę wojenną 10 lipca. Ale wobec wzrastających potrzeb chwili i niewątpliwej niemożności porozumiewania się z całą radą królewską (którą Dąbrowski oblicza na co najmniej 47 osób już w końcu XIV wieku,[10a]) a ilość ich wzrastała dalej), zdecydował się, zapewne w porozumieniu z tą radą, na wybór mniej-

szej liczby doradców, którzy łatwiej mogli zgromadzać się w razie potrzeby. Powołanie zaś do niej nie tylko mężów rycerskich, ale także polityków i duchownego, świadczy, zdaniem naszym, że rada ta nie miała charakteru ściśle wojennego. Nie jest wykluczone, że na decyzję Jagiełły co do zmniejszenia rady wpłynęła również chęć otoczenia obrad i postanowień większą tajemnicą,[106a]) trudną do zachowania przy pełnym składzie dawnej rady. Data zaś utworzenia nowej, zmniejszonej rady, nie jest, jak się nam wydaje, datą „przed rozpoczęciem decydujących operacyj", bo operacje te już były rozpoczęte. Rzeczą do dyskusji byłoby jedynie ustalenie, czy za początek operacyj należy uważać dzień wyruszenia spod Czerwińska, czy przekroczenie granicy pruskiej z wszystkimi tego konsekwencjami.

Ad 2) Źródła wcale nie przesądzają, czy istotnie sama rada wojenna decydowała o poruszeniach wojsk. Jedyny wypadek decyzji rady (przed dn. 15. VII.) dotyczy obejścia stanowisk krzyżackich nad Drwęcą.[107]) „Była to decyzja ze stanowiska taktycznego nadzwyczajnie trafna. W ten sposób zmuszono armię zakonną do opuszczenia dobrych, warownych stanowisk i przyjęcia bitwy w warunkach dla niej o wiele gorszych".[108]) Ale — nie był to pomysł rady, tylko króla. Długosz pisze bo-

[106]) ibidem s. 219. [106]a) Por. sprawę zatajenia wypowiedzenia wojny przez Węgry, Długosz, o. c. XIII, s. 29.

[107]) Długosz, Opera XIII s. 28. Rzekoma decyzja rady co do miejsca pobytu króla podczas bitwy, że miał pozostać „przy obozach i taborach" (ibid. s. 48) jest wymysłem Długosza, albo złośliwym oszczerstwem bezkrytycznie przez Długosza powtórzonym, bowiem: a) dyskwalifikowałaby króla w oczach jego wojska całkowicie, skoro do obozów mieli się schronić jedynie „kapłani, pisarze tudzież czeladź bezbronna, do wojny niezdatna", a jak wiemy z innego miejsca król był odważny i rwał się do bitwy, aż musiano go wstrzymywać; b) sam Długosz o parę stron dalej pisze co innego, a mianowicie, że uradzono, aby król nie stawał w szyku bojowym, ani nie przyłączał się do żadnej chorągwi („quod Wladislaus Poloniae Rex ad nullam certam aciem cuiuscumque banderii ordinatus erat", Opera XIII s. 52) i przydano mu straż 60 kopijników. Jakże więc: miał iść z bezbronnymi, schować się w obozie, skąd nawet nie było widać bitwy, a jednocześnie przydają mu kopijników i stoi na wzgórzu? c) w chwili przełamania wojsk litewsko-ruskich przez atak krzyżacki Witold błaga króla, by dla podniesienia ducha rycerzy wszedł między walczących (ibid. s. 55), ten sam Witold, pod którego przewodnictwem rada wojenna miała uchwalić dla króla „polecenie" siedzenia w obozie? — Jasne jest, że król mocą własnej decyzji pozostał na uboczu, by kierować bitwą, a rada, co najwyżej, zajmowała się wyborem najlepszych kopijników i koni rezerwowych dla króla.

[108]) Kolankowski L. o. c. I s. 99.

wiem: . . . chwyciwszy się lepszej rady postanowił król wsteczną obrać drogę i rzekę u jej źródła suchą przejść nogą. Przedłożył bowiem radcom . . . " tak istotne argumenty, iż „snadnie zgodzono się na tak rozumną radę".[109]) Zatem wyraźnie: postanowił król, przedłożył radcom argumenty król. Rada przyjęła jedynie do wiadomości i wykonania[110]) decyzję królewską. Gdyby to był pomysł nie króla, nie król uzasadniałby jego trafność, tylko projektodawca. Stąd nie możemy uznać przewagi rady nad królem.

Ad 3) Wyjaśniliśmy już uprzednio, za Laskowskim i Kolankowskim, że król szukał nie wodza naczelnego, bo ani na chwilę nie wypuszczał wodzostwa z ręki, lecz kogoś do pomocy w marszu i porządkowaniu wojska, czego sam jeden dopilnować nie mógł, zwłaszcza że prócz spraw wojskowych, miał jeszcze i rokowania dyplomatyczne. Przecież jeszcze dnia 12 lipca wręczyli mu posłowie Zygmunta Luksemburczyka wypowiedzenie wojny.[111])

Ad 4) Ani przed bitwą, ani podczas bitwy stanowisko Jagiełły nie było bierne. I to zarówno w sensie bierności wodzowskiej, jak i ruchu fizycznego. Od samego początku jest ośrodkiem narad i rozkazów. Zatem król bierze udział w naradzie brzeskiej, obok Witolda i Mikołaja Trąby, król poluje w Ratnie[112]) i zarządza łowy w Białowieży celem poczynienia zapasów solonego mięsa dla wojska,[113]) król naradza się z Witoldem po powrocie tegoż z Węgier, w Nowym Sączu,[114]) król odbywa naradę w Krakowie w sprawie organizacji wojsk i najemników,[115]) król powierza zamek Bydgoszcz Januszowi Brzozogłowemu[116]) (który stamtąd niepokoił Krzyżaków i mylił ich co do właściwego kierunku marszu armii królewskiej), król obsadza granicę południową i wysyła 400 rycerzy do zamków w Inowrocławiu i Brześciu,[117] król dowodzi wojskami w Wolborzu (24. VI.) i zarządza marsz do Kozłowa,[118]) król wysyła 12 chorągwi dla zabezpieczenia przemarszu wojsk Witoldowych,[119]) król organizuje porządek przy prze-

[109]) Długosz, Opera XIII s. 28, „tandem consilio optimo et salubri usus, ire retrograde et flumen in ortu eius sicco vestigio decerni superare".

[110]) ibidem: „facileque ratio tam salubris consilii accepta est et tandem data in executionem."

[111]) ibid. s. 28—29. [112]) ibid. s. 1.

[113]) ibid. s. 5. [114]) ibid s. 7.

[115]) ibid. s. 9. [116]) ibid s. 18.

[117]) ibid. s. 8 i 13. [118]) ibid s. 15.

chodzeniu mostu na Wiśle, a potem zarządza rozbiórkę mostu i odwiezienie do Płocka,[120]) król urządza próbny alarm wojsk (6. VII),[121]) król wyznacza porządkowego nad wojskiem, Zyndrama (9. VII),[122]) król wyznacza 8 członków rady wojennej pod Kurzętnikiem (10. VII),[123]) król decyduje o obejściu Drwęcy,[124]) król przez podwojskiego każe odwoływać rycerstwo pod Dąbrownem (13. VII),[125]) król odbiera pierwsze meldunki o obecności nieprzyjaciela (rankiem 15. VII),[126]) król zawiadamia Witolda, by się szykował do bitwy,[127]) króla nagli Witold, ale bez niego nie zaczyna boju, [128]) do króla wołają rycerze, by dał znak do bitwy,[129]) król poleca rycerzom „na znak wzajemnego poznawania się obwiązać powrósłami ze słomy",[130]) król daje hasło: „Kraków" i „Wilno",[131]) król dosiada konia i jedzie przyjrzeć się nieprzyjacielowi,[132]) król sam rozstawia szyki między dwoma gajami,[133]) do króla zwraca się Ulryk, żądając bitwy,[134]) król „każe wytrąbić hasło i bój rozpocząć",[135]) do króla śle Witold gońców po ucieczce wojsk litewskich" iżby ani chwili jednej nie zwlekał bitwy",[136]) król wysyła Oleśnickiego o pomoc wobec spodziewanego ataku 16 chorągwi,[137]) król rozkazuje rozbić beczki z winem,[138]) król zarządza ściganie niedobitków „mil kilkanaście",[139]) król „zmęczony wysiłkiem i upałem od głośnego wołania i krzyczenia w czasie bitwy, kędy trzeba było upominać i zagrzewać rycerstwo do walki, tak był ochrypł, że i w tym dniu i w następnym z trudnością i ledwo z bliska można było go zrozumieć".[140])

Trudno zaprzeczyć, że wszystkie te czynności są czynnościami faktycznego wodza naczelnego, oraz że otoczenie nie traktuje króla, jako biernego widza. Sam Jagiełło zresztą, w listach pisanych nazajutrz do żony, królowej Anny, i do

[119]) ibidem. [120]) ibid. s. 16.
[121]) ibid. s. 20. [122]) ibid. s. 22. [123]) ibid. s. 23—24.
[124]) ibid. s. 28 i Cron. confl. s. 435. [125]) Długosz, Opera XIII s. 33.
[126]) ibid. s. 36 i Cron. confl. 436. [127]) Cronica confl. s. 436.
[128]) Długosz, Opera XIII s. 36. [129]) ibid. s. 47.
[130]) Cronica confl. s 436. [131]) ibidem. [132]) ibidem.
[133]) ibidem.

[134]) Długosz, Opera XIII s. 50. [135]) ibid. s. 51 „exercituum in pugnam procedere et signa canere". [136]) ibid. s. 55.
[137]) ibid. s. 57. [138]) ibid. s. 61. [139]) ibid. s. 62.
[140]) ibid. s, 64 „ex labore et aestu".

biskupa poznańskiego, Wojciecha, podaje do wiadomości o osobistym udziale w walce i dowodzeniu.[141])

Ale nowsze badania idą dalej. K. Piotrowicz przypuszcza, że król nie stał cały czas na swym wzgórzu. „Wydaje się następnie, że chorągiew królewska zetrzeć się musiała z Krzyżakami ciągnącymi pod wodzą Ulryka, a króla nie chciano tylko dopuścić do szyku czołowego, chociaż los wmieszał króla w walkę wręcz. Prawdopodobnie zatem król w drugiej fazie bitwy zbliżył się do linii walczących, gdyż Mikołaj Kiełbasa zna miejsce jego pobytu. Na niewątpliwy udział króla w walce wskazuje i inna zapiska Długosza: „Wladislaus . . . fatigatus ex labore et aestu . . . ".[142]) Rozumowanie Piotrowicza wydaje się nam słuszne, ale do stwierdzenia faktycznego wodzostwa króla niekonieczne. O naszej jednak koncepcji za chwilę. Chcielibyśmy tylko wyrazić domysł skąd powstała legenda o łzawym, biernym królu, o którym pisano niedawno, iż pod Grunwaldem jeno spowiadał się i modlił, a za dowód rozsądku miano mu, że powierzył dowództwo komu innemu.

Jak wiadomo, w obliczu Europy Krzyżacy udawali owieczki napastowane przez wrogów chrześcijaństwa, Jagiełłę i Witolda, którzy pozornie tylko wiarę chrześcijańską przyjęli, a w istocie nadal poganami zostali. Niesłusznie też żywią różne pretensje do sprawiedliwych i miłujących pokój Krzyżaków. Zapłacony przez Krzyżaków zakonnik niemiecki, Jan Falkenberg, napisał paszkwil na Polskę. Falkenberg zarzucał pogaństwo nie tylko Litwinom, ale i Polakom i wzywał narody chrześcijańskie do wspólnej akcji wytępienia narodu polskiego i zniszczenia państwa Jagiełłowego.[143]) Otóż w takiej sytuacji, Polacy starali się wykazać obłudę i bezprawia Krzyżaków, z drugiej zaś strony w jak najbardziej chrześcijańskim świetle ukazywać swego króla. Stąd w pismach na sobór w Konstancji, gdzie toczył się spór polsko-krzyżacki, przedstawiano, jak do ostatniej chwili Jagiełło nie chciał wojny z Krzyżakami, jak został wprost do niej zmuszony, jak modlił się w obliczu nieprzyjaciela i płakał nad krwi chrześcijańskiej rozlewem etc. Robiono z króla prawdziwego świętego,[144]) pełnego wiary i pokory.

[141]) Script. rer. pruss. III s. 426 i 427—428.
[142]) Długosz, Opera XIII s. 64. Podkreśla to Piotrowicz K. o. c. s. 236.
[143]) Prochaska A. „Król Władysław Jagiełło" I s. 360.
[144]) Piotrowicz K. o. c. s. 235.

Z tych pism korzystał do swojej historii Długosz, z takim nastawieniem Europy musiał się liczyć autor „Cronicae conflictus", stąd ich rysunek króla nie odpowiada prawdzie historycznej. Nieprzychylnie dla króla wypadły też wspomnienia Oleśnickiego, z których korzystał Długosz i pod wpływem których kształtował swój pogląd na Jagiełłę. Stąd szeroki ogół właściwie nie zna prawdziwego Jagiełły, gdyż przyjmował bezkrytycznie obraz króla według „Historii" Długosza, względnie na podstawie dzieł dawniejszych historyków, którzy kilkadziesiąt lat temu wstecz również nie odważali się podejrzewać mylności przedstawienia Długoszowego. Dopiero, gdy zapoczątkowano studia krytyczne nad Długoszem, stwierdzono, że „ojciec dziejów polskich" był stronny. Że nie lubił Jagiełły i Jagiellonów. A przecież już badacz wojen i wojskowości w Polsce, Tadeusz Korzon, zaczął przypuszczać, iż może nie Witold i nie Zyndram, ale właśnie Jagiełło jest właściwym bohaterem Grunwaldu, a Lewicki, jeszcze przed Korzonem, napisał: „Chcąc ocenić Jagiełłę, porzućmy Długosza, a rozpatrzmy się dobrze w jego czynach i w innych pomnikach historycznych . . . darujmy też Jagielle jego starość niedołężną, a . . . przedstawi się nam jako jedna z najświetniejszych, najmędrszych i najenergiczniejszych zarazem postaci dziejów naszych".[145])

Ad 5) Co do „wzgórka wodzów" zgadzamy się z prof. Dąbrowskim, że w bitwach rycerskich wieków średnich w Europie zachodniej i środkowej wódz nie mógł się znajdować zdala od pola bitwy. Nie powiedziane jednak było nigdzie, że strategia i taktyka Jagiełły została zaczerpnięta z zachodnich wzorów. O ile wyjdziemy poza Długosza, to łatwo dostrzeżemy, iż Jagiełło świadomie i celowo stosował, jako pierwszy z władców i wodzów Europy o kulturze łacińskiej, strategię i taktykę wschodnią, mongolską, dostosowaną jedynie do polskich warunków. Dlatego mimo słabszego potencjału gospodarczego i fatalnego położenia geopolitycznego, mimo gorszego uzbrojenia części litewskiej wojsk, Polacy odnieśli zwycięstwo. Zaś w tej taktyce „wzgórze wodzów" było używane już od czasów Dżyngiz-chana, gdyż taktyka mongolska wzbraniała wodzowi oddziału od 1000 ludzi brać bezpośredni udział w bitwie. Musiał stać na uboczu i stamtąd

[145]) Lewicki A. o. c. s. 12.

kierować walką, dostosowując ruchy swych wojsk do zmiennych sytuacji bitewnych.

Wobec pewnej nowości naszej tezy sprobujemy ją uzasadnić. Zaczniemy wszakże od kilku słów o samej strategii i taktyce mongolskiej. Piszący o nich autorzy zgodni są co do ich zasad.[146]) Strategia polegała na umiejętnym systemie prowadzenia wojny wielkimi masami kawalerii, skierowanymi w głąb kraju przeciwnika, na koordynacji ich poruszeń, wyborze kierunku działania przy „ześrodkowaniu wysiłków w kierunku wybranym, przesłanianiu własnych zamiarów i stosowaniu zaskoczenia, ułatwionego przez szybkość ruchów".[147]) Mongołowie umieli wiązać przeciwnika demonstracjami, aby rozproszyć jego uwagę, a w odpowiedniej chwili rzucali na tyły wroga „główną masę swej armii"; umieli wyznaczać spotkania kilku armii na jeden dzień, w jednym wybranym miejscu, i zbierać te armie w dniu wyznaczonym niezależnie od odległości marszu, jakie musiały być pokonane.

Taktyka kawalerii mongolskiej polegała na szykowaniu się w kilka linii „urzutowanych w głąb". Gdy okrążenie przeciwnika na placu boju nie udawało się, stosowano pozorny odwrót, by rozerwać zwarty szyk jazdy nieprzyjacielskiej, a potem okrążyć i wyciąć oddalone oddziały. Dowódcy hezaru,[148]) i wyżsi, nie brali udziału w walce, „a znajdowali się dostatecznie w tyle na dogodnych punktach obserwacyjnych, skąd mogli śledzić rozwój walki i kierować nią ze świadomością wytwarzającego się położenia".[149]) Po bitwie zarządzano obowiązkowy pościg uciekających, aby odwrót zmienić w klęskę i zniszczenie zupełne.

Przed wojną kwatera główna mongolska zbierała starannie wiadomości o kraju nieprzyjacielskim. Zarządzano też łowy dla przygotowania żywności na wyprawę. Atak na ziemie wroga rozpoczynał się zazwyczaj z kilku stron, aby nieprzyjaciel

[146]) Chara Dawan E. „Czingis chan kak połkowodiec i jego nasledstwo", Belgrad 1929; Iwanin M. I. „O wojennom iskustwie i zawojewaniach Mongoło-Tatar i srednieaziackich narodow pri Czingis-chanie i Tamerłanie", Ptbg. 1875; Kukiel M. „Zarys historii wojskowości w Polsce", Kraków 1929 wyd. III; Laskowski O. „Odrębność staropolskiej sztuki wojennej", W-wa 1935 odb. Przegl. Hist. Wojsk. z. 1. t. VIII; Zatorski W. „Czyngis chan", W-wa 1939.

[147]) Kukiel M. o. c. s. 12. [148]) hezar — oddział złożony z 10 setek kawalerii mongolskiej.

[149]) Zatorski W. o. c. s. 68.

jak najdłużej nie orientował się w istotnych planach głównej armii. W przeciwieństwie bowiem do armii rycerskich zachodnio-europejskich, które traciły czas na wyszukiwanie wojsk przeciwnika, Mongołowie stosowali często uderzenie główne w kierunku ośrodka sił wroga, najchętniej na stolicę. Akcję wojenną poprzedzało staranne przygotowanie: planów marszu, kierunku, przepraw przez rzeki, lub góry, wyżywienia, koncentracji i rezerw.

Sprobujmy porównać powyższe wytyczne i zasady z taktyką i strategią Jagiełłową w r. 1410.

Na siedem miesięcy przed wyprawą na Prusy zjeżdżają się w Brześciu nad Bugiem: Jagiełło, Witold i Mikołaj Trąba, podkanclerzy (a więc jakby minister spraw zagranicznych) i układają plan zamierzonej wyprawy. Plan ten, jak pisze fachowy znawca: „Postanawiał wybór teatru wojennego pruskiego za główny teatr wojenny; zjednoczenia wszystkich sił obu państw do rostrzygających działań na tym teatrze; wybór Mazowsza jako podstawy operacyjnej; stolicy nieprzyjacielskiej Malborga, jako celu wyprawy; ustalono nawet dzień i miejsce na koncentrację obu wojsk.[150]) Kto był twórcą tego planu? Mikołaj Trąba był duchownym i dyplomatą; do niego, niewątpliwie, należała ocena sytuacji politycznej, zwłaszcza w stosunku do sąsiadów, którzy za pieniądze Zakonu gotowi byli wystąpić przeciw Polsce. Źródła nie mówią o talentach strategicznych ks. podkanclerzego. Witold, jak pamiętamy, był raczej politykiem i administratorem, niż wodzem. Pozostawał Jagiełło, który z taką konsekwencją następnie plan ten urzeczywistniał, że nie ulega wątpliwości, iż był jego twórcą. „Poruszenia wojsk polsko-litewskich przed bitwą pod Tannenbergiem wzbudzają wprost podziw swą planowością. Już dawno dająca się spostrzec w nich myśl przewodnia: uderzyć zwartymi siłami w serce Zakonu, na Malborg, ma cechę wielkiego pomysłu i różni się najzupełniej od używanej zwykle w owych czasach taktyki napadów rabunkowych, które nawet wcale na nazwę wojny nie zasługują . . . Daremnie szukalibyśmy w całym średniowieczu równie genialnego pomysłu strategicznego".[151])

Genialna prostota i oryginalność tego planu zaskoczyła Krzyżaków i dla jego zalet i dlatego, że zetknęli się poraz pierwszy z odmienną sztuką wojenną, będącą umiejętnym połączeniem elementów wschodnich z zachodnimi. Nie chcemy

[150]) Kukiel M. o. c. s. 20. [151]) Oehler M. o. c. s. 57

sugerować, że udział w rozmowach dotyczących szykowanej wojny mógł mieć jeszcze ktoś szczególnie bliski strategii mongolskiej, ale nie możemy zapominać, że czwartą osobą w Brześciu, o której pisze Długosz, a którą zazwyczaj pomija się w wyliczeniach, był usunięty w tym czasie ze Złotej Ordy, chan Dżelal-Eddin,[152]) znany nam ze swego późniejszego udziału w bitwie pod Grunwaldem.

Idźmy wszakże dalej. „Zdumiewa głęboka trafność wszystkich punktów tego planu: poświęcenie dla działań głównych drugorzędnego teatru działań wojennych, żmudzkiego; poprzestanie od strony Węgier na skąpo wymierzonej osłonie, jednolitość akcji pod jednolitym dowództwem, wybór celu taki, że wyprawa musiała doprowadzić do bitwy walnej z główną siłą przeciwnika; obszar koncentracji wojsk obu narodów, wybrany tak daleko od wroga by uniknąć walki siłami rozdzielonymi".[153]) Zdumieć też może rozmach maskowania planów głównych i trzymanie w. mistrza w nieświadomości głównego celu uderzenia niemal do ostatnich dni.[154]) Z rozkazu króla atakowano posiadłości zakonne pod Nieszawą, w kierunku na Świecie, od Nakła do Kołobrzegu, od strony Litwy zaś pod Tylżą i Kłajpedą. Atakowano przytem w ten sposób, że Krzyżacy długi czas nie mogli się zorientować czy nie idzie w danym kierunku główna armia.[155]) W. mistrz Ulryk był przekonany, że uderzenie pójdzie lewym brzegiem Wisły na Pomorze. Jagiełło prawdziwie zaskoczył nieprzyjaciela i cały czas zachował inicjatywę akcji dla strony polskiej.

Wspaniale przeprowadzono wykonanie wszystkich punktów planu. Zarządzone łowy dały obfite zapasy prowiantu dla armii i wodą zostały skierowane do Płocka.[156]) Pod Czerwińskiem, planowanym miejscem koncentracji wojsk, przygotowano most na łodziach.[157]) 30 czerwca połączyły się pod Czerwińskiem oddziały wielkopolskie i małopolskie, oraz wojska mazowieckie, nazajutrz zaś, 1 lipca nadeszła armia litewska

[152]) Długosz, Opera XII, s. 593 „Imperatorem denique Thartarorum, quem Alexander Dux Lithuaniae in Brzeszcze adduxerat, pro futuro bello cum gente Thartarica eis solatia laturum perliciunt".

[153]) Kukiel M. o. c. s. 20. [154]) Długosz o. c. XIII s. 17 i 30.

[155]) Codex epist. Vitoldi o nadciąganiu wojsk Witoldowych pod Bałgę Nr. 439 s. 206; o prawdopodobieństwie marszu Witolda na Osterode Nr. 445 s. 210; o spodziewanych 60 tys. Polaków pod Tucholą Nr. 446 s. 210; o wkroczeniu Litwinów na z. Szałwińską Nr. 448 s. 211.

[156]) Długosz o. c. XIII s. 5. [157]) ibid. s. 15.

Witolda.[158]) Z pod Czerwińska połączone siły wykonały marsz na Malborg, zmuszając w. mistrza do dwukrotnego porzucania dogodnie umocnionych stanowisk: raz pod Świeciem, drugi raz pod Kurzętnikiem nad Drwęcą.

„Podziwu jest też godne, niepodlegające żadnej krytyce, wykonanie planu. 24 czerwca, gdy kończył się rozejm, były siły polskie rozdzielone na cztery grupy, odległe od siebie od 150 do 250 km. Zaledwie w 8 dni później, 2 lipca, są już złączone na jednym miejscu i to w bezsprzecznie najdoskonalej obranym, poczem następuje niezwłocznie marsz na terytorium wroga".[159]) „Plan marszu powzięty w Brześciu, został wykonany ze ścisłością zasługującą na większy podziw, niż słynna mobilizacja pruska przed wojną francuską 1870 r. przy braku telegrafu i sieci dróg żelaznych a większych przestrzeniach do przybycia". [160])

Mamy więc dowody zastosowania wschodniej strategii: planowania z góry, szykowania zapasów (łowy), maskowania głównego uderzenia, określony kierunek tegoż uderzenia na stolicę wroga, koncentrację wojsk niemal jednego dnia w jednym miejscu etc. Mamy również dowód wobec planowego rozwoju akcji, że całością musiał kierować jeden, świadomy zadań wódz, a nie od wypadku do wypadku uzyskiwane decyzje takiej, czy innej rady wojennej. Zarówno przed 10 lipca, jak i 15 lipca.

Tak samo taktyka bitwy Grunwaldzkiej wyraźnie, wykazuje dla strony polsko-litewskiej, znamiona doświadczeń wschodnich Jagiełły. Uderzenie zaczęła lekka kawaleria w znakomicie obranej chwili przegrupowania wojsk krzyżackich. Nie wytrzymując natarcia wroga poczęła się cofać, wyprowadzając za sobą część jego sił, być może nawet rozmyślnie, bo gdy zwycięskie skrzydło krzyżackie, które rozproszyło armię litewską wracało z pościgu, zostało odcięte przez rezerwowe oddziały polskie i, za wyjątkiem jeńców, w pień wycięte[161]) (mongolska taktyka: rozdzielić i wyniszczyć).

[158]) Długosz, o. c. XIII s. 15.

[159]) Oehler o. c. s. 57, por. Kolankowski L. o. c. s. 98.

[160]) Korzon T. o. c. s. 279.

[161]) Cronica confl. s. 438. Gdyby nie rozmyślny manewr ucieczki, przynajmniej u części armii litewskiej (a wśród nich Tatarzy napewno), to rozbite pułki nie wróciłyby chyba na plac boju, zwłaszcza, że były ścigane i mogły być przeświadczone o całkowitej klęsce. Niektóre oddziały litewskie, ogarnięte prawdziwą, a nie manewrową paniką, nie oparły się spod Grunwaldu, aż na Litwie, gdzie opowiadały o przegranej i o śmierci króla i Witolda.

Umiejętność zachowania i stosowania odwodów ze strony polskiej, czuwanie nad całością bitwy z pobliskiego wzgórza,[162]) zarządzenie pościgu po rozgromieniu nieprzyjaciela — wszystko to również nosi znamię taktyki wschodniej. Rzecz prosta, iż armia polska nie stawała się przez to jeszcze armią wschodnią. Przeciwnie posiada ona obyczaje i uzbrojenie zachodnie, co raz dodatnio, a raz ujemnie odbija się na jej działaniu. Np. pozostanie 3 dni na pobojowisku obyczajem rycerskim,[163]) zamiast natychmiastowego marszu na Malborg, albo nie skorzystanie z możności zdobycia Malborga, drogą przekupienia części obrońców[164]) były to znamiona zachodnie, rycerskie i piękne, ale zupełnie niepraktyczne i niweczące wyniki całej kampanii.

„Wielka wojna r. 1410 i bitwa grunwaldzka stanowią ... jaskrawy objaw wyłamania się polskiej sztuki wojennej z uświęconych kanonów wojskowości rycerskiej i zdecydowanego wkroczenia na nowe drogi, zdradzające znajomość daleko zdrowszej i głębczej sztuki wojennej Tatarów — pisze specjalista[165] — Narzędzie wojny — armia — pozostaje nadal armią typowo rycerską, zachodnią, posługiwanie się nią, metoda dowodzenia, są raczej wschodnie. Nie zna bowiem zachód tych czasów ani tak wyraźnego stawiania celów strategicznych, ani skrupulatnego opracowania planów wojny i racjonalnego podziału sił ani tak zdecydowanego dążenia do zniszczenia żywej siły przeciwnika, ani tak celowego posługiwania się odwodami i tak całkowitego panowania wodza nad przebiegiem bitwy. W samej bitwie genialny wódz, Władysław Jagiełło, stary sojusznik Mamaja i Tochtamysza, zrywa całkowicie z dawną tradycją rycerską, nakazującą wodzowi, po

[162]) Jako dowód, że wzgórze Jagiełły istotnie było punktem obserwacyjno-dyspozycyjnym mogą służyć dwa epizody: 1) Ks. podkanclerzy Trąba, który, chociaż, jako duchowny, miał się schronić do obozu, pozostał przy królu, na wzgórzu i pewnej chwili ze wzgórza dostrzegł, iż chorągiew polska św. Jerzego, w której służyli zaciężni Czesi i Morawianie, wycofała się z walki. Skoczył więc ku nim i skłonił do ponownego udania się na plac boju (D ł u g o s z o. c. s. 55—56); 2) wysłanie Zbigniewa Oleśnickiego przez króla z wiadomością, że idzie atak krzyżacki (por. co pisze o zarządzeniu zmiany frontu, w związku z tym zauważonym atakiem, K o r z o n o. c. s. 282).

[163]) D ł u g o s z o. c. s. 65 gani to, ale była to właśnie uchwała rady, a nie decyzja wodza, który w tym wypadku musiał ustąpić przed autorytetem tradycji zachodnio-europejskiej.

[164]) D ł u g o s z o. c. s. 65—66 i 87.

[165]) L a s k o w s k i O. „Odrębność staropol. sztuki woj." s. 7.

wszczęciu bitwy, szukać chwały w osobistym starciu wręcz z nieprzyjacielem,[166]) lecz czuwać raczej woli nad jej przebiegiem i nią kierować, jak to czynili wodzowie tatarscy od Czyngis-chana i Subutaja ..."

Zarówno strategia wojny 1410 r., jak i taktyka bitwy grunwaldzkiej noszą znamiona tego samego planu, tej samej metody i tej samej ręki kierującej. Jest to jednym więcej dowodem, że od pierwszej do ostatniej chwili decydował o planach i metodach walki jeden i ten sam człowiek. — Człowiekiem zaś tym i wodzem, któremu należy bez zastrzeżeń „przyznać palmę zwycięstwa",[167]) o którym z podziwem mówili po powrocie z niewoli nawet jeńcy niemieccy,[168]) który w swym długim życiu nie przegrał ani jednej bitwy, był ukochany syn Olgierdowy, od młodości ćwiczony w ciężkich wschodnich i zachodnich zmaganiach, król Władysław Jagiełło.

---

[166]) Jak pamiętamy, król rwał się do starcia wręcz, do czego, zresztą, doszło, a K. Piotrowicz przypuszcza nawet, że oddział króla brał czynny udział w końcowej fazie bitwy. F r i e d b e r g M.: „Kultura polska i niemiecka", Poznań 1946, t. I. s. 169, za Sienkowiczem i Dąbrowskim odmawia Jagielle roli czynnej. Nowych argumentów wszakże nie wprowadza.

[167]) K o r z o n T. o. c. s. 282.

[168]) C o d e x e p i s t. V i t o l d i Nr. 455 s. 213.

PRZEGLĄDY

SPRAWA LITERATURY LUDOWEJ

Pigoń Stanisław: Zarys nowszej literatury ludowej, Kraków, Ossolineum, 1946 s. 238.

Szewczyk Wilhelm: Śląski trud literacki. Pisarze śląscy XIX i XX wieku. Wrocław-Warszawa, Książnica-Atlas, 1946 s. 67, nlb. I.

Ostatnie ćwierćwiecze ubiegłego stulecia wzbogaciło naszą kulturę literacką zespołem zjawisk, nieznanych dzisiaj nawet zawodowym kultury tej znawcom, mianowicie tzw. literaturą ludową. Przeznaczona dla chłopa, docierająca do niego bądź w prasie, po miastach nieczytywanej, bądź w postaci tanich wydawnictw, niesprzedawanych w księgarniach miejskich, a rzadko przechowanych w naszych największych nawet bibliotekach publicznych, gałąź ta piśmiennictwa dopiero od lat dziesięciu poczęła wywoływać zainteresowanie wśród badaczy naukowych. Na czoło ich wysunął się K. L. Koniński swymi „Pisarzami ludowymi" (1938), w których dał chrestomatię z ich prac, zaopatrzoną w wstęp ogólny oraz przypisy, obecnie zaś w ślady jego poszedł St. Pigoń, jako autor „Zarysu nowszej literatury ludowej", pojętego jako wstęp do drukującej się dwutomowej chrestomatii (przez autora uparcie nazywanej antologią) a mającej przynieść „Wybór pisarzy ludowych". Wydany zarys jest bardzo precyzyjnym przewodnikiem po literaturze ludowej lat 1870—1920, przynosi tedy wnikliwy i głęboki opis podłoża kulturowego, z którego w tym okresie wyrosła zarówno publicystyka chłopska jak poezja i gawęda ludowa, następnie przedstawia „czołowe indywidualności" we wszystkich trzech dziedzinach, charakteryzuje ich postawę i dorobek pisarski, wreszcie podaje podstawowe wiadomości biograficzne i bibliograficzne dotyczące objętych całością rozważań pisarzy chłopskich. W ten sposób czytelnik poznaje mniej lub więcej dokładnie pisarzy takich, jak Maciej Szarek, Jakub Bojko, Wincenty Witos, Jan Rak, Józef Kupiec, Jantek z Bugaja (Antoni Kucharczyk), Ferdynand Kuraś, Sabała, Gadeja, Piotr Borowy i kilkunastu innych, pisarzy pochodzących niemal wyłącznie z ówczesnej Galicji, w innych bowiem dzielnicach, na Śląsku, w Poznańskim czy Królestwie, kultura ludowa nie doszła jeszcze, poza paru wyjątkami, jak twórczość Kupca lub Sawczuka, do stadium, które domagałoby się wyrazu literackiego.

Tak rozumianą i ujętą materię swych rozważań autor oświetlił z wielu i różnych stanowisk, usiłując owymi oświetleniami uwydatnić jej znaczenie nie tyle estetyczne ile kulturalno-historyczne. Sprawa pierwsza przedstawia się dość prosto. Pigoń raz po raz stwierdza prymitywizm artystyczny chłopskich poetów i prozaików, materiał dla porównawczej oceny estetycznej odnajduje u Reja czy Potockiego, ba! nawet w „Kazaniach świętokrzyskich", źródło zaś

tego prymitywizmu upatruje w ogólnym zapóźnieniu kulturalnym chłopa, analogicznym do owego zapóźnienia cywilizacyjnego, które Szujski odnajdował w dziejach kultury polskiej. Daleko zawilsza jest sprawa druga, strona kulturalno-historyczna tych „zapóźnionych pierwiosnków", tkwi w niej bowiem mnóstwo najróżniejszych zagadnień, rozpatrywanych przez autora zawsze bardzo drobiazgowo i sumiennie, ujmowanych w formuły zawsze bardzo wyraziste, niemal aforystyczne, nie zawsze jednak rozwiązywanych w sposób przekonywający dla człowieka, który ma inny niż Pigoń stosunek do badanych przezeń zjawisk. Zawiłość całej sprawy płynie m. in. stąd, że czynniki kulturalno-historyczne stają się tu przesłankami przy docieraniu do wniosków natury estetycznej, oraz stąd, że uchwycenie tych czynników pozostaje w ścisłym związku z pewnymi założeniami socjologicznymi, przyjmowanymi przez autora jako konstatacje pewne, gdy tymczasem nawet ze stanowiska, które on sam zajmuje, pewność ta nie wydaje się dość mocna. Z tym wszystkim większość jego konstatacyj nie budzi zastrzeżeń. Należy do nich ustalenie związku między literaturą ludową a literaturą ogólnopolską, stwierdzenie, że poezja Kochanowskiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Wasilewskiego i Konopnickiej mniej lub więcej zdecydowanie odbiła się na produkcji wierszopisów chłopskich. Należy tu również wielokrotne, nieraz bardzo pięknie formułowane stwierdzanie, że literatura chłopska była i jest bezcennym dokumentem tego, że „stosunek ludu do zadań narodowych wykazuje wysoką miarę rzetelności" i że „chłop polski dojrzewa szybko do czynnego, ofiarnego obywatelstwa". Ogólny charakter tego dokumentu tak oto w ujęciu autorskim się przedstawia: „Przez samorodnych miejscowych twórców literackich; poetów i prozaików, oblicze masy chłopskiej różniczkuje się, wyodrębnia: w miejscu jednolitej szarzyzny występuje zwolna różnorodność. Zamiast biernie i tępo jak szyba lodu odbijać przesuwające się górą zjawiska, toń ludowa budzi się w słońcu swobody i pod uderzeniami ożywczych wiatrów zaczyna grać błyskami świateł, bogaci się w życie głębsze i pienistymi grzbietami fal raz po raz podnosi się w górę". Czytając zdania takie, uznając całą ich słuszność i czując podziw dla ich jędrnej wyrazistości, niepodobna przecież stłumić przekonania, że zjawiska, których kwintesencję w nich ujęto i wyrażono, są bardzo doniosłe dla historyka wsi polskiej, kultury wiejskiej, kultury polskiej, że jednak ze stanowiska badacza zjawisk literackich są one właściwie obojętne. W moim mianowicie rozumieniu, do którego wypadnie mi dalej wrócić, literatura ludowa, tak jak ją przedstawia Pigoń, składa się nie ze zjawisk literackich lecz z dokumentów kultury literackiej, z materiałów, z których niepodobna „uczynić w pełni zagadnienia historyczno-literackiego", jak to zamierza zrobić autor. Szczelina w wzniesionej przez niego, na pozór bardzo konsekwentnej i jednolitej konstrukcji, otwiera drogę do całego mnóstwa wątpliwości dalszych i nimi to właśnie po kolei zająć się trzeba.

Co to jest literatura ludowa? — oto problem pierwszy, no i właściwie centralny. Na sprawie tej załamał się już Koniński, który za pisarzy ludowych uznał pisarzy urodzonych, jak się to przed stu laty i później mawiało, pod chłopską strzechą. Uznał — niekonsekwentnie zresztą, zaliczył bowiem do nich np. Worcella, nie zaliczył zaś ani Reymonta ani Kasprowicza. Nauczony jego przygodą Pigoń usiłuje uniknąć błędu poprzednika i za twórców literatury ludowej uznaje tylko „autorów włościan pracujących na roli, związanych z nią społeczną działalnością" (s. 14), tym samym więc z szeregu ich eliminuje ogromną ilość ludzi, od Lompy po Wysłouchową i Kasprowicza (jako autora rozprawek w rodzaju „Lirnika mazowieckiego"), którzy pisali „dla

ludu", obojętna czy sami rodzili się w chatach czy dworach wiejskich czy wreszcie w domach mieszczańskich. Pigoń rygoryzm swój posuwa tak daleko, że pomija nie tylko Juliusza Ligonia i Hajdę, kowala i górnika ze Śląska, ale nawet A. Sikorę, tkacza małomiasteczkowego. Rygoryzm ten jednak wydaje mi się bardzo problematyczny, gdy się zważy, że w „Zarysie" wybitne miejsce zajmuje Kuraś, szewc wiejski, który więcej narabiał szydłem niż pługiem, że działacze typu Bojki i Witosa nie wiele mieli czasu do pracy na roli, że wreszcie i Rak i Kupiec (jak opowiada Kudera, zbudował on sobie organy, na których grywał!) i Wowro również rzemiosłem się parali. Pamiętając o tych szczegółach, ma się wrażenie, że poczet pisarzy ludowych, „pracujących na roli, związanych z nią społeczną działalnością" dałby się, z pożytkiem dla całości obrazu, znacznie rozszerzyć, m. in. na pominiętych przez autora Ślązaków, a wskutek tego całość ta ulec by musiała takim czy innym modyfikacjom. W związku zaś z tym nasuwa się pytanie, które wydaje mi się bardzo doniosłe, a którego rozstrzygnąć nie umiem. Skoro literatura ludowa, tworzona przez chłopów dla chłopów, jest przede wszystkim czy może nawet jedynie dokumentem do dziejów wsi, czy da się ona, bez szkody dla jej ujęcia, wyodrębnić z ram literatury ludowej w ogóle, to zn. pisanej dla chłopów, wszystko jedno przez nich samych czy przez działaczy ludowych pochodzenia niechłopskiego lub chłopskiego ale mieszkających po miastach? Pigoń wielokrotnie akcentuje znaczenie redaktorów dla produkcji pisarskiej ludowej. Czyż znaczenie Stojałowskiego, Wysłouchowej, Stapińskiego da się ograniczyć wyłącznie do ich funkcyj redaktorsko-wydawniczych, czy nie działali oni swym piórem, wyznaczającym szlaki pisarskie współpracowników chłopów?

Wydaje mi się, że ścisłe związanie literatury ludowej w ujęciu Pigonia z ujęciem moim byłoby wodą na młyn autorski. Za przypuszczeniem takim przemawia zabawna niekonsekwencja, występująca między założeniami „Zarysu" a jego wykonaniem w sposobie traktowania zjawisk literatury ludowej w innym jeszcze, trzecim znaczeniu. Wiadomo tedy, że nazwę „ludowej" nadaje się literaturze tradycyjnej, przekazywanej ustnie, obejmującej poezję (przeważnie pieśniową), prozę (bajki, legendy, podania, zagadki, przysłowia itp.) oraz dramat (u nas „Herody", jasełka etc.). Pigoń literaturą tą zajmuje się na wstępie, stwierdza, że jest ona zabytkiem przeszłości, stanowi przedmiot badań etnografii, zasługuje na nazwę „dawnej", no i — dodajmy — wskutek tego „ex definitione" nie może wchodzić do „Zarysu nowszej literatury ludowej". Nie wdając się w ocenę stanowiska autorskiego, zwłaszcza że własne na tę rzecz poglądy wyłożyłem właśnie w „Nauce i Sztuce", nie mogę utaić zdziwienia, że cały niemal, spory rozdział o „Gawędzie ludowej i gawędziarzach", z nazwiskami Gadei czy Sabały, traktuje o owej literaturze dawnej, ustnej. Spotykam w nim wywody bardzo bliskie temu, co sam na temat stosunku literatury tradycyjnej i pisanej szeroko wykładam w niedrukowanej dotąd książce o naszej bajce ludowej, wywody, które wskutek tego w całości prawie podzielam, trudno mi jednak zrozumieć, skąd weszły one do obrazu nowszej literatury ludowej. Ostatecznie nic bym nie miał przeciwko zbożnemu przemyceniu, choćby kosztem niekonsekwencji, Sabały czy Gadei między pisarzy ludowych, gdyby nie jedno. Oto takich Sabałów i Gadejów mógłbym wyliczyć conajmniej tuzin i to z samego Podhala lub jego okolic. Opowiadania facecjonistów (nie humorystów, jeśli bowiem nazwę tę damy Sabale, jak zwać autora „Lalki" lub twórcę Zagłoby?) i przepyszne gawędy zbójnickie, nie ustępujące najlepszym pozycjom repertuaru bajarzy zakopiańskich, znaleźć

można w tekstach czarnodunajeckich, zapisanych i wydanych przez Kantora. Inne gawędy, równie doskonałe, zanotowane w Rabce, podał Kopernicki, w Sopotni zaś pod Żywcem Kosiński. Idąc dalej tą drogą, utrącić wypadnie uwagę Pigonia o obfitości narratorów (pisarzy?) na Podhalu, do gawędziarzy bowiem zaliczyć by trzeba zarówno gazdów śląskich, z którymi gwarzył Malinowski, jak chłopów kaszubskich, których opowiadania utrwalił Lorentz, czy chłopów podolkuskich, których gadki spisywał Ciszewski. Słowem, drobna zatoczka, niebacznie przez Pigonia włączona do literatury ludowej, okazuje się imponującym morzem. Morzem, naszym badaczom literatury całkowicie nieznanym. Orientacja w jego naturze pozwoliłaby może coś z jego skarbów wprowadzić na karty literatury ludowej, bez popełniania zbyt rażących dowolności. Rzecz w tym, że wśród okazów literatury tradycyjnej, której jedną z podstawowych cech stanowi powtarzalność motywów i, przede wszystkim, całych wątków, spotyka się opowiadania jednokrotne, niepowtarzalne. A przynajmniej zapisane raz tylko. Sprawa jest bardzo delikatna, zdarza się bowiem, że nasze najrzadsze warianty podhalańskie mają swe odpowiedniki nie tylko w folklorze czeskim ale nawet białoruskim; nie popełni się jednak zbyt dużego błędu metodycznego, przyjmując, że jednokrotność zapisu, zwłaszcza opowiadań o tematyce z życia bieżącego, pozwala dane opowiadanie uznać za niepowtarzalne. Dla przykładu wskażę doskonałą artystycznie humoreskę o dwu chłopach, wymieniających konie w karczmie na Kubalonce, ogłoszone w „Wyborze tekstów gwarowych" K. Nitscha, humoreskę, której nie powstydziłby się autor „Skalnego Podhala". Otóż wydaje mi się, że — chcąc koniecznie ukazać gawędę tradycyjną w zespole literatury ludowej, — należałoby tego właśnie pokroju utwory do niej wprowadzić. Inna sprawa, czy nie przeszkodziłaby temu ich anonimowość, wynik niedbalstwa naszych folklorystów, którzy wyjątkowo tylko interesowali się bliżej eksploatowanymi przez siebie bajarzami wiejskimi.

Pozostaje jeszcze jedna sprawa, przez Pigonia nieporuszona, choć ocala ona, gdy poprawnie ją postawić, jego zamierzenie, ujęcia literatury ludowej z punktu widzenia badań historyczno-literackich. Jak wspomniałem wyżej, okazy tej literatury są dla mnie dokumentami kulturalnoliterackimi. Za dokumenty takie uważam zarówno artystycznie chybione dzieła, które w intencjach autorskich miały być literackie, o ile są one odbiciem dzieł artystycznie cennych, następnie wszelkie pogłosy dzieł literackich w dziedzinach kultury nieliterackiej, świadczące o dzieł tych popularności czy o sposobach ich recepcji przez odbiorcę. Z tego stanowiska twórczość Szarka, Kupca, Kurasia i in., świadcząca o recepcji dzieł, które były szkołą tych pisarzy, jest zbiorem dokumentów, które jako składniki kultury literackiej wraz z nią są normalnym przedmiotem historii literatury. Stąd, konsekwentnie, w jej dokładnym ujęciu winny one otrzymać odpowiednie miejsce, wyznaczone przez „socjologiczne" na nią spojrzenie. Spojrzenie to, odpowiednio rozległe, wyjaśni związki, dzięki pisarzom ludowym zachodzące między literaturą ogólną a danej klasy społecznej, i to związki nieraz obustronne, ale znowuż wysoce zawiłe, tak że w ich rozważanie zapuszczać się tu niepodobna.

Z tego punktu widzenia doniosłość studium Pigonia rysuje się nie mniej wyraźnie aniżeli ze stanowiska dziejów kultury wsi. Profesor krakowski znakomicie przygotował starannie zebrany i odpowiednio wyselekcjonowany materiał do badań dalszych i na tym polega jego niewątpliwa zasługa dla nauki polskiej.

Charakteryzując jego pracę od strony naukowej, pomijam tu jej wywody, atakowane nie bez racji przez publicystów, a dotyczące po-

glądów autora na przyszłość i literatury i kultury ludowej, poglądów, których ujęcie nie zawsze wydaje się dość mocne, choć z mocnej wiary wyrasta, bo nie zawsze wolne od sprzeczności. Unikając przygany tego, co zganić łatwo, uchylam się równocześnie od wskazywania niepospolitych walorów pisarskich autora, wyrosłych na tej samej skibie, co jego niedociągnięcia, na gruncie gorącego umiłowania przedmiotu badań, co stylowi książki nadało odcień swoistej żarliwości. Odcień ten sprawia, że „Zarys" czyta się jednym tchem a odkłada z obawą, czy taki sam stosunek będzie się mogło zająć wobec jego kontynuacji, owej zapowiedzianej chrestomatii.

W porównaniu z dziełem Pigonia traci szkic Szewczyka, stanowiący jego naturalne dopełnienie. Traci, redaktor „Odry" bowiem dał rzecz nadmiernie encyklopedyczną, zbudowaną z ujęć nadmiernie ogólnikowych, łącząc w niej — na podobieństwo Konińskiego — pisarzy i ludowych i nieludowych, by każdemu z nich poświęcić kilka zdań wypełnionych najniezbędniejszymi wiadomościami. Szkic o charakterze doraźnym i publicystycznym, jest właściwie sygnalizowaniem konieczności książki, która pisarzy śląskich ukazałaby co najmniej na tle kulturowym w tym stopniu, jak to Pigoń zrobił z pisarzami-chłopami dawnej Galicji.

J. Krzyżanowski

NIEPOROZUMIENIA

We wznowionym niedawno „Przeglądzie Historycznym" (pod redakcją Janusza Wolińskiego), pojawiła się recenzja pióra ks. Mieczysława Żywczyńskiego, poświęcona mojej książce pt. „W kręgu polskiej irredenty". Recenzja ta roi się od nieścisłości i niedomówień, które posiadają swoistą, zresztą niedostatecznie zamaskowaną wymowę, co biorąc razem stawia jej charakter naukowy pod znakiem zapytania. Zarzuty ks. Żywczyńskiego tu i ówdzie zresztą niepozbawione pewnej słuszności, polegają przeważnie na nieporozumieniach. Słusznym więc jest zarzut recenzenta, na co zresztą sam zwróciłem uwagę w przedmowie, że w związku z omawianą przeze mnie problematyką, historyczną — niemieckie dzieła historyczne A. Springera, L. Sacher-Masocha i M. Sali omawiam 2 lub nawet 3-krotnie; coprawda tematyka poruszona w mojej książce wymagała takiego powtarzania się, z kompozycyjnego punktu widzenia, rozumie się niepożądanego.

Recenzent atakuje dalej mój sąd, wyrażony w przedmowie, że w historiografii polskiej opracowano na ogół słabo rok 1846, chociaż przeciwstawiając się mojemu stanowisku zaznacza niezbyt konsekwentnie: „Prawda, że nasze dzieje porozbiorowe są opracowane (poza niektórymi zagadnieniami) dość słabo, ale z powstaniem 1846 r. nie jest wcale gorzej, niż z innymi okresami" (str. 187). Jest to dosyć osobliwe rozumowanie, które zaniedbania naszej historiografii traktuje, jako zjawisko naturalne, mimowoli sankcjonując taki stan rzeczy. Ks. Żywczyński przeciwstawiając się na następnej stronicy swojego sprawozdania, mojemu zdaniu o śmiertelnym przemilczaniu w polskiej historiografii — osobistości Edwarda Dembowskiego nadmienia, że „w naszych warunkach" po szkicu biograficznym Steckiej, po wzmiankach w dziełach B. Limanowskiego (wymienia jeszcze Handelsmana), trudno to nazwać przemilczeniem. Cóż to jednak znaczy „w naszych warunkach" i skąd ta podwójna miara „naszych" i nienaszych „warunków", która kryje w sobie niezauważony przez mojego krytyka kompleks narodowo-kulturalnej mikromanii.

Recenzent mój kłócąc się najwyraźniej z sobą samym potwierdza w za-

sadzie najpierw moją diagnozę o dużych lukach w naszych badaniach nad rokiem 1846, by ją następnie zaatakować, dosyć gołosłownie metodą relatywizmu poglądowego, wyrażonego w słowach „w naszych warunkach". Nie sądzę, by moje zdanie o umówionym, śmiertelnym przemilczaniu Edwarda Dembowskiego w naszej historiografii, było taką przesadą, jak to usiłuje mi zasugerować ks. Żywczyński. Miałem i mam na myśli naszą oficjalną „profesorską" historiografię, która kształtowała orientację narodową kilku pokoleń, a dla której zagadnienie roku 1846 — go wraz z Edwardem Dembowskim było istną zmorą. Limanowski należał do nieoficjalnych przedstawicieli naszej historiografii a Stecka i Handelsman stanowią wartościowy wyłom w jej niedobrych tradycjach, które zresztą w okresie międzywojennym spotykały się z przeciwwagą nierzadką. Istota owych „warunków", z powodu których ten bardzo ciekawy rozdział (i poniekąd prekursorski, jako model ideologiczny dla współczesnego życia społecznego w Polsce) z polskich dziejów porozbiorowych nie doczekał się w polskiej nauce historycznej dostatecznego a przede wszystkim właściwego oświetlenia jest zapewne inna, niż to zdaje się wynikać z niedomówionego napomknienia ks. Żywczyńskiego. Faktem jest, że owej tragicznej epoce Polski porozbiorowej poświęciłą więcej uwagi badawczej niemiecko-austriacka historiografia, niż polska. I faktem bezspornym jest również, że pełna wiedza o tym okresie dziejowym nie dotarła do świadomości społeczeństwa polskiego właśnie z powodu zaniedbań naszej historiografii. Docierała ona natomiast do niej w postaci wybitnie fragmentarycznej i to przeważnie dosyć wypaczonej wskutek tendencyjnego oświetlenia.

Ks. Żywczyński zarzuca mi dalej, że nie zaznajomiłem się należycie z literaturą przedmiotu, że nie znam więc nie tylko literatury rękopiśmiennej, ale również ważniejszych pozycyj literatury publikowanej, jak prac Wawel-Louisa (pamiętników chyba), Tyrowicza, Bogusza, Łozińskiego, Ostaszewskiego — Barańskiego, i innych, wskutek czego szereg spraw przedstawiłem podobno niedokładnie i niejasno. Skąd jednak takie przypuszczenie, że nie znam literatury przedmiotu? Książka moja, wydana w roku 1946 zawiera coprawda tylko 50 i kilka pozycyj bibliograficznych. Ale mój pełny zarys monograficzny, który uległ zniszczeniu w czasie powstania obejmował więcej, niż podwójną ilość takich pozycyj. I Łozińskiego i Tyrowicza cytowałem kilkakrotnie w tekście. Z Tyrowiczem, autorem cennej monografii o dyktatorze krakowskim, Tyssowskim, wyolbrzymionym zresztą przez swojego monografistę, polemizowałem w swoim zarysie monograficznym. W dużym rozdziale, liczącym ponad kilkadziesiąt stronic (rozbitym na szereg podrozdziałów) — o powstaniu krakowskim, pisząc między innymi o rewolucyjnym fermentowaniu w owym okresie Kalinki, przyszłego znakomitego historiografa i czołowego później przedstawiciela obozu zachowawczego i stwierdzając fakt, że w dniach rewolucyjnych Krakowa pozostawał młodziutki wówczas — Kalinka pod silnym urokiem Edwarda Dembowskiego, uwzględniłem również szkic Tyrowicza, ogłoszony na łamach Przeglądu Powszechnego, poświęcony autorowi dzieła „Galicja i Kraków pod panowaniem austriackim".

Jestem tym bardziej zdziwiony zarzutami ks. Żywczyńskiego, ponieważ dwukrotnie czytałem mu w jego mieszkaniu przy ul. Brzozowej w końcowych miesiącach niemieckiej okupacji fragmenty z mojego zarysu monograficznego, wtedy ukończonego już całkowicie i gotowego do druku. Będąc wtedy w najcięższych warunkach materialnych, prosiłem ks. Żywczyńskiego o interwencję u jednego z warszawskich wydawców w sprawie sprzedaży mojej książki. Ks. Żywczyński był w związku z tym nie tylko dokładnie poinformowany, jak wygląda rękopis (gotowy do druku) mojego zarysu monograficznego, ale rękopis ten

miał u siebie, bodajże przez 2 dni. Więc skąd te dziwne zarzuty? Nie chciałbym posądzać mojego recenzenta o złą wolę. Ale trudno mi sobie wytłumaczyć zarzuty zawarte w jego sprawozdaniu o mojej książce, zarzuty przeważnie bezpodstawne i niesprawiedliwe. Z pośród zarzucanych mi pominięć, tylko zarzut pominięcia Treitschkego i Valentina jest słuszny. Nie sądzę jednak, by ta luka była aż tak zabójczą dla mojej wiedzy czy znajomości owej epoki, jak to zdaje się przypuszczać ks. Żywczyński.

Natomiast lektura broszury Bogusza, którą znam dobrze w najmniejszej mierze nie zmieniła mojego zdania o Szeli. Ks. Żywczyński w przejrzystym niedomówieniu sugeruje mi widocznie tendencyjne oświetlenie tej postaci. W związku z moim szkicem o Szeli, spotkałem się z pretensjami bieguno-wo rozbieżnymi z dwóch stron, mianowicie ze strony radykalizującej publicystyki ludowej na łamach „Wsi" z zarzutem, że Szelę potraktowałem w sposób, niezbyt różniący się od stanowiska zachowawczej historiografii polskiej, czyli mówiąc dokładniej, że potępiłem go, oraz ze strony publicystyki, której kolorytu nie potrafię określić, że Szelę rehabilitowałem. W obydwu wypadkach popełniono błąd, który starałem się wyjaśnić w artykule na powyższy temat, ogłoszonym na łamach „Wsi".

Ks. Żywczyński zarzucając mi gołosłownie nieznajomość broszury Bogusza, która zawiera opis faktów niewątpliwie autentycznych i z tego powodu posiada zapewne wartość dokumentarną, ulega może zbyt pochopnie hipnozie dokumentów, których podwójną wymowę zaatakowałem (na materiale przykładowym) w szkicu o Szeli. (Tytuł tego szkicu brzmi „Ironia dokumentów"). Bynajmiej ani mi przez głowę nie przeszło, by Szelę rehabilitować, i ktokolwiek czytał uważnie mój szkic o nim, niema pod tym względem żadnych wątpliwości.

Ale na zagadnienie rzezi galicyjskiej spojrzałem sine ira et studio, również pod kątem jej genealogii historyczno-społecznej, więc pod kątem przeoczanym przeważnie w naszej historiografii.

Nie chcąc przedłużać całej litanii sprostowań, czego wymagają bezpodstawne i dosyć gołosłowne przeważnie zarzuty mojego recenzenta, pozwolę sobie sprostować podstawową nieścisłość. Nad Dembowskim nie pracowałem od kilkunastu lat, jak twierdzi mój recenzent, lecz od roku 1935, więc tylko 4 lata.

Zarys monograficzny o Dembowskim opracowałem w miarę moich sił dosyć starannie. Jeżeli nie wszystkie zagadnienia traktowałem obszernie i wyczerpująco, to czyniłem to świadomie przede wszystkim ze stanowiska zasady strukturalnej zarysu monograficznego, który nie jest przecież pełną monografią i wymaga ekonomicznego rozplanowania w opisach szczegółów i wentylowaniu zagadnień w granicach właściwych proporcyj.

Jerzy Eugeniusz Płomieński.

POLSKIE PRAWO POLITYCZNE

Znany autor prawno-polityczny, prof. A. Mycielski, który w latach 1930—1935 opracował w Krakowie, Poznaniu i Wilnie różne zagadnienia, jak obsada Urzędu Prezydenta R. P., dekrety w powojennym prawie konstytucyjnym, podstawy ustrojowe Niemiec, problem klasyfikacji norm prawno-państwowych, ostatnio zaś zaczął w „Polskiej bibliotece prawa" w Wrocławiu publikować historię filozofii prawa w starożytności, wydał świeżo „Polskie prawo polityczne".*) Będzie ono wkrótce musiało mieć nową edycję, gdyż właśnie przybywają

*) Dr Andrzej Mycielski, Prof. Uniw. Wrocławskiego: „Polskie Prawo Polityczne" (Konstytucja z 17. III. 1921 r.). Kraków 1947. Wydawnictwo „Przełom" Skład główny Księg. „Nauka i Wiedza", Wrocław. str. 287.

nowe ustawy: Mała Konstytucja i nowa polska ustawa zasadnicza. A może opracowanie ich wyjdzie tylko w formie uzupełnienia? Praca omawiana powstała jeszcze z wykładów prawa politycznego na tajnym Uniwersytecie Jagiellońskim z inicjatywy ówczesnego Dziekana Wydziału Prawa, śp. Prezesa Stanisława Kutrzeby. Materiał musiał autor zbierać w warunkach ze wszech miar trudnych. Po odejściu Niemców w r. 1945 na jawnym już Uniwersytecie wykładał autor prawo polityczne nasze nadal, wydając swój cykl wykładów w skrypcie krak. Tow. Biblioteki Słuchaczów Prawa. Cykl ów, powtórzony ostatnio w Uniwersytecie Wrocławskim, stał się trzonem niniejszego komentarza.

Cel jego dydaktyczny wpłynął na ujęcie. Jest to praca ściśle naukowa, acz przystępna i nadaje się bardzo zarówno dla teoretyków, jak i praktyków prawa naszego.

Oparta jest na pracach prof. prof. Komarnickiego, W. L. Jaworskiego, Starzyńskiego, Starzewskiego, Peretiatkowicza i Grzybowskiego. Poprzedzona przedmową, dotyczącą genezy dzieła i słowem wstępnym, traktuje ta książka — komentarz w części pierwszej — po omówieniu wstępu do Konstytucji marcowej — o władzy ustawodawczej, w części drugiej — o władzy wykonawczej, w części trzeciej o sądownictwie i prawach i obowiązkach (w tekście Konstytucji jest: o powszechnych obowiązkach i prawach obywatelskich, którego to momentu silne działanie podkreśliła już w nauce krytyka czeska). Z kolei podano (niestety niekompletną, ale orientującą) bibliografię i tekst Konstytucji R. P. (znowelizowany).

Autor, napisawszy swą pracę umiejętnie, uwydatnia, iż obowiązujący pozytywnie obecny ustrój Państwa naszego wywodzi się z Manifestu Lipcowego P. K. W. N. z lipca 1944 r., zarzucającego Konstytucji Kwietniowej bezprawność, przez co przyjęto dalsze legalne obowiązywanie marcowej. Podstawowe jej założenia obowiązują do nowego Sejmu Ustawedawczego z wyborów, do uchwalenia nowej konstytucji.

Analiza wyłuszczonych w słowie wstępnym wyrażeń tekstu Manifestu Lipcowego wykazuje doświadczenie i przenikliwość prawniczą autora, dochodzącego jednak do konkluzji, iż, jak to praktyka Prezydenta K. R. N. stwierdza — nie tylko założenia podstawowe, ale cały tekst Konstytucji marcowej obowiązuje. (Oczywistą zmianę stanowi oparta na wyniku Referendum jednoizbowość).

Wnikliwe są też uwagi prof. Mycielskiego o teoriach konstytucyjnych z punktu widzenia porównawczego, z uplastycznieniem umiarkowanego stanowiska Hauriou (Précis du droit constitutionnel) co do istoty konstytucji jako ogółu norm fundamentalnych dla zbiorowiska państwowego w związku z jego życiem i rządami, z zasadniczymi formami organizacji społecznej (swobód indywidualnych i organizacją polityczną oraz funkcjonowaniem rządów).

Autor poddał analizie sumiennej a subtelnej liczne poglądy teoretyków, jak i sam tekst quaestionis, wykazując wielką znajomość przedmiotu i idealne wręcz jego opanowanie, oraz dar wykładu potoczystego, zarówno jasnego, jak i ładnego stylistycznie.

Praca ta zasługuje na szerokie rozpowszechnienie, a nie zdeaktualizuje się wskutek nowszych naszych wydarzeń prawnych, które wszak podać będzie można również w krótkim uzupełnieniu (a więc, o Radzie Państwa, jako reminiscencji K. R. N., i dalsze).

Nauce naszej przybyło dzieło poważne. —

O. Gończ.

Cena zeszytu pojedynczego . . . . zł. 150,—
Prenumerata z przesyłką zwykłą . . . . zł. 158,—
Prenumerata z przesyłką poleconą . . . . zł. 167,—

Administracja „Nauki i Sztuki" prosi o kierowanie **wpłat do tysiąca złotych — wyłącznie** na konto PKO VIII—348 Wrocław; **powyżej tysiąca złotych** na konto „Nauki i Sztuki" w Narodowym Banku Polskim w Jeleniej Górze.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Wydawców i autorów uprasza się o nadsyłanie nowości do recenzji w dwu egzemplarzach.

Artykuły do druku muszą być pisane na maszynie, względnie zostaną przepisane na koszt autora.

Zakłady Graficzne W. I. N. W. — Oddział w Jeleniej Górze — 13069.

ZAKŁADY GRAFICZNE • WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO • WYDAWNICZEGO
ZG
WINW